

MROczNA TRYLOGIA AUTORA BESTSELLERÓW  
Z LISTY „NEW YORK TIMESA”

# DIABŁO<sup>®</sup>

## WOJNA GRZECHU

KSIEGA PIERWSZA



### PRAWO KRWI

RICHARD A. KNAAK

# SPIS PRAWA

- PROLOG
- JEDEN
- DWA
- TRZY
- CZTERY
- PIĘĆ
- SZEŚĆ
- SIEDEM
- OSIEM
- DZIEWIĘĆ
- DZIESIĘĆ
- JEDENAŚCIE
- DWANAŚCIE
- TRZYNAŚCIE
- CZTERNAŚCIE
- PIĘTNAŚCIE
- SZESNAŚCIE
- SIEDEMNAŚCIE
- OSIEMNAŚCIE
- DZIEWIĘTNAŚCIE
- DWADZIEŚCIA
- DWADZIEŚCIA JEDEN
- DWADZIEŚCIA DWA
- DWADZIEŚCIA TRZY

# DIABLO<sup>®</sup>

WOJNA GRZECHU

KSIĘGA PIERWSZA

PRAWO KRWI

RICHARD A. KNAAK

PRZEŁOŻYŁA

DOMINIKA REPECZKO

 insignis

# PROLOG



Świat był wtedy młody i niewiele wiedziało, że został nazwany Sanktuarium. Niewiele też wiedziało, że anioły i demony nie tylko istniały, lecz to właśnie za ich sprawą Sanktuarium zostało powołane do życia. Imiona takie jak Inarius, Diabło, Rathma, Mefisto i Baal – miana tych potężnych i często budzących powszechny strach – nie gościły jeszcze wtedy na wargach śmiertelników.

W tych jakże prostych czasach ludzie – nieświadomi wiecznej wojny między Królestwem Niebios a Płonącymi Piekłami – borykali się ze swym losem; żyli, rozwijali się i umierali. Nie mogli wiedzieć, że oczy nieśmiertelnych zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie dostrzegą potencjał rasy ludzkiej, przez co rozgorzeje konflikt, który toczyć się będzie przez kolejne stulecia. I spośród tych wszystkich nieświadomych straszliwego przeznaczenia Sanktuarium Uldyzjan ul-Diomed, Uldyzjan syn Diomedesa był bodajże tym najbardziej nieświadomym. Jednak on to właśnie znalazł się w samym centrum wydarzeń, które uczeni w tajemnej historii świata nazwą później Wojną Grzechu.

Nie była to jednakowoż wojna, w której ścierali się zbrojni mężowie, choć i tacy brali w niej udział – a raczej zmagania o rząd dusz, próba dla nich i prawdziwy sprawdzian. Była to wojna, która na zawsze miała wygnać niewinność z Sanktuarium i z jego mieszkańców, i która zmieniła wszystko i wszystkich, nawet tych nieświadomych.

Wojna, w której zwycięstwo było zarazem klęską...

*Z Księgi Kalana*

**Tom pierwszy, arkusz drugi**

# JEDEN



Cień padł na stół Uldyzjana ul-Diomedesa i pochłonął nie tylko znaczną część blatu, ale i wspartą na nim dłoń i kufel z niedopitym piwem.

Płowowłosy farmer nie musiał podnosić wzroku, by wiedzieć, kto przerwał tę jego krótką chwilę wytchnienia po całodziennym trudzie. Słyszał już, jak nowo przybyły rozmawia z innymi klientami jedynej karczmy w wiosce Seram, Pod Łbem Dzika; słyszał i modlił się, by tamten ominął jakoś stół Uldyzjana.

Była w tym pewna ironia, że syn Diomedesa modlił się, by obcy trzymał się z dala, albowiem nad stołem stał nie kto inny, a misjonarz z Katedry Światłości. Olśniewający w swych nieskazitelnych srebrnobiałych szatach, jeśli nie liczyć błota Seram na rąbku szaty. Uldyzjan nie miał wątpliwości, że strój misjonarza wprowadził w zdumienie i zachwyt niejednego wieśniaka. Jednakże ów widok budził jedynie straszne wspomnienia w Uldyzjanie, który teraz ze złością starał się nie odrywać spojrzenia od zawartości własnego kufła.

– Czyś zobaczył już Światłość, bracie? – zagadnął misjonarz, gdy tylko dotarło do niego, że tym razem potencjalny nawrócony zamierza go ignorować. – Czy Słowo wielkiego Proroka dotknęło już twej duszy?

– Znajdź kogoś innego... – mruknął Uldyzjan, a jego dłoń mimowolnie zacisnęła się w pięść. Uniósł kufel, licząc, że ta odpowiedź położy kres rozmowie, której sobie nie życzył.

Ale misjonarz nie dał się tak łatwo zniechęcić.

Złapawszy przedramię Uldyzjana, nie pozwolił tym samym, by brzeg kufla sięgnął ust farmera.

– Jeśli nie o sobie – zaczął bladolicy młodzieniec – pomyśl o swych bliskich! Czy skazałbyś ich dusze na...

Uldyzjan ryknął wściekle, jego twarz zrobiła się purpurowa z gniewu, którego nawet nie próbował powściągać. Płynnym ruchem poderwał się od stołu i złapał misjonarza za srebrnobiały kołnierz. Stół wywrócił się, a niedopite piwo chlusnęło na deski podłogi. Pozostali klienci, w tym kilku rzadko tu widywanych przejezdnych, spoglądali na tę scenę z mieszaniną niepokoju i zainteresowania... I kierując się doświadczeniem, uznali, że lepiej się nie wtrącać. Miejscowi, którzy znali syna Diomedesa, tylko kręcili głowami, komentując półgłosem, jak to młody kapłan źle wybrał sobie słuchacza swych nauk.

Misjonarz był wyższy, choć Uldyzjan mierzył ponad sześć stóp wzrostu i do niskich nie należał. Jednakże kmieć był także dwakroć cięższy od kapłana, nadto od pracy na roli i w obejściu wyrobił sobie potężne mięśnie, których wyraźnie brakło pod srebrnobiałą szatą. Syn Diomedesa miał mocną, kwadratową szczękę i grubo ciosane rysy typowe dla mieszkańców ziem na zachód od Kedżanu, klejnotu w koronie wschodu. Płonące, ciemnobrązowe oczy wbiły się w bladą twarz chudego, zaskakująco młodego misjonarza.

– Dusze moich bliskich są poza zasięgiem Proroka, bracie! Wszyscy umarli od plagi przed niemal dziesięciu laty!

– Ja... ja się za nich pomodłę...

Ale ta obietnica tylko wzmogła gniew Uldyzjana, który żarliwie modlił się za rodziców, starszego brata i dwie siostry, gdy ci cierpieli miesiącami. Dzień i noc, często nierozdzielone snem, Uldyzjan modlił się do wszelkich

sił, by czuwały nad jego bliskimi, by pozwoliły im wrócić do zdrowia, aż wreszcie, gdy już zabrakło nadziei, modlił się o ich szybką i bezbolesną śmierć. Jednak i te modlitwy nie zostały wysłuchane. Bezradny Uldyzjan, odchodząc od zmysłów, patrzył, jak jego bliscy, jedno po drugim, umierają w cierpieniach. Tylko on i jego najmłodszy brat Mendeln przetrwali, by pogrzebać bliskich.

Wtedy także przychodzili do nich misjonarze, nieustannie gadali o duszach rodziny i zapewniali, że to właśnie ich religia przynosi odpowiedzi na wszelkie pytania. Jednym głosem obiecywali Uldyzjanowi, że gdy tylko zdecyduje się podążyć wyznaczoną przez nich ścieżką, odzyska spokój po utracie bliskich. Jednak starszy syn Diomedesa, niedawno jeszcze głęboko wierzący, przegnał ich co do jednego. Słowa misjonarzy zdały mu się puste. Później jeszcze Uldyzjan zyskał przeświadczenie, że słusznie nie dał im wiary, sekty i kultury przemijały bowiem niczym kolejne pory roku.

Nie wszystkie jednak. Katedra Światłości, choć powstała stosunkowo niedawno, wydawała się znaczenie silniejsza niż poprzedniczki. Po prawdzie Katedra i nieco starsza Świątynia Trójcy okazały się w krótkim czasie dwiema głównymi siłami polującymi na dusze Kedżanu i okolic. W oczach Uldyzjana zapał, z jakim obie religie poszukiwały nowych wiernych, podpadał raczej pod zawziętą rywalizację, która stała w sprzeczności z naukami zarówno jednego, jak i drugiego kościoła.

I był to kolejny z licznych powodów, dla którego Uldyzjan nie chciał przyjąć żadnej z tych religii.

– Módl się za siebie, nie za mnie – warknął.

Oczy misjonarza wyszły na wierzch, bo farmer, pochwycawszy kapłana za srebrnobiały kołnierz, uniósł go wysoko.

Krępy, łysiejący karczmarz wyszedł zza kontuaru z wyraźnym zamiarem wyratowania misjonarza z opresji. Tibion był kilka lat starszy od Uldyzjana



i nie mógł się równać z nim siłą, ale przyjaźnił się z Diomedesem, potrafił więc uspokoić rozgniewanego chłopca.

– Uldyzjanie! Bacz może na mój dobytek, skoro nie zważasz na swoje zachowanie.

Mimo przepelniającej go udreki, Uldyzjan usłyszał karczmarza i zawahał się. Spoglądał to na bladą twarz misjonarza, to na okrągłą Tibiona. Skrzywił się, sfrustrowany, i rozluźnił uchwyt, pozwalając, by klecha w mało godny sposób klapnął na podłogę.

– Uldyzjanie... – zaczął Tibion.

Ale syn Diomedesa nie czekał na dalsze słowa karczmarza. Gwałtownym krokiem ruszył do wyjścia, a znoszone skórzane buty załomotały głucho o wydeptane deski. Powietrze było chłodne i rześkie, co pomogło Uldyzjanowi nieco się uspokoić. Niemal natychmiast zaczął żałować swego zachowania w karczmie. Nie tego, że sponiewierał misjonarza, ale tego, że zrobił to na oczach tylu ludzi, którzy go znali... I to nie po raz pierwszy.

Jednak obecność w Seram akolity Katedry Światłości tkwiła w sercu Uldyzjana niczym zadra. Farmer stał się człowiekiem, który wierzył jedynie w to, co jego oczy mogły zobaczyć, a ręce dotknąć. Obserwował zmieniające się niebo, wiedział zatem, kiedy wyjść w pole albo ile czasu mu pozostało, by dokończyć pracę bez pośpiechu. Zebrane przezeń plony zapewniały strawę farmerowi i innym. Ufać mógł tylko świadectwu własnych zmysłów, a nie mamrotanym niewyraźnie modlitwom tych, którzy nie dali Uldyzjanowi niczego poza fałszywą nadzieją.

W Seram mieszkały dwie setki ludzi. Jedni uważali, że wioska jest niewielka, innym wydawała się całkiem przyzwoitych rozmiarów. Uldyzjan mógł przejść z jednego jej końca na drugi i nawet się nie zasapać. Jego farma znajdowała się o dwie mile na północ od wioski. Raz w tygodniu Uldyzjan odwiedzał Seram, żeby kupić to, czego akurat potrzebował.

Zawsze przy tej okazji pozwalał sobie na krótki przystanek, by zjeść coś i wychylić kufel piwa Pod Łbem Dzika. Teraz zjadł już, co miał do zjedzenia, a piwo przepadło, Uldyzjanowi nie pozostało więc nic innego, jak tylko uzupełnić zapasy i wracać do domu.

Poza karczmą, która była też zajazdem, w Seram znajdowały się tylko cztery istotne budynki – dom narad, faktoria handlowa, kwatery Straży i kuźnia. Nie wyróżniały się spośród większości seramskich zabudowań – dachy miały strome i kryte strzechą, a drewniane ściany wzniesiono na podmurówce z kilku warstw kamieni spojonych gliną; w tym regionie, gdzie silne były wpływy Kedżanu, łuki okien, zawsze trzy na każdej ścianie, były ostro zwieńczone. Stąd też z daleka trudno było odróżnić jeden dom od drugiego.

Z każdym krokiem błoto coraz bardziej oblepiało buty Uldyzjana. Seram nie miało wybrukowanych, czy choćby utwardzanych ulic; było na to zbyt prowincjonalne. Mężczyzna zauważył suchą ścieżkę, ale ciągnęła się ona po przeciwnej stronie drogi, a jemu nie chciało się przez nią przechodzić. Poza tym brnięcie w błocie było przecież jego – jako farmera – codziennością.

Faktoria handlowa znajdowała się na wschodnim krańcu Seram i w przeciwieństwie do karczmy była najczęściej odwiedzanym miejscem w wiosce. To tutaj mieszkańcy przynosili swoje dobra, by je na coś wymienić lub sprzedać przejeżdżającym przez osadę kupcom. Kiedy na składzie znajdowały się nowe towary, nad drzwiami wywieszano błękitną flagę. Gdy Uldyzjan zbliżał się do faktorii, córka Cyrusa, Serentia, o włosach barwy nocy, właśnie zawieszała niebieską tkaninę.

Rodzina Cyrusa zarządzała faktorią od czterech pokoleń i była jedną z najbardziej wpływowych w mieście, choć nie okazywała tego ani szatą, ani zachowaniem. Cyrus nie spoglądał z góry na swych klientów, którzy w

większości byli też jego sąsiadami. Serentia miała na sobie prostą brązowa sukienkę ze skromnym dekoltem kończącą się niewiele nad ziemią. Do tego proste buty zdatne do jazdy wierzchem i chodzenia po błocie.

– Coś ciekawego?! – zawołał do niej Uldyzjan, próbując skupić myśli na czymś, co pozwoliłoby mu zapomnieć o przeszłości – tej niedawnej i tej bardziej odległej.

Córka Cyrusa odwróciła się, jej długie włosy poruszyły się miękką falą. Uldyzjan był przekonany, że z niebieskimi oczami, skórą niczym kość słoniowa i czerwonymi ustami Serentia potrzebowała jedynie odpowiedniego stroju, by dorównać arystokratkom z Kedżanu. Prosta sukienka nie była w stanie ukryć doskonałych krągłości ani przysłonić gracji, z jaką poruszała się dziewczyna.

– Uldyzjanie! Byłeś tu cały dzień?

W jej głosie farmer usłyszał coś takiego, co sprawiło, że się skrzywił. Serentia była od niego o dekadę młodsza; widział, jak dorasta i z dziewczynki staje się kobietą. Stała się dlań niemal jak siostra. Jednakże dla niej Uldyzjan był wyraźniej kimś więcej. Odtrącała zaloty młodszych i bardziej zamożnych, nie wspominając o przejezdnych kupcach. Jedynym mężczyzną, któremu okazywała jakiegokolwiek zainteresowanie, był Achilios, przyjaciel Uldyzjana i najlepszy myśliwy w Seram, ale czy to dla niego samego, czy to z powodu jego więzi z farmerem – trudno było powiedzieć.

– Przyjechałem nieco po pierwszej godzinie dnia. – Podchodząc, Uldyzjan zauważył co najmniej trzy wozy stojące za budynkiem faktorii. – Sporo ich jak na Seram. Coś się dzieje?

Dziewczyna dokończyła wciąganie flagi i umocowała linę.

– Tak naprawdę to się zgubili. Mieli przejechać przez Tulisam. – Zerknęła na wozy przez ramię.

Tulisam było miastem, przewyższało wielkością Seram co najmniej pięciokrotnie, leżało też bliżej szlaku prowadzącego wprost nad morze i do najważniejszych portów.

– Przewodnik musi być nowicjuszem... – mruknął Uldyzjan.

– Bez względu na to, co ich tu przywiodło, zdecydowali się nieco pohandlować. Ojciec stara się ukryć ekscytację. Mają naprawdę piękne rzeczy, Uldyzjanie.

Według farmera piękne były solidne, wytrzymałe narzędzia albo nowo narodzone cielę, silne i zdrowe. Chciał coś odpowiedzieć, gdy zauważył ruch przy wozach.

Ubrana była w szatę podobną do tych, jakie nosili członkowie Domów aspirujących do przejęcia przywództwa po niedawnych walkach między klanami magów. Gorset zasznurowany miała wysoko i choć szmaragdowy strój o ramionach pokrytych futrem spełniał wszelkie wymagania narzucane przez rządzącą kastę, to nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że jego właścicielka była kobietą. Spływające gęstą falą złote włosy związane były srebrną wstążką. Dzięki temu uczesaniu Uldyzjan mógł podziwiać królewski profil i alabastrową skórę. Lśniące zielone oczy z uwagą obserwowały okolicę. Wąskie, idealnie wykrojone wargi rozchyliły się lekko.

I właśnie wtedy, gdy kobieta miała spojrzeć w jego stronę, Serentia gwałtownie ujęła farmera pod ramię.

– Powinieneś wejść i sam się przekonać, Uldyzjanie.

I gdy pociągnęła go ku drzwiom, zerknął jeszcze przez ramię, ale szlachcianka zniknęła. Gdyby nie to, że nie uważał się za człowieka o wybujałej wyobraźni, być może uznałby, że piękna nieznajoma była tylko ułudą.

Serentia wciągnęła go do środka i wyjątkowo gwałtownie zamknęła drzwi. Jej ojciec spojrzął na przybyłych, przerwawszy rozmowę z kupcem w zawoju. Mężczyźni pochylali się nad czymś, co Uldyzjan uznał za wyjątkowo strojny materiał w kolorze fioleto.

– Aa! Miły Uldyzjan! – handlarz wszystkich, oprócz swej najbliższej rodziny, obdarzał tym pieśczośliwym określeniem. Słyszając je, farmer zawsze się uśmiechał. Cyrus nie zdawał sobie chyba sprawy z tego przyzwyczajenia. – Jak się miewacie z bratem?

– My... dobrze, mistrzu Cyrusie.

– Dobrze, dobrze. – I handlarz wrócił do swych zajęć. Srebrzyste włosy tworzyły pierścień wokół jego głowy, a oczy otaczała siateczka zmarszczek, przez co Cyrus przypominał Uldyzjanowi kleryka i to bardziej niż którykolwiek z tych odzianych w kapłańskie szaty. Prawdę powiedziawszy, wedle farmera Cyrus miał też mądrzejsze rzeczy do powiedzenia. Sam wielce poważał handlarza, po części z uwagi na to, że właściciel faktorii, lepiej wyedukowany niż większość mieszkańców Seram, wziął pod swe skrzydła młodego Mendelna.

Uldyzjan rozejrzał się, myśląc o bracie, który więcej czasu spędzał w faktorii niż na rodzinnej farmie. I choć Mendeln ubierał się jak brat – w prostą tunikę, kilt i wysokie buty – i podobny był do niego z oczu i szerokiego nosa, wystarczyło jedno spojrzenie, by zwątpić, czy w ogóle jest farmerem. Owszem, pomagał na farmie, ale wszyscy wiedzieli, że praca na roli nie jest jego powołaniem. Zawsze interesowało go studiowanie „rzeczy”, czy to robaków żyjących w ziemi czy słów na pergaminie wypożyczonym mu przez Cyrusa.

Uldyzjan potrafił czytać i pisać, z czego był dumny, ale cenił jedynie użyteczność tych umiejętności. Zawierano czasami umowy, które wymagały spisania, a potem jeszcze sprawdzenia, czy zostało to zrobione

właściwie. I to praktyczne zastosowanie owych zdolności jak najbardziej przemawiało do starszego z braci – ale żeby czytać dla samego czytania albo badać coś tylko po to, żeby nauczyć się czegoś zupełnie bezużytecznego... nie, takich pragnień Uldyzjan nie miewał.



Nie dostrzegł młodszego brata, za to ktoś inny przykuł jego uwagę. Widok ten brutalnie i boleśnie przywołał wspomnienie wypadków w karczmie, gdyż przez ułamek sekundy miał wrażenie, że widzi towarzysza tamtego misjonarza znieważonego przezeń Pod Łbem Dzika. Ale gdy postać obróciła się nieco w stronę Uldyzjana, ten zrozumiał, że to młoda kobieta. Strój kapłanki miał barwę głębokiego błękitu, a na piersi wystylizowanego barana o wielkich zawiniętych rogach. Poniżej widniał opalizujący trójkąt, którego wierzchołek wypadał tuż pod kopytami zwierzęcia. Kobieta miała włosy do ramion, twarz okrągłą, tryskającą młodością i niezwykle powabną. A jednak Uldyzjan miał wrażenie, że czegoś w tej twarzy brakuje. Nie potrafił spojrzeć na kapłankę z choćby cieniem męskiego zainteresowania – zupełnie jakby była pusta skorupa, nie osobą. Widywał już takie wcześniej. Gorliwe do granic, niezachwianie wierzące. Widział też już podobne szaty. Fakt, że kobieta stoi samotnie, sprawił, że zaczął rozglądać się niespokojnie. Oni nigdy nie podróżowali w pojedynkę. Zawsze trójkami. Jedno z każdego zakonu...

Serentia próbowała pokazywać mu jakieś babskie bibeloty, ale Uldyzjan nie słyszał ani słowa, jedynie jednostajny szum. Zastanawiał się, jakby tu opuścić pomieszczenie.

Teraz do kapłanki w błękicie dołączył dojrzały mężczyzna o rysach regularnych i szlachetnych, którego ciemna oprawa oczu i mocny,

kwadratowy podbródek robiły niewątpliwie takie samo wrażenie na kobietach jak na mężczyznach delikatna uroda kapłanki. Odziany był w złote szaty z przylegającym ciasnym kołnierzem, z połyskliwym trójkątem na piersi, nad którym jednak w miejscu barana zielenił się liść.

Trzeciego kapłana nigdzie nie było widać, ale Uldyzjan nie miał wątpliwość, że on – czy też ona – znajduje się gdzieś niedaleko. Słudzy Świątyni Trójcy nie rozstawali się na długo. Misjonarze Katedry Światłości zwykle wędrowali w pojedynkę, ale akolici Trójcy działali wspólnie. Głosili drogę Trzech: Bala, Dialona i Mefisa, duchów przewodnich, które miały czuwać nad śmiertelnikami niczym kochający rodzice, tudzież czuli nauczyciele.

Dialon był duchem Determinacji, stąd też uparty baran. Bala oznaczał Stworzenie, jego symbolem był liść. Mefis, którego kapłana zabrakło w faktorii, był duchem Miłości. Akolici nosili na piersi czerwony krąg, popularne w Kedzanie i okolicy wyobrażenie serca.

Uldyzjan niejednokrotnie słyszał już kazania każdego z tych trzech zakonów i nie miał najmniejszej ochoty ryzykować, że powtórzy się sytuacja z karczmy, dlatego też usiłował schronić się w cieniu.

Serentia uświadomiła sobie wreszcie, że Uldyzjan jej nie słucha. Wsparła rękę na biodrach i rzuciła mu karcące spojrzenie, które, gdy była małą dziewczynką, zawsze rozbijało farmera.

– Uldyzjanie, myślałam, że chcesz zobaczyć...

– Serri, muszę już iść – przerwał jej. – Czy twoi bracia przygotowali wszystko, o co prosiłem?

Ściągnęła usta w namyśle. Uldyzjan zerknął na parę kapłanów pograżonych w rozmowie. Sprawiali wrażenie dziwnie zdezorientowanych, jakby coś poszło niezgodnie z ich oczekiwaniami.

– Thiel nic mi nie wspominał, w przeciwnym razie wiedziałabym wcześniej, że przyjechałeś do Seram. Znajdę go zaraz i zapytam.

– Pójdę z tobą. – Wszystko, byleby uniknąć tych psów Trójcy.

Świątynia powstała kilka lat wcześniej niż Katedra, ale teraz – jak się zdawało – obie religie miały podobne wpływy. Mówiło się, że Najwyższy Magister Kedżanu nawrócił się na religię Świątyni, podczas gdy Lord Generał Kedżańskiej Straży wyznawał doktrynę Katedry. Nieustanny zamęt wśród magicznych klanów, często kończący się wojną jak ostatnio, wielu zwrócił ku przesłaniu jednej albo drugiej wiary.

Zanim jednak Serentia poprowadziła Uldyzjana na tyły, zawołał ją Cyrus.

– Poczekaj chwilę, zaraz wracam – rzuciła farmerowi przepraszające spojrzenie.

– Sam poszukam Thiela – zaproponował.

Serentia musiała podchwycić jego szybkie spojrzenie w kierunku misjonarzy, bo zmarszczyła brwi z naganą.

– Uldyzjanie, tylko nie to...

– Serri...

– Uldyzjanie, ci ludzie są posłańcami świętych zakonów! W żadnym razie nie chcą uczynić ci krzywdy! Nie próbuję cię nakłonić, byś do nich dołączył, ale słowo, które głoszą i jedni, i drudzy, warte jest chwili uwagi.

Już kiedyś otrzymał od niej taką reprimendę – niedługo po odwiedzinach kapłanów z Trójcy, gdy stanął w karczmie i zaczął udowadniać, że zwykłym ludziom w codziennym życiu kapłani nie są w ogóle potrzebni. Czy akolici proponowali pomoc przy stryżeniu owiec? Albo w żniwach? Czy pomagali prać zabłoconą odzież albo naprawiać ogrodzenia? „Nie – mówił Uldyzjan wtedy i przy innych okazjach – jedyne, do czego są zdolni, to szeptać ludziom do ucha, że ta sekta góruje nad inną. Ci ludzie ledwie



rozumieją pojęcia aniołów i demonów, a już na pewno nie wierzą ani w jedne, ani w drugie”.

– Mogą gadać, ile chcą, Serri, ale ja widzę tylko, jak ze sobą rywalizują.  
– I dodał z przekąsem: – Kto przyprowadzi więcej nawróconych głupców do Świątyni, ten zostanie zwycięzcą!

– Serentio! – zawołał ponownie Cyrus. – Chodźże tu, dziewczyno!

– Ojciec mnie potrzebuje – spojrzała na farmera ze smutkiem. – Zaraz wracam. Proszę, Uldyzjanie, zachowuj się, jak należy.

Odprowadził ją wzrokiem, a potem spróbował skupić się na wystawionych towarach. Było tu mnóstwo narzędzi użytecznych na farmie – motyki, łopaty i najróżniejsze młotki. Przebiegł palcami po ostrzu nowiutkiego żelaznego sierpa. Najlepsza robota dostępna w Seram, ale Uldyzjan słyszał, że ponoć na farmach w pobliżu Kedżanu robotnicy używają narzędzi stalowych. To robiło na nim o wiele większe wrażenie niż jakiegokolwiek słowa dotyczące jego duszy.

Ktoś szybko przeszedł obok, kierując się na tyły faktorii. Kątem oka Uldyzjan pochwycił blask złotych włosów i mgnienie uśmiechu, który, co farmer gotów był przysiąc, skierowany był właśnie do niego.

Uldyzjan podążył za oddalającą się postacią, początkowo nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Szlachcianka zniknęła w tylnych drzwiach, a poruszała się przy tym z taką swobodą, jakby faktoria była jej domem. Uldyzjan przestąpił próg tuż za nią... i w pierwszej chwili stracił kobietę z oczu. Zobaczył za to swój wóz, wypełniony po brzegi. Thiela nie było w pobliżu, ale to akurat farmera nie zdziwiło. Zapewne starszy brat Serentii już zajął się jakąś inną pracą.

Ponieważ Uldyzjan wcześniej załatwił wszelkie kwestie związane z zapłatą, teraz, nie zwlekając, ruszył do swego wozu. I gdy był już blisko, zobaczył błysk zieleni.

To była ona. Stała po drugiej stronie końskiego grzbietu, mrużąc cicho do zwierzęcia i smukłą dłonią pieszcząc jego pysk. Koń stał nieruchomo niczym posąg i wydawał się całkowicie zauroczony. Stary ogier był prawdziwie upartym stworzeniem i tylko ci, których dobrze znał, mogli doń podejść, nie ryzykując, że zostaną pokąsani. To, że zdołała tego dokonać obca kobieta, mówiło o niej naprawdę wiele.

Zauważyła Uldyzjana i zwróciła się w jego stronę z uśmiechem, który rozświetlił jej twarz. Zdało się, że jej oczy aż płoną wewnętrznym blaskiem.

– Wybaczcie... To twój koń?

– Mój... Masz szczęście, pani, że zachowałam obie dłonie. Lubi gryźć.

Ponownie pogładziła miękkie chrapy. Koń ani drgnął.

– Och, mnie nie ugryzie. – Zbliżyła twarz do końskiego pyska. – Prawda?

W pierwszym odruchu Uldyzjan chciała rzucić się ku niej, nagle zdjęty strachem, że zwierzę zaprzeczy jej słowom. Jednak nic się nie stało.

– Kiedyś miałam podobnego konia. Bardzo mi go brak.

– Pani, nie powinnaś tu być. – Uldyzjan przypomniał sobie raptem, gdzie się znajdują. – Powinnaś pozostać przy karawanie.

Czasem podróżni dołączali do karawany, żeby skorzystać z ochrony, jaką opłacali kupcy. Uldyzjan założył, że tak właśnie postąpiła nieznajoma szlachcianka. Jak dotąd nie zauważył, żeby miała jakąkolwiek eskortę, a dla młodej kobiety podróż bez eskorty, nawet z karawaną, stanowiła spore ryzyko.

– Nie chcesz, pani, by cię pozostawili.

– Ale ja nie jadę z karawaną... – mruknęła. – W ogóle nigdzie się nie wybieram.

Uldyzjan nie wierzył własnym uszom.

– Pani, to chyba żart! Nic cię nie czeka w takim miejscu jak Seram!

– Nic mnie nie czeka w żadnym innym miejscu... Dlaczego więc nie Seram? – Kąciki jej warg drgnęły w nieśmiałym uśmiechu. – I nie ma potrzeby, byś nazywał mnie „panią”, wystarczy Lylia.

Uldyzjan już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale usłyszał odmykające się za jego plecami drzwi.

– Tutaj jesteś! Znalazłeś Thiela? – zadźwięczał głos Serentii.

– Nie, ale wszystko jest, Serri. – Farmer obejrzał się na nią przez ramię.

Koń nagle parsknął i cofnął się spłoszony. Uldyzjan złapał za wędzidło i starał się uspokoić kapryśne zwierzę. Ogier wytrzeszczał ślepia i prychał niespokojnie, sprawiał wrażenie wystraszonego. Uldyzjan nie potrafił powiedzieć dlaczego, bo konisko darzyło większą sympatią Serentię niż swego pana. Jeśli zaś chodziło o szlachciankę...

Nigdzie nie było jej widać. Uldyzjan rozejrzał się ukradkiem, zachodząc w głowę, jak kobieta mogła wymknąć się tak szybko i bezszelestnie. Z miejsca, w którym stał, widział dość dobrze całą okolice – i nigdzie jej nie dostrzegł. Najbliżej stały jedynie wozy. Jeśli nie wskoczyła do jednego z tych zakrytych, nie miał najmniejszego pojęcia, co też mogło się z nią stać.

Serentia podeszła do niego lekko zaciekawiona.

– Czego szukasz? Jednak czegoś ci brakuje?

Uldyzjan ochłonął na tyle, by odpowiedzieć.

– Nie... Mówiłem już, wszystko jest jak należy.

Znajoma i niechętnie witana postać stanęła w progu tylnych drzwi. Misjonarz rozejrzał się, jakby czegoś lub kogoś szukał.

– Tak, bracie Atilusie? – zagadnęła go Serentia.

– Szukam brata Caligio. Nie ma go tu?

– Nie, bracie, tylko my dwoje.

Brat Atilus zmierzył Uldyzjana spojrzeniem, w którym nie było śladu tego typowego religijnego uniesienia, a w jego miejscu chyba... podejrzliwość. Potem skłonił się Serentii i wycofał bez słowa.

– Musisz tak szybko wyjeżdżać? – córka Cyrusa znów poświęciła całą uwagę Uldyzjanowi. – Wiem, że nie lubisz przebywać w towarzystwie misjonarzy, ale... nie mógłbyś zostać ze mną trochę dłużej?

Z powodów, których sam zrozumieć nie potrafił, Uldyzjan poczuł się zaniepokojony.

– Nie... muszę wracać. A skoro mowa o szukaniu braci, nie widziałas może Mendelna? Spodziewałem się, że zobaczę go z twoim ojcem.

– Och, powinnam była ci powiedzieć! Achilios zajrzał do nas nieco wcześniej. Chciał coś pokazać Mendelnowi i obaj poszli w stronę zachodniego lasu.

Uldyzjan sapnął ze złością. Mendeln obiecał, że będzie gotów na czas, żeby pojechać z bratem do domu. Zazwyczaj dotrzymywał słowa, więc Achilios musiał trafić na coś wyjątkowo niezwykłego. Największą słabością Mendelna była niezaspokojona ciekawość, tym bardziej więc myśliwy powinien mieć więcej rozsądku, a nie jeszcze tę ciekawość podsycać. Gdy młodszy brat Uldyzjana zagłębiał się w swoich studiach, całkowicie tracił poczucie czasu.

I choć Uldyzjan nie chciał wyjeżdżać bez ostatniego ze swojego rodzeństwa, wolał też nie przebywać w pobliżu kapłanów Trójcy.

– Nie mogę zostać. Pojadę w stronę lasu, miejmy nadzieję, że tam ich znajdę. Gdyby jednak Mendeln wrócił, nie spotkawszy się ze mną...

– Powiem mu, gdzie czekasz – dokończyła Serentia, nie kryjąc rozczarowania.

Tym razem Uldyzjan wiedział doskonale, dlaczego poczuł się niezręcznie. Objął dziewczynę i przytulił w najlepszym razie w

przyjacielski sposób, po czym wspiął się na wóz. Serentia cofnęła się o krok i patrzyła, jak farmer pogania starego ogiera.

Uldyzjan obejrzał się jeszcze, a wyraz jego twarzy sprawił, że twarz Serentii rozpromieniła się nieco. Jednak on nawet tego nie zauważył, myślami był bowiem daleko od kruczowłosej córki handlarza.

Twarz, której widok nie opuszczał myśli Uldyzjana, należała do innej, do tej o splotach barwy złota.

I która pochodzeniem przewyższała po wielokroć prostego farmera.

# DWA



Mendeln zdawał sobie sprawę, że brat będzie się złościł, ale ciekawość zawładnęła nim bez reszty. Poza tym to wina Achiliosa, a ten, doprawdy, powinien mądrzej postępować.

Między synami Diomedesa było dobrych dziewięć lat różnicy, a to dość, by pod pewnymi względami ich relacje odbiegały od braterskich. Uldyzjan często zachowywał się jak wuj, a nawet – jak ojciec. Prawdę powiedziawszy, biorąc pod uwagę to, co Mendeln sam pamiętał o swym rodzicielu, oraz opowieści Cyrusa, Tibiona i jeszcze kilku starszych mieszkańców Seram, Uldyzjan mógłby bez trudu uchodzić za brata bliźniaka Diomedesa. Zarówno pod względem powierzchowności, jak i charakteru.

Mendeln był podobny do brata, ale o stopę niższy i choć niewątpliwie zahartowany przez trudy życia na farmie, nie dorównywał Uldyzjanowi siłą. Ramiona miał węższe, sylwetkę smuklejszą, jak mu mówiono – po matce. Jego oczy były czarne i lśniące niczym dwa klejnoty, a po kim je odziedziczył, tego nie wiedział. Szybko odkrył, że wpatrując się w rozmówcę, potrafi wyprowadzić z równowagi każdego poza starszym bratem i człowiekiem, z którym teraz siedł.

– I co ty na to? – mruknął Achilios zza pleców Mendelna.

Młodszy z synów Diomedesa zmusił się, by odwrócić wzrok od fascynującego znaleziska myśliwego.

Achilios, blondyn o silnej, żylastej sylwetce, był niemal tak wysoki jak Uldyzjan. W odróżnieniu od Mendelna odzianego tak samo jak starszy brat, myśliwy miał na sobie brązowo–zielony strój składający się ze spodni i kurtki. Achilios mógł więc bez trudu wtopić się w otoczenie. Miękkie skórzane buty uszyte zostały tak starannie, że właściciel poruszał się w nich bezszelestnie i był w stanie podejść niemal każde zwierzę. Smukły i gibki myśliwy był szybki, ale też i nadspodziewanie silny. Mendeln próbował kiedyś napiąć łuk, który stanowił źródło nieustającej dumy i radości Achiliosa, ale nie zdołał. Łucznik o sokolich rysach przewyższał znacznie umiejętnościami wszystkich mieszkańców Seram, a zdaniem Mendelna także tych poza granicami wioski. Nieraz młodszy brat Uldyzjana widział bowiem, jak Achilios mierzy się z weteranami w służbie kupców i zawsze wychodzi z tych prób zwycięsko.

– Wygląda... starożytnie – wykrztusił wreszcie Mendeln.

Czuł się nieco zawstydzony, bo do tego wniosku zapewne doszedł już sam Achilios. Ale łucznik skinął głową, jakby usłyszał właśnie jakąś mądrość. Był starszy od Mendelna więcej niż pół dekady, ale traktował najmłodszego syna Diomedesa, jakby ten był źródłem wiedzy całego świata. Przez co nie raz i nie dwa ścierał się z Uldyzjanem, który nie widział żadnego praktycznego zastosowania dla studiów Mendelna i w najlepszym wypadku je tolerował.

– Ta rzecz jest... – łucznik urwał i przeczesał palcami gęstą, niemalże lwią grzywę. – Przechodziłem tędy steki razy i przysięgam, że jej tu nie było!

Mendeln skinął w milczeniu głową i ponownie wpatrzył się ze skupieniem w znalezisko. Achilios miał wzrok, którego młody uczoney mógł mu jedynie pozazdrościć, gdy nieraz musiał nisko pochyłać się nad pergaminami, by odcyfrować tak drogie mu słowa.

I tym razem musiał zgiąć się dość mocno, gdyż symbole wyryte na powierzchni znaleziska były w wielu miejscach niemal niewidoczne, zatarte prawie do cna przez czas i kaprysy pogody. Niektórych nie zdołałby odgadnąć, nawet gdyby przycisnął do nich nos. Niewątpliwie dziwny obiekt przez lata wystawiony był na działanie sił natury, przy czym Mendeln nie potrafił tego w żaden sposób dopasować do stwierdzenia Achiliosa, że owa rzecz dopiero co się tu pojawiła.

Kłęcząc, Mendeln ocenił wymiary przedmiotu. Bok kwadratowej podstawy był nieco dłuższy od stopy młodzieńca, zaś sam postument sięgał mu o dłoń poniżej kolana. Płaskie zwieńczenie miało o połowę mniejszą powierzchnię niż podstawa. Kamiennego artefaktu takich rozmiarów nie dałoby się przeoczyć.

Mendeln dotknął ziemi przy podstawie.

– Nic się tu w okolicy nie zmieniło?

– Nie.

Młodzieniec niemalże z nabożeństwem przesunął opuszkami palców po co bardziej czytelnych symbolach. Czytelnych w tym sensie, że mógł je zobaczyć – bo zrozumieć nie potrafił. Jeden z glifów zapętleł się tak, że nie sposób było określić, gdzie się kończy. Gdy Mendeln go dotknął, ogarnęło go wrażenie, że ma do czynienia z czymś niewiarygodnie wiekowym. Mimowolnie potrząsnął głową. Nie wiekowym, pomyślał, raczej pozbawionym wieku, bezwiecznym.

Zatrzymał się na tej myśli, bowiem nigdy dotąd coś takiego nie przyszło mu do głowy. Bezwieczność. Jak to w ogóle możliwe?

Kamień był czarny, ale symbole pobłyskiwały srebrem. Mendeln patrzył na nie zafascynowany, gdyż nie zostały pomalowane srebrną farbą. Artefakt został stworzony z arcyzmem, jakiego na próżno by szukać w wyrobach z Seram czy innej większej osady w zachodnim regionie.



Z niejakim opóźnieniem Mendeln zdał sobie sprawę, że Achilios szarpie go za ramię.

– Co? – zapytał zaskoczony.

Łucznik pochylił się, a na jego twarzy malowała się troska.

– Jak tylko tego dotknąłeś, zrobiłeś się taki nieruchomy! Nie mrugałeś i przysięgam, nawet nie oddychałeś!

– Nie... nie zauważyłem. – I Mendeln czuł pokusę, by raz jeszcze dotknąć artefaktu i sprawdzić, czy wydarzy się to, o czym mówił myśliwy. Podejrzewał jednak, że Achilios mocno by się sprzeciwił. – A ty tego dotykałeś?

– Tak – odpowiedział myśliwy z ledwie dostrzegalnym wahaniem.

– I nie stało się to samo, gdy tego dotknąłeś?

Achilios pobladł na samo wspomnienie.

– Nie, nie.

– No to co? Poczujesz coś?

– Poczulem... Poczulem pustkę. Skojarzyła mi się ze śmiercią.

Achilios jako myśliwy miał do czynienia ze śmiercią na co dzień. Zabijał przecież zwierzęta, ale też co jakiś czas spotykał na swej drodze niedźwiedzie, drapieżne koty i dziki, które to w nim widziały ofiarę. A jednak tym razem mówił o śmierci inaczej, nadając jej o wiele bardziej złowieszcze znaczenie. Zamiast wzbudzić obawę przyjaciela, Achilios podsycił jedynie jego ciekawość.

– Jak to ze śmiercią? – prawie zachłannie zapytał młody uczoney. – Możesz to jakoś lepiej opisać? Czy to...

– To wszystko – uciął Achilios z miną nieprzeniknioną, podkreślając słowa gwałtownym gestem.

Wyraźnie coś ukrywał, ale Mendeln nie zamierzał naciskać. Być może uda mu się dowiedzieć coś więcej za jakiś czas, a na razie postanowił

skupić się na kamiennym znalezisku. Znalazł ułamaną gałąź i poruszył ziemię u podstawy artefaktu. Tajemniczy kamień wyglądał, jakby został wkopany w ziemię. Ale jak głęboko? Czy pod jej warstwą odkryłby coś więcej? Mendelna znów ogarnęła pokusa, by dotknąć czarnego kamienia, uchwycić oburącz, spróbować poruszyć. Byłoby o wiele lepiej, gdyby chłopak mógł zabrać artefakt na farmę i badać tę osobliwą rzecz w wolnym czasie.

Gwałtownie poderwał głowę. Farma! Uldyzjan!

Skoczył na równe nogi. Achilios, zwykle nieporuszony, tym razem aż drgnął. Odkrycie kamienia musiało go wyprowadzić z równowagi jak nic dotychczas. Wszyscy wiedzieli, że łucznik jest nieustraszony – teraz spoglądał na Mendelna, jakby szukając u niego otuchy, niewątpliwie po raz pierwszy.

– Muszę wracać – wyjaśnił młodzik. – Uldyzjan będzie mnie szukał.

Mendeln nie lubił rozczarowywać starszego brata, choć ten nigdy nie okazywał, że w ogóle żywi podobne uczucia. Jednak młodszemu z braci żyło ze świadomością brzemienia, jakie Uldyzjan wziął na swe barki, gdy choroba i śmierć zabrały im bliskich. Mendeln pozostawał dłużny bratu za to, ale i z wielu innych nie tak zasadniczych powodów.

– A co z tym? – burknął Achilios niezadowolony, machnąwszy ręką w stronę artefaktu. – Zostawimy to tak?

– Przykryjemy – odparł Mendeln po chwili namysłu. – Pomóż mi.

Zebrali trochę chrustu i gałęzi krzaków bujnych w liście. I choć szybko okryły czarny kamień, Mendelnowi wciąż się zdawało, że artefakt stoi obnażony. Przez chwilę młodzieniec rozważał, czy nie zasłonić kamienia szczelniej, jednak uznał, że to wystarczy. I tak zamierzał tu wrócić przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Gdy tylko znalazł się na ścieżce i skierował ku wsi, zauważył, że nieoczekiwanie i zarazem zaskakująco zmieniła się pogoda. Wcześniej niebo było czyste, teraz zasnuło się chmurami, które gromadziły się po zachodniej stronie, jakby szykowały się do potężnej burzy. Wiatr począł szarpać koronami drzew.

– Dziwne... – mruknął Achilios, który najwyraźniej po raz pierwszy zaobserwował tak gwałtowną zmianę.

– To prawda.

Dla Mendelna pogoda nie miała takiego znaczenia jak dla łuczника podczas polowań, myślał o niej najczęściej w kontekście czynionych pomiarów. Nieustannie też obserwował aurę z punktu widzenia mieszkańca farmy. I choć Uldyzjan, dla którego wiatr czy deszcz miały o tyle znaczenie, o ile wpływały na zbiory czy zwierzęta, wciąż kręcił głową, wzdychając nad młodszym bratem, to nie mógł zaprzeczyć, że od czasu do czasu Mendeln potrafił wymyślić coś, co ułatwiało pracę im obu.

Chmury gęstniały. Mendeln nie odezwał się już na ten temat ani słowem, ale gdy łucznik wyprzedził go na ścieżce, młodzieniec obejrzał się na kamień. Obejrzał... i zadumał.

\*\*\*

Uldyzjan również zauważył nietypową zmianę pogody, ale przypisał ją tym niewytłumaczalnym kaprysom natury, do których przyzwyczajają się prędzej czy później każdy farmer. Miał tylko nadzieję, że to przyspieszy powrót Mendelna skądkolwiek, gdzie zaciągnął młodego Achilios. Ale nawet gdyby chłopak się pospieszył, to i tak niewielkie mieli szanse na uniknięcie deszczu. Powstałe nieoczekiwanie kłębowisko chmur wyraźnie zapowiadało wyjątkowo potężną burzę. Uldyzjan miał jeszcze nadzieję, że minie trochę czasu, zanim nawałnica rozpęta się na dobre. Może

myśliwemu i młodszemu bratu udałoby się wtedy dotrzeć za położone nisko rozwidlenie, gdzie deszcz zalewał szlak.

Zaciskając ręce na wodzach, siedział na koźle i patrzył tam, gdzie wedle słów Serentii oddaliła się para przyjaciół. Zarówno Mendeln, jak i Achilios mieli chyba dość rozsądku, by wiedzieć, co oznaczają czarne chmurzyska, i zareagować jak należy... przynajmniej Achilios miał.

I kiedy Uldyzjan tak czekał, jego myśli popłynęły ku twarzy obramowanej złotymi splotami. Choć farmer widział ją zaledwie dwukrotnie i to przelotnie, wiedział, że prędko szlachcianki nie zapomni. I to nie tylko z powodu jej urody, która sama w sobie była warta zapamiętania, ale też z uwagi na sposób, w jaki się zachowywała i przemawiała. Było w niej coś takiego, że Uldyzjan instynktownie pragnął jej bronić jak nikogo innego, nawet własnego brata, choć przecież śmierć zabrała mu krewnych jednego po drugim.

Lylia. Powtarzała w myślach to imię, delektując się jego cudowną melodią.

Niebo zahuczało, przywracając Uldyzjana do rzeczywistości. Przypomniawszy sobie o młodszym bracie, farmer stanął na koźle, próbując w oddali wypatrzeć chłopaka. Tych dwóch powinno już być blisko Seram.

Złowił wzrokiem przebłysk zieleni – ale nie zieleni lasu, odcienia typowego dla stroju myśliwego. To była głęboka szmaragdowa zieleń, która sprawiła, że Uldyzjan, zwykle czujny nad podziw, zupełnie zapomniał o młodszym bracie i jego druhu.

Lylia powoli zmierzała na skraj lasu, z każdym krokiem oddalając się od bezpiecznej wioski. Z obojętnego wyrazu jej twarzy Uldyzjan wywnioskował, że pozostaje nieświadoma groźby czerniejącej na niebie. W tych stronach burze bywały tak potężne, że wyrwały drzewa z korzeniami.

Uldyzjan zabezpieczył wóz i ruszył za szlachcianką. I choć pobiegł za nią kierowany troską, przepełniała go radość. Nie łudził się, że ma szansę u kobiety takiej krwi, ale i tak serce waliło mu na samą myśl, że będzie mógł z nią porozmawiać.

Gdy ponownie znalazła się w zasięgu jego wzroku, wiatr się wzmógł. Wciąż zdawała się nie dostrzegać pogarszającej się pogody. Usta miała zaciśnięte, spojrzenie utkwione w ziemi.

I choć Uldyzjan szedł całkiem szybko, dogonił ją dopiero tuż przed linią drzew. Już miał wyciągnąć do niej potężną rękę, gdy uznał, że to nie najlepszy pomysł. Za nic nie chciałby wystraszyć dziewczyny. Cokolwiek zaprzętało jej myśli, musiało być sprawą niemałej wagi.

Z braku lepszego pomysłu Uldyzjan odchrząknął głośno.

Lydia poderwała głowę i obejrzała się przez ramię.

– Och, to ty!

– Wybacz, pani...

Uśmiechnęła się nieśmiało na te słowa.

– Mówiłam ci już. Mów mi Lydia. Do tego, kim byłam, wrócić już nie mogę. A jak mam ciebie zwać, szlachetny panie?

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że się nie przedstawił.

– Jestem Uldyzjan, syn Diomedesa. – Pomruk gromu przypomniał mu o okolicznościach, w jakich się znajdowali. – Moja... Lylio, nie powinnaś tu być. Nadciąga potężna burza, rozsądnie byłoby schronić się w zajeździe. To jeden z solidniejszych budynków w Seram.

– Burza? – spojrzała w niebo i najwyraźniej dopiero teraz zauważyła gęste, czarne chmury niemal zdolne zmienić dzień w noc.

– Nie zostało już wiele czasu! – ryzykując wzdrgliwą reprimendę, Uldyzjan ostrożnie pochwycił dziewczynę za nadgarstek.

Ale Lylia patrzyła w przeciwnym kierunku. Gwałtownie nabrała powietrza.

Uldyzjan podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, ale niczego nie zobaczył. A jednak szlachcianka stała nieruchoma, jakby to, co zobaczyła, zmieniło ją w kamień.

– Lylio... Lylio, co się stało?

– Myślałam, że tam... Myślałam... ale, nie...

Uldyzjan stał tuż obok niej, ale nie widział żadnych powodów do niepokoju – rzecz jasna, poza nadciągającą burzą.

– Gdzie? Co zobaczyłaś?

– Tam! – wskazała wyjątkowo gęstą kępę krzaków. – Chyba...

Kusiło go, bo zabrać ją do Seram i wrócić tu dopiero, gdy niebo się przejaśni, ale zareagowała tak gwałtownie, że zaczął się niepokoić, co takiego mogło kryć się w lesie. Nagle przypomniał sobie o Mendelnie. Mendelnie, którego nadal nigdzie nie dostrzegął.

– Zostań tu. – Ruszył, dobywając noża.

Poszycie lasu stawało się coraz gęściejsze, miejscami trawa sięgała Uldyzjanowi do pasa. Nie miał pojęcia, jakim cudem Lylia mogła tu cokolwiek zobaczyć, ale ufał, że nie wysłała go na próżno.

Gdy zbliżył się już do wskazanego przez nią miejsca, poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku i przedramionach. Ogarnął go niepokój tak silny, że niewiele brakowało, a Uldyzjan by zawrócił.

Słaby, a mimo to mdlący zapach, wionął mu w twarz. Przypomniał farmerowi o dniach plagi, o rodzinie...

Uldyzjan nie chciał robić już ani jednego kroku, ale mimo to szedł dalej.

To, co zobaczył, sprawiło, że opadł na jedno kolano, nagle pozbawiony sił. Z trudem udało mu się zatrzymać ostatni posiłek w żołądku. Nóż

wyślizgnął mu się ze zmartwiałych palców. W obliczu straszliwego odkrycia Uldyzjan całkowicie zapomniał o broni.

Szczątki mężczyzny – co Uldyzjan wywnioskował po ich rozmiarach – leżały rozciągnięte na ziemi, pod drzewami. Tors został wprawnie rozplątany w podobny sposób, w jaki Uldyzjan rozbierał krowie tusze. Wszystko wkoło przesiąknięte było krwią, która zmieniła ziemię w karmazynowe błoto. Z rozciętego żołądka nieszczęśnika częściowo wylała się zawartość, a roje much obsiadły cuchnącą zdobycz.

Jakby rozplątanie biedaka było nie dość potworne, ktoś rozciął mu jeszcze gardło. Ziejąca rana pomieściłaby męską pięść. Twarz zmarłego pokrywały opadłe liście, krew i kurz, tworząc dziwną maskę. Uldyzjan przyjrzał jej się naprawdę uważnie, by w końcu stwierdzić, że nie ma pojęcia, kim jest nieboszczyk. Z pewnością jednak zmarły miał czarne włosy.

Ale już z pozostałości szat farmer zdołał wywnioskować o wiele więcej – nawet odgadnąć tożsamość nieszczęśnika. Wystarczyło spojrzeć na kolor ubioru tam, gdzie nie plamiła go krew. A symbol zakonu nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Uldyzjan znalazł brata Caligio, zaginionego akolitę Trójcy.

Odwrócił się na dźwięk gwałtownie nabieranego powietrza. Lylia z przerażeniem wpatrywała się w krwawy koszmar.

Nagle pobladła. Oczy uciekły jej w głąb czaszki, a nogi się ugięły. Uldyzjan poderwał się i złapał dziewczynę, nim uderzyła o ziemię. Przez chwilę stał tak, trzymając bezwładne ciało w objęciach, niepewny, co właściwie powinien uczynić. Komuś trzeba powiedzieć o tym morderstwie, na przykład kapitanowi Tiberiusowi, dowódcy Straży. Albo wójtowi Doriusowi.

Kobieta w jego ramionach jęknęła cicho. I Uldyzjan zdecydował, że najpierw zapewni jej opiekę.

Jej wiotkie ciało nie stanowiło dla potężnego Uldyzjana żadnego obciążenia. Szedł bez wysiłku, najszybciej jak mógł, nie narażając jednak swego cennego ciężaru. Nieustannie spoglądał pod nogi w obawie, że jeden nieostrożny krok pošle ich oboje na ziemię.

Gdy znaleźli się przy granicy wioski, westchnął z ulgą. Od czasu do czasu wśród chmur przetaczał się głośny grzmot, ale burza wciąż jeszcze się nie zaczęła.

– Uldyzjanie!

Potknął się na dźwięk swego imienia, niemalże upuszczając Lylię. Dopiero gdy odzyskał równowagę, odwrócił się w stronę, skąd dobiegło wołanie. Na widok Mendelna i Achiliosa kamień spadł mu z serca. Najwyraźniej dopiero teraz wrócili. Oddech Mendelna był lekko przyspieszony, a na poblądłej twarzy Achiliosa malowały się te same emocje co u Uldyzjana, tak przynajmniej farmerowi się wydawało. Lecz przecież łucznik nie mógł wiedzieć o makabrycznym odkryciu.

– W lesie leży ciało! Tam za mną, w gęstwinie przy pierwszych drzewach! – oznajmił Uldyzjan, gdy tylko tamci dwaj podeszli bliżej.

– Wypadek? – Achilios spojrział znacząco na kobietę w ramionach farmera.

– Nie...

Myśliwy ponuro skinął głową, bez słowa wyciągnął strzałę z kołczana, po czym z łukiem w gotowości ruszył we wskazanym przez Uldyzjana kierunku.

– A co z nią? – zapytał Mendeln. – Kim ona jest? Ranna?

– Zemdlała. – Uldyzjan był poważnie zaniepokojony. Miał nadzieję, że Lylię się ocknie, ale szlachcianka pozostawała bezwładna. – Też widziała



ciało.

– Czy nie trzeba zabrać jej do Jorilii?

Jorilia była uzdrowicielką, posuniętą już w latach, wedle niektórych w połowie wiedźmą. Cieszyła się jednak powszechnym szacunkiem z powodu swych umiejętności. To ona dała braciom miksturę, która przyniosła ich krewnym ulgę w agonii. Dla Uldyzjana i Mendelna znaczyło to więcej niż wszystkie modlitwy razem wzięte.

– Musi tylko odpocząć. – Uldyzjan pokręcił głową. – Pewnie ma pokój Pod Łbem Dzika. Ale nie możemy jej tak po prostu wnieść przez frontowe drzwi...

– Wejść od tyłu drzwiami przy schodach do pokoi na górze – powiedział Mendeln ze spokojem, jakiego większość ludzi nie okazałaby w takiej sytuacji. – Ja pójdę do Tibiona i po cichu wypytam, który to jej pokój.

– Tak zrobimy – Uldyzjan odetchnął z ulgą.

Mendeln przyjrzał się bacznie bratu. Czy wyczytał w jego twarzy więcej, niż Uldyzjan by sobie życzył? Dla młodszego z braci Lylią była nieznajomą, dla starszego chyba wręcz przeciwnie.

Uldyzjan nie chciał wdawać się w tłumaczenia, więc pospiesznie ruszył do karczmy. Mendeln dogonił go chwilę później. Szli w milczeniu.

Nadciągająca burza zagoniła wszystkich pod dachy i po drodze nie spotkali nikogo. Ten fakt zarazem ucieszył i zirytował Uldyzjana, który pragnął jak najszybciej zapewnić bezpieczeństwo Lylii, ale chciał też poinformować kogo trzeba o odrażającym zabójstwie akolity. W końcu doszedł do wniosku, że Achilios z pewnością zawiadomi strażników lub wójta, więc nie warto się kłopotać.



Uldyzjan rozstał się z Mendelnem w pobliżu karczmy i przemknął do tylnego wyjścia. Musiał się nieco natrudzić, ale udało mu się wnieść szlachciankę do środka, nie wypuszczając jej z objęć. A potem bezzwłocznie skierował się ku drewnianym stopniom. Na szczęście właśnie wtedy wszystkie oczy wbiły się we wchodzącego Mendelna, który powitał nielicznych gości nieco głośniej niż zwykle. Wówczas Uldyzjan błyskawicznie wspiął się na schody.

Zatrzymał się u ich szczytu. Oczekiwanie na brata ciągnęło się przez wieczność, jak mu się zdawało.

– Nie miała tu pokoju – wyjaśnił Mendeln. – Wynająłem jej więc na nasz koszt. Dobrze zrobiłem?

Uldyzjan kiwnął twierdząco głową. Popatrzył na pięć par drzwi.

– Które?

– Ten pokój jest bardziej na uboczu – Mendeln wskazał drzwi na końcu korytarza.

Uldyzjan ponownie skinął głową w wyrazie ponurej aprobaty i poczekał, aż Mendeln mu otworzy. Wnętrze było raczej surowe. Łóżko na drewnianej ramie oraz stojące pod oknem stolik z krzesłem stanowiły całe umeblowanie. Podróżny mógł też zawiesić płaszcz czy bagaż na wbitych w ścianę kołkach. Spojrzenie Mendelna prześlizgnęło się po nich.

– Zapewne ma swoje rzeczy w którymś z wozów karawany – stwierdził.

– Mam iść do Serentii i się tym zająć?

Uldyzjan wzdragał się przed angażowaniem córki Cyrusa, ale nie widział innej możliwości.

– Idź.

Mendeln zatrzymał się w progu.

– Skąd znasz tę kobietę? – spojrzał bratu badawczo w oczy.

– Spotkaliśmy się przez przypadek – odparł Uldyzjan wymijająco.

Mendeln stał jeszcze chwilę, po czym skinął głową i wyszedł.

Uldyzjan ostrożnie złożył kobietę na łóżku i skorzystał z okazji, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Po raz kolejny uderzyła go doskonałość rysów Lylii. Zastanawiał się, co zmusiło ją do takiej samotnej podróży. Z pewnością mogłaby dobrze wyjść za mąż za jakiegoś zamożnego szlachcica. Może była spokrewniona z którymś z przegranych klanów? To by mogło wyjaśniać...

Gdy się nad tym zastanawiał, kobieta otworzyła oczy. Usiadła raptownie, niemal zachłystując się powietrzem.

– Co... co się stało?

– Pamiętasz las?

Znów gwałtownie nabrała powietrza, unosząc zarazem dłoń do ust.

– To... to było naprawdę? To... co widziałam?

Uldyzjan skinął głową.

– A ty... mnie tu przyniosłeś... to znaczy, gdzie?

– Do zajazdu Pod Łbem Dzika, jedyne, jaki jest w Seram, pa... Lylio. Uznaliśmy, że zapewne tu się zatrzymałaś.

– Ale ja nie...

– Mój brat już się tym zajął – Uldyzjan wzruszył ramionami. – Przynieśliśmy cię tutaj, a teraz Mendeln poszedł do karawany po twoje rzeczy.

Patrzyła mu prosto w oczy, długo i intensywnie.

– Mendeln i twój brat to jedna i ta sama osoba, jak mniemam?

– Tak.

Skinęła głową, jakby do siebie.

– A... ciało?

– Przyjaciel się tym zajął. Bez wątpienia zrobi, co trzeba. Zawiadomi straż i naszego wójta.

Lylia podciągnęła kolana pod brodę i objęła ramionami. Zupełnie jej nie martwiło, że gniecie elegancką szatę.

– Czy ten... człowiek, którego znaleźliśmy, też był twoim przyjacielem?

– On? – Uldyzjan pokręcił przecząco głową. – Przeklęty misjonarz ze Świątyni Trójcy. Jego towarzysze wcześniej go szukali. – Zastanowił się. – Przyjechali z karawaną. Czy ty...?

– Widziałam ich, tak, ale nie rozmawialiśmy. Nie ufam zbytnio ich naukom... naukom Katedry też nie, skoro już o tym mówimy.

To oświadczenie, tak bliskie poglądom Uldyzjana, ucieszyło go niewymownie. Zaraz jednak spoważniał. Nawet przedstawiciel pogardzanej przez farmera profesji nie zasłużył na taką śmierć.

Wspomniawszy koszmarny zgon kleryka, Uldyzjan uzmysłowił sobie, że powinien pójść i zorientować się w sytuacji. Jako że on znalazł ciało, miał teraz obowiązek przekazać władzom wszystko, co wiedział na ten temat. Zmarszczył brwi, spoglądając na Lylię. Postanowił, że nie wspomni o niej, jeśli nie będzie takiej potrzeby, dość już przecież przeszła.

– Chcę, żebyś tu została – polecił, sam zaskoczony, że potrafi w ten sposób mówić do kobiety tak wysokiego rodu. – Zostań i odpocznij. Zobaczę się z tymi, którzy zajmą się ciałem. Nie musisz iść ze mną.

– Ale chyba powinnam... czy nie?

– Tylko jeśli zajdzie taka konieczność. W końcu widziałaś tyle co i ja. I też go nie znałaś.

Nie odezwała się, ale Uldyzjan był pewien, że szlachcianka wie, z jakim ryzykiem dla jego reputacji wiąże się to postępowanie. Mógł wiele stracić przez to, że chciał ochraniać dziewczynę.

Lylia ponownie położyła się na łóżku.

– Dobrze zatem. Skoro tak sobie życzysz. Poczekam, póki nie dostanę wieści od ciebie.

– Tak będzie najlepiej. – Odwrócił się ku wyjściu i od razu począł układać w myślach wyjaśnienie.

– Uldyzjanie?

Odwrócił się.

– Dziękuję – powiedziała.

Farmer się zarumienił. Zszedł po schodach wyjątkowo cicho jak na kogoś jego postury. Na dole zajrzał do izby karczemnej, ale wszyscy zachowywali się jak zwykle, a to znaczyło, że wieści o zwłokach jeszcze do nich nie dotarły. Achiliosowi należały się podziękowania za dyskrecję. Mieszkańcy Seram i tak będą wstrząśnięci. Poprzednie morderstwo miało tu miejsce przed czterema laty i było wynikiem pijackiej kłótni o prawa do zagrody między starym Aroniusem a jego pasierbem Gemmelem. Ten drugi kłótni nie przeżył. Gdy Aronius wytrzeźwiał, przyznał się do winy i wywieziono go do miasta, by zapłacił na swe uczynki.

Ale rzeźnia wśród drzew nie mogła być skutkiem nadużycia gorzałki – wyglądała raczej na robotę szaleńca albo bestii. Z pewnością kogoś obcego, bandyty, który przypadkiem znalazł się w tych okolicach.

Z każdym krokiem bardziej przekonany o słuszności swoich domysłów, Uldyzjan obiecał sobie, że przedstawi je wójtowi albo dowódcy straży. Na pewno zgłoszą się mężczyźni chętni, by szukać tego bydlaka. I tym razem morderca zapłaci za swoje czyny na miejscu. Solidny sznur wszystko załatwi. Zresztą na nic więcej ktoś taki nie zasługuje.

Otworzył tylne drzwi, wymknął się na zewnątrz i...

– O, tam! To ten człowiek, o którym mówiłem!

Uldyzjan cofnął się zaskoczony. Przed nim stał Tiberius, potężny mężczyzna, z którym to farmer siłował się podczas festynów i zwykle przegrywał, a obok siwowłosa, przebiegły Dorius, wpatrujący się w Uldyzjana, jakby pierwszy raz widział go na oczy. Za tymi dwoma tłoczyło

się więcej niż tuzin innych mężczyzn, głównie strażników, ale wśród nich był i Achilios, i dwóch akolitów ze Świątyni. Starszy wskazywał teraz oskarżycielsko na zdumionego farmera.

– Powiedziałeś im wszystko? – Uldyzjan otrząsnął się nieco i spojrzał na myśliwego.

– Nie wolno ci z nim rozmawiać, łuczniku – wtrącił natychmiast Dorius.

– Nie teraz. Nie, póki nie poznamy wszystkich faktów.

– Znamy już wszystkie fakty! – oświadczył misjonarz, a w jego głosie ani gestach nie było nic pobożnego ani pokojowego. Towarzyszka akolity przytakiwała gorliwie każdemu słowu. – Ty jesteś odpowiedzialny! Twoje własne słowa cię naznaczyły! Przyznaj się, uratuj swą duszę!

Uldyzjan starał się z całych sił, by odraza, jaką żywił do akolity i jemu podobnych, nie przeważała nad rozsądkiem. Jeśli dobrze rozumiał, ten człowiek oskarżał go właśnie o to, przed czym farmer chciał ostrzec.

– Ja? Myślisz, że ja to zrobiłem? Na gwiazdy, powinienem chwycić cię i...

– Uldyzjanie... – mruknął zaniepokojony Achilios.

Farmer odzyskał panowanie nad sobą.

– Achiliosie! Przecież to ja ci powiedziałem, gdzie szukać ciała! Widziałeś, jak wyglądałem i... – zamilkł, nie chcąc wspominać o Lylii – ... i znasz mnie! Doriusie! Byłeś przyjacielem mojego ojca! Przysięgam na jego grób, nie ja jestem tym potworem, który zgładził w tak okropny sposób towarzysza tego głupca wymachującego paluchem!

Mówiłby dalej, ale wójt uciszył go gestem.

– Nie o nim teraz mowa, Uldyzjanie, lecz o tym drugim... acz może trzeba nam będzie wrócić rychło do tego tematu, bo jakoś mi się to wszystko nie widzi.

– Drugim? Jakim drugim?

Kapitan Tiberius pstryknął palcami i pół tuzina mężczyzn, których Uldyzjan znał od dziecka, ruszyło go otoczyć.

– Doriusie, to konieczne? – próbował protestować Achilios. – Toż to Uldyzjan.

– Szanuję twoje słowo, młody łowco, ale taki jest obowiązek. Nie wątpię, że wszystko się wyjaśni, Uldyzjanie. Ale pozwól nam czynić to, czego wymaga sytuacja – zwrócił się wójt do farmera.

– Ale... za co?

– Za to, żeś może zamordował człowieka – warknął Tiberius, położywszy dłoń na rękojeści miecza. Od kiedy Uldyzjan znał kapitana, widywał go z bronią tylko z okazji festynów i innych specjalnych okazji.

I gdy zginął Gemmel.

– Ale mówię wam, że to nie ja zabiłem towarzysza tego tu klechy! – ryknął Uldyzjan.

– To nie o nim mowa – powtórzył Dorius. – Zaś o tym, który pełnił podobną posługę. Kapłana z Katedry Światłości, który został znaleziony bez ducha...

– Ten... – Uldyzjan miał mętlik w głowie. Ale przecież dopiero co z nim rozmawiałem! Mniej niż godzinę temu! – myślał.

Rozmawiał... i groził akolicie w obecności licznych świadków...

– O, widzę, że coś sobie przypominasz. Tak, młody Uldyzjanie, świątobliwy wysłannik Katedry Światłości został znaleziony z rozplatanym gardłem... A z rany wystawał twój nóż!

# TRZY



Uldyzjan nigdy nie zastanawiał się, jak może wyglądać wnętrze budynku Straży. Przechodził obok wielokrotnie, ale nie miał powodów, by wchodzić do środka.

A teraz tkwił w jednym z dwóch zakratowanych pomieszczeń na tyłach. Chcąc do nich dotrzeć, należało przejść przez wewnętrzne drzwi i krótki korytarz. Uldyzjan siedział w pierwszej celi i czuł się całkowicie odcięty od świata. Stara, drewniana ława służyła mu za krzesło, stół i łóżko. Spędził tu już cztery dni – przez cały ten czas farma pozostawała bez jego opieki. Rośliny wymagały pielienia i podlewania, a zwierzęta doglądania. Mendeln obiecał wprawdzie wszystkiego dopilnować, ale Uldyzjan obawiał się, że młodzik nie poradzi sobie w pojedynkę, szczególnie gdy będzie zamartwiał się o starszego brata. Nadto, choć wcześniejsza burza przeszła dość szybko, nie czyniąc większej szkody, chmury nadal wisały nad Seram i Uldyzjan niepokoił się, że to zapowiedź kolejnej, tym razem o wiele potężniejszej nawałnicy. Farma wyszła obronna ręką z pierwszej potyczki z pogodą, ale w drugiej może zostać niemal zmieciona.

Uldyzjan wiedział, że to akurat nie powinno go martwić. Cała ta sprawa z morderstwami przybrała obrót o wiele gorszy niż farmer mógłby przypuszczać. Jako że życie straciło dwóch kapłanów wiodących religii, Dorius poczuł się w obowiązku, żeby wysłać wiadomość do Tulisam, gdzie znajdowały się główne siedziby zarówno Katedry, jak i Świątyni. Wieści



zawieźli pozostali misjonarze, zapewne chcąc osobiście zdać relację z wydarzeń swym przełożonym. Jakby tego było mało, wójt, choć zapewniał Uldyzjana, że wszystko się jakoś ułoży, nalegał przy tym, by kapitan Tiberius trzymał farmera pod kluczem, w przeciwnym razie ktoś mógłby wytknąć, że w Seram nie postępowano sprawiedliwie.

Sam Uldyzjan nie miał najmniejszego pojęcia, co przytrafiło się drugiemu z kapłanów. Zgodnie z tym, co mu później opowiedział kapitan Straży, wysłannik Katedry leżał na plecach, twarz wykrzywiał mu grymas „absolutnego” – jak to określił Tiberius – przerażenia, a z szyi sterczała drewniana rękojeść noża, na której Uldyzjan wybił swój znak.

W porównaniu ze zwłokami, które znalazł farmer, to ciało nie zostało wiele naruszone. Co oczywiście w żaden sposób nie umniejszało okropieństwa zbrodni. W Seram nie wydarzyła się podobna tragedia od czasu plagi, kiedy to Uldyzjan stracił swoich bliskich.

Serentia codziennie przychodziła z wizytą, przynosząc słowa pociechy od tych, którzy przyjść nie mogli. Ze słów dziewczyny wynikało niezbitie, że ci, którzy znali Uldyzjana, byli przekonani o jego niewinności. Achilios zdążył nawet podbić oko temu, który ośmielił się wyrazić inne zdanie.

Jednak gdy Uldyzjan tak siedział z głową wspartą na dłoniach, nie myślał o sobie, lecz o Lylii. Nie przyszła go odwiedzić w więzieniu ani razu – ale też tego nie oczekiwał. Wręcz przeciwnie, miał nadzieję, że będzie trzymała się z daleka, a zarazem nie zostanie wciągnięta w całe to szaleństwo. Już niedługo, powtarzał sobie, już niedługo zostanie uwolniony i wtedy będą mogli spotkać się ponownie.

O ile została w Seram...

Myśl, że mógłby już więcej nie zobaczyć Lylii, wzmogła jeszcze niepokój Uldyzjana. Całe życie farmera zmieniło się w jakiś koszmar. Uświadomił sobie, że nie czuł się tak nawet wtedy, gdy umierali jego bliscy,

a wspomnienie tamtej tragedii zwiększyło jeszcze ciężar przygniatający mu pierś.

Nie po raz pierwszy zdało się Uldyzjanowi, że ściany niewielkiej izdebki za chwilę go zgniotą. Urodził się przecież i wychował na farmie. Przez całe życie nie zaznał niczego innego jak wolności. Kiedy skoła jego matka, wybiegł na pole, by wykrzyczeć swój żal.

Muszę się stąd wydostać... muszę się stąd wydostać... – powtarzał w myślach nieustannie, a słowa nabierały znaczenia z każdym powtórzeniem. Wbijał mętny wzrok w drzwi celi. Nie mógł pogodzić się z istnieniem krat. To zwierzęta były zamykane w kojcach, a nie on. Nie...

Zabrzmiał cichy jęk, potem jakby kliknięcie.

Drzwi celi utworzyły się przy wtórze metalicznego zgrzytu.

Uldyzjan cofnął się gwałtownie i przywarł plecami do przeciwległej ściany. Zdumiony patrzył, jak drzwi otwierają się szeroko. Wyjście z celi stało przed Uldyzjanem otworem, on jednak ani drgnął. Nie miał pojęcia, co właśnie się wydarzyło, i mimo żarliwego pragnienia, by znaleźć się poza murami aresztu, nie kusiło go ani trochę, by przejść przez wejście otwarte w tak niespodziewany sposób.

Zanim zdołał podjąć jakąkolwiek decyzję, skrzypnęły drzwi prowadzące do pozostałej części budynku i z korytarza wyłonił się Tiberius w towarzystwie dwóch strażników. Gdy zobaczył otwartą na oścież celę Uldyzjana, zatrzymał się jak wryty.

– Co u...!

Otrząsnął się z zaskoczenia, strzelił palcami i dwaj strażnicy przyskoczyli, by powstrzymać Uldyzjana przed jakimkolwiek działaniem. Tymczasem Tiberius zbadał dokładnie drzwi.

– Żadnych rys, żadnych uszkodzeń. – Rzucił farmerowi gniewne spojrzenie. – Przeszukać go, sprawdzić, czy gdzieś tam nie chowa czegoś,

co by mogło robić za klucz.

Strażnicy posłusznie wypełnili rozkaz, ale niczego nie znaleźli.

Tiberius podszedł do więźnia i gestem nakazał strażnikom odstąpić na bok.

– Nie podoba mi się, że muszę cię tu trzymać, tak jak tobie, że tu musisz siedzieć – szepnął, pochyliwszy się do Uldyzjana. – Możesz mi nie wierzyć, przyjacielu, ale według mnie tak samo jesteś winny temu, co spotkało tamtych dwóch, jak, nie przymierzając, ja.

– No to dlaczego...

– Może to tylko wioska, ale ja zawiaduję tu strażą, jak byśmy byli w samym Kedzanie. Mój ojciec służył tam przez trzy lata, a potem był dowódca tutaj, w Seram! Nie zhańbię jego pamięci niedopełnieniem obowiązków! Będziemy postępować zgodnie z prawem, nawet jeśli się nam to nie podoba.

Choć Uldyzjan niewątpliwie szanował Tiberiusa i rozumiał taką postawę, niewielką mu to jednak przynosiło ulgę.

– Chcę, żeby to się już skończyło! Niczego nie zrobiłem!

– I zostanie to dowiedzione. Zobaczysz – rzekł Tiberius, po czym wskazał drzwi. – Ale to tylko pogorszy sprawę...

– Ja tego nie zrobiłem! Same się otworzyły!

– Spodziewałem się po tobie czegoś więcej. – Tiberius sprawiał wrażenie rozczarowanego. – Z drzwiami wszystko jest w porządku, sprawdziłem.

– Przysięgam na grób mego ojca!

Marszcząc brwi coraz bardziej, kapitan mruknął coś niezrozumiałe i wyszedł z celi. Strażnicy ruszyli tuż za nim. Jeden z nich zamknął drzwi i upewnił się, że wszystko jest jak należy.

– Zamknięte na głucho! – zameldował.

Tiberius i tak sprawdził osobiście, uchwyciwszy drzwi oburącz, szarpnął je z całej siły. Krata zadygotała, ale pozostała zamknięta.

– Nie rób tego więcej – napomniął farmera, opierając się o metalowe pręty. – Bo będę zmuszony wydać rozkaz, którego bym wydawać nie chciał. Bądź cierpliwy, Uldyzjanie.

Więzień, przepełniony niepokojem, a zarazem bezbrzeżnie zdumiony, mógł jedynie skinąć głową. Usatysfakcjonowany kapitan odprawił strażników.

Kilka chwil później żołnierz wrócił, niosąc miskę gulaszu. Raz jeszcze sprawdził drzwi, a potem skinął głową i podał Uldyzjanowi jedzenie.

Farmer jadł i zastanawiał się po raz nie wiadomo który, dlaczego to wszystko trwa tak długo. Przecież był bezsprzecznie niewinny. Nie mógł też zrozumieć, jakim cudem prawdziwy zabójca przemieszczał się z taką prędkością. Od odkrycia pierwszego zmasakrowanego ciała do zabójstwa drugiego misjonarza upłynęło naprawdę niewiele czasu. Po znalezieniu noża Uldyzjana złoczyńca musiał niemalże pofrunąć do swej drugiej ofiary. Farmer bez wahania uniewinnił Achiliosa. Myśliwy był nie tylko zbyt dobrym człowiekiem, prawdziwym przyjacielem, ale też w krytycznym momencie przebywał w towarzystwie Mendelna...

W takim razie... kto?

W korytarzu prowadzącym do cel rozległo się echo kroków. Kroków lekkich, o wiele delikatniejszych od łomotu buciorów Tiberiusa i jego ludzi. Uldyzjan podniósł głowę i... zamarł na widok Lylii.

– Musiałam cię zobaczyć – mruknęła cicho z nieśmiałym uśmiechem. Najwyraźniej obawiała się, że rozgniewa Uldyzjana z powodu nie stosowania się do jego polecenia.

Lecz farmer nie był w stanie jej skarcić. Czekala już wystarczająco długo. Był jej wdzięczny, że nie opuściła Seram i nie zostawiła go

własnemu losowi.

A jednak powitał ją upomnieniem:

– Nie powinnaś tu przychodzić.

– Nie mogłam dłużej siedzieć w pokoju! To, co się dzieje, jest złe! I znowu mnie to spotyka!

– Co masz na myśli?

Zbliżyła się do krat. Uldyzjan odstawił miskę i postąpił ku metalowym prętom. Miał przemożną potrzebę zamknąć Lylię w ramionach, zgnieść w uścisku, który przyniósłby jej pocieszenie. Miał wrażenie, że to ona jest w niebezpieczeństwie, nie on.

– Okazałeś uprzejmość obcej osobie... – szepnęła, sięgając ku niemu przez kraty. – ...Która nie miała dokąd pójść. Wiesz dlaczego? – spuściła wzrok. – Z powodu gry, jaką prowadzi Katedra ze Świątynią.

– Czego?!

Podniosła wzrok. Uldyzjan chciał zatonać w tych cudownych oczach bez reszty.

– Gry. Dla nich to tylko gra, a zwycięży ten, który przetrwa. Kapłani nie pozwolą, by ktoś lub coś stanęło im na drodze, i tylko jedno ich łączy – nienawiść do heretyków.

– Co... co masz na myśli, Lylio? – Uldyzjanowi nie bardzo się podobał kierunek, w jakim najwyraźniej zmierzała ta rozmowa.

Lylija spojrzała szybko w stronę drzwi prowadzących do pozostałej części budynku.

– Byłam świadkiem podobnych wydarzeń – odpowiedziała szeptem. – To się przytrafiło mojej rodzinie. Mieliśmy wpływy i bogactwa, które zarówno Świątynia, jak i Katedra pragnęły pozyskać dla siebie. Ale odrzuciliśmy jednych i drugich publicznie... i cały mój świat legł w gruzach. Sprawy przybrały fatalny obrót, doszło do spalenia pomniejszej świątyni. Wielu

wiernych ucierpiało podczas tego pożaru. Ogień rozprzestrzenił się na pobliskie budynki. A po tym jeszcze znalazły się dowody, że za tę tragedię odpowiadał człowiek i że moja rodzina miała z tym jakiś związek!

Uldyzjan patrzył na nią z ustami rozchylonymi ze zdumienia.

– To same kłamstwa! – dodała pośpiesznie. Najwyraźniej nie dopuściła do siebie myśli, że Uldyzjan może po prostu być wstrząśnięty; uznała, że uwierzył w winę jej bliskich. Jednak mężczyzna nawet przez moment nie podejrzewał Lylii o taką potworność.

– Wierzę ci – zapewnił ją szybko. – Wierzę. Mów dalej.

– Moja rodzina ich odrzuciła, ale byli inni, potężniejsi i bogatsi, którzy opowiedzieli się po jednej czy po drugiej stronie. I tak, choć nie było dowodów na poparcie oskarżeń, straciliśmy wszystko. Matkę i ojca gdzieś zawleczono i już ich nie zobaczyłam! Brata wtrącono do lochu! Siostrę wydano za jednego z najważniejszych popleczników Katedry! Podobny los czekał i mnie, ale zebrałam tyle pieniędzy, ile zdołałam, i uciekłam z miasta...

– I trafiłaś do Seram?

– Nie od razu... a już na pewno nie w towarzystwie sług tego samego zła, przed którym uciekałam. – Przygryzła wargę. – Tak wiele ci zdradziłam... i teraz boję się, bo mógłbyś pomyśleć, że to ja, ja jestem odpowiedzialna za to, co spotkało tamtych dwóch.

– To niemożliwe! – Uldyzjan natychmiast pokręcił głową. – Tego dopuścił się ktoś znacznie silniejszy i o wiele straszniejszy niż ty! Już więcej sensu mają podejrzenia kierowane w moją stronę! – przerwał, bo przyszła mu do głowy myśl wyjątkowo ponura. – Ale nikomu innemu o tym nie opowiadaj! Jeszcze ktoś mógłby uznać, że zabiłem z twego polecenia!

Gwałtownie zasłoniła usta dłonią.

– Nie pomyślałam...

– Nieważne. Najlepiej będzie, jak już pójdziesz i nie wrócisz. Wszystko się dobrze skończy...

– Nie skończy! Słyszałam w zajeździe. Inkwizytorzy Katedry Światłości mają przybyć jutro, a ktoś wspomniał, że zjawią się też Strażnicy Pokoju ze Świątyni! Znowu mi się to przytrafia!

Te słowa nim wstrząsnęły. Nikt mu nie wspomniał o Inkwizytorach czy Strażnikach Pokoju. Ramię sprawiedliwości każdej z religii działało zarazem jako sędziowie i straż. Zgadza się, ofiarami zbrodni byli wysłannicy obu kultów, ale jeśli chodziło o Uldyzjana, to ani Inkwizytorzy, ani Strażnicy nie byli potrzebni.

Farmer stał chwilę, próbując zebrać myśli.

– Popełniliśmy błąd, pozwalając im działać, zanim sami coś uczyniliśmy, Uldyzjanie – Lylia przerwała milczenie. – Nie dopuść do tego! Tak poprzekręcają fakty, że nawet jeśliś niewinny, wszyscy uwierzą, że jest odwrotnie! Musisz się im przeciwstawić! Przemów pewnie i z pogardą, jak należy! Twoi przyjaciele cię poprą, wiem to! Ani Katedra, ani Świątynia nie zdołają wykorzystać przeciwko tobie nienawiści!

– Ja... – Nie do końca zgadzał się z jej opinią, ale wszelkie argumenty przepadły gdzieś w głębinach tych cudownych oczu i Uldyzjan doszedł do wniosku, że Lylia ma rację. Zamierzał wykorzystać bolesną lekcję, jaką otrzymała jej rodzina, by uratować siebie... i Lylię.

– Musisz to zrobić... – szepnęła. – Błagam... dla twego dobra.

I bez ostrzeżenia przysunęła twarzą do krat i pocałowała Uldyzjana. I gdy farmer stał zdumiony niczym zaklęty w kamień, Lylia ze szkarłatnym rumieńcem na policzkach uciekła korytarzem.

Uldyzjan patrzył za nią, mrugnął raz i drugi, nim dotarło do niego, że patrzy na drzwi.

Tak jak wcześniej strażnik i on teraz sprawdził, czy są zamknięte. Zamek trzymał jak należy.

Uldyzjan wrócił do rozmyślań. Lylią miała całkowitą rację. Musiał się bronić. Inkwizytorzy, Strażnicy Pokoju – jeśli rzeczywiście dotrą do Seram – będą szukać winnych.

A on już się postara, by odeszli stąd z niczym.

Serentia cofnęła się nieco na widok wychodzącej z budynku Lylii. Nie miała ku temu powodów innych niż, jak sobie uświadomiła, zazdrość, bowiem w nedorzecznie krótkim czasie Uldyzjan zakochał się w jasnowłosej. Obcej udało się samym pojawieniem się osiągnąć to, o czym Serentia marzyła od lat. Już jako dziecko była zafascynowana niezłomnością Uldyzjana, jego wewnętrzną siłą, szczególnie zaś tym, jak poradził sobie z tragiczną śmiercią najbliższych.

Lylią oddaliła się w kierunku zajazdu, a Serentia, odczekawszy kilka chwil, wyszła zza rogu kuźni... i zderzyła się z Achiliosem.

– Serri! – wykrzyknął, z trudem zachowując równowagę. – Gdzie ty...

– Przepraszam! – Serentia oblała się rumieńcem.

Tyle czasu, ile strawiła na uganianiu się za Uldyzjanem, Achilios stracił, biegając za nią. Nie mogła powiedzieć, że jej to nie pochlebiało. Myśliwy był przystojny, cieszył się powszechnym szacunkiem, a i kobietę traktował jak należy. Rozsądek podpowiadał, że Serentia powinna przyjąć starania łucznika, ale choć lubiła jego towarzystwo, nie umiała się wyrzec swojego marzenia o pozyskaniu wzajemności Uldyzjana.

Oczywiście zanim w Seram pojawiła się Lylią.

– Szukałem Mendelna – wykrztusił wreszcie Achilios, a jego policzki poczerwieniały nieco. – Ale to o wiele szczęśliwszy wypadek.

Ta radość w jego głosie zupełnie nie pasowała do sytuacji – Uldyzjan siedział przecież w więzieniu za bestialskie uczynki, których nigdy by nie



popęłnił. Achilios musiał jakoś dostrzec irytację Serentii, bo szybko spoważniał.

– Wybacz! Nie chciałem, by zabrzmiało to lekko! Szłaś zobaczyć się z Uldyzjanem?

– Tak... ale nie chciałam mu przeszkadzać. Miał innego gościa.

– O... – Łucznik uniósł brew. – Nadobna Lylia...

To określenie padające z ust Achiliosa pogorszyło jeszcze nastrój Serentii. Owszem, szlachcianka była piękna, ale przecież Serentia wiedziała, że i ona potrafi wzbudzić zainteresowanie mężczyzny... tylko nie tego, na którym jej zależało.

– Właśnie wyszła. Chyba wróciła do zajazdu.

Achilios potarł podbródek.

– Ciekawe, jak powiodła się jej rozmowa z Uldyzjanem. Chciał, by trzymała się z dala i nie została w to wszystko wmieszana.

Przez chwilę zaledwie Serentia miała nadzieję, że ta wizyta rozgniewała Uldyzjana, ale zaraz zrozumiała, że to nadzieja bezpodstawna. Jak każdy mężczyzna i Uldyzjan wybaczy wszystko kobiecie, gdy ta tylko podniesie na niego oczy i uśmiechnie się czulej.

– Nie widziałam Mendelna – powiedziała, bo przypomniało jej się wcześniejsze pytanie Uldyzjana. – Nie widziałam go już od dwóch dni. Czy w ogóle odwiedził brata?

– Ostatnio trzy dni temu, z rana, przynajmniej tyle wiem. – Łucznik wyglądał teraz na zaniepokojonego. – A kiedy pojechałem na farmę, zastałem tam młodego Justivio, drugiego syna Marcusa ul-Amfeda, który pracował w obejściu. Powiedział, że Mendeln zapłacił mu za robotę, ale nie rzekł ani słowa, gdzie się wybiera.

Serentia mogła bez trudu zrozumieć, że Mendeln chciał zostawić farmę pod opieką kogoś, kto zna się na tym lepiej niż on sam – ale dlaczego od

razu nie zjawił się u brata i tam nie pozostał, tego pojąć nie potrafiła. Mendeln był przecież tak lojalny wobec Uldyzjana, a kiedy posłyszał stawiane bratu zarzuty, zaprzeczył im o wiele gwałtowniej i z większą zaciętością, niż można by się tego spodziewać po kimś wiecznie zagrzebanym w księgach.

– Martwię się o niego, Serri. Wątpię, czy on choćby potrafi wyobrazić sobie świat bez Uldyzjana, co nie znaczy, że myślę, aby Uldyzjanowi groziło, że go skarżą za te ohydne zbrodnie! Nie, mnie tylko chodzi o Mendelna. Zupełnie nie jest sobą od czasu, gdy my... no od tego dnia.

Serentii wydało się, że Achilios mówił o czymś innym niż zabójstwa, ale to było chyba niemożliwe, bo co mogło zapisać się w jego pamięci mocniej niż ta tragedia?

– Może poszedł do ojca? – zasugerowała. – Nie widziałam go od rana.

– Może... chyba... – Spojrzenie łuczника pobiegło gdzieś w dal, jakby coś nagle zaprzątnęło jego myśli. – Idź, odwiedź Uldyzjana, Serri. Ja rychło znajdę Mendelna. Pewien jestem. Tylko nie... – zamknął usta gwałtownie i zapatrzył się rozszerzonymi oczami na coś za plecami dziewczyny.

Serentia odwróciła się, zdjeta nagłym strachem, podświadomie doskonale wiedząc, co zobaczy.



Do granicy wioski dotarła właśnie kawalkada jeźdźców. Jechali powoli, pewnie, patrząc na wioskę z wysokości siodła, jakby do nich należała. Nie można ich było nie rozpoznać... Srebrzyste szaty i napierśniki stanowiły wystarczającą podpowiedź. Nie trzeba było nawet wypatrywać znaku słońca na ich piersiach, by wiedzieć, że ma się do czynienia z Inkwizytorami Katedry Światłości. Wszyscy – poza jeźdźcem na przedzie,

którego siwe włosy okrywał złoty kaptur – nosili na głowach kapaliny. Lśniący płaszcz powiewał, a złoty otok niemalże oślepił idące z tyłu konie. Kapłan miał gładko ogolone policzki, jak to mieli w zwyczaju wszyscy służących bezpośrednio Prorokowi. Tej kwestii nie pozostawiano do decyzji kapłanom, konieczność golenia twarzy stanowiła ich obowiązek. Wszak Prorok nie nosił brody... i, jeśli w plotkach kryło się ziarno prawdy, wyglądał bardziej na wnuka obecnego tu inkwizytora, choć był ponoć znacznie starszy.

Jeźdźców nadszedło więcej niż tuzin, co zaskoczyło i Serentię, i Achiliosa. Z tego, co mówił Dorius, należało się spodziewać jednego, najwyżej dwóch inkwizytorów i to bynajmniej nie tej rangi, co zsiadający właśnie z konia kapłan.

Mistrz, domyśliła się Serentia. Rozglądał się z taką miną, jakby nie był pewien, czy wioska to rzeczywiście miejsce, do którego zmierzał. Dostrzegł stojącą nieruchomo parę i gestem nakazał im podjeść. Świadoma, że ten człowiek trzyma w dłoniach los Uldyzjana, Serentia posłuchała natychmiast. Achilios podążył za nią.

– Jam jest brat Mikelius – zahuczał inkwizytor, jakby chciał o tym fakcie powiadomić każdego mieszkańca w promieniu mili. – Czy to Seram, miasto będące scenerią straszliwych czynów?

– Tak, to Seram, tak, wasza świątobliwość – odparła Serentia, kłaniając się nisko.

W przeciwieństwie do Uldyzjana czy Achiliosa wierzyła w nauki Katedry i Świątyni, nie zdecydowała jeszcze tylko, którą ścieżką ostatecznie podąży. Kapłani Świątyni uczyli o potędze jednostki, podczas gdy misjonarze Katedry przekonywali, że przeznaczenie ludzkości może zostać zrealizowane tylko poprzez zbiorowy wysiłek wszystkich.

– Kto tu rządzi? Powinniśmy zostać powitani.

– Wójtem jest Dorius, on...

– Nieważne! – przerwał jej brat Mikelius. – Ty! – zwrócił się do Achiliosa. – Wiesz, gdzie znajduje się ciało naszego nieszczęsnego brata?

Idąc za przykładem Serentii, myśliwy uklonił się grzecznie.

– Wiem, gdzie został pochowany – odparł. – Minęło kilka dni, wasza świątobliwość – dodał, widząc, że Mistrz marszczy brew z niezadowoleniem. – Ciało należy pogrzebać, w przeciwnym razie... – rozłożył bezradnie ręce. – Sami rozumiecie.

– Oczywiście, mój synu, oczywiście. W takim razie zaprowadź nas do grobu.

– Z całym szacunkiem, wasza świątobliwość, byłoby lepiej, gdyby mistrz Dorius lub kapitan Tiberius was powiedli...

– My tu jesteśmy – przerwał mu inkwizytor twardo. – A oni nie. Porozmawiamy przy pierwszej nadarzającej się okazji... z tym barbarzyńskim heretykiem także.

Usłyszawszy, jak nazywany jest Uldyzjan, Serentia aż przygryzła wargę, żeby zmilczeć. Chętnie by się dowiedziała, co takiego posłaniec Doriusa przekazał inkwizytorowi, bo brat Mikelius wydawał się przekonany, że prawdziwy zabójca został ujęty.

– Wasza świątobliwość... – zaczęła, ale inkwizytor w towarzystwie czterech strażników zdążył już przejść obok. Pozostali towarzysze mistrza rozglądali się, rozdzielwszy nieco, jakby szykowali się do ataku na Seram. I prawdę mówiąc, wyglądali na takich, którzy wygaliby to starcie bez większego kłopotu, choć mieszkańcy mieli zdecydowaną przewagę liczebną.

– Tędy zatem – ustąpił Achilios.

Mistrz inkwizytor przestał zwracać jakąkolwiek uwagę na dziewczynę, ale też nie zabronił jej pójść za nimi. Serentia z jednej strony pragnęła

pobiec do Uldyzjana i uprzedzić go o rychłym przybyciu Inkwizytorów, ale z drugiej chciała być świadkiem wszystkiego, co powie czy też zrobi brat Mikelius. I to niezależnie od tego, czy będzie tam Achilios, czy też nie.

Kilkoro wieśniaków, zapewne zaintrygowanych nader głośnymi słowami brata Mikeliusa, wyszło na drogę zobaczyć, co się dzieje. Mistrz inkwizytor pozdrawiał ich od niechcienia skinieniem dłoni lub świątobliwie kiwał głową, krocząc dumnie w kierunku cmentarza.

Rozległ się odległy pomruk grzmotu, ale niebo zdawało się tego dnia wyjątkowo spokojne. Powietrze stało, nie czuło się choćby najlżejszego tchnienia wiatru, co było dość niespotykanym zjawiskiem. Serentia weszła na cmentarz jako ostatnia i miała wrażenie, że duchy wszystkich zmarłych wstały z grobów, by zgromadzić się wokół inkwizytora i jego towarzyszy.

Kamienny murek, wysoki do pasa i pokryty plamami wilgoci otaczał cmentarzysko. Popękane tu i ówdzie kamienie były dowodem, że miejsce to nie cieszyło się zbyt dużym zainteresowaniem żywych. Nietrudno będzie znaleźć groby ofiar. Nie tylko dlatego, że znaczyła je świeża jeszcze ziemia, ale też znajdowały się w pewnej odległości od pozostałych. Mieszkańcy Seram żywili cichą nadzieję, że ofiary zbrodni spoczęły na wioskowym cmentarzu jedynie na chwilę, kapłani upomną się bowiem o swych braci i tym samym pozwolą zapomnieć wiosce o straszliwej zbrodni.

Serentia szybko zorientowała się, że brat Mikelius rzeczywiście chce coś zrobić z ciałem akolity. Wskazał swym towarzyszom parę łopat ustawionych pod kamiennym murem i dwóch z nich natychmiast się po nie udało.

– Nie trzeba ci iść dalej – zwrócił się do Achiliosa i tym samym do postępującej za łucznikiem Serentii. – Bracia sami się tym zajmą, to sprawa Katedry.

Myśliwy mądrze nie odezwał się nawet słowem, tylko uklonił się i cofnął o krok.

Oba groby oznaczono symbolami danej religii wyrytymi niezdarnie w drewnie. Brat Mikelius prychnął pogardliwie na widok znaków Trójcy i przeszedł do drugiego z grobów. Dwóch zbrojnych z łopatami podążało za nim, niemal depcząc mu po piętach.

Mistrz inkwizytor przykląkł na jedno kolano przy znaku, musnął go palcami obleczonymi w rękawicę, po czym mrużąc pod nosem modlitwę, jak przypuszczała Serentia, położył dłoń na kopczyku mogiły.

I niemal natychmiast cofnął się, jakby z ziemi wyłoniły się skorpiony.

Z miną niezwykle ponurą, brat Mikelius pochylił się i zdjął z szyi łańcuch, dotąd schowany pod szatą. Złoty medalion na łańcuchu miał kształt słońca z wprawionym w środek klejnotem, który lśnił jasno nawet w tak pochmurny dzień.

Kapłan przytrzymał medalion nad grobem, mrużąc coś jeszcze przez chwilę, a potem cofnął się, znów pełen grozy i obrzydzenia zarazem.

Płonące oczy brata Mikeliusa zatrzymały się na łuczniku i dziewczynie.

– Kto to zrobił?! Kto dopuścił się tego świętokradztwa?!

Achilios pojrzał na Serentię, ale dziewczyna sprawiała wrażenie równie zaskoczonej pytaniem.

Mistrz inkwizytor wstał i oskarżycielskim gestem wskazał grób.

– Ty tam! Sądząc po twym stroju i łuku, zgaduję, żeś myśliwy.

– W rzeczy samej.

– Masz więc wyszkolone oko. Patrz zatem. Podejdźże tu i powiedz mi, co widzisz!

Achilios posłuchał niechętnie. Podeszedł do grobu, prowadzony uważnymi spojrzeniami inkwizytorów.

– Patrz uważnie – polecił brat Mikelius.

Serentia patrzyła, jak myśliwy klęka w tym samym miejscu co mistrz inkwizytor i tak samo delikatnie kładzie dłoń na wzniesieniu ziemi. I, dokładnie tak jak brat Mikelius, Achilios nie zdołał się powstrzymać i gwałtownie cofnął dłoń.

Najwyraźniej to wystarczyło, by potwierdzić wszelkie podejrzenia inkwizytora.

– Też to widzisz, czyż nie, synu?

Serentia chciała do nich podejść, ale zbrojni towarzysze mistrza zagrodzili jej drogę. Mogła jedynie patrzeć, jak wyraźnie zmieszany Achilios podnosi się, by stanąć twarzą w twarz z bratem Mikeliusem.

– Może... jakieś małe zwierzę, wasza świątobliwość. W końcu, jak nie patrzeć, wokół Seram same lasy...

– Tego nie zrobiło żadne zwierzę – niemalże wysyczał inkwizytor.

Nagle podejrzenie zrodziło się w myślach Serentii i dziewczyna gwałtownie nabrała powietrza. Brat Mikelius obrócił ku niej płonące spojrzenie.

– Kto to był?! – napierał, jakby dziewczyna znała odpowiedź. – Kto to uczynił?

– Wasza świątobliwość – wykrztusiła wreszcie Serentia. – Nie rozumiem...

Achilios pospieszył jej na pomoc.

– Ona nie mogła...

Ale brat Mikelius nie słuchał tych protestów. Dłoń mistrza inkwizytora przecięła powietrze tak ostro, jak wzrok wbił się w dwoje wieśniaków.

– Powtórzę, wyraźnie i głośno, tylko jeszcze raz. – Zbrojni nieoczekiwanie otoczyli Serentię i Achiliosa niczym zbrodniarzy. – Kto zbezczeszczył grób i ciało naszego pomordowanego brata?!

# CZTERY



Głowa Mendelna pulsowała potwornym bólem nie po raz pierwszy od chwili, gdy jego brat został niesłusznie oskarżony o zabójstwo kleryków. Młodzieniec stał głęboko w lesie po północnej stronie, opierając się o jedno z drzew i przyciskając dłonie do skroni w nadziei, że to pomoże mu zwalczyć ból.

Jednak bardziej niż ten obezwładniający huk pod czaszką, martwił Mendelna fakt, że już po raz trzeci stracił przytomność na bliżej nieokreślony czas. Tym razem pamiętał tylko, że wyruszył z farmy, by odwiedzić brata.

Pomasował palcami nasadę nosa i zacisnął powieki...

Jego myśli wypełnił nagle obraz krzyczącego mężczyzny w długiej szacie.

Mendeln ze stęknieniem chwiejnie postąpił naprzód. Rozejrzał się, przekonany, że to, co zobaczył, wydarzyło się właśnie tuż przed jego oczyma. Ale nikogo tam nie było. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że choć usta mężczyzny były otwarte, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Mendeln słyszał szelest liści, echo gromu, ale nie głos.

Czyżby śnił koszmar na jawie? Wstrząsnęły nim bestialskie zabójstwa i teraz wyobraźnia przywołała ten obraz? Mendeln mógł się opierać tylko na własnym doświadczeniu, niczym innym... a jednak to, co widział, wydawało się takie rzeczywiste.



Znów poczuł ból pulsujący w skroniach. Odruchowo zamknął oczy. I znów zobaczył tamtego mężczyznę, tylko że tym razem kapłan leżał na ziemi bezradny, a ku niemu coś zmierzało...

Twarz misjonarza wykrzywiało przerażenie, biedak próbował odczołgać się od tego, co ku niemu sięgało.

Mendeln otworzył oczy... i wszystko zniknęło.

Tym razem jednak młody uczonek wiedział, że to, co zobaczył, nie było wytworem wyobraźni ani teraźniejszym zdarzeniem. Teraz w pełni zdawał sobie sprawę, że jest w lesie sam.

Wizja trwała na tyle długo, by zdążył rozpoznać strój krzyczego mężczyzny.

To był akolita Świątyni... ten sam, który został bestialsko zamordowany.

Mendeln zdrzął. Co to mogło znaczyć? Dlaczego nagle zaczął mieć widzenia i to związane z morderstwem?

W jego rodzinie nigdy nie było nikogo z talentem magicznym, zresztą Mendeln nie sądził, by te doznania stanowiły rezultat czarów. Musiało być jakieś inne, rozsądniejsze wyjaśnienie.

Poczuł swędzenie. Sięgnął do nasady nosa i przetarł ją wnętrzem dłoni. I dopiero teraz dotarło do niego, że na palcach ma okruchy ziemi.

Kiedy do tego doszło? Przecież nie był na farmie, a już na pewno nie zajmował się pracą w polu i to od dłuższego czasu. Za bardzo skupiał się na tym, jak pomóc bratu. Może spadł z konia – to by wyjaśniało i utratę przytomności i ziemię na jego dłoniach.

– Co się ze mną dzieje? – wymamrotał. Jak dotąd jego życie było nieskończenie zwyczajne, nudne nawet. Teraz wszystko stawało na głowie. Utraty przytomności, potworne oskarżenie Uldyzjana, starożytny kamień...

Kamień.

Młodzieniec nie wierzył w zbiegi okoliczności. Te omdlenia zaczęły się po tym, jak dotknął artefaktu. Kamień wpłynął na Mendelna w sposób, którego młody uczonek nie potrafił wyjaśnić. Oczywiście, gdy był dzieckiem, słyszał niejedną opowieść o magicznych miejscach i stworzeniach, ale to były tylko bajki.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego zobaczył właśnie to – śmierć akolity. I pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, sprawiła, że krew odpłynęła z twarzy Mendelna.

Nie... Nie zrobiłem tego! Nie mógłbym!

Ale... Czy dlatego zobaczył mord – i to z pozycji, w której musiał znajdować się napastnik – bo był zań odpowiedzialny?

Rozsądek doszedł do głosu chwilę później. Mendeln przebywał z Achiliosem w czasie obu zabójstw. Był niewinny, tak jak i Uldyzjan.

Jednak nadal nie znalazł wyjaśnienia dla ziemi na swoich palcach ani dla powtarzających się i przedłużających okresów utraty przytomności. I to go przerażało.

Powrócił myślami do brata w więzieniu. Wspomnienie Uldyzjana za kratami pomogło Mendelnowi wziąć się w garść. O sobie będzie się martwił, gdy przyjedzie na to czas, teraz należało przede wszystkim dopilnować, by Uldyzjan nie spędził w celi więcej czasu niż to konieczne.

Młodzieniec wyprostował się i ruszył do Seram. Po drodze jednak starannie wytarł palce. Być może ziemia nie miała żadnego znaczenia, ale Mendeln nie zamierzał ryzykować. Zbyt wiele złego ostatnio działo się wokół, a pozornie niewinne drobiny mogły stać się wskazówką, łączącą Mendelna z jakimś niecnym występkiem. Nie zdoła pomóc bratu, gdy nagle stanie się podejrzanym.

Zaraz sam siebie skarcił za te głupie myśli. Niby o czym mogli świadczyć ubrudzone ziemią ręce kogoś, kto mieszka na farmie?

A jednak nie przerwał wycierania dłoni i palców o ubranie, i nie przestawał przez całą drogę do Seram.

Dwóch strażników przyszło po Uldyzjana akurat wtedy, gdy udało mu się wreszcie zapaść w niespokojny sen. Jeden z nich gwałtownie szarpnął drzwiami.

– Chodź z nami – warknął ten wyższy, a zarazem młodszy, w którym Uldyzjan rozpoznał bratanka Doriusa. – Nie sprawiaj nam problemów, dobrze?

W odpowiedzi farmer założył ręce na plecy i odwrócił się do strażników tyłem, żeby mogli skuć mu nadgarstki. Zamknęli obręcze kajdanek i wyprowadzili więźnia z celi.

Tiberius czekał przy drzwiach wiodących na zewnątrz. Nie próbował nawet ukryć głębokiego niezadowolenia, ale nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić Uldyzjanowi przyczynę podłego nastroju. Farmer mógł jedynie uznać to za złą wróżbę.

I gdy tylko wyszli, Uldyzjan przekonał się, że sytuacja ze złej zmieniła się na gorszą.

Kiedy zobaczył postać w szatach zdobionych złotem, wiedział, że ma do czynienia z kimś ważniejszym niż zwykły kapłan z pobliskiej wioski. To był mistrz inkwizytor, jeden z najwyższych rangą członków kultu. Co gorsza, władczemu mężczyźnie towarzyszyło kilku zbrojnych... i bardzo zaniepokojona Serentia z Achiliosem.

Kapłan podszedł do farmera stanowczym krokiem, uniósł podbródek i popatrzył na więźnia wyniośle spod lekko przymrużonych powiek.

– Uldyzjanie, synu Diomedesa, wiedz, że jam jest brat Mikelius, mistrz inkwizytor tego regionu, powołany przez wielkiego i złotego Proroka! – powiedział zbyt głośno. – Przybyłem, by poznać głębię twojej winy i osądzić, co jest konieczne dla zbawienia twojej duszy! – Zamilkł, po czym dodał: – A

później duszy tego łajdaka, kimkolwiek on jest, który zbezczcił grób naszego emisariusza!

Uldyzjan pobladł. Ze słów brata Mikeliusa wynikało, że najistotniejszą kwestię, kwestię winy, uważa za przesadzoną. Nie to obiecywał Dorius!

Ale zanim choćby zdołał otworzyć usta w proteście, mistrz inkwizytor odwrócił się doń plecami i przeniósł uwagę na wójta.

– Za waszym pozwoleniem, mistrzu Doriusie, użyjemy twych kwater do przeprowadzenia przesłuchania tego tu – wskazał na Uldyzjana. – Mam nadzieję, że wybaczycie nam tę niedogodność. Katedra niechętnie podejmuje się takich przesłuchań, ale bywają one czasem konieczne... Sami rozumiecie.

– Posłałem też słowo do prokuratora generalnego Kedżanu – oparł Dorius, próbując odzyskać kontrolę nad sytuacją. – Odpowiedzi żem nie dostał, ale tylko patrzeć, jak przyślą kogoś władnego...

Brat Mikelius potrząsnął głową.

– Dzięki Prorokowi, niechaj będzie błogosławiony, jam jest władny rozsądzić w tej sprawie! A prokurator zawierzy memu słowu...

I z tonu mistrza wynikało, że tak samo uczynią Dorius i reszta, czy im się to będzie podobać, czy nie, pomyślał Uldyzjan. Skrzywił się. Wystarczyła krótka chwila w obecności brata Mikeliusa, by farmer zrozumiał, że i jemu nie będzie dane powiedzieć zbyt wiele na swoją obronę... no chyba żeby zdecydował się przyznać.

– Jest jeszcze Triune – dodał Dorius. – Oni też stracili jednego ze swoich...

– Katedra tu jest, a Świątynia nie. Jeśli Triune niespieszno szukać sprawiedliwości dla swych dzieci, sami są sobie winni.

Pokonany wójt zamilkł.

Uldyzjan przełknął obelgę. Starał się cieszyć choćby z tego, że Lylia nie została wmieszana w tę sprawę. Tego by nie zniósł. Dość już wycierpiała od jednej sekty i drugiej...

Ledwie zdążył to pomyśleć, gdy kątem oka złowił szmaragdowy błysk. Aż się wzdrygnął, szarpnięty nagłym niepokojem. Mimowolnie spojrzął w tamtą stronę.

Niestety, to samo uczynił mistrz inkwizytor.

Lylia stała nieruchomo niczym zwierzątko schwycone w pułapkę. Najwyraźniej próbowała przemknąć się za karczmą, by zobaczyć, jak sprawy się mają, bez wątpienia bała się bowiem o Uldyzjana i dlatego zlekceważyła jego prośby.

Brat Mikelius oczywiście musiał zauważyć, że dziewczyna nie pochodzi z wioski. Może to nie miało większego znaczenia. Jednak gdy ich spojrzenia się spotkały, inkwizytor zmienił się nieco na twarzy. Uldyzjan pojął od razu, że mistrz rozpoznał Lylię.

Kapłan oskarżycielsko wskazał ją palcem.

– Ty tutaj! Ty...

Niebo zahuczało, tym razem z taką wściekłością, że niektórzy, w tym brat Mikelius, zasłonili uszy dłońmi.

Wicher zerwał się raptownie, wyjąc niczym głodny wilk. Jego siła powaliła kilka osób na kolana, sama straż inkwizytorska nie była w stanie utrzymać się na nogach. Tylko trzy osoby pozostały nieruchome, przynajmniej przez chwilę.

Brat Mikelius, Lylia i Uldyzjan.

Ale brat Mikelius musiał walczyć, by nie upaść. Odwrócił wzrok od Lylii i popatrzył na swego więźnia.

Twarz miał wykrzywioną potwornym grymasem, a w jego oczach farmer dostrzegł furję i... strach.

– Na Proroka! Co za...

Potężny piorun uderzył w sam środek wioski... i w mistrza inkwizytora.

Nawet nie zdążył krzyknąć. Mdlący swąd rozszedł się w powietrzu niesiony wiatrem. Po inkwizytorze została jedynie zwęglona masa. Uldyzjan widział już kiedyś skutki uderzenia pioruna, ale nigdy jeszcze o takiej sile.

Kolejny grom strzelił tuż obok. Ktoś krzyknął. Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony. Wiatr wył wściekle i przewracał wszystkich, którzy nie zdołali się czegoś złapać. Uldyzjan szukał wzrokiem Lylii, ale na próżno. Jakiś śmieć pofrunął mu prosto w twarz i farmer instynktownie zasłonił się ramieniem.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że jest wolny. Kajdany zwisały z jednego nadgarstka, a druga obręcz była otwarta, jakby jej nigdy nie zamknięto.

Nie miał czasu zastawiać się nad niekompetencją strażników – skupił się na tym, co powinien zrobić. Nie zdążył jednak nawet pomyśleć, co czynić, bo straż inkwizytorska zdecydowała za niego – próbowała dotrzeć do uwolnionego więźnia mimo ataków wściekłej wichury. Trzech zdołało już zbliżyć się do Uldyzjana tak, że niemal mieli go w zasięgu broni. Czwarty deptał im po piętach.

Ale gdy pierwszy miał już sięgnąć Uldyzjana, wiatr przyniósł skądś grubą, drewnianą ławę, która, jak uświadomił sobie farmer, dotąd stała przed karczmą. Kawał drewna poleciał niesiony lekko niczym piórko i uderzył w strażników. Kilku przewrócił, jednego porwał i cisnął w objęcia wichury. Za powalonymi strażnikami ukazała się Lylii. Trzymała się ściany kuźni jedną ręką, drugą wzywała ku sobie Uldyzjana.

Bez wahania pobiegł w jej stronę. Wokół niego unosiły się najrozmaitsze przedmioty. Ludzie uciekali do budynków. Kolejne uderzenie pioruna

rozbiło otaczający wioskę mur.

Mimo wszechobecnego zagrożenia Uldyzjan dotarł do Lylii nietknięty. I jej wiatr nie uczynił żadnej krzywdy – rozsypał jedynie złote loki.

– Lylio! – Uldyzjan myślał tylko o jej bezpieczeństwie. – Musisz znaleźć schronienie...

Złapała go za rękę, zamiast jednak ukryć się w kuźni, pociągnęła go w stronę lasu. Okazała się zdumiewająco silna. Uldyzjan zrezygnował z oporu – inaczej zostaliby na zewnątrz, ryzykując, że trafi ich jakiś przedmiot niesiony wiatrem. Pozwolił jej wyprowadzić się poza granice Seram. Wiedział, że na zdrowy rozum powinni szukać schronienia pod dachem, ale jakoś zdołał sobie wmówić, że równie bezpieczni będą w leśnych ostępach.



I rzeczywiście, im głębiej w las, tym słabiej napierał wiatr. Wciąż niósł jakieś śmieci, ale na szczęście ani farmera, ani dziewczyny nie musnęło nic groźniejszego od liścia.

Od strony Seram dobiegł ich charakterystyczny odgłos. Niebo pojaśniało na moment, jakby słońcu udało się przedrzeć przez grubą warstwę chmur. Uldyzjan chciał się odwrócić, ale Lyliia znów pociągnęła go za sobą.

Grzmot przetoczył się z hukiem, jakby wierzchowce tysiąca jeźdźców tratowały ziemię. Przypomniał Uldyzjanowi Inkwizytorów i nieszczęsnego brata Mikeliusa. Gdy tylko pogoda się uspokoi, inkwizytorska straż jak nic ruszy tropem uciekiniera, szczególnie teraz, po niepokojącej śmierci mistrza. Zdaniem farmera za śmierć brata Mikeliusa odpowiadały jedynie prawa natury, choć nigdy dotąd Uldyzjan nie był świadkiem tak gwałtownych i śmiertelnie niebezpiecznych zjawisk. Nie miał jednak

wątpliwości, że zostanie powiązany ze śmiercią inkwizytora, nawet jeśli będzie to nieskończenie niedorzeczne.

– Nie zatrzymuj się! Biegnij! – ponaglała go Lylia, spoglądając przez ramię.

Zaprzątnięta troską o Uldyzjana, przestała patrzeć pod nogi. Farmer dostrzegł zagłębienie ułamek sekundy przed tym, jak Lylia postawiła w tym miejscu stopę. Chciał dziewczynę ostrzec, ale ledwie otworzył usta, straciła równowagę.

Puściła ramię Uldyzjana, krzyknęła krótko i upadła, okręciwszy się wokół własnej osi.

Uldyzjan ukląkł przy niej niezgrabnie. Leżała z otwartymi oczami, ale spojrzenie miała nieprzytomne i niewidzące.

– Lylia! – W mgnieniu oka przestał martwić się pościgiem Inkwizytorów. Jedyne, co go teraz obchodziło, to dziewczyna rozciągnięta bezwładnie na ziemi.

Ku jego uldze Lylia zamrugła i skupiła wzrok. Spojrzała na Uldyzjana i wyraz jej twarzy sprawił, że mężczyzna się zarumienił.

Podał jej ramię, żeby jakoś ukryć swoje zakłopotanie. Dziewczyna spróbowała wstać, ale tylko jęknęła boleśnie, gdy noga się pod nią ugięła.

– Chyba... chyba ją skręciłam – powiedziała Lylia z trudem. – Mógłbyś zobaczyć?

W pierwszym odruchu chciał odmówić, ale przecież nie mógł jej tak zostawić. Mamrocząc nieskładne przeprosiny, uniósł spódnicę na tyle, by odsłonić kostkę. Noga była sinofioletowa i już zaczynała puchnąć. Kiedy Uldyzjan jej dotknął, Lylia z sykiem wciągnęła powietrze.

– Muszę zaprowadzić cię do uzdrowiciela – stwierdził.

– Nie! Jeśli to zrobisz, znowu zostanę pojmana! Nie dopuszczę do tego!



Uldyzjan zmarszczył brwi. Czego ona właściwie się spodziewa? Przecież nie mógł tak po prostu uciec. Tu był jego dom. Jego rodzina żyła w Seram od pokoleń. Najpewniej od założenia wioski. Tu mieszkali ludzie, których przecież nie mógł zostawić, przede wszystkim Mendeln. Młodszy brat na pewno słono zapłacił za zniknięcie starszego. Nawet Achilios, najlepszy przyjaciel farmera, i Serentia mogą ponieść konsekwencje ucieczki Uldyzjana.

Ale z drugiej strony, jakże mógłby tam wrócić? Inkwizytorzy wyjadą ze wsi prędzej czy później, ale Tiberius może uznać, że jego obowiązkiem jest aresztowanie zbiega, gdy tylko ten się pojawi. Nie wspominając, że mogą też przybyć do Seram Strażnicy Pokoju ze Świątyni Trójcy, aby przeprowadzić własny sąd nad mordercą.

Uldyzjan klęczał tak, z dłonią na zranionej kostce Lylii, i zastanawiał się, co począć. Los pięknej szlachcianki też bardzo go obchodził. Byłoby nieco łatwiej, gdyby choć nie skręciła nogi...

– Uldyzjanie...

Nie zwrócił na nią uwagi, zaprzątnięty myślami. Może mógłby zanieść ją na farmę, tam wsadzić na konia i wysłać do którejś z sąsiednich wiosek. W co większych osadach niewątpliwie udzielono by dziewczynie pomocy i mogłaby ruszyć w dalszą drogę. Przynajmniej ona znajdzie się z dala od niebezpieczeństwa.

A jeśli chodzi o niego, to już inna...

– Uldyzjanie!

Choć Lylii mówiła półgłosem, nie można było nie usłyszeć ostrego tonu. Farmer rozejrzał się gwałtownie, pewien, że właśnie zostali odkryci, ale nikogo nie zobaczył.

– Uldyzjanie – powtórzyła Lylii. – Nie to. Moja kostka... już mnie nie boli.

Jej pełne nadziei słowa tylko wzmogły niepokój Uldyzjana. Skoro nie czuła bólu, to zapewne straciła czucie. Zły znak. Odsunął dłoń, pełen obaw co do stanu jej nogi...

I odkrył, że kostka jest w idealnej kondycji.

– Ale... – Uldyzjan gapił się na nogę Lylii, pewien, że poprzednio wyglądała inaczej, bo przecież kostka jeszcze chwilę temu była paskudnie zasiniała... ale teraz już nie.

Spojrzał na dziewczynę, ale sposób, w jaki się w niego wpatrywała, sprawił, że poczuł się niezręcznie. W jej oczach błyszczał podziw, niesamowity podziw, który zdawał się niemal... czcią?

– Odwróciłeś się... – wymruczała niewyraźnie Lyliia. – Ale twoja dłoń pozostała na mojej kostce. I nagle poczułam takie cudowne ciepło, a ból... ból po prostu zniknął.

– Niemożliwe... Musi być jakieś rozsądne wyjaśnienie! Takie urazy nie goją się ot tak sobie!

– Ty to zrobiłeś.

W pierwszej chwili Uldyzjan uznał, że musiał ją źle usłyszeć, ale kiedy słowa dotarły doń w pełni, nie mógł wręcz uwierzyć, że choćby pomyślała coś tak niesłychanego.

– Nie jestem magiem ani zaklinaczem! – krzyknął wstrząśnięty. – Zapewne w ogóle nie skręciłaś kostki. To jedyne rozsądne wyjaśnienie!

Potrząsnęła głową. Wciąż patrzyła na niego w sposób, który powinien sprawić mu przyjemność, ale tylko niepokoił. Spojrzenie Lylii pełne było uwielbienia.

– Nie. Wiem, że mnie bolało. I wiem też, co poczułam, kiedy mnie dotknąłeś... Wówczas ból zniknął, jakby go nigdy nie było.

Uldyzjan cofnął się o krok.

– Ale to nie ja!

Lylia wstała i podeszła blisko. Poruszała się lekko i pewnie, jakby niczego sobie nie uszkodziła.

– W takim razie kto? Kto sprawił ten cud?

Ostatnie słowo przejęło go głębokim dreszczem. Nie chciał tego słuchać.

– Nie mamy czasu na takie głupstwa! – Spojrzał w górę. Niebo zdawało się nieco pogodniejsze, przynajmniej nad ich głowami, bo gdzieś nad Seram znów przetoczył się grzmot i strzeliła kolejna błyskawica.

– Burza... – to słowo wydało się Uldyzjanowi nieodpowiednie dla tak niesamowitej pogody – ...chyba cichnie. Cieszymy się z tego uśmiechu losu!

– To nie było szczęście... – mruknęła Lylia.

– Co w takim... – przerwał, a policzki mu pobrały. – Nie. Lylio... nawet tak nie żartuj...

– Nie widzisz tego?! Wiatr zerwał się w tak dogodnym momencie! A piorun poraził nieomylnie brata Mikeliusa, zanim zdążył potępić cię za zbrodnie, których nie popełniłeś!

– A teraz jeszcze twierdzisz, że władam mocami, które zgładziły człowieka! Zastanów się, kobieto! – Po raz pierwszy od chwili, gdy ją ujrzał, nie chciał przebywać blisko Lylii. Nadal była w jego oczach piękna i godna pożądania, ale musiała chyba postradać rozum. Może ciężkie chwile, jakie stały się jej udziałem, zostawiły trwałe piętno? Nie potrafił inaczej wytłumaczyć jej zachowania...

Ale jak wyjaśnić uraz, który przecież Uldyzjan widział na własne oczy? Nie miał nadmiernie wybujałej wyobraźni, jakże więc mógłby dać się jej ponieść? Jakże mógłby ulec takiemu złudzeniu?

Nie! – przywołał się do porządku. Jeśli będzie myśleć w ten sposób, zaraz uwierzy w nedorzeczne pomysły Lylii. A wtedy już lepiej, żeby oddał się w ręce Inkwizytorów czy Strażników Pokoju, zanim komuś zrobi krzywdę.

Delikatny, ciepły dotyk na ramieniu przywołał go do rzeczywistości. Lylia stała zaledwie cal od niego.

– Wiem, że to ty mnie uleczyłeś, Uldyzjanie... i wierzę, że to ty przyzywałeś w potrzebie wiatr i pioruny.

– Lylia, proszę! Posłuchaj tylko, jakie głupstwa pleciesz.

Zajrzała mu w oczy.

– Chcesz, żebym przestała w to wierzyć? Udowodnij mi, że się mylę. – Delikatnie ujęła go za podbródek i skłoniła Uldyzjana, by spojrzeć na wioskę. – Grzmoty nadal uderzają, niosąc sprawiedliwość i zasłużoną karę. Niebo wciąż ryczy rozgniewane fałszywymi oskarżeniami pod twoim adresem. Wiatr wyje na potępienie tym, którzy próbowali cię sądzić, choć sami powinni być osądzeni.

– Przestań, Lylia!

Ale ona nie zamierzała zamilknąć.

– Udowodnij, że się mylę, drogi mój Uldyzjanie! Ze wszystkich swych sił zaprańnij, by niebo się uciszyło, nie, wypogodziło! Jeśli tak się nie stanie, przyznam, że uległam złudzeniu! – Wojowniczo wysunęła dolną wargę. – Chętnie...

Uldyzjan nie potrafił uwierzyć, że Lylia może tak się łudzić. Przecież dysponowanie taką siłą w ogóle nie było możliwe! Jednak posłuchanie jej było najprostszym i najłatwiejszym sposobem, by przywrócić ją do rzeczywistości.

Bez słowa Uldyzjan zwrócił wzrok na niespokojne niebo nad Seram. I choć mógłby tylko popatrzeć na chmury i udawać, że się koncentruje, wiedział, że takie postępowanie byłoby oszustwem wobec dziewczyny.

Dlatego też zmrużył oczy i intensywnie myślał. Życzył sobie, by pogoda się uspokoiła, aby chmury odpłynęły, a niebo znów było czyste. Starał się naprawdę, tak mocno jak mógł, choćby tylko dla Lylia.

Ale nie był zaskoczony, gdy nic się nie zmieniło.

Przekonany, że zrobił wszystko, by dać szansę Lylii udowodnić swoje racje i obronić prawdziwość tych wymysłów, zwrócił się w jej stronę znużony. Spodziewał się, że będzie rozczarowana, ale na twarzy dziewczyny malowała się jedynie cierpliwość.

– Zrobiłem, o co prosiłaś, i sama widziałaś, co się wydarzyło... czy raczej nie wydarzyło – stwierdził łagodnie. – A teraz pozwól, że cię stąd zabiorę. Musimy znaleźć miejsce, gdzie będziesz mogła... będziemy mogli odpocząć i zebrać myśli...

Niestety, Lylia zamiast ustąpić, patrzyła wyczekująco ponad jego ramieniem. Cierpliwość Uldyzjana wyczerpała się wreszcie. Od pierwszej chwili dziewczyna przypadła mu do serca, ale przecież nie mógł z tego powodu bez końca tolerować tych wymysłów. Choćby dla jej dobra.

– Lylia, musisz wziąć się w garść! Zrobiłem, o co prosiłaś i...

– I burza odeszła... – odpowiedziała niewyraźnie, a jej twarz znów rozjaśniło uwielbienie. Łagodnie pochwyciła go za ramię i ponownie odwróciła w stronę wioski.

Uldyzjan chciał ją skarcić, ale nie zdołał. Stał tylko z otwartymi ustami.

Nad Seram świeciło słońce.

Wielka Świątynia Trójcy znajdowała się o dwa dni konnej jazdy od Kedżanu. Była to imponująca budowla na planie trójkąta o trzech wysokich wieżach, po jednej na każdym wierzchołku. Wieże też były trójboczne, a każda ściana nosiła znak jednego ze świętych obrządków. Od góry do dołu w wieżach wybito trójkątne okna.

Niemal wszystko związane ze Świątynią było potrójnej natury. By dotrzeć do wejścia od strony Kedżanu, pielgrzymi musieli wspiąć się na trzy poziomy, a na każdy wiodły trzydzieści trzy stopnie. Samo wejście

składało się z trzech par trójkątnych drzwi, które otwierały się na przestronny hol. Wiernych witały tu posągi trzech duchów.

Po lewej wznosiła się androgeniczna figura Bala Stwórcy w szatach zakonu, któremu przewodził. W dłoniach Bala dzierżył mistyczny młot i torbę, która, według kapłanów, zawierała ziarna wszelkiego życia. Zarówno natura, jak i architektoniczne zdobycze ludzkości znajdowały się pod opieką tego bóstwa.

Dialon spoglądał z prawej strony. Marmurowa figura podobna była do pierwszej, ale Dialon trzymał przy piersi Tablice Porządku. Niósł ludzkości cel, a tablice uczyły, jak osiągnąć stan błogosławiony. Odziany był w szaty noszone przez podążających ścieżką Determinacji.

Pośrodku stał Mefis, który ręce miał puste, ale ramiona złożone tak, jakby tulił najukochańsze dziecko. Bez Miłości, Stworzenie i Determinacja nie mogłyby istnieć, czego nauczał wielki kapłan, Pierwszy. Niektórzy twierdzili, że był dzieckiem Mefisa, tak bardzo dbał o swą trzódkę.

Pod każdą z wielkich figur kolejne trójkątne drzwi z brązu wiodły do komnat poszczególnych obrządków. Pielgrzymi i nowicjusze, którzy wynosili nauki jednego obrządku ponad inne, wchodzili przez wybrane drzwi, by słuchać nauk kapłanów konkretnego zakonu. Zakapturzeni Strażnicy Pokoju, noszący na piersiach znaki wszystkich trzech zakonów, kierowali nowo przybyłych zgodnie z ich wyborem. W każdej z sal kilkaset osób mogło klęczeć i modlić się w tym samym czasie.

A gdy Pierwszy pojawiał się osobiście, na pozór kamienne, choć w rzeczywistości drewniane ściany pomiędzy salami trzech obrządków rozsuwano i chowano do specjalnych nisz, by wszyscy wierni mogli cieszyć się obecnością wielkiego kapłana. Ze specjalnego podwyższenia przywódca Świątyni głosił słowo Trzech.

Jednakże tego dnia wierni musieli zadowolić się własnymi modlitwami, ponieważ Pierwszy naradzał się z trzema najbardziej ukochanymi arcykapłanami każdego z obrządków. Przewodził im wysoki i atletyczny Malik, najwyższy rangą. Zaczynał jako prosty akolita, a obecną pozycję osiągnął dzięki niezłomności, twórczemu myśleniu i oddaniu swemu panu.

Był, co przyznawali nawet dwaj pozostali, prawą ręką Pierwszego.

Spotykali się w prywatnej komnacie, niewielkiej i niemalże pustej. Jedyne meble stanowił tron Pierwszego. Oparcie siedziska wznosiło się ponad głowę wielkiego kapłana i zwieńczone było trójkątnym symbolem kultu. Bliźniacze pochodnie oświetlały owalne pomieszczenie, choć nie było tam niczego do zobaczenia, poza krzesłem oraz tym, kto na nim zasiadał. I o to chodziło.

Pierwszy spoglądał na trzech arcykapłanów i cicho wymawiał słowa przeznaczone wyłącznie dla ich uszu. Jedyne arcykapłani znali najbardziej strzeżone z sekretów Trójcy.

Głos wielkiego kapłana brzmiał niczym muzyka. Jego twarz zdawała się wyrzeźbiona z marmuru, tak była doskonała. Miał długie srebrne włosy i krótko przystrzyżoną bródkę. Jego oczy przypominały lśniące szmaragdy. Był wyższy i mocniej zbudowany niż przeciętny mężczyzna, a mimo to poruszał się miękko, z wypracowaną gracją.

Aż do teraz.

Malik ukradkiem zerknął na wielkiego kapłana i dostrzegł lekkie drżenie. Arcykapłan zakonu Mefisa starannie ukrył niepokój, który właśnie poczuł. Na próżno jednak – Pierwszy to zauważył. Odzyskawszy panowanie nad sobą, ukochany przywódca Świątyni gestem odesłał doradców. Malik ponaglił swych towarzyszy klepieniem i wszyscy trzej wycofali się w ukłonach.

Pierwszy siedział milczący i patrzył przed siebie. Płomienie pochodni zamigotały wściekle, jakby pod wpływem gwałtownego wiatru.

A gdy ogień przestał się chwiać, świątobliwa twarz Pierwszego uległa zmianie. Nie było w niej już nic świętego, po prawdzie każdy, kto by go teraz zobaczył, odniósłby całkowicie przeciwne wrażenie. A potem zaczęłby obawiać się o własną duszę.

– Na zachód od miasta... – ochrypłemu głosowi Pierwszego bliżej było do syku węża niż ludzkiej mowy. – Na zachód od miasta...



# PIĘĆ



Gdy Seram zawładnął chaos, pierwsza myśl Achiliosa nie dotyczyła jego samego, nawet nie Uldyzjana, ani Serentii, która tak jak inni znalazła się w samym środku zamieszania. Myśliwy zanurkował pod lecącym kołem od wozu, uskoczył przed szczątkami – jak mu się zdawało – stracha na wróble na drewnianych ramionach i rzucił się ku dziewczynie.

Nieopodal rozległ się krzyk. Achilios dostrzegł, że Cyrus też rusza w tę samą stronę. Ale Serentia była bliżej myśliwego, nie widziała ani nie usłyszała ojca.

Wielki kawał dachu oderwał się nagle z budynku Straży, załopotał niczym gigantyczny ptak w agonalnych drgawkach i począł lecieć z precyzją katowskiego topora prosto na nic niespodziewającego się Cyrusa.

Achilios krzyknął, ale wiatr go zagłuszył. Serce łucznika przeniknął chłód. Wiedział, że może uczynić tylko jedno.

Szybkim skokiem dopadł Serentii. Powalił ją niczym zwierzynę próbującą wydostać się z pułapki. Nie dbał o nic, liczyło się tylko, by nie mogła zobaczyć potworności, która miała się właśnie wydarzyć. Wiedział, że nie zdoła uratować Cyrusa. Był zbyt daleko.

Ale choć udało mu się uchronić Serentię przed strasznym widokiem, sam widział wszystko aż nazbyt dobrze. Z makabryczną fascynacją obserwował, jak wielki kawał dachu uderza Cyrusa w plecy. Nie było już nadziei. Ostra krawędź przeszła przez kości i mięśnie ze straszliwą łatwością. I choć

myśliwy nie mógł usłyszeć niczego poza wściekłym wyciem wichury, to doskonale wiedział, jaki dźwięk rozległ się przy dekapitacji Cyrusa.

Reszta dachu przykryła okaleczone ciało. Na szczęście, bo w tym właśnie momencie Serentia wyrwała się z uścisku łucznika. Patrzyła na Achiliosa ze zdumieniem i może odrobiną zmieszania, które zabarwiło jej policzki. Achilios nagle poczuł się bardzo niezręcznie i to nie dlatego, że wcześniej widział, co spotkało jej ojca.

– Pomóż mi wstać – głos dziewczyny był ledwie słyszalny. – Widziałeś Uldyzjana?

Myśliwy poczuł się jeszcze gorzej. Nie była świadoma tragicznej śmierci ojca, więc jej myśl w pierwszym rzędzie pobiegła do Uldyzjana. Nie do Achiliosa.

Jednak troska Serentii o farmera oznaczała, że on sam jeszcze przez jakiś czas nie będzie musiał uświadamiać jej, co się wydarzyło. Dziewczyna nie powinna dowiedzieć się o tym właśnie teraz. Poza tym jeśli spróbuje odsłonić ciało swego ojca, to przy tej obłąkanej pogodzie jest bardzo prawdopodobne, że skończy martwa obok rodzica.

– Widziałem, jak biegł w stronę kuźni! – wykrzyczał w odpowiedzi, ale choć miał zdrowe i mocne płuca, musiał powtórzyć, zanim dziewczyna zrozumiała. Postawił ją na nogi tak, by okropny widok miała za plecami. – Trzymaj się mnie, bo cię zwieje! – nakazał i ku jego uldze Serentia posłuchała bez oporu.

Ruszyli w kierunku, w którym oddalił się Uldyzjan, a wiatr atakował ich wściekle niczym rozdrażniony dzik. Achilios nie wiedział, czy w ogóle znajdą farmera ani co powinni zrobić potem. Uldyzjan był zbiegłym więźniem, dla niektórych nawet mordercą, i Achilios powinien przekonać przyjaciela, by ten powrócił i oddał się w ręce sprawiedliwości, a jeśli przyjaciel odmówi, myśliwy powinien go do tego zmusić. Ale łucznik

zdążył już zobaczyć, jak wygląda sprawiedliwość. I sama myśl, by przekazać Uldyzjana Inkwizytorom czy nawet Tiberiusowi, przejmowała go chłodem.

Co więcej, gdyby przyprowadził Uldyzjana z powrotem na sąd do Seram, Serentia nigdy by mu tego nie darowała.

Pędzili teraz ku granicy wioski, mijani przez ludzi biegnących w najróżniejszych kierunkach. Deski wyrwane z budynków latały w powietrzu wraz z innymi niebezpiecznymi teraz przedmiotami. Wiadro oderwane od studni rozbiło się o pierś jednego z ludzi Tiberiusa i przewróciło go na plecy. Achilios chciał się zatrzymać, zobaczyć, czy strażnikowi nic się nie stało, ale obawiał się, że w ten sposób naraziłby Serentię.

W końcu z uczuciem niezmiernie ulgi znalazł się z dziewczyną między drzewami. Różnica była tak wielka, jakby Achilios zatrzasnął za sobą drzwi. Liście szumiały lekko, a wycie wiatru całkiem ucichło.

Nie zwolnił jednak, póki nie znaleźli się dość daleko od granicy wioski. Dopiero wtedy stanął pod rozłożystym dębem, bardziej z uwagi na swą towarzyszkę niż z własnej potrzeby.

– Nic ci nie jest? – zapytał Serentię.

Skinęła tylko głową, dysząc ciężko. Rozglądała się po zielonej gęstwinie.

– Znajdziemy go – mruknął Achilios, nieco zawiedziony, bo przecież pomógł dziewczynie uciec przed niebezpieczeństwem. Zaraz jednak wspomniął Cyrusa i ogarnęło go poczucie winy.

– Zastanawiam się, czy... – zaczęła Serentia, ale zamilkła i nagła cisza zadzwoniła im w uszach.

Odwrócili się oboje w stronę wioski. Błyskawice ustały, wiatr również przycichł. Ale najbardziej zdumiewające było to, że nie tylko chmury rzedły, ale błyskało między nimi słońce.

– Cud! – stwierdziła Serentia. Ale Achilios poczuł przerażenie chwytające go za gardło lodowatymi palcami. Tylko raz doznał podobnego wrażenia... Gdy po raz pierwszy dotknął starożytnego kamienia.

Serentia zrobiła krok w stronę wioski, lecz myśliwy pociągnął ją w przeciwnym kierunku.

– Uldyzjan! – przypomniał jej, choć tak naprawdę nie chciał wracać do Seram z zupełnie innego powodu. – W tę stronę, pamiętasz?

Dziewczyna skinęła głową i ponownie na jej ślicznej twarzyczce odmalowała się determinacja. Achilios zapragnął, by Serentia choć raz pomyślała o nim z takimi emocjami.

Wcześniej widział Uldyzjana zmierzającego w tę stronę, ale podążanie za przyjacielem okazało się dla Achiliosa nadspodziewanie trudne. Farmer nie pozostawił niemalże żadnych śladów. Prawdę mówiąc, poruszał się po lesie z większą wprawą niż zwierzę i pozostawiał równie niewyraźny trop. Gdyby nie zmysł Achiliosa, zmysł, o którym myśliwy nigdy nie mówił głośno, a który zawsze dawał mu przewagę w szukaniu zwierzyny, łucznik nie zdołałaby iść za przyjacielem.

Ten sam zmysł – ta pewność – podpowiedział Achiliosowi, że ktoś jeszcze spotkał Uldyzjana w lesie. Tego tropu myśliwy nie mógł rozpoznać, ale domyślił się, że należy do szlachcianki. Bo do kogóż by innego? Cokolwiek pozwalało Uldyzjanowi przemykać się niezauważenie, zasłoniło i jej ślad, jeszcze trudniejszy do wychwycenia niż trop farmera.

Z jakiegoś powodu przypomniało to Achiliosowi o kamieniu. Odkąd znalazł artefakt, zaczęły się dziać rzeczy dziwne i niepokojące, a czasem też, zdaniem myśliwego, całkowicie sprzeczne z naturą. Zastanawiał się, czy z czasem Mendeln zdoła przetłumaczyć tajemnicze symbole. Mendeln był mądry. Być może nawet umiałby wytłumaczyć straszną burzę i to, co...

Myśliwy zatrzymał się tak nieoczekiwanie, że Serentia nań wpadła. Obejrzał się. Dziewczyna, przekonana, że coś znajduje się na szlaku za nimi, uczyniła to samo.

– Co się dzieje?

– Nic. – Ponownie pociągnął ją do przodu. Nie mógł przecież wrócić po Mendelna. Brat Uldyzjana będzie musiał poradzić sobie sam; na pewno będzie bezpieczny. Myśliwy nie pamiętał nawet, żeby widział Mendelna, gdy Uldyzjana wyprowadzono przed oblicze mistrza inkwizytora.

Da sobie radę – powiedział Achilios w duchu. – Mendeln jest mądry. Uczony. Ja muszę zadbać o Serri. Muszę jej jakoś powiedzieć o ojcu... Może gdy już znajdziemy Uldyzjana... może wtedy?... A Mendeln zadba o siebie...

Myśliwy powtarzał te słowa nieustannie w nadziei, że w końcu sam w nie uwierzy. Żywił tę nadzieję, ale się tego nie spodziewał.

Mendeln dotarł na skraj wioski, gdy niebo wypowiedziało wojnę jej mieszkańcom. W przeciwieństwie do ludzi w Seram młodzieniec stał nieruchomo i zafascynowany obserwował, jak natura zachowuje się w sposób całkowicie odmienny od tego, który zwykł dotąd obserwować. Burze nie zaczynały się przecież bez ostrzeżenia. Wicher nie dał z siłą tornada tylko w granicach jakiejś osady i nie łagodniał tuż poza nią.

Gdy dziwna burza ucichła, Mendeln wszedł do wioski. Była zrujnowana, dostrzegł pierwsze leżące nieruchomo na ziemi ciała. Potworność, która się tu wydarzyła, zaczynała powoli docierać do uczonego... Tak jak i fakt, że wszystko to miało miejsce w wyjątkowo dogodnym dla Uldyzjana momencie.

Wniosek wydał się oczywisty, gdy Mendeln minął zwęglone szczątki, w których po resztkach złotych szat zdołał rozpoznać kapłana Katedry Światłości. Uderzenie zabójczego pioruna nie pozostawiło wiele z

inkwizytora, a smród był odrażający... A jednak jakaś niezdrowa fascynacja pchnęła Mendelna w kierunku spalonych zwłok.

I dokładnie w tej samej chwili doznał wrażenia równie silnego, co cios pięścią w brzuch. Mendeln zatoczył się niepewnie. Zdawało mu się, że ktoś wrzeszczy nań ile sił w płucach. Młodzieniec nadal cofał się chwiejnie, nagle zapragnął znaleźć się jak najdalej od spalonych zwłok.

– Gdzie ona jest? – wołał ktoś za plecami Mendelna. – Nie mogę jej znaleźć... Nie mogę jej znaleźć...

Mendeln odwrócił się, ale nikogo nie zobaczył, wrócił więc do poszukiwań brata.

– Miły Mendelnie! Widziałeś ją? Widziałeś moją córeczkę?

Tym razem Mendeln zauważył jakąś postać stojącą tuż przy sporej części zerwanego dachu. Jednak gdy tylko odwrócił głowę, postać zniknęła... a może w ogóle jej tam nie było. Młodzieńcowi zdawało się jednak, że ją rozpoznał.

– Mistrzu Cyrusie...! – zawołał z wahaniem. – Mistrzu Cyrusie?

Nikt nie odpowiedział. Mendelna znów przepełniła niewytłumaczalna potrzeba i tym razem musiał podejść do zniszczonego dachu. Gdy znalazł się tuż obok, wyczuł, że coś jest pod deskami. Pochylił się, by je odsunąć, ale okazały się cięższe, niż się spodziewał, wykorzystał więc swój ciężar, by pociągnąć kawałek dachu. Powoli, cal po calu, Mendeln odsłonił to, co kryło się pod spodem...

Ze zdławionym okrzykiem młodzieniec wypuścił fragment pokrycia. Ogarnęło go przerażenie, jakiego nie czuł od śmierci rodziców i rodzeństwa.

I w tej samej chwili znajomy głos znów zapytał:

– Gdzie ona jest? Gdzie moja Serentia?

Dopiero wtedy Mendeln zrozumiał, że słyszał ten głos wewnątrz swojej głowy. Trzęsąc się cały, odsunął się od fragmentu dachu i tego, co skrywało się pod nim.

Coś ukłuło go w okolicy krzyża. Mendeln począł się odwracać i wtedy uchwyciła go para potężnych dłoni.

Srogie oblicze inkwizytora znalazło się zaledwie o cale od twarzy Mendelna.

– Ty! – szczerknął wysłannik Katedry. – Tyś jest jednej krwi z oskarżonym heretykiem i mordercą, Uldyzjanem ul-Diomedem? Przyznaj się! Już ktoś cię wskazał jako brata tamtego!

Mendeln, wciąż próbując jakoś przyswoić sobie to, co zdarzyło się przed chwilą, milcząco skinął głową. Niestety, inkwizytorzy tylko czekali, by powieźć go przez wioskę ku grupie mieszkańców, którzy stali cicho, popatrując na czterech pilnujących ich zbrojnych. W grupie było ze dwadzieścia osób, a ich szeroko otwarte, pełne strachu oczy przywodziły Mendelnowi owce prowadzone na rzeź...

Nieopodal Dorius kłócił się ze sługami Katedry. Tiberiusa nie było nigdzie widać. Kilku jego żołnierzy stało przy wójcie, ale sprawiali wrażenie niepewnych, co właściwie czynić.

– Nie macie prawa zatrzymywać tych dobrych ludzi! – upierał się Dorius.

– Zgodnie ze słowem traktatów podpisanych przez Katedrę i Kedżan mamy prawo czynić to, co uznamy za potrzebne lub pożądane! – arogancko odpowiedział dowódca inkwizytorskiej straży. – Dlatego władza waszego kapitana przechodzi w nasze ręce. Będziecie posłuszni rozkazom Katedry, co oznacza, że zaprowadzicie waszego wójta do jego kwatery i tam zatrzymacie go pod strażą.

Jeden z mieszkańców z wahaniem wyciągnął rękę ku Doriusowi.

– Co powinniśmy...

– Nie ustąpię! – zapowiedział Dorius.

– Jeśli nie posłuchają, wtedy nie będę miał wyjścia, jak rozkazać swoim ludziom, by się tobą zajęli. A później nimi.

Wójt popatrzył na przerażających zbrojnych Katedry, potem na własną straż, i potrząsając głową, odszedł wraz z tymi pierwszymi.

Po rejteradzie Doriusa i pod nieobecność Tiberiusa, którego – jak podejrzewał Mendeln – powaliła burza, los Uldyzjana i reszty zebranych tu ludzi znalazł się całkowicie w rękach straży inkwizytorskiej. Młodzieniec nie podzielał wprawdzie pogardy brata dla religii, ale w tym momencie nie potrafił wyobrazić sobie gorszego losu niż ten, który go czekał. Inkwizytorzy z pewnością uznali wypadki w Seram za czary i nawet Mendeln nie mógł całkowicie wykluczyć takiego wyjaśnienia, bo żadne inne zwyczajnie nie pasowało.

– Dołącz do tamtych! – warknął zbrojny, który pojmał Mendelna.

Młody uczonek chwiejnie wypełnił polecenie. Ci, którzy znajdowali się najbliżej, odsunęli się ze strachem. Nawet znający młodzieńca od dziecka patrzyli teraz na niego niczym na trędowatego.

Albo raczej na brata trędowatego.

– To ten – oznajmił ten sam strażnik, który go tu przyprowadził.

Mendeln odwrócił się do strażnika, który, choć kilka cali niższy od uczonego, z łatwością zmiażdżył chłopaka wzrokiem. Szeroka twarz o grubo ciosanych rysach pasowała bardziej do bandyty niż do wysłannika świętego zakonu.

– Brat heretyka i czarownika, to ty? – dowodzący inkwizytorską strażą zadał pytanie tonem, z którego jasno wynikało, że żadna odpowiedź nie jest tu konieczna. – Gdzie jest Uldyzjan ul-Diomed? Odpowiadaj, a może unikniesz jego losu.



– Uldyzjan niczego nie zrobił!

– Jego wina została dowiedziona, jego oddanie zakazanym sztukom nie ulega wątpliwości! Dusza tego człowieka jest już stracona, ale twoja może jeszcze zaznać rozgrzeszenia! Nie masz wyjścia, jak tylko wydać go w nasze ręce!

Strażnik najwyraźniej wierzył w to, co mówił, choć dla Mendelna były to same brednie. Nie bacząc, że skazuje się na potępienie, pokręcił przecząco głową.

– Zaczniemy więc od ciebie... A reszta tu, wszyscy, którzy bratali się z heretykiem, wyciągną naukę z lekcji, jaką zaraz otrzymasz!



Równie szybko jak wepchnęli go pomiędzy wieśniaków, tak teraz wywlekli na otwartą przestrzeń. Tam rzucili młodzieńca na kolana, po czym dowódca straży inkwizytorskiej podszedł do swego wierzchowca i wziął przymocowany do siodła długi, pleciony bicz. Strażnik rozwinął straszliwą broń, pozwalając, by wpleciony ze skóry bat zawisł na chwilę swobodnie, a potem strzelił z niego raz, na próbę. Trzask przeraził Mendelna bardziej niż najgłośniejszy z gromów.

Dowódca straży wrócił do uczonego, a na jego twarzy malowało się zdecydowanie. Mendeln zacisnął powieki z całej siły i czekał na agonię.

To był zbieg okoliczności. Nic więcej. Jedynie zbieg okoliczności.

Ale gdy Uldyzjan patrzył w niebo nad Seram, nie umiał do końca pozbyć się wątpliwości. Przypomniawszy sobie, jak źle wyglądała kostka Lylii... i jak zupełnie zdrowa była zaledwie chwilę później. Potworna burza rozpełtała się nad wioską dokładnie wtedy, gdy brat Mikelius potępił Uldyzjana za

niepopelnione zbrodnie. Jakie było prawdopodobieństwo, że piorun uderzy z taką precyzją?

Zbieg okoliczności, powtórzył Uldyzjan w duchu.

Nic więcej!

Ale nie był o tym do końca przekonany.

Stał tak i nie umiał podjąć decyzji, co robić dalej. I nagle, bez powodu właściwie, wszystkie jego myśli wypełniła jedna twarz, twarz, którą znał tak dobrze jak własną.

Mendeln... Uldyzjana ogarnęło poczucie zbliżającego się zagrożenia.

Z krzykiem farmer rzucił się w stronę wioski.

– Uldyzjanie! – zawołała za nim Lylia. – Co się stało?!

– Mój brat! Mendeln... – nie mógł powiedzieć nic więcej. Myślał jedynie o tym, by dotrzeć do wsi, zanim coś strasznego stanie się młodszemu bratu. Nie zastanawiał się, skąd wie, że tamten jest w niebezpieczeństwie. Liczyło się tylko to, czy zdąży uchronić Mendelna przed tym, co mu grozi, nawet jeśli oznaczało to, że sam skończy w kajdanach.

Nieoczekiwanie zobaczył przed sobą jakieś postaci. Już szykował się do starcia... gdy rozpoznał Achiliosa i Serentię.

– Uldyzjanie! – wykrzyknęła Serentia. – Co za szczęście, że jesteś cały!

Myśliwy też coś mówił, ale Uldyzjan, choć rad, że ich widzi, ani myślał zwolnić. Czuł, że liczy się każda chwila. Bez słowa minął Achiliosa i Serri, bo z każdym uderzeniem serca dudniło mu w uszach przerażenie – czas uciekał.

Zobaczył już pierwsze zabudowania Seram. I poczuł nieśmiałą nadzieję.

Ale wtedy rozległ się głośny ostry trzask i pierś Uldyzjana przeszło ostrze paniki.

Zgrzytając zębami i oddychając chrapliwie, farmer wmaszerował do wioski.

To, co zobaczył, sprawiło, że zapłonął gniewem. Mieszkańcy wioski stali stłoczeni niczym bydło, a na ich twarzach malowały się strach i niepewność. Czterech inkwizytorów z obnażoną bronią pilnowało, aby nikt się nie ruszał.

Ale gorsze, o wiele gorsze było to, czemu wieśniacy się przyglądali. Przy zrujnowanej studni dowódca zbrojnych stał przy klęczącym Mendelnie. Drugi inkwizytor przytrzymywał młodzieńca, by ten nie mógł się podnieść. Młodszy brat Uldyzjana miał tunikę rozerwaną na plecach, a wzdłuż kręgosłupa czerwoną pręgę. Pręgę, którą zostawił długi, pleciony bicz.

Dowódca straży zauważył Uldyzjana i przygotował się do drugiego uderzenia.

– Poddaj się, Uldyzjanie, synu Diomedesa, albo zmusisz mnie, bym zadał twemu bratu więcej cierpienia!

Te pokrętne słowa, twierdzenie, że to z winy Uldyzjana Mendeln zostanie wychłostany, tylko podsyciły wściekłość farmera. Chciał skrzywdzić inkwizytorów tak, jak oni skrzywdzili jego brata.

Końcówka bicza uniosła się nagle, jakby poderwana podmuchem wiatru. Dowódca zaskoczony, szarpnął rękojeść harapu, ale rzemienny bat miast posłuchać swego właściciela owinął mu się wokół szyi.

Rycerz próbował go ściągnąć, lecz rzemień zacisnął się gwałtownie. Mężczyźni oczy wyszły z orbit, puścił rękojeść i oburącz próbował zerwać pętlę.

Strażnik najbliższy Mendelna ruszył dowódcy na pomoc, próbując jednocześnie schować miecz do pochwy. Jednak jego dłoń skrzyła się nieoczekiwanie, przez co ostrze znalazło się nad krawędzią pochwy. Klinga wygięła się w niewytłumaczalny sposób i zatonała w ciele właściciela, tuż poniżej napierśnika.

Krew bluznęła na ręce rycerza, a on, oszołomiony, wpadł na swego dowódcę, który rozpaczliwie próbował zerwać z szyi makabryczny rzemień. Ranny strażnik zwałił się do nóg Mendelna. Młodzieniec cofnął się wstrząśnięty. Chwilę później dowódca padł obok podwładnego. Bat nadal ciasno oplatał mu gardło.

– Uldyzjanie! – krzyknęła Lylija gdzieś z tyłu. – Uważaj na pozostałych!

Farmer obejrzał się. Pozostali strażnicy zbliżali się gotowi do walki. Uldyzjanowi przemknęła przez głowę myśl o ucieczce, ale furia ją zagłuszyła. Pełnym wściekłości spojrzeniem obrzucił zbrojnych, którzy zastraszaali porządnych ludzi w imieniu zakonu.

Jeden z rycerzy się potknął. Zbrojne ramię skręciło...

Klinga gładko rozplatała gardło strażnika obok. Tamten zacharczał, wypuścił miecz i padł. Ostrze jakimś sposobem zaplątało się w nogi kolejnego strażnika. Nieszczęśnik zachwiał się, obrócił na pięcie i uderzył głową o ziemię. Potem rozległ się trzask i mężczyzna znieruchomiał z karkiem wygiętym pod dziwnym kątem.

Ale reszta oddziału już okrążała Uldyzjana. Farmer patrzył na nich niczym na robaki próbujące zniszczyć jego plony. Tym zresztą byli w jego oczach – szkodnikami. Przypomniał sobie, jak kiedyś odkrył, że coś żeruje na zmagazynowanym w spichlerzu zbożu. Mógł wtedy zrobić tylko jedno – spalić składzik, żeby paskudztwo się nie rozprzestrzeniło. Musiał spalić własne zapasy, spalić je razem z robakami...

Spalić...

Zbrojny na przedzie krzyknął głośno. Rzucił miecz i przerażony spojrzał na swą dłoń, która ciemniała w oczach. W czasie nie dłuższym niż jeden oddech ciało się zwęgliło, mięśnie i ścięgna zmieniły w popiół. Kość czerniała i czerniała, aż nic z niej nie zostało.

Całe ciało strażnika poczęło dzielić los jego ręki. Twarz pomarszczyła się i uschła, ciało zadygotało, nawet zbroja zmatowiała, jakby została ciśnięta wprost w ogień. Mężczyzna krzychał, ale krzyk został zgłuszony, gdy język się skruszył. Oczy zniknęły; spłynęły w głąb oczodołów. Poczerniałe truchło osypało się w stos kości, które szybko zmieniły się w popiół.

Pozostali strażnicy nie zdążyli przerazić się losem towarzysza – już ginęli w ten sam sposób. Ten i ów krzyknął w cierpieniu, ale ogień trawił jednego po drugim i wkrótce słychać było tylko podzwanianie pustych blach i porzuconej broni.

Dopiero gdy wszyscy zmienili się w pył, Uldyzjan odzyskał panowanie nad sobą... i spoglądał na przerażający widok. Tego, co się stało, w żaden sposób nie potrafił połączyć z własną osobą. A jednak nie mógł też zaprzeczyć, że owo palące pragnienie, by ranić, obrócił przeciwko nieszczęsnym strażnikom.

Seram ogarnęła niezwykajna cisza. Uldyzjan zdołał wreszcie oderwać oczy od makabrycznych szczątków i popatrzeć na brata, który stał nieopodal. Mendeln oddychał ciężko, zapewne wciąż jeszcze czuł ból po uderzeniu biczem, i tylko patrzył.

– Uldyzjanie... – zdołał wreszcie wyszeptać.

Jednak Uldyzjan nie zwracał już uwagi na młodszego brata, lecz ponad jego ramieniem spoglądał na grupę wieśniaków. Stali w bezruchu, choć ich prześladowcy byli martwi co do jednego. Ale w oczach mieszkańców Seram farmer nie dostrzegał ulgi, lecz strach .

Strach przed nim...

Kiedy Uldyzjan wyciągnął ku nim rękę, cofnęli się jak jeden mąż.

Wtedy i on postąpił krok w tył. Rozejrzał się. Inni wychodzili z ukrycia. Ludzie, których Uldyzjan znał od zawsze, teraz spoglądali nań z przerażeniem.

– Niczego nie zrobiłem... – wymamrotał bardziej do siebie niż do nich. – Niczego nie zrobiłem – powtórzył głośniej.

Ale ludzie z Seram już inaczej na niego patrzyli, wiedział to. Wierzyli, że zabił obu kapłanów. Bo jakżeby inaczej? Na własne oczy widzieli, jak człowieka zabił piorun, drugiego zadusił własny bicz, a innych śmierć zabrała w sposób, którego za nic nie dało się nazwać zwyczajnym.

Uldyzjan zauważył Tibiona. Zrobił krok w stronę karczmarza, który przez lata zastępował mu ojca. Może choć Tibion okaże się rozsądny...

Krępy karczmarz lekko cofnął się przed farmerem i nie do końca udało mu się skryć niepokój i odrazę pod niewzruszoną miną. W milczeniu pokręcił głową.

Ktoś pociągnął Uldyzjana za rękaw.

– Uldyzjanie... chodź stąd... – szepnął Mendeln, krzywiąc się z bólu. – Szybko!

– Muszę im przemówić do rozsądku, Mendelnie! Nie mogą przecież wierzyć...

– Wierzą. Chyba nawet ja wierzę. To nie ma znaczenia. Rozejrzyj się. Nie jesteś już dla nich Uldyzjanem! Jesteś potworem, za którego uznał cię mistrz inkwizytor! Tylko to widzą!

Ze ściągniętymi brwiami Uldyzjan spojrział w jedną, potem w drugą stronę. Ale napotkał tylko te same mroczne spojrzenia.

Nadchodził Dorius... a z nim Tiberius. Kapitan miał rękę na temblaku i rozcięty policzek. Za nimi szło dwóch strażników, którzy wcześniej zamierzali zamknąć Doriusa w jego własnych kwaterach. To Tiberius wreszcie przemówił do Uldyzjana.

– Nie ruszaj się, Uldyzjanie. Załóż ręce na plecy...

– Nie ja do tego doprowadziłem – zaprotestował farmer, boleśnie świadom, że na nic się nie zdadzą jego tłumaczenia. – Musisz mnie

wysłuchać...

– Łuczniczy są na pozycjach – przerwał mu nerwowo Dorius. – Bądźże rozsądny, Uldyzjanie...

Farmer potrząsnął głową. Nikt go nie słuchał. Istne szaleństwo. Ludzie widzieli w nim mordercę i potwora.

Zaprzątnięty zamętem we własnych myślach, niemal przeoczył dyskretny ruch Tiberiusa. W mgnieniu oka przypomniał sobie słowa wójta. Łuczniczy. Ludzie, którzy kiedyś byli mu przyjaciółmi. Woleli go zabić, niż zrozumieć.

– Nie! – krzyknął. – Nie!

Ziemia zadrżała. Zebrani wokół mieszkańcy Seram zaczęli się przewracać. Coś gwizdnęło mu koło ucha.

Czyjaś silna dłoń pociągnęła Uldyzjana. Tym razem nie Mendeln. Lylia.

– To nasza jedyna szansa! Chodź!

Uldyzjan nie był w stanie i nie chciał już myśleć, pozwolił więc, by dziewczyna wyprowadziła go z wioski. Choć wokół ludzie nie mogli utrzymać się na nogach, zarówno farmer, jak i jego towarzyszka stąpali pewnie.

Ktoś zawołał go po imieniu. Obejrzał się, mimo że Lylia nie przestawała go za sobą ciągnąć. Mendeln na czworakach próbował podążać za nimi, ale podobnie jak reszta mieszkańców Seram, nie był w stanie utrzymać się na nogach.

Ignorując protesty szlachcianki, Uldyzjan zawrócił. Młodszy brat chwycił go za rękę i nagle bez trudu złapał równowagę. Uldyzjan ujął go mocno i wyprowadził z chaosu.

– Konie! – Mendeln usiłował przekrzyczeć hałas. – Potrzebujemy koni!

Uldyzjan miał już mu odpowiedzieć, że nie starczy im czasu na szukanie choćby jednego wierzchowca, co tu mówić o pięciu, gdy jeden ich wyprzedził. Za nim pobiegło jeszcze kilka. Wszystkie nosiły na grzbietach

siodła ze znakiem Katedry Światła. Popędziły w stronę lasu, prosto w ręce czekającego Achiliosa.

Achilios, który doskonale potrafił obchodzić się ze zwierzętami, złapał trzy konie. Serentii udało się okiełznać czwartego. Piąty uciekł.

Uldyzjan zatrzymał się przed łuczniakiem. Przyjaciele przez całe życie czytali nawzajem w swoich spojrzeniach.

– Musimy się stąd wynosić – odezwał się wreszcie Achilios, podając farmerowi wodze dwóch wierzchowców. – I to jak najdalej, póki im rozum nie wróci.

Obaj wiedzieli, że coś takiego jest niemożliwe. Achilios i Serentia mogli pójść do wioski, owszem, i gdyby to zależało od farmera, zapewne by tam poszli. Jednak sam Uldyzjan, i z powodu pokrewieństwa także i Mendeln, najpewniej na zawsze żegnali się ze swym domem.

– Mamy tylko cztery konie – zauważyła Serentia. – Uldyzjanie, ty i ja...

– Pojadę z Uldyzjanem – rzuciła Lylia w przestrzeń. – Ona może dosiąść drugiego konia.

Serentia sprawiała wrażenie gotowej do kłótni, ale Uldyzjan posłuszny słowom szlachcianki już oddawał wodze. Achilios szybko przekazał je Mendelnowi, który gapił się na nie, jakby to były węże.

– Na koń! – ponaglił łucznik. – Ziemia już drzeć przestaje!

I rzeczywiście, w Seram z wolna się uspokajało. Uldyzjan zastanowił się przelotnie, czy trzęsienie ziemi przybrałoby na sile, gdyby sobie tego zażyczył, a potem skłął się, że w ogóle ośmielił się pomyśleć coś podobnego. Bez względu na to, czy był za to wszystko odpowiedzialny, czy nie, dość już ludzi ucierpiało, czy nawet straciło życie z powodu tych wydarzeń. Życzyć sobie czegoś, co mogłoby narazić innych, było w jego opinii równie potworne, co i zbrodnie, za które niesłusznie go oskarżono.



Powiódł wzrokiem po tych niewielu, którzy przy nim zostali. Ze wszystkich Serentia była najbardziej niewinna. Przynajmniej ona powinna wrócić do Seram i to lepiej teraz niż później.

– Serri! Wracaj do wioski! Nikt cię raczej nie widział! Wracaj do ojca i do braci...

– Nie. Póki się nie upewnię, że jesteś bezpieczny – odparła buntowniczo. Ku zaskoczeniu Uldyzjana Achilios poparł dziewczynę.

– Niechaj jedzie z nami, nim sprawy się nie ułożą. A teraz dość czczych gadek!

– Na południowy wschód! – zarządziła Lylija. – Jedźmy na północny wschód! Tam będziemy najbezpieczniejsi!

Uldyzjan nie miał pojęcia, co znajduje się we wskazanym przez nią kierunku. Spojrzał na Achiliosa, ale myśliwy odpowiedział jedynie wzruszeniem ramion. On też nie oddalał się nigdy zbyt daleko od wioski.

Lylija pochyliła się do ucha Uldyzjana, jej ciepły oddech pobudzająco łaskotał go w skórę.

– Zaufaj mi... – szepnęła. – Na południowy wschód...

– Na południowy wschód zatem! – huknął do towarzyszy. – Jak najdalej od tego szaleństwa.

Uldyzjan czuł ramiona Lylii oplatające go w pasie, jej miękki policzek przytulony do pleców. Pognał wierzchowca. Za nim podążyli pozostali, z Achiliosem na końcu.

Wszystko się jakoś ułoży, uporczywie powtarzał w duchu Uldyzjan. Wszystko się jakoś ułoży. Wszystko znów nabierze sensu i będzie mógł wieść zwyczajne życie, aczkolwiek zapewne nie w pobliżu Seram. Więzi, jakie miał z mieszkańcami wioski, zostały zerwane. Nie mógłby tam już nikomu zaufać, a oni też pewnie nie umieliby zaufać jemu. Oskarżenia i wspomnienia zawsze rzucałyby ponury cień.

Ale mógł przecież rozpocząć życie gdzieś indziej, zapomnieć o Seram i o tym, co tam się wydarzyło. Farmerowi trzeba jedynie kawałka urodzajnej ziemi i silnych rąk. Uldyzjan miał silne, gotowe do pracy ręce. Mógł zbudować sobie nowy dom, być może dość duży, by założyć rodzinę. Lylia tyle dla niego poświęciła. Z pewnością nie był jej obojętny, mimo różnic pochodzenia. Razem będą mogli zostawić przeszłość za sobą i stworzyć nową przyszłość.

O ile Katedra i Świątynia im na to wszystko pozwolą...

# SZEŚĆ



Zatrzymali się na noc na skraju traktu prowadzącego przez wzgórza okalające te bardziej ucywilizowane rejony, i dalej, w rozległą dżunglę. Achilios od razu podjął się zorganizowania posiłku. Mendeln rozpałił ogień, a Serentia, Lylia i Uldyzjan rozeszli się w poszukiwaniu wody i jagód. Farmer był bardziej niż zadowolony, że może skupić się na czymś innym niż sytuacja, w jakiej się znalazł, i zawędrował w las głębiej od pozostałych. Spokój panujący wśród szumiących cicho drzew wypełnił jego serce spokojem, jakiego Uldyzjan nie czuł od wielu dni. Cieszył się, delektował ciszą do tego stopnia, że właściwie zapomniał, co miał zrobić.

Jego spokój zniweczył gwałtowny szelest liści. Uldyzjan instynktownie sięgnął do boku, gdzie zwykł nosić utracony nóż. Ale gdy uświadomił sobie bezsensowność tego gestu, zza krzewów wyłoniła się osoba, na widok której serce Uldyzjana zabiło z przyjemnością, nie obawą.

– Przepraszam... – Lylia podniosła na niego oczy. – Bałam się zostać sama! I... i chciałam być z tobą, Uldyzjanie...

Wsunęła bielutką dłoń w jego mocną i spracowaną, a farmerowi krew zaszumiała w uszach. Zbłąkany między liśćmi promień księżyca odbił się w oczach dziewczyny i sprawił, że zaśniły jak gwiazdy.

– Nie ma się czego bać – zapewnił ją Uldyzjan, ciesząc się dotykiem jej palców. – Jutro sprawy przybiorą lepszy obrót, zobaczysz.

Uśmiechnęła się.

– To niemądre, że ty starasz się mnie pocieszyć! To twoje życie jest zagrożone, Uldyzjanie...

– Jesteśmy już daleko od Seram. Raz dwa o mnie zapomną. – Było to oczywiście kłamstwo, ale farmer nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Nie zapomną. Sądzę... Uldyzjanie, tylko jedna rzecz może nas uchronić przed wieczną uciezką. Wspomniałam o tym wcześniej i teraz, gdy widziałam, jak wspaniały dar posiadasz, jestem tego jeszcze bardziej pewna.

Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

– Lylio...

– Proszę... – Bez uprzedzenia pocałowała go w usta. Pocałunek był długi i słodki i wypełnił Uldyzjana pożądaniem.

– Musimy iść do samego wielkiego miasta – powiedziała, gdy się rozdzielili. – Musisz przemówić do ludzi! Nie do magów czy szlachty, ale zwyczajnych ludzi! Zrozumieją cię...

Roześmiał się gniewnie.

– Ludzie w mojej rodzinnej wsi nie zrozumieli! Widzieli we mnie potwora!

– To przez okoliczności! Jeśli pójdiesz do miasta, zaczniesz wszystko od nowa! Otrzymałeś wyjątkowy dar, wspaniały! Ludzie muszą się o tym dowiedzieć!

– I co mam im powiedzieć? By poszli za mną jak za jakimś dobrym duchem, a może zagrozić, że rozerwę ich na strzępy tak jak tych wysłanników Katedry? Co mógłbym im ofiarować poza życiem w strachu i pogardzie?

Spoważniała i popatrzyła mu głęboko w oczy.

– Mógłbyś im obiecać, że staną się tacy jak ty! A to więcej niż Katedra i Świątynia kiedykolwiek mogły zaoferować!

– Staną się tacy jak ja? – nie mógł uwierzyć własnym uszom. Czy ta dziewczyna oszalała? – A dlaczego mieliby tego chcieć? By cierpieć jak ja? Jeśli już o tym mówimy, wcale nie wiem, czy ja w to w ogóle wierzę...

Położyła mu palce na ustach.

– Sprawdźmy to. Raz jeszcze. Tutaj, zaraz.

– Sprawdźmy...

– Ostateczny dowód. – Rozejrzała się. – O tu. Coś małego, acz znaczącego. Czemu nie zdołasz zaprzeczyć.

Poprowadziła go do krzewu. Był wyschnięty i na gałązkach poza paroma poskręcanymi liśćmi zachowało się jedynie kilka pomarszczonych jagód.

– I co mam z tym zrobić? – warknął Uldyzjan.

– Dotknij go. Wyobraź sobie to, czego byś od niego chciał. Tyle.

Przypomniał sobie, jak poprzednio spełnił jej prośbę. Wciąż nie do końca było jasne, co się wtedy właściwie stało. Tym razem jednak...

Ale nie mógł jej odmówić. „Wyobraź sobie to, czego byś od niego chciał”, powiedziała. Nerwowo wzruszył ramionami. Co mógłby chcieć od krzaka? Chyba tylko, aby był obsypany świeżymi jagodami. Ale na tym krzaku nie było owoców, roślina chyba już umarła albo niewiele jej brakowało. Gdyby była młodsza, pełna soków i życia, z pewnością zebraliby pełne garście owoców.

Dotknął gałęzi. Listki były całkiem zeschnięte. Krzak nie umierał, był całkiem martwy.

Nie było sensu ciągnąć tego dalej.

– Lylio...

Przytrzymała jego dłoń łagodnie, tak by nadal dotykał gałązek.

– Proszę... tylko ten jeden raz.

Choć nie mógł się przekonać do tej próby, jednak chciał przede wszystkim zadowolić Lylię. Patrząc na jej dłoń na grzbiecie swojej, myślał

o krzaku i soczystych, dojrzałych owocach, jakie chciałby znaleźć na gałęziach. O tylu owocach, by wszyscy się najedli. Po kłopotach, jakich on i jego towarzysze doświadczyli przez te niby–moce, przynajmniej to mogłyby one dlań zrobić.

Zachłystując się powietrzem, gwałtownie cofnął rękę.

Inaczej niż wtedy, gdy koncentrował się na burzy nad Seram, tym razem nie było żadnej przerwy między pragnieniem a jego spełnieniem. Zmiana dokonała się przed Uldyzjanem i nawet w mdłym świetle księżyca nie mogła uchodzić za nic innego jak tylko za cud.

Krzak stał się kilkakrotnie większy i cały pokrył się mięsistymi liśćmi. Tam, gdzie przed chwilą widać było tylko kilka zeschniętych jagódek, teraz zwisało pełno świeżych i aż pękających od soku. I nie były to tylko jagody, jakie Uldyzjan zwykł widywać na tego typu krzakach – tu rosły owoce różnych gatunków, a rozkwitłe między nimi kwiaty napełniały noc przesłodkim zapachem.

W porównaniu z burzą było to coś niewielkiego, ale pozbawiło farmera wszelkich wątpliwości. Transformacja uświadomiła mu, że władał siłami ponad wszelkie wyobrażenie.

I ta świadomość sprawiła, że zadygotał cały jak jeszcze nigdy w życiu, nawet wtedy, gdy patrzył na makabryczną śmierć inkwizytorskiej straży.

– Dlaczego drżysz? – Lylia wyszła zza jego pleców. – Spójrz! – Zerwała kilka jagód i wrzuciła do ust. Jej oczy rozszerzyły się z zachwytu. – Wspaniale! Sam posmakuj!

Zanim zdążył zaprzeczyć, zerwała i podała mu kolejne jagody. Oparła się dłonią o jego pierś, nie przestając patrzeć Uldyzjanowi w oczy.

Nie mógł odrzucić poczęstunku. Dziewczyna wsunęła mu jagody do ust, pozwalając, by jej palce spoczęły na jego wargach nieco dłużej, niż to konieczne.

– Posmakuj – powtórzyła i wolno cofnęła dłoń.

Nigdy w życiu Uldyzjan nie próbował czegoś podobnego. Każda jagoda była nieskończenie smaczna, słodka, niczym najśłodsze wino...

– Mocy, którą nosisz w sobie, powinni obawiać się tylko ci, którzy będą jej tobie zazdrościć! Inni zobaczą, ile dobra ona może przynieść, wtedy zrozumieją... i wtedy... wtedy... będziesz mógł ich nauczyć...

– Na... nauczyć?

– O tym mówiłam! Zobaczyć w ludziach potencjał, by stali się tacy jak ty! Pokazać im, że nie muszą się kłaniać ani klanom magów, ani Katedrze, ani Świątyni! Udowodnić, że w każdym jest coś wspaniałego, czego nie zdoła pojąć żaden fałszywy prorok czy kapłan... – Zamilkła. – Wiem, o czym mówię, kochany. Możesz im pokazać... Wiem o tym! Patrz! Patrz!

Delikatnie dotknęła kwiatu, samym tylko czubkiem wskazującego palca.

I z kwiatka wyłonił się maleńki ogonek zakończony owalem jagody. Jagoda spęczniała szybko, pękła i odsłoniła maleńki stulony pączek, który powoli rozchylił płatki. Uldyzjan z otwartymi ustami gapił się na kwiat bliźniaczo podobny do oryginału.

– Udało się! Wiedziałam! Czułam to! – Śmiech Lylly był niczym muzyka.  
– Czułam to od tamtej chwili, gdy mnie uleczyłeś! Jakbyś obudził we mnie jakąś moc! To niewiele w porównaniu z tym, co ty osiągnąłeś, ale zawsze coś... – Odwróciła się ku niemu, a w jej głosie zadźwięczała determinacja.  
– Obudziłeś to we mnie, ukochany! A to znaczy, że tak samo możesz nauczyć innych! Żaden fałszywy prorok nie wypełni już ludziom uszu kłamstwami po tym, czego dokonasz! Nikt nie będzie mamił wiernych pustymi obietnicami, bezużyteczną nadzieją! I to dzięki tobie!

Jej słowa wirowały wokół niego odpychające... i kuszące zarazem. Znow przeżywał śmierć swych bliskich, przypominał sobie słodkie do

obrzydliwości słowa kapłanów, którzy chcieli tylko wykorzystać jego rozpacz. Niepokój i strach Uldyzjana ustąpiły przed falą gniewu.

Lylia przyciągnęła jego głowę, jej usta niemalże dotykały jego warg.

– Ilu jest jeszcze takich, którzy cierpieli jak ty? Za twoją sprawą to może już się nie powtórzyć!

Żadnych więcej kapłanów. Żadnej Trójcy. Ani Katedry Światłości. Ludzie będą polegać na sobie, wybierać własną ścieżkę...

Uldyzjan uśmiechnął się szeroko.

To mu się podobało.

– A ja – westchnęła Lylia. – Ja będę przy tobie cały czas. Zawsze będziemy razem, zawsze... jednością.

Pocałowała go długo, namiętnie... i pociągnęła na miękkie poszycie...

Serentia kuliła się przy ogniu, na chustce obok leżało to, co zebrała w lesie. Większość jagód była prawie niejadalna, ale zawsze to coś.

Po drugiej stronie ogniska Mendeln wpatrywał się w ciemność. Nie spodziewali się Achiliosa jeszcze przez jakiś czas, za to Uldyzjan i Lylia powinni już dawno wrócić. Mendeln martwił się tylko o bezpieczeństwo brata, podczas gdy niepokój Serentii miał też i inne przyczyny.

– Jest z nią... – mruknęła Serentia. W jej głosie pobrzmiwały emocje, które wprowadziły Mendelna w zakłopotanie. Kobiety w Seram nigdy jakoś nie uznały go za interesującego, a on z kolei nie miał pojęcia, jak mógłby to zmienić.

– To możliwe. Mam nadzieję, że Achilios złapie przynajmniej królika – zmienił temat. – W jukach strażników były tylko suche racje.

– Martwię się o niego, Mendelnie – Serentia nie rezygnowała. – Kiedy jest z tą kobietą, zupełnie traci rozum.

– Na pewno nie. Znam swojego brata.



Dziewczyna poderwała się tak gwałtownie, że zaskoczony Mendeln cofnął się o krok.

– Wystarczy, że szepnie mu coś do ucha, a on idzie za nią jak piesek.

– Tak to już jest z miłością – odparł, zanim zdał sobie sprawę, co tak naprawdę powiedział. Ku jego przerażeniu Serentia popatrzyła na niego, jakby przebił jej serce sztyletem. – Chciałem powiedzieć...

Na szczęście jego nieskładne tłumaczenia przerwało pojawienie się Achiliosa. Myśliwy miał w ręku dwa króliki i ptaka, a na twarzy szeroki uśmiech, który zgasł, gdy zobaczył minę Serentii.

– Serri... co się stało? – I przeniósł spojrzenie od dziewczyny do Mendelna. Tego ostatniego przeszył płonącym wzrokiem tak, że młody uczoney poczuł się jak ścigana zwierzyna. – Powiedziałaś jej? Mendelnie! Jak mogłeś? Serri, tak mi przykro z powodu twego ojca...

Mendeln chciał go uciszyć gestem, ale nie zdążył. Teraz Serentia nie patrzyła już na Mendelna. Wpatrywała się w Achiliosa.

– Co z moim ojcem?

Myśliwy ruszył do młodego przyjaciela, jakby w ogóle nie słyszał pytania.

– Pomóż mi przygotować posiłek, Mendelnie. Trochę się będą musiały pogotować, więc lepiej się pospieszmy...

– Achiliosie! – Serentia zastąpiła mu drogę. – Co się stało z moim ojcem? – Teraz spojrzała na Mendelna. – Ty też wiesz?

– Serentio, ja...

Ale to tylko bardziej ją rozjuszyło.

– Coś mu się stało! Chcę wiedzieć!

Łucznik wypuścił upolowaną zwierzynę i złapał Serri za ramiona. Mendeln chciał uczynić to samo, ale jak zwykle, gdy miał do czynienia z kobietami, był o krok za innym mężczyzną.

– Serri... – Na dobre zniknęła gdzieś zwykła wesołość Achiliosa. – Serri... Cyrus nie żyje.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie... nie... nie...

– To prawda – dołączył się ostrożnie Mendeln. – To był... wypadek.

– Jak?

Brat Uldyzjana zawahał się.

– Wiatr zerwał część dachu.

Dziewczyna wbiła wzrok w ziemię.

– Wiatr...

Mendeln obawiał się, że Serentia będzie oskarżać Achiliosa, ale dziewczyna skuliła się blisko płonącego ognia. Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała.

Achilios natychmiast znalazł się u jej boku i pocieszająco objął ramieniem. W jego twarzy i gestach Mendeln widział jedynie współczucie i troskę. Młody uczonek wiedział, jak bardzo jego przyjacielowi zależało na Serentii, bardziej niż na kimkolwiek innym na świecie. Zupełnie inaczej niż Uldyzjanowi, bo ten nigdy nie przestał traktować Serentii jak dziewczynki, która nie odstępuje go na krok.

Ale ponieważ Mendeln znał dobrze Serentię, było mu żal myśliwego. Oto trafił na jedyną zwierzynę, której żadne nadzwyczajne umiejętności nie pozwolą mu złapać.

Czując się niezręcznie, Mendeln oddalił się od ogniska. Później wszyscy zajmą się przygotowaniem posiłku, ale teraz wołał zostawić dziewczynę pod opieką Achiliosa. I uczynił to nie tylko z szacunku. Nie, oddalił się do lasu przez wzgląd na własne zdrowe zmysły. Co mógłby powiedzieć, gdyby usiadł obok dziewczyny... Że jej ojciec wołał ją już po swojej śmierci? I że

Mendeln mógłby przysiąc, że widział Cyrusa stojącego nad swym zmasakrowanym ciałem?

Przysiadł i oparł się o drzewo. Z całych sił próbował zrozumieć, co się z nim dzieje. Te utraty przytomności, ziemia na palcach, głosy i wizje – wszystko to wskazywało na obłąd.

A jednak to, co działo się wokół Uldyzjana, można było nazwać tak samo. I najwyraźniej sam Uldyzjan tak myślał.

Tyle że się mylił. Mendeln sam był tego dowodem. Skóra, głęboko przecięta uderzeniem bicia, zamknęła się bez śladu. Na postoju zauważył, że po ranie nie została nawet blizna.

Choć noc była chłodna, Mendeln czuł grube krople potu na twarzy. Starł je i spróbował się uspokoić. Brat potrzebował go bardziej niż kiedykolwiek. I na tym Mendeln musiał się skupić. Tylko że...

Był obserwowany.

Odwrócił się gwałtownie i złowił kątem oka zarys postaci w czarnych szatach i jakby dziwnej, segmentowej zbroi. Twarz intruza skrywał wielki kaptur.

I tak jak Cyrus, postać zniknęła bez śladu.

Tego już było dla Mendelna zbyt wiele. Zerwał się i biegiem ruszył do obozu.

Z drzewa opadł wielki kształt i na czworakach wylądował przed Mendelnem. I nawet w takiej pozycji sięgał uczonemu mniej więcej do ramienia, a gdy stanął, choć przygarbiony, przerastał chłopaka dwukrotnie. Stwór otworzył żabie usta, prezentując rząd zębów jak sztylety i gruby jęzor, doskonale widoczne w świetle księżyca. Wpatrywał się w Mendelna trzema parami czarnych ślepiów, które lśniły własnym, przeklętym światłem.

– Mięssssooo... – wychrypiał, unosząc przednie kończyny. Pazury miał ostre i długie jak ludzka ręka. Monstrualny ogon walił w ziemię z zadowoleniem. – Pójdź dooo mnieeee, mmmięssssooo...

Mendeln nie miał najmniejszego zamiaru posłuchać, ale jego ciało wyraźnie postanowiło inaczej. Najpierw jedna noga, potem druga... powoli, nieuchronnie Mendeln zmierzał prosto w szpony bestii.

Nozdrza wypełnił mu smród gnijącego już od stu lat mięsa. Stwór czekał cierpliwie. Bez trudu mógł rozerwać człowiekowi gardło albo nawet rozplatać brzuch, ale najwyraźniej rozkoszował się strachem swojej ofiary.

Mendeln chciał krzyknąć, ale nie potrafił. Gdy stwór pochylił się nad nim, rozdziawiając paszczę ociekającą śliną, w głowie młodzieńca błysnęła obraz dziwnych symboli. Były podobne do tych na starożytnym kamieniu znalezionym przez Achiliosa. Lecz co najdziwniejsze, Mendeln, który poprzednio nie był w stanie ich nawet zrozumieć, teraz wiedział, jak je wymówić.

Co też, nie zwlekając, uczynił.

Duży stwór warknął wyraźnie zmieszany. Odwrócił się od Mendelna, popatrzył gdzieś w dal. Jeden pazur dźgnął ziemię tuż obok znieruchomiłego chłopaka. Potwór powęszył, wyraźnie coraz bardziej zły.

I dopiero wtedy Mendeln zrozumiał, że bestia jest ślepa...

Pojął też, że odzyskał władzę nad ciałem. Nie zastanawiając się nad tą nagłą odmianą losu, ostrożnie postąpił krok w bok. Potwór odwrócił się, ale w niewłaściwą stronę. Mendeln wstrzymał oddech i zrobił drugi krok.



Musiał przy tym wywołać jakiś dźwięk, bo bestia błyskawicznie zwróciła się w jego stronę i machnęła potężną łapą. I choć Mendeln poruszał się, jak

mógł najszybciej, czubek jednego ze szponów zahaczył o rękaw tuniki. Młodzieńcem gwałtownie zakręciło i przewrócił się bezradnie na ziemię. Z jakiegoś powodu sądził, że demon nie powinien nic słyszeć. Czuł, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego, że ślepotcie winna towarzyszyć głuchota.

Stwór sięgnął w jego stronę... Rozległ się krzyk i świst strzały. Mendeln usłyszał głucho uderzenie i wściekłe warczenie swojego prześladowcy. Czuł, że bestia odwróciła się od niego.

– Ruszaj, Mendelnie! – wrzasnął Achilios. – Ruszaj!

Posłuchał natychmiast.

– Oczy! – krzyknął w odpowiedzi. – Chwilowo jest ślepy, ale celuj w oczy!

Zapewne nie musiał podpowiadać niczego tak doskonałemu myśliwemu, ale Achilios uratował Mendelnowi życie i chłopak chciał się odwdziżyć choć w taki sposób. Nagła ślepotą potwora stanowiła ich jedyną przewagę, o ile w ogóle jakąkolwiek mieli.

– Więceeeej mięsssa... – zadrwił z nich potwór. – Gdzieeee jessteeeeeście?

Achilios wypuścił kolejną strzałę. Jednak jego cel, choć ślepy, zdołał ją wyczuć i w porę się uchylił. Grot ześlizgnął się po łuskowatej skórze, nie czyniąc potworowi krzywdy. Lecz Mendeln zauważył pierwszą brzechwę pod pachą bestii, gdzie skóra musiała być cieńsza. Achilios miał niezwykle szczęście, że trafił. Ciało potwora było naprawdę dobrze chronione.

Gdy łucznik wypuścił kolejną strzałę, stwór skoczył w jego kierunku. Pojawiwszy się jakby znikąd, Serentia ruszyła do ataku, ściskając oburącz płonąca gałąź z ogniska. Gdyby stwór widział, z pewnością by ją zabił, ale oślepiiony nie zdołał jej powstrzymać i dziewczyna wraziła płonące drewno prosto we wrażliwe ślepie.

Wycie, jakie rozdarło powietrze, zmroziło Mendelna. W powietrzu rozszedł się smród, tym razem spalonego ciała.

Ranny potwór dziko zamachał ramionami. Serentia nie była w stanie uskoczyć. Szpony cięły ją po plecach. Upadła i znieruchomiała.

– Serri! – Achilios niczym opętany począł strzelać. Tym razem zdołał trafić w oko. Stwór zawył ponownie i wyrwał pocisk z oczodołu.

Gdy bestia znów zwróciła się do myśliwego, Mendeln zrozumiał, że wzrok jej wrócił. A tym samym groziło im niebezpieczeństwo, którego tylko on był świadom.

– Nie patrz mu w oczy! – krzyknął desperacko do łucznika. – Bo cię do siebie przyciągnie!

Ale ostrzeżenie przyszło zbyt późno. Achilios zeszywniał i wypuścił łuk. Ramiona zawisły mu bezwładnie i łucznik znieruchomiał przed zbliżającą się potwornością. Stwór zaśmiał się ohydny chrapliwym śmiechem i sięgnął po bezradny kąsek.

Ale szpony znieruchomiały tuż przed Achiliosem, niezdolne dotknąć ofiary. Nagle ziemia pod stopami potwora stała się płynna. Monstrum próbowało się wyrwać, ale tylko grzęzło głębiej.

Bestia rozejrzała się, najwyraźniej szukając przyczyny tego zjawiska, ale niczego nie znalazła.

– Cooo?! – zaryczała. – Ktooo?!

Spojrzenie wstrętnych ślepiów skupiło się na Mendelnie, jedynym, który pozostał w zasięgu wzroku potwora. Bez zastanowienia młodzieniec potrząsnął głową, jakby chcąc wyprzeć się jakiegokolwiek odpowiedzialności. Ale bestia i tak zwróciła się w jego stronę i skupiła nań hipnotyczne spojrzenie.

Wtedy płynna ziemia podniosła się wyżej, jakby nie mogła doczekać się swej ofiary. Potwór natychmiast zapomniał o Mendelnie i spróbował się wyrwać z pułapki. Bezskutecznie. Błoto podniosło się jeszcze wyżej, łakomie pochłaniając korpus monstrum. Bestia szarpnęła ziemię pazurami,

ale ta niczym tężający miód pochwycała je natychmiast. Potwór spróbował uwolnić szpony, używając drugiej łapy, ale i te utknęły.

Chwilę później ponad ziemię wystawał tylko makabryczny łeb. Stwór wzniósł ślepią ku niebu i zacharczał:

– Wieeeelkiii Luuucioonie, uraaatuj lojaneeeego słuuuugę! Wieeeelki Luuucioonie! Uratuuuj! Wieeeelki...

Ziemia zamknęła się nad łbem potwora niczym głodna paszcza i pochłonęła swą ofiarę.

Achilios stęknął, wzdrygnął się i opadł na kolana. Mendeln wstał ostrożnie, nie dowierzając, że potwór zniknął na zawsze. Wreszcie podszedł i przyklęknął przy Serentii. Zaczął ostrożnie badać rany. Były strasznie głębokie, ale dziewczyna żyła. Jak długo, tego już Mendeln nie potrafił powiedzieć...

– Zajmę się nią, Mendelnie, nie martw się – rozległ się nagle głos Uldyzjana.

Farmer stanął przy drugim boku dziewczyny. Mendeln wpatrywał się w niego niemal z takim samym zaskoczeniem jak przed chwilą w potwora. Choć noc była głęboka, Uldyzjan stał doskonale widoczny, jakby płonęło w nim światło. Pierś miał naga, jednak nic sobie nie robił z chłodu.

I ten wyraz twarzy, którego Mendeln w żaden sposób nie potrafił odczytać... Młodzieniec poczuł się nagle całkowicie nieważny. Gdy jego brat przyklęknął przy Serentii, młody uczonec odsunął się, jakby niegodnym był przebywania w pobliżu.

Najwyraźniej zupełnie nieświadom uczuć brata Uldyzjan przytrzymał dłoń wnętrzem do dołu jakiś cal nad rozerwanymi plecami Serentii i wpatrzył się w rany dziewczyny. A Mendeln przyglądał się temu przepełniony zdumieniem i ciekawością.

Potworne szkarłatne obrażenia zaczęły się goić. Najpierw ich brzegi zamknęły się jakby zszywane niewidzialną nicią. Potem całe rozcięcia zaczęły się kurczyć gwałtownie – z długich na stopę do niewielkich blizn zaledwie. Trzeba było na to tyle czasu, ile zabrały trzy uderzenia łomoczącego gwałtownie serca Mendelna.

Jeszcze jedno uderzenie... i plecy Serentii znów były bez skazy.

Cichy jęk wyrwał się z jej ust. Poruszyła się niepewnie. Kiwnąwszy głową z zadowoleniem, Uldyzjan odsunął się od niej, a światło w nim poczęło przygasać.

Oczywiście to Achilios znów wykazał się przytomnością umysłu, zdejmując własną koszulę i okrywając nią ramiona Serentii. Mendeln tymczasem stanął twarzą w twarz z bratem.

– Co... co ty zrobiłeś?

– To, co należało – Uldyzjan popatrzył na brata, jakby ten zapytał, dlaczego zboże potrzebuje deszczu.

– Ale... jak? – młodzieniec pokręcił bezradnie głową. – Nie, nie to miałem na myśli... Uldyzjanie... to, co stało się w Seram... to ty?

Teraz już bardziej podobny do tego dawnego Uldyzjana, jakiego Mendeln znał i kochał, farmer skinął wolno głową.

– Wygląda na to, że tak. – I wskazał na makabryczny pomnik, który był wszystkim, co zostało z potwora. – I tego też się nie wypieram.

– Co to było? – nie wytrzymał Achilios, który wciąż trzymał oszołomioną Serentię. – Te szponiska... i te ślepie...

Odpowiedziała mu Lylia, która pojawiła się nagle za plecami Uldyzjana, tak samo nieoczekiwanie jak on wcześniej.

– To przecież morderca, poszukiwany w Seram. – Objęła farmera zaborczo. – Potwór, który zgładził dwóch misjonarzy. A cóż by innego?



Uldyzjan, Achilios i Serentia od razu zgodzili się z tymi słowami, nawet Mendeln musiał przyznać, że wszystko na to wskazuje. Gdy przypomniał sobie szpony potwora, od razu zrozumiał, dlaczego jednego z kapłanów znaleziono w tak strasznym stanie. Stwór był przebiegły, władał mową ludzką bez trudu. Zapewne obezwładnił ofiary swoim spojrzeniem, by je potem zgładzić. Poruszał się też z niesamowitą prędkością, co by wyjaśniało, w jaki sposób obu morderstw dokonano w tak krótkim czasie.

A jednak Mendeln nie mógł uwierzyć tak w pełni. Ścisłej mówiąc, coś go niepokoiło w całej tej sprawie z potworem.

– Ale jak się tutaj znalazł? Jesteśmy dość daleko od Seram.

– To przecież jasne, szedł śladem Uldyzjana. Przecież wszyscy byli przekonani, że to on jest odpowiedzialny. Gdyby ta bestia go zgładziła, nikt by nie podejrzewał nawet jej istnienia!

Kolejne rozsądne wyjaśnienie, ale Mendelnowi trudno było uwierzyć, że stwór tak daleko ścigał Uldyzjana wyłącznie z tego powodu. Nikt nie wspominał nawet – ani ludzie z Seram, ani inkwizytorzy – że tak nienaturalne stworzenie mogło być winne zbrodni. Wszyscy uważali, że mordercą jest człowiek, a wielu było przekonanych, że to Uldyzjan.

Przypomniał sobie coś jeszcze.

– To stworzenie kogoś wzywało! – wypalił. – Na końcu, wzywało kogoś.

– A jakże – wtrącił Achilios, pomagając wstać Serentii. – Też to słyszałem.

Lylia mocniej objęła Uldyzjana.

– To nic takiego.

Ale sam Uldyzjan skinął potakująco głową.

– Też usłyszałem, tylko to imię mi umknęło.

Mendeln skupił się, odtwarzając w pamięci niedawne wydarzenia.

– Wielki... Wielki Lucion. Lucion. – Z jakoś powodu wymawianie tego imienia wywoływało w Mendelnie nieprzyjemny dreszcz. – Tak to brzmiało.

Niestety, nic mu to miano nie mówiło, tak jak i nie mówiło nikomu z pozostałych. Nawet na twarzy Lylia, choć Mendeln przyglądał jej się wyjątkowo uważnie, nie pojawił się nawet cień zrozumienia.

– To musi być ktoś z klanów magicznych – stwierdził nagle Uldyzjan, a jego oczy zaśniły niebezpiecznie. – Zamordowani byli wysłannikami Katedry i Świątyni, któż inny by ich ścigał?

– Właśnie – zgodziła się natychmiast Lylia. Mendelnowi zdało się, że dziewczyna jest nadzwyczaj zadowolona z błyskawicznych wniosków jego brata. – Klany magów. To z pewnością oni. Zgadzasz się z nami, Mendelnie?

Posłała mu uśmiech, dotąd zarezerwowany wyłącznie dla starszego z braci. Mendeln się zarumienił.

– Klany magów – odpowiedział pospiesznie, kiwając przy tym głową. – Oczywiście.

A jednak w duchu zastanawiał się, dlaczego którykolwiek z klanów, tak desperacko walczący z pozostałymi, marnowałby czas na ściganie dwóch nic nieznaczących misjonarzy w zabitej dechami wsi.

Tylko że wszyscy pozostali wyglądali na usatysfakcjonowanych tym wyjaśnieniem. A Uldyzjan spoglądał na nich z ojcowskim uśmiechem.

– Możemy później się nad tym zastanawiać. Wydarzenia ostatnich chwil dowodzą, że podjąłem słuszną decyzję.

Mendelna ogarnęły złe przeczucia.

– Decyzję?

– Seram należy już do przeszłości, nie do mojej teraźniejszości ani przyszłości. – Gdy farmer mówił, Lylia stanęła u jego boku i objęła go w

pasie. – Nie prosiłem o to, ale coś dało mi ten dar...

– Dar? To, co się wydarzyło, nazywasz darem?

– Cicho, Mendelnie.

Młody uczoney ze zdumieniem spojrział na Serentię, bo to ona go uciszyła. Ze wszystkich ludzi ona właśnie miała największe prawo określić to, co się wydarzyło, tragedią, nie darem. A jednak w jej tonie słychać było zachwyt i podziw. Podziw dla Uldyzjana.

Mendeln spojrział na Achiliosa, ale łucznik ani myślał krytykować uczuć kobiety, którą kochał. Zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Dar, tak... – powtórzył Uldyzjan, jakby uważał Mendelna za młokosa, do którego trzeba zwracać się prostymi słowy. – W każdym z nas – uśmiechnął się. – Wróćmy do obozu, a wszystko wyjaśnię. A jak tylko zjemy, musimy odpocząć. W końcu podróż do Kedżanu zajmie nam kilka dni w siodle.

– Kedżan? – Mendeln aż się zachłysnął, tak bardzo nie spodziewał się usłyszeć nazwy tego miasta. Zmierzali do Kedżanu? – A... a co z morzem?

– Kedżan – powtórzył Uldyzjan, patrząc na Lylię. – Jesteśmy na najlepszej drodze by zmienić świat.

Gdy Uldyzjan i szlachcianka zatopili w sobie spojrzenia, Mendeln zdumiony i przerażony wpatrywał się w Achiliosa i Serentię. Świat ? Czy na pewno dobrze usłyszał? Szukał u tamtych dwojga zrozumienia, może nawet poparcia, ale ku jego przerażeniu Serentia wydawała się rozdarta między zazdrością o Lylię a uwielbieniem dla nowego Uldyzjana, a Achilios nie odrywał od niej pełnych tęsknoty oczu. Chyba tylko do Mendelna dotarła w pełni ważkość tej chwili.

Nikt poza nim nie rozumiał najwyraźniej, że jego brat zmierza wprost ku własnej zagładzie... i prawdopodobnie ciągnie ich za sobą.

Malik ze złością zatrzasnął wysadzone klejnotami puzderko, które otrzymał od Pierwszego. Zielony okrągły klejnot umieszczony w jednym z czterech specjalnych zagłębień właśnie się skruszył i zmienił w popiół, co niewątpliwie oznaczało, że stał się bezużyteczny dla arcykapłana. Przywołany łowca przestał istnieć.

Ale gniew Malika mieszał się z rosnącym zainteresowaniem. Arcykapłan został wysłany przez swego pana do zbadania emanacji, które ten czuł. Do zbadania i ustalenia, czy pochodzą od tej samej osoby, którą w takim wypadku należało sprowadzić do Świątyni celem dalszych badań i nawrócenia. Przynajmniej teraz Malik zyskał pewność, że jego pościg nie jest szukaniem wiatru w polu.

Wciąż marszcząc gniewnie brew, wsunął puzderko do sakwy przy pasie i powrócił do konia. Zakapturzony Strażnik Pokoju podał Malikowi wodze i cofnął się do swego wierzchowca. Za nim czekał oddział dobrze uzbrojonych obrońców wiary, gotowych udać się tam, gdzie nakaze im dowódca i konieczność. Oczywiście nie znali całej prawdy o Świątyni Trójcy, ale – podobnie jak Malik – wiedzieli dość, by rozumieć, że porażka byłaby niewybaczalna.

Malik obrzucił ich uważnym spojrzeniem, szukając oznak słabości czy wahania. Ciemność nie miała nań żadnego wpływu, Malik widział ścieżkę przed sobą równie dokładnie co w słoneczny dzień. To był dar od Pierwszego.

Wkrótce, pomyślał. Już wkrótce.

Nie znajdowali się daleko od celu; rumaki, które podarował im pan, były najszybsze na świecie. Wyglądały jak czarne ogiery, ale to tylko iluzja dla zmylenia maluczkich. Żadne śmiertelne zwierzę nie pokonałoby podobnych odległości w tak krótkim czasie.

– Naprzód! – rozkazał Malik, poganiając swego rumaka.

Nagroda znajdowała się blisko. Demon mógł zawieść, ale arcykapłan nie. Malik nie został prawą ręką Pierwszego bez wysiłku. Jego dłonie plamiła krew w przenośni i dosłownie. Odniesie sukces.

Słowo się rzekło, nie było innego wyjścia.

# SIEDEM



Uldyzjan wyruszył w drogę jako inny człowiek. Nigdy dotąd nie myślał o sobie jako o czempionie, o reformatorze świata. Był szczęśliwy, wiodąc życie farmera, uprawiając ziemię, zbierając plony, doglądając zwierząt. Jakie teraz wydawało się to krótkowzroczne, jakie banalne. Nie poddawał w wątpliwość tej nagłej odmiany podglądów i dążeń, tak jak i nie wątpił w moc, która w nim wzbierała. Stało się i tylko to się liczyło.

W znacznej mierze zmianę, jaka nastąpiła w Uldyzjanie, należało przypisać kobiecie, która jechała za nim. Gdy słuchał Lylii, wszystko miało sens. Wszystko też wydawało się możliwe. Uldyzjan był wdzięczny nie tylko za jej obecność, ale też wiedzę i doświadczenie. Znała doskonale świat poza granicami Seram, szczególnie wszelkie pułapki i niebezpieczeństwa. Rozumiała też potrzeby ludu, który nie chciał być obiektem nieprzewidywalnych manipulacji klanów czy skorumpowanych sekt takich jak Trójca czy Katedra. Z Lylią u boku Uldyzjan czuł, że może przenosić góry.

Wszystko już było zaplanowane, przynajmniej w jego głowie. Pojadą do wielkiego miasta, prosto na plac, gdzie wielu przyszłych proroków przychodzi wygłaszać kazania. Jednak oni traktowani są jak głupcy i szaleńcy, zaś z Uldyzjanem będzie inaczej. Mógł pokazać ludziom nową ścieżkę; przekazać dar, jaki oferował. Zobaczą, że nie jest szarlatanem. A

kiedy pierwsi dostrzegą prawdę, rozprzestrzeni się ona niczym pożar lasu. Wszędzie.

Zerknął w prawo, na swego brata. Mendeln patrzył przed siebie na drogę, ale Uldyzjan wiedział, że młody uczonek jest jedynym w ich niewielkiej grupie, który nie do końca pochwała te zamiary. Mendeln wahał się od samego początku, wciąż podsuwał jakieś sugestie i powody, by zachować ostrożność.

Ale Lylia kontrowała wszystkie jego obiekcje mocnymi argumentami, którym dodatkowej wagi nadawała jej tragiczna historia. Nadmiar ostrożności i wahanie pozwolą jedynie działać tym, którzy będą zazdrościć Uldyzjanowi. A wtedy ucierpią niewinni, tak jak w wypadku Lylii i jej rodziny.

Nie, Uldyzjan był całkowicie pewien, że postępuje słusznie. Kochał brata, ale jeśli Mendeln nadal pozostanie zbyt nieufny, by zobaczyć rzeczy takimi, jakimi być powinny, Uldyzjan będzie musiał jakoś temu zaradzić. Źle by wyglądało, gdyby ktoś, z kim łączy go wspólna krew, nie pokładał absolutnej wiary w jego działania...

Farmer się skrzywił. Co mu w ogóle przychodziło do głowy?! Brat był dlań wszystkim! Tylko obecność Mendelna pozwoliła Uldyzjanowi zachować zdrowe zmysły, gdy reszta ich rodziny odeszła.

Uldyzjana przepełnił wstyd. Nie mógł wyobrazić sobie życia bez młodszego brata.

On zrozumie, przekonywał sam siebie. Mendeln zrozumie...

Musiał.

Dzień po dniu zmierzali ku swemu przeznaczeniu, nie spotykając na swej drodze żywej duszy. Uldyzjanowi zdawało się, że całe jego życie w Seram było jedynie złym snem i coraz bardziej niecierpliwie wyglądał wielkiego miasta.

Achilios wyprzedził ich, by sprawdzić drogę. Uldyzjan uważał, że to niepotrzebne, zważywszy na moc, jaką władał, ale nie protestował. Łucznik dołączył do nich, dopiero gdy rozbili już obóz. Przyniósł dwa sporych rozmiarów króliki.

– Zanim zaszło słońce, wypatrzyłem dym w oddali. – Podał króliki Mendelnowi i Serentii. – To będzie chyba miasto. Może wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie napijemy się dobrego piwa! – uśmiechnął się.

Mendeln na chwilę zamknął oczy.

– Parta. To musi być Parta.

W poprzednim życiu jednym z ulubionych zajęć Mendelna było słuchanie opowieści kupców odwiedzających faktorię Cyrusa, a potem przeglądanie kolekcji jego map. Zapamiętywał je ze wszystkimi szczegółami.

– Duże miasto? – spytał nagle zainteresowany Uldyzjan.

– Większe niż Tulisam, jak sądzę. Leży przy trakcie wiodącym z legendarnego Kedżanu do największych portów.

Parta wydała się Uldyzjanowi idealnym miejscem i to pod niejednym względem. Wreszcie dotarło do niego, że powinien jednak spróbować swoich sił w miejscu mniej znacznym niż Kedżan. Kilka dni spędzonych w Parcie wystarczy, by pokonać wszelkie wątpliwości, nawet te Mendelna, szczególnie dotyczące przekazywania daru.

Jak na razie, mimo że Uldyzjan co wieczór próbował nauczyć towarzyszy, co należy robić, tylko on i Lylia potrafili czerpać ze źródła, jakie w sobie nosili. Serentia była blisko, ale sprawiała wrażenie, jakby coś ją powstrzymywało. Co do Achiliosa, to wydawał się zadowolony ze swych umiejętności łowieckich. Farmer zaczął podejrzewać, że myśliwy może je czerpać z tego samego źródła, które Uldyzjanowi dawało moc. Achilios



miał zawsze niespotykane szczęście w łowach. Zapewne i on przebudzi się do końca, ale nieprędko.

Mendelnowi brakowało chyba najwięcej, by poznać swe możliwości. Uldyzjan nie mógł tego zrozumieć; spodziewał się, że jego brat będzie doskonałym uczniem. Zeszłej nocy Lylia podsunęła najlepsze jak dotąd wyjaśnienie. Otóż Mendelna – tak jak i Achiliosa – ograniczał charakter.

Ale to była sprawa, która mogła poczekać. Przynajmniej na razie. Miasto oferowało niezliczone nowe możliwości.

– Parta... – mruknął Uldyzjan.

Lylia przysunęła się bliżej, niemal trącając nosem ucho ukochanego. Nie umknęło mu niechętnie spojrzenie Serentii.

– Powinnyśmy jechać prosto do wielkiego miasta – szepnęła Lylia. – Im wcześniej usłyszysz cię więcej ludzi, tym szybciej rozpoczniemy zmiany na świecie.

– Tak, masz rację – Uldyzjan natychmiast zaczął podzielać jej punkt widzenia. Nie mógł zrozumieć, po co w ogóle zawracał sobie głowę takim małym miasteczkiem bez znaczenia jak Parta. – Prosto do wielkiego miasta. Tak będzie najlepiej.

Achilios wyglądał na rozczarowanego, ale skinął głową. Twarz Serentii była niczym maska. Mendeln sprawiał wrażenie zaniepokojonego, ale Uldyzjan już się do tego przyzwyczaił. W każdym razie nikt nie zaprotestował i to było najważniejsze.

Jednak Uldyzjan nadal chciał się sprawdzić. Wreszcie wstał, uwalniając się z ramion Lylia.

– Serri, chodź ze mną, proszę.

Oczy dziewczyny pojaśniały natychmiast... potem znów pojawiła się maska.

– Oczywiście... oczywiście. – Serentia wstała.

– Uldyzjanie! – zawołała Lylija.

– Zaraz wracam – zapewnił ją.

Szlachcianka odwróciła się i bez słowa zaczęła wpatrywać się w ogień.

Uldyzjan ujął Serentię za rękę i minął Achiliosa oraz Mendelna, którzy najwyraźniej nie pojmowali, co się dzieje. Zaprowadził dziewczynę między drzewa, daleko, aż nie mogli już zobaczyć poświaty ogniska, a potem odwrócił twarzą ku sobie.

Serentia czekała cierpliwie.

Uldyzjan starał się jak najlepiej dobrać słowa.

– Przykro mi z powodu Cyrusa, Serri. Bardzo przykro.

– Uldyzjanie, ja...

Położył jej palec na wargach.

– Być może zginął przeze mnie...

Cofnęła głowę.

– Nie! Nie, Uldyzjanie – powtórzyła już ciszej. – Myślałam o tym sporo. Może ty przywołałeś burzę... nie wiem... Ale z pewnością nie chciałeś nikogo skrzywdzić. Brat Mikelius potępił cię, nazwał heretykiem! Jeśli nawet spowodowałeś burzę, to przecież dlatego, że on cię do tego zmusił! Ty się broniłeś!

Spojrzał na nią zaskoczony. Wiedział, że dziewczyna bardzo kochała ojca, a także od dawna szanowała obie religie. Te słowa w jej ustach przyniosły mu nieopisaną ulgę i dopiero wtedy zrozumiał, że w głębi duszy bardzo się martwił, jak śmierć ojca mogła na nią wpłynąć.

– Nawet jeśli naprawdę tak uważasz... dlaczego nie wróciłaś do domu i podążasz za mną w nieznanne? Twoi bracia... z pewnością boją się o ciebie...

– Jestem już na tyle dorosła, by znaleźć własną drogę – odpowiedziała i na moment Uldyzjan dostrzegł w niej ten dawny upór. – Thiel i pozostali

będą wiedzieli, co uczyniłam, i zostawią mnie, bym sama podejmowała decyzje, jak zawsze.

Powiedziała to tak nieznoszącym sprzeciwu tonem, że Uldyzjan mógł jedynie uśmiechnąć się melancholijnie. Nie zamierzał z nią dyskutować. Poza tym dobrze było mieć ją przy sobie, tak jak i Mendelna i Achiliosa.

– Dobrze zatem. Musiałem zapytać. Chciałem wiedzieć. Nic już nie powiem.

– Ale ja muszę coś powiedzieć... za twoim pozwoleniem... – Dziewczyna znów była przepełniona zachwytem uczennicą.

– Nie potrzebujesz mojego pozwolenia.

– Uldyzjanie... Rozumiem, że całym sercem wierzysz w to wszystko – odchrząknęła. – Ale niektóre obawy Mendelna nie są bezpodstawne. Wiem, że Lylia nalega, byśmy jechali prosto do Kedżanu, ale...

– Chodzi o Lylię, Serri? – zmarszczył brwi.

I choć Serentia potrząsnęła głową, widział, że odpowiedź była twierdząca, jak i przecząca zarazem.

Uldyzjan szczerze wątpił, żeby dziewczyna potrafiła rozdzielić te dwie kwestie.

– Nie... To znaczy... Uldyzjanie... Rozmawiałam z misjonarzami zarówno ze Świątyni, jak i Katedry, i nie wszyscy są jak brat Mikelius. Jestem przekonana, że jest w nich też dobro...

– Wątpię. – Twarz Uldyzjana była niczym wykuta z kamienia. W głowie szalały mu wspomnienia związane z mistrzem inkwizytorem.

Serentia zamilkła, wyraźnie szukając stosownych słów.

– Chodzi o to, że... Wiem, że Lylia ma więcej doświadczenia niż którekolwiek z nas, ale to chyba nie znaczy, że powinniśmy robić wszystko, co nam mówi.

Te słowa sprawiły, że Uldyzjan natychmiast przyjął obronną postawę.

– Słucham Lylii tak, jak słucham was wszystkich. Tak się po prostu składa, że jej rady wydają mi się często najrozsądniejsze.

– Raczej zawsze...

– Dość. – Uldyzjan poczuł, jak wzbiera w nim gniew, nie do końca słuszny, postarał się więc go zdławić. Nie widział powodu, by ciągnąć tę rozmowę. Chciał tylko oczyścić atmosferę w kwestii dotyczącej tragicznej śmierci Cyrusa i to osiągnął. Jeśli zaś chodzi o uczucia Serentii do Uldyzjana, najwyraźniej dziewczyna potrzebuje czasu... Będzie musiał być cierpliwy. Tak właśnie, cierpliwy.

Położył jej dłoń na głowie, jak zwykł czynić, gdy była jeszcze dzieckiem.

– Serri... – szepnął. – Powiedziałaś, że wierzysz we mnie, w to, kim się stałem, tak?

Skinęła głową, choć po oczach widział, że myślami jest jeszcze przy poprzednim temacie.

– Wiem, że to, co zrodziło się we mnie, próbuje też obudzić się w tobie, ale jak dotąd nie dało rady.

– Próbowałam – rzekła z naciskiem.

Delikatnie poklepał ją po ramieniu.

– Wiem. Pozwól mi poprowadzić cię ku przebudzeniu. Weź mnie za rękę. Jeśli nam się uda, pomoże mi to zrozumieć, jak uczyć innych, gdy już dotrzemy do Kedżanu.

– Ale my... och!

Lylii mówiła Uldyzjanowi, że to ich bliskość, ich zjednoczenie pobudziło w niej moc. Oczywiście nie zamierzał zastosować tej metody z innymi, szczególnie z Serentią, ale mógł przynajmniej zbliżyć się do niej na tyle, na ile było to możliwe. Skupił się na dziewczynie, próbując wejrzeć do jej serca, do samej duszy. Starał się doprowadzić do tego, by moc popłynęła od niego do niej i rozgorzała płomieniem.

I miał wrażenie, że to co robił, działało. Czuł ciepło w dłoniach, ciepło, które płynęło do dziewczyny. Serentia zaczęła oddychać szybko, oczy uciekły jej do góry i Uldyzjan widział tylko białka w szczelinach powiek.

I nagle, ku swojemu zdumieniu, poczuł, że i od niej płynie coś podobnego temu, co wyczuwał w sobie. Skoncentrował się i upewnił, że pochodzi to z jej wnętrza. Dar był w niej słaby, ale Uldyzjan sięgnął ku niemu, czując, jak przybiera na sile, jak moc staje się bardziej świadoma.

Był zdumiony swym sukcesem. Lylia znów miała rację, Uldyzjan zdołał obudzić w Serentii moc.

Nieoczekiwanie ciało dziewczyny zadygotało gwałtownie. Nadal pod powiekami błyskały jedynie białka. Jęknęła cicho.

Uldyzjan się zaniepokoił. W Serentii dokonał się potężny przełom, choć jeszcze przez jakiś czas nie będzie po niej tego widać. Przyszło mu do głowy, że najlepiej będzie teraz pozwolić, by dalsze zmiany odbywały się już bez jego wpływu. Jeśli spróbuje je przyspieszyć, to się może źle skończyć dla Serentii.

Wypuścił jej dłonie, a dziewczyna gwałtownie nabrawszy powietrza, opadła mu na pierś. Załapał ją i przytrzymał, czekając, aż dojdzie do siebie.

– To było jak... – wykrztusiła. – To jest jak... – Nie znalazła właściwych słów.

– Wiem – odparł, mając nadzieję, że w ten sposób okazuje jej zrozumienie.

Serentia zeszywniała nagle. Odepchnęła go, jakby był trędowaty... i szybkim krokiem oddaliła się w stronę obozu.

Uldyzjan stał całkowicie zaskoczony. Spodziewał się czegoś na kształt euforii, którą ponoć czuła Lylia.

Serentia zniknęła w mroku między drzewami. Uldyzjan stał tak jeszcze przez chwilę, ciągle zmieszany, aż wreszcie ruszył za nią. Był pewien, że

wszystko zrobił jak należy. Dlaczego więc dziewczyna zareagowała w ten sposób?

Kiedy dotarł do obozu, po Serentii nie było śladu. Zaniepokojony, zapytał o nią brata, ale Mendeln tylko milcząco pokręcił głową i kiwnął nią na prawo. Tam, niemalże niewidoczna w ciemności, leżała Serentia. Tyłem do obozu, okutana w jeden z koców, jakie znaleźli przytroczone do siodeł.

Uldyzjan zrobił krok w jej stronę, ale Lylia, podniósłszy się, delikatnie ujęła go za rękę.

– Najlepiej będzie ją zostawić... – szepnęła ukochanemu.

Uldyzjan otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Wszystko wskazywało na to, że choć zyskał potężną moc, nadal pozostaną sprawy, których nigdy nie pojmie.

Następnego ranka Serentia zachowywała się, jakby nic się nie stało. Jednak Uldyzjan mógł wyczuć, że moc w niej rośnie. Ponieważ dziewczyna nie pokazywała nic po sobie, uznał w końcu, że pozwoli jej wybrać moment, w którym zaakceptuje swój dar. Wystarczyło mu wiedzieć, że dziewczyna ów dar posiadała. To oznaczało, że Uldyzjan zdoła poprowadzić pozostałych w tym samym kierunku, a gdy zdobędzie wprawę, rezultaty przyjdą łatwiej i szybciej.

Niebo zaciągnęło się szarymi chmurami i Uldyzjan zastanawiał się, czy nie mógłby ich rozegnać. Nie spróbował jednak z obawy, że gdyby mu się powiodło, zaalarmowałyby w ten sposób kogoś, kto chciałby przeszkodzić w dotarciu do miasta. Lylia sugerowała, że lepiej będzie, jeśli Uldyzjan wstrzyma się z ujawnieniem umiejętności, póki nie dotrą do Kedżanu. Potem, jak powiedziała, będzie za późno, żeby ukryć prawdę przed ludźmi.

Choć dzień był ponury, nie padał deszcz, podążali więc w całkiem niezłym tempie. Parta pozostała niewielką smuzką dymu na horyzoncie. Zmieniało się tylko jego położenie względem nich. Zgodnie z obliczeniami

Mendelna, które potwierdziła Lylia, podobny dym – tym razem znad Kedżanu – zobaczą za trzy bądź cztery dni.

Po raz pierwszy też spotkali na szlaku innych podróżnych. Jakiś wóz nadjeżdżał z naprzeciwka. Woźnica, brodaty kupiec zmierzający ku portowym miastom, powitał ich grupę z wyraźną ostrożnością. Jego czeladnik, chudzielec o marchewkowych włosach i wodnistych oczach, z niepokojem trzymał dłoń blisko wysłużonego miecza, który nosił u boku.

Uldyzjan zdecydował, że nie ma sensu wyjawiać tym dwóm, kim tak naprawdę jest. Zamiast tego wypytywał kupców, jak mają się sprawy w legendarnym mieście.

– Klany magów zawarły rozejm, przynajmniej tymczasowo – oznajmił krępy kupiec, zapaliwszy długą glinianą fajkę. – Trwać będzie jako i inne, znaczy krótko. Być może, że już po nim. Szlachta tylko patrzy, czeka i dla własnej korzyści knuje. Dały im klany zatrzymać trochę kontroli nad miastem, to teraz mają czas wymyślać, jak ten rozejm obejść – zaśmiał się ponuro. – Znaczy, jak to zwykle w Kedżanie.

Te słowa upewniły Uldyzjana w przekonaniu, że Lylia słusznie nalegała, by ruszyć prosto do wielkiego miasta i nie zatrzymywać się w Parcie. Uldyzjan grzecznie podziękował kupcowi, po czym poprowadził swoją grupę dalej.

Zatrzymali się na brzegu rzeki toczącej swe wody przez te strony. Tutaj zacierała się już granica między lasami a dżunglą. Po raz pierwszy Uldyzjan zaczął sobie uświadamiać, jak niewielkie były znane mu bory w porównaniu z tą zieloną dżunglą. Zdarzało mu się wcześniej słyszeć kupców zatrzymujących się w Seram, którzy twierdzili, że wkrótce dżungla pochłonie całą krainę. Nie bardzo w to wierzył, ale teraz widząc, jak gwałtownie, niemal nienaturalnie zmieniała się roślinność wokół, nie był już taki pewien swoich racji.

Uldyzjan miał nadzieję, że po całym dniu jazdy napięcie między nim a Serentią opadnie choć trochę, ale dziewczyna co rusz znajdowała jakiś pretekst, by trzymać się na dystans.

– Niech sama sobie wszystko poukłada, tak będzie najlepiej – wyszeptała Lylią, pocierając nosem o policzek swego mężczyzny. – W końcu się z tym pogodzi. Zobaczysz.

Uldyzjan zmusił się więc, by skupić uwagę na ważniejszych sprawach. Teraz, gdy znaleźli się tak blisko legendarnego miasta, zaczynał się denerwować. Zwierzył się Lylii, a ta zasugerowała, że powinien kłaść się wcześniej i pozwolić reszcie dopilnować wszystkiego.

– Musisz być w jak najlepszej formie, gdy dotrzemy na miejsce. Idź spać. Przyniosę ci jedzenie, gdy będzie gotowe.

Pocałowała go raz jeszcze i odeszła. Uldyzjan posłuchał jej dobrej rady. Ziemia była miękka, a noc cieplejsza niż wczoraj. W rzeczy samej, krótka drzemka dobrze mu zrobi. Jak zawsze Lylią wiedziała, co dla niego najlepsze. Nie mógł wyobrazić sobie przyszłości bez niej. Czuł się, jakby znał ją od zawsze.

Z tą myślą zamknął oczy i zasnął.

Serentia wiedziała, że jakoś musi dojść do ładu ze sprzecznymi uczuciami, jakie budził w niej Uldyzjan. Wierzyła, że zmienił się, by czynić dobro, wierzyła, że jego moc jest dobra, i to tak głęboko, że nie winiła go nawet za straszliwy los ojca. Ale zarazem nie umiała oddzielić tego, kim był dla niej teraz, od tego, kim był dla niej od zawsze... mężczyzną, którego kochała jak nikogo innego.

I który kochał inną kobietę... kobietę, którą dopiero poznał.

– Potrzeba nam więcej drewna – odezwał się Mendeln.

– Ja przyniosę! – Serentia natychmiast skorzystała z okazji, by pobyć sama. – Ty dopilnuj, by ogień nie wygasł.



Wymknęła się z obozu i poczęła zbierać chrust. Czynność nie wymagała szczególnego skupienia, co pozwoliło Serentii zająć myśli jakimś mniej zagmatwanym i co najważniejsze mniej bolesnym tematem niż Uldyzjan. Zebrała zaledwie kilka garści gałązek, gdy nieprzyjemne klucie w karku kazało jej obejrzeć się przez ramię.

– Lylia! – Obecność szlachcianki tak zaskoczyła Serentię, że upuściła nieco chrustu. Z niedowierzaniem popatrzyła na drugą kobietę.

Jasnowłosa zbliżyła się bezszelestnie niczym kot.

– Wybacz – mruknęła. – Nie zamierzałam cię przestraszyć...

– Co... co ty tu robisz? Nie potrzebuję pomocy.

– Chciałam z tobą porozmawiać. To wszystko.

– Porozmawiać ze mną? – Serentia obawiała się, że może bez trudu zgadnąć o czym. – Nie ma potrzeby...

Lylia podeszła bliżej.

– Ależ jest, droga Serentio, jak najbardziej jest potrzeba. – Położyła dłoń na ramieniu Serentii i spojrzała jej głęboko w oczy. – Jesteś kimś wyjątkowym dla Uldyzjana i przez to wyjątkowym dla mnie. Chcę, żeby wszyscy jego przyjaciele dobrze się czuli w moim towarzystwie. Chciałabym, żebyś myślała o mnie nie tylko jak o jego miłości, jego przyszłej żonie, ale jak o swojej przyjaciółce...



Jeśli Lylia oczekiwała, że jej słowa poprawią samopoczucie Serentii, bardzo się pomyliła, odniosły bowiem wręcz przeciwny skutek. Czarnowłosa córka kupca poczuła się nagle głęboko nieszczęśliwa, słowa „miłość” i „żona” odbiły się echem w jej uszach. Na samą myśl, że Lylia wie, jak bardzo Serentia jest zazdrosna, ogarnęło ją palące poczucie wstydu.

Próbowała walczyć z przepełniającymi ją uczuciami, przekonać siebie, że są wyolbrzymione, ale i tak okazało się ich za wiele.

Ze łzami w oczach wyrwała się z uścisku jasnowłosej szlachcianki. Porzucony nagle chrust posypał się na ziemię. A Serentia biegła, nie dbając o kierunek. Liczyło się tylko to, by znaleźć się jak najdalej od wszystkich, którzy wiedzieli, co dzieje się w jej myślach.

Gałęzie szarpały jej odzienie. Kilkakrotnie potknęła się na nierównym gruncie. Raz przewróciła się, zahaczywszy stopą o wystający korzeń. Ale żadna niedogodność nie skłoniła jej, by się zatrzymać i odzyskać panowanie nad sobą. Serentia biegła dalej. A dzikie kłębowisko emocji całkowicie przesłoniło jej zdrowy rozsądek.

Jakiś cień zaszedł jej drogę. Nie zwróciła nań uwagi. Dopiero pochwycona w stalowy uścisk, zaczęła wracać do rzeczywistości.

I otworzyła usta do krzyku.

Zasłoniła je dłoń w rękawicy. Serentia próbowała się wyrwać, ale zaraz druga postać przyszła w sukurs pierwszej.

Pierwsza zaś pochyliła ku Serentii zakapturzoną głowę.

– Zamilcz, dziewczko – wysyczała. – Albo poniesiesz karę.

Dziewczyna zauważyła teraz kolejne zakapturzone postaci w zbrojach. W pierwszej chwili wzięła ich za inkwizytorską straż, ale wtedy promienie księżycy załśniły na napierśniku jednego i Serentia rozpoznała trójkątny symbol Świątyni.

Chciała się odezwać, wyjaśnić, ale zbrojny uciszył ją uderzeniem w twarz.

– Bracie Rondo! Uważaj z tym dzieckiem!

Głos był głęboki i miękki, przypominał Serentii o ojcu. Z ciemności wyłoniła się czarna sylwetka na olbrzymim ogierze. Wysoki jeździec zsunął

się z siodła, a zbrojni puścili Serentię i przyklękli na jedno kolano. Choć nikt jej już nie trzymał, dziewczyna czuła, że musi pójść za ich przykładem.

– Wybaczcie, eminencjo – odezwał się brat Rondo niespokojnie.

– Twój entuzjazm jest godny pochwały, ale nad manierami musisz jeszcze popracować, bracie. – Wysoki mężczyzna dotknął osłoniętej kapturem głowy brata Rondo i zwrócił się ku Serentii: – Moje dziecko, nie drzyj tak na mój widok, bom przyjacielem, nie wrogiem.

Teraz mogła już zobaczyć jego twarz. Miał jasną, wręcz bladą skórę, od której mocno odcinały się czarne fale włosów i wydatne brwi. Elegancki wąs dodawał mu godności. Uśmiech, tak jak i ton głosu, wciąż przypominał Serentii jej ojca.

– Jestem Malik, arcykapłan Zakonu Mefisa...

– ...Świątyni Trójcy – dokończyła dziewczyna bez tchu, pochylając kornie głowę.

– Wierna! Jakże cudownie! – Malik wyciągnął do niej rękę, którą przyjęła z wahaniem. – Przepraszam najszczerzej za nadmierną gorliwość brata Rondo. Wszyscy pragniemy wykonać nasze zadanie...

Te ostatnie słowa natychmiast przepełniły Serentię przerażeniem.

W mgnieniu oka przypomniała sobie wydarzenia w Seram, gdy wysłannicy Katedry potępili Uldyzjana, nie próbując go nawet wysłuchać. Nagle obecność Malika zdała się dziewczynie bardzo niepokojąca.

Arcykapłan musiał to jakoś wyczuć, bo spojrzał na nią uważnie, przechylając głowę.

– Ale pójdz, moje dziecię! Jako się rzekło, jam jest ci przyjacielem! Wyczuwam, że już mi nie ufasz... – Nie pytając o pozwolenie, dotknął jej skóry między piersiami. – I wyczuwam... – zmarszczył brwi – że nie ciebie szukamy. Jest w tobie iskra, jednakowoż zbyt słaba...

– Uldyzjan – wyrwało się Serentii.

Malik spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Uldyzjan? Tak się zowie? I sądzisz, że to jego szukamy?

Zakryła usta dłonią.

Brat Rondo chciał wstać z klęczek, ale Malik powstrzymał go gestem. Arcykapłan pochylił się ku dziewczynie, by spojrzeć jej prosto w oczy.

– Boisz się. Ale dlaczegoż... chyba że... – Jego uśmiech stał się szerszy, odsłaniając idealne zęby. – A! Katedra! To musi być powód! Inkwizytorzy, jak mniemam!

Serentia milczała, ale zaczęła zastanawiać się, czy arcykapłan przypadkiem nie czyta w jej myślach.

– Katedra... nic dziwnego, żeś taka nieufna. Bracie Rondo, czyż w tej wiadomości o śmierci naszego wiernego sługi nie wspomniano przypadkiem, że i Katedra straciła jednego ze swoich?

– Tak jest, eminencjo. W wiosce nazywanej Seram. Morderstwo naszego wysłannika było szczególnie brutalnym...

– Tak, tak. – Malik uciszył brata kolejnym gestem i zwrócił się do Serentii: – A wysłannicy Katedry potępili twego Uldyzjana, czyż nie?

– Tak – odpowiedziała wreszcie, pozbywając się nieco nieufności.

– Jakież to dla nich typowe. Jeśli czegoś nie rozumieją, muszą się tego pozbyć. Niech przeklęty będzie dzień, w którym Prorok począł głosić swe bluźnierstwa... – Arcykapłan objął Serentię ramieniem, aby dodać jej otuchy. – Ale my nie należymy do wiernych Katedry, drogie dziecko. Nauki Trójcy nakazują zawsze rozwiązywać wszelkie sprawy w drodze pokoju, rozumiesz to przecież? Dobrze! Za nic nie chciałbym, żebyś pomyślała, że jesteśmy do nich podobni. Myśl o nas jak o przeciwieństwie raczej. Z pewnością to znak, że spotkaliśmy się w tak sprzyjających okolicznościach! Możesz poprowadzić mnie do swego Uldyzjana i wszystkie wasze problemy się skończą.

– Ale... – Serentia z trudem zbierała myśli. Jej umysł tonął jakby w grząskim błocie, zupełnie jak wtedy, gdy rozmawiała z nią Lylią. Niemniej dziewczyna wciąż jeszcze coś pamiętała. Uldyzjan zmierzał do Kedżanu... i z pewnością nie chciał mieć do czynienia z żadną sektą, czy to z Katedrą, czy też z Trójcą.

– Nie. Nie mogę. Uldyzjan by nie chciał...

Ciało Malika stężało. Serentia poczuła nagle, jak jego ręka pełźnie w górę jej pleców, jak palce w rękawicy zatrzymują się u podstawy jej czaszki. Poczuła niezwykle bolesny nacisk. Chciała krzyknąć, ale nie mogła rozewrzeć ust. Ciało też jej nie słuchało. Tylko umysł pozostał posłuszny, choć uwięziony w nieruchomej skorupie.

– Cóż za szkoda, żeś nie zechciała posłuchać głosu rozsądku – w słowach arcykapłana nie było już nic przyjaznego. – Niemniej i tak zaprowadzisz nas do tego Uldyzjana... – Spojrzał na Strażników Pokoju. – Na koń! Prędko!

Mężczyźni pospieszyli do wierzchowców, a Malik pociągnął Serentię za sobą. Znalazłszy się bliżej należącego doń konia, Serentia poczuła, że coś w tej czarnej bestii budzi w niej wstręt, ale ciało dziewczyny posłuszne było woli arcykapłana, nie cofnęła się zatem, tylko dosiadła wierzchowca przed swym ciemniejszym. Arcykapłan zza jej pleców sięgnął po wodze.

– A teraz... – szepnął Serentii do ucha tym samym tonem, którym przemawiał do niej z początku; tonem, który był, o czym dziewczyna wiedziała doskonale, jedynie drwiną z jej bezradności. – Teraz, moje dziecko, pokaż mi drogę.

Lewą ramię Serentii uniosło się i wskazało kierunek, gdzie znajdował się obóz.

– Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Pamiętaj, żeby się uśmiechać, gdy zobaczysz przyjaciół. Nie chciałbym ich niepokoić...

Jej usta wygięły się ku górze. Malik zaśmiał się cicho i pognął konia.

# OSIEM



Niepokój przeniknął do snu Uldyzjana. Farmer miał wrażenie, że leży bezbronnie, a jakaś nieskończenie wroga mu obecność wypatruje jego duszy.

Niepokój stał się tak silny, że Uldyzjan otworzył oczy. Jednakże zamiast potwora, którego się spodziewał, zobaczył twarz Lylii. Dziewczyna klęczała u jego boku.

– Źle się czujesz, ukochany? – wyszeptała.

– Jak długo... jak długo tu jesteś?

– Właśnie wróciłam. Tak spokojnie wyglądałeś, że nie chciałam ci przeszkadzać. Przepraszam, jeśli stało się inaczej.

Uldyzjan zmarszczył czoło. Teraz, gdy już się obudził, niepokój męczył go jeszcze bardziej... a przyczyna wydawała się jakoś związana z ich otoczeniem.

– Lylio... Dołącz do reszty przy ognisku. Idź zaraz.

– Dlaczego? – spojrzała na niego z obawą. – Co się stało?

– Zrób, o co proszę.

Podniósł się spiesźnie, pchnął ukochaną ku ognisku i w tej chwili dostrzegł, że siedzi tam jedynie Mendeln.

– Gdzie Achilios? – spytał nagle. – Gdzie Serri?

– Achilios poszedł coś upolować. – Mendeln odruchowo się rozejrzył. – A Serentia jest chyba gdzieś niedaleko. Miała tylko nazbierać trochę

chrustu...

– Jestem pewna, że zaraz wróci – wtrąciła się Lylija, próbując uspokoić farmera. – Nie ma powodów do niepokoju, Uldyzjanie...

Ale on czuł coś wręcz przeciwnego. Coś było blisko, bardzo blisko. Coś było...

Za plecami Mendelna zaszeleściły liście. Uczony czym prędzej dołączył do towarzyszy.

Do obozu wkroczyła Serentia.

Uldyzjan już miał odetchnąć z ulgą, gdy za dziewczyną pojawiła się druga postać. Mężczyzna był wyższy od Uldyzjana i szczuplejszy, ale dało się zauważyć, że mięśnie ma niczym z żelaza. Spoglądał na wszystkich przyjaźnie, z wyrazem twarzy, który przypominał Uldyzjanowi o dawno zmarłym ojcu... ale przestało mieć to jakikolwiek znaczenie, gdy farmer dostrzegł znak na piersi przybysza.

Taki nosili kapłani Trójcy. I to raczej ci wyżsi rangą.

– Uldyzjanie! – zawołała doń Serentia. – Przeprowadziłam przyjaciela! Nazywa się Malik i chce nam pomóc.

Uldyzjan powstrzymał grymas niechęci.

Ze wszystkich ludzi ona najlepiej powinna wiedzieć, jak farmer zareaguje na obecność kapłana, szczególnie po tym, co wydarzyło się w Seram.

Zgadza się, dziewczyna zawsze do jakiegoś stopnia wierzyła w ich nauki, ale Uldyzjan sądził, że to już przeszłość. Cóż ona sobie myślała?

– Przychodzę zaoferować wam ochronę Trójcy – dodał Malik nad wyraz uprzejmie, rozkładając ręce w rękawiczkach, jakby chciał podkreślić, że przybywa bez broni. Płomienie ogniska odbijały się w jego oczach, które przyciągały Uldyzjana niczym magiczne zaklęcie. – To dziecię powiedziało mi, jak potwornej niesprawiedliwości zaznałeś od tych, którzy służą



Katedrze Światłości. Trójca odżegnuje się od takich bestialskich zachowań. Ochronimy cię przed zagrożeniem ze strony sługusów Proroka...

Pomimo tego, czego doświadczył, mimo pogardy, jaką żywił dla ludzi profesji Malika, Uldyzjan czuł, że chce uwierzyć w te słowa. Kapłan zdawał się rozumieć ból, jaki wciąż płonął w piersi farmera. Uldyzjan otworzył usta, by powitać tamtego w obozie...

Nagle ogień strzelił gwałtownie w górę, płomienie sięgnęły wyżej głowy Malika, a ten odruchowo cofnął się o krok... i odwrócił wzrok od Uldyzjana.

Farmer miał wrażenie, że ktoś ściągnął mu koc z głowy. Jak gdyby jeszcze przed chwilą był ślepy, a teraz znów przejrzał... Dopiero wtedy pojął, że Malik go zahipnotyzował.

– Serri! – ryknął Uldyzjan, czując, jak wypełnia go gniew. – Chodź do mnie! Szybko!

Widział, że się waha, jakby go nie słyszała – albo słyszała, tylko z jakiegoś powodu nie mogła posłuchać. I wtedy wstrząsnąwszy się gwałtownie, Serentia krzyknęła i umknęła od Malika. Kapłan próbował ją złapać, ale zbyt późno, posłał więc Uldyzjanowi gniewne spojrzenie.

W tej samej chwili w obozie zaroilo się od zakapturzonych i uzbrojonych postaci, zarówno pieszych jak i konnych. Uldyzjan widział już kiedyś im podobnych – budzili w nim taką samą odrazę jak Inkwizytorzy Katedry. Mogli się nazywać Strażnikami Pokoju, ale byli tylko rozlewającymi krew zbirami, nie lepszymi od tych rzezimieszków, którymi dowodził nieopłakiwany brat Mikelius. Chcieli tylko kontrolować ludzkie dusze i umysły. Ci, którzy przed nimi nie klękali, jak nie klęknął Uldyzjan, musieli zostać potępieni w taki czy w inny sposób.

W ułamku sekundy Uldyzjan raz jeszcze przeżył makabrę w Seram. Zobaczył nienawiść, znów usłyszał kłamstwa...

– Nie! – ryknął ku nadchodzącym postaciom. – Nigdy więcej!

Powietrze zafalowało.

Jakby pchnięci niewidzialną dłonią Strażnicy Pokoju potoczyli się we wszystkie strony. Dwóch wpadło na drzewa z taką siłą, że owinęli się wokół pni niczym łodygi powoju. Inny wleciał i zniknął w koronach drzew. Reszta legła na ziemi, ogłuszona.

– Imponujące – ocenił Malik tym samym ojcowskim tonem. W przeciwieństwie do podwładnych stał nieporuszony. – Ile można by cię nauczyć przy odrobinie warunkowania. Ile można...

Zmrużył lekko oczy. Znów zaświeciły w nich odbijające się płomienie.

Potężny ciężar podciął Uldyzjanowi nogi i wylądował na czworakach. Farmer miał wrażenie, że za chwilę cały pograży się w ziemi. Napiął mu się każdy mięsień, każda żyła pulsowała mocno. Czuł się, jakby miała mu wybuchnąć głowa. Odwrócił wzrok, ale nie zdołał uwolnić się spod władzy kapłana. Zobaczył, że Mendeln i Serentia cierpią jeszcze bardziej, oboje leżący płasko na ziemi. Lylili nie widział, ale myśl o niej dała mu siłę, by podnieść się na jedno kolano.

– Bardzo silna wola – ocenił arcykapłan. – Pan będzie rozkoszował się jej łamaniem.

Przygniatający Uldyzjana nacisk przybrał na sile. Tym razem farmer uderzył twarzą o ziemię. Ostry ból popłynął od nasady jego nosa, a krople krwi trysnęły z nozdrzy.

– Zwiążcie go – rozkazał Malik. Zaszurały buty zbrojnych spieszących wypełnić jego wolę. – Reszty nam nie trzeba.

Reszty nie trzeba...

Z krzykiem bólu Uldyzjan podniósł się na kolana. Głowa pulsowała mu cierpieniem, serce waliło z wysiłkiem, ale przepeliło go uczucie triumfu. Wystarczył moment, by farmer stanął przed dwoma zaskoczonymi

Strażnikami Pokoju. Zanim tamci zdążyli się otrząsnąć, Uldyzjan pochwycił ich za gardła.

Ledwie zdołał je objąć palcami, ale trzask łamanych kości był słyszalny bardzo wyraźnie. Zbrojni zadrgali i ciężko opadli ze skrzyconymi karkami.

Na Maliku zrobiło to umiarkowane wrażenie. Zerknął ku płomieniom, które złamały jego urok, a potem ponownie popatrzył na Uldyzjana.

– A mogliśmy załatwić to w sposób o wiele przyjemniejszy. Jest dla ciebie miejsce w Świątyni. Pierwszy powitałby cię jak syna...

– Nie chcę mieć do czynienia ani z nim, ani z tobą!

– To bardzo krótkowzroczne. Przyszłość tego kraju, wszystkich krain, należy do Świątyni Trójcy. Ci, którzy nie widzą światła, na wieki pozostaną w ciemności...

Ale to właśnie ciemność widział Uldyzjan, gdy spoglądał na kapłana. Spowijała Malika tak ściśle, że znekany farmer w żaden sposób nie mógł go połączyć ze szlachetnym światłem. Prawdę powiedziawszy, sama obecność Malika przejmowała Uldyzjana nieopisanym wstrętem. Był już pewien, że to właśnie bliskość arcykapłana wytrąciła go wcześniej ze snu.

Strażnicy Pokoju szybko się pozbierali i otoczyli wszystkich. Serentia znalazła się obok Mendelna, który zdawał się całkowicie pogrążony w myślach. Uldyzjan dostrzegł też i Lylię, stała po jego lewej stronie równie spokojna i nieporuszona co Malik, ale jej spokój płynął chyba z niewzruszonej wiary w ukochanego. Jej twarz wyrażała nieskończoną ufność... Ufność, że Uldyzjan ich uratuje.

Umocniony tym widokiem, popatrzył jeszcze na swego brata i Serentię, a potem wrócił spojrzeniem do kapłana.

– Powiedziałem już, nie chcę mieć nic do czynienia ze Świątynią. Odejdzie teraz, zanim ktoś ucierpi.

– Naprawdę mi przykro, że mnie do tego zmuszasz, mój synu. – Malik przeniósł spojrzenie gdzieś poza swą ofiarę. – I tego, że przez twój opór inni ucierpią bardziej niż to konieczne. To takie smutne. – Oczy kapłana zmrużyły się niebezpiecznie. – Takie smutne... i całkowicie z twojej winy.

Strażnicy Pokoju ruszyli. I w tym samym momencie kilka kawałków płonącego drewna wyskoczyło z ogniska. Spadły na ziemię, tuż przed Uldyzjanem, gdzie natychmiast stały się dłuższe i znacznie grubsze. Wciąż stały w płomieniach, ale ogień przestał je pochłaniać.

Wielokrotnie większe niż na początku, połączyły się, tworząc nowy kształt... karykaturalnie ludzki. Dwie dłuższe gałęzie stały się nogami, dwie krótsze ramionami, jakiś ułamany sękaty kawałek służył za głowę. Stwór stanął wyprostowany, wyższy niż Uldyzjan, i odwrócił sękatą głowę ku Malikowi.

– Bierz go! – rozkazał kapłan.

Ognisty golem skoczył na Uldyzjana, płonącymi ramionami sięgnął ku rękom farmera i uchwycił je mocniej niż katowska pętla szyję skazańca.

Żar był nie do zniesienia. Płomienie oślepiły. Uldyzjan zamknął oczy, ale światło zdawało się przepalać powieki. Chciał nabrać powietrza, ale tylko zachłysnął się żarem.

A jednak mimo całego tego cierpienia Uldyzjan pomyślał, że powinno być gorzej. On sam powinien już szczeznąć w ogniu, ciało – odejść od kości, kości poczernieć...

Ale Malik przecież nie chce mojej śmierci, pomyślał farmer. Chciał zmusić do posłuszeństwa, zmienić w kolejnego wiernego i przyprowadzić swemu panu... Pierwszemu. Malik mógł torturować swą ofiarę, przywieźć na krańce rozpaczy, ale nie ośmieli się zabić tego, na kogo polował.

I ta świadomość dała Uldyzjanowi siłę do walki. Farmer postarał się wypchnąć ból z umysłu, ryknął wściekle i wyrwał się z objęć golema.

Poczuł nagły chłód i usłyszał bezładny klekot. Wzdrygnął się. Gdy już odzyskał wzrok, dostrzegł stosik osmalonych patyków u swoich stóp. Tyle tylko pozostało z tworu Malika.

Ale Uldyzjan zobaczył coś jeszcze. Jego spalone ramiona już się leczyły. Skóra z potwornie zwęglonej stała się czerwona, a potem zwyczajnie lekko różowa, bez najmniejszego choćby bąbla. Nie miał nawet osmalonego ubrania.

Jednak jego radość ze zwycięstwa nad tworem przyćmił niepokój o Lylię i pozostałych. Bez jego obrony nie mieli szans walczyć przeciwko wyszkolonym i spragnionym krwi strażnikom.

Obejrzał się. Wszyscy troje stali nietknięci. Wojownicy Trójcy otoczyli ich, ale nic więcej nie mogli uczynić. Wszystkie próby były daremne. Uldyzjan zobaczył ostrze spadające na brata tylko po to, by odbić się kilka cali od celu. Jeden ze strażników chciał pochwycić Mendelna, ale połamał sobie ramiona, trafiwszy na przeszkodę z powietrza. Podobnie stało się w przypadku Serentii, której spojrzenie pochwycił na chwilę Uldyzjan. Dziewczyna, w przeciwieństwie do napastników, rozumiała, co się dzieje. Z oczyma rozszerzonymi zdumieniem skinęła głową, uznając moc Uldyzjana.

A co do Lylii... szlachcianka po prostu stała za plecami farmera, choć sypał się na nią grad ciosów zajadłych sług Świątyni. Na jej twarzy malował się spokój pomieszany z oczekiwaniem i tak jak Serentia, Lylia spojrzała na Uldyzjana, skinieniem głowy dając mu do zrozumienia, że pewna jest jego ochrony.

To wystarczyło, by Uldyzjan uśmiechnął się szeroko, nie bacząc na sytuację. I nie przestał się uśmiechać, spoglądając na przyczynę ich kłopotów.

Tymczasem Malik spochmurniał i przestał udawać obojętność. Czoło przecięła mu głęboką zmarszczka, a w jego ciemnych, bardzo ciemnych

oczach, zapłonęła furia. Arcykapłan trzymał w dłoni niewielkie pudełko wysadzane kamieniami.

– Sam to na siebie sprowadziłeś. Mój mistrz utrzyma cię przy życiu, nawet jeśli przyniosę mu twoje ledwie bijące serce, synu.

Otworzył pudełko.

Uldyzjan uchylił się instynktownie... ale w pudełku spoczywały jedynie trzy lśniące klejnoty. I choć płomienie ogniska tańczyły niespokojnie, choć dwóch adwersarzy dzieliła spora odległość, Uldyzjan jakimś sposobem był w stanie dokładnie zobaczyć kamienie: owalny błękitny, złoty trójkątny i największy z trzech, diament w kształcie łyży. Zobaczył też, że w pudełku powinien być i czwarty kamień, ale miejsce po nim pozostało puste.

– Chcesz mnie przekupić, bym się nawrócił? – zapytał zaciekawiony.

W odpowiedzi Malik przeciągnął palcem po każdym z kamieni.

– Nie. Myślę, że skłonię cię, byś błagał, żeby ci na to pozwolić.

Strażnicy Pokoju w jednej chwili zaprzestali swych wysiłków i zgromadzili się za plecami kapłana. Malik nie zwrócił na nich uwagi, skupiony na przestrzeni, jaka dzieliła go od Uldyzjana. Przestrzeni, która teraz wypełniała się dymem niewiele mającym wspólnego z obozowym ogniskiem... czy jakimkolwiek innym widocznym źródłem.

Uldyzjan stawiał czoła hipnozie, jej miażdżącej sile i żywemu ogniewi. Nie bał się dymu. Wziął głęboki oddech i postąpił krok naprzód. Jeśli tylko przejdzie przez dym, gardło przeklętego kapłana znajdzie się w zasięgu jego rąk...

Ale za jego plecami rozległ się zaskakująco wysoki i pełen strachu krzyk Lylii:

– Nie, Uldyzjanie! Nie tak! Strzeż się czatowników!

Jej krzyk nie przebrzmiał jeszcze, gdy przed farmerem wyrósł potworny kształt. Uldyzjan dostrzegł podobne brzytwom kończyny ponad chyba

trzema łapami niczym macki i ogromny łeb, który zdawał się zbyt ciężki, by mogło go utrzymać jakiegokolwiek śmiertelne ciało. Cztery lśniące ślepia płonęły bielą. Stwór ruszył na Uldyzjana...

I wtedy w mgnieniu oka srebrzysta aura otworzyła makabryczny kształt. Stworzenie uniosło wysoko liczne kończyny i wydało z siebie niski dźwięk... po czym się rozwiało.

Uldyzjan poczuł słabe ukłucie ulgi, gdy zniknął ten potworny przeciwnik, ale widział już dwa kolejne kształty wyłaniające się z dymu i te okazały się o wiele bardziej makabryczne. Ciało pierwszego stwora wyglądało, jakby przed chwilą ktoś je oskórował, miało dwie mocne nogi zakończone szponiastymi łapami, kolczasty ogon wyrastający z korpusu przypominającego tubę. Nie miał głowy, tylko ziejącą dziurę z zębatymi wyrostkami, które przecięły powietrze tuż przed twarzą Uldyzjana.

Piekielny towarzysz potwora był szkieletem zwieńczonym głową głodnego drapieżnego ptaka. Para skórzastych skrzydeł wyrastała mu z barków, a ramiona nie kończyły się dłońmi, a niezliczonymi przyssawkami. Nadto nogi zginały się w przeciwną niż u ludzi stronę, zupełnie jak u konika polnego.

Ukryty za zasłoną dymu Malik wypowiedział jedno słowo:

– Lucion.

Skrzydlaty stwór rzucił się do przodu z niezwykłą prędkością. Uldyzjan padł powalony samą siłą rozpędu. Usłyszał przy tym głęboki odgłos kruszenia, dochodzący od drugiej z bestii.

Przyssawki sięgały ku piersi i gardłu człowieka. Uldyzjan mógł jedynie próbować je powstrzymać. Złapał koszmarne ręce stworzenia za nadgarstki i podniósł górną część korpusu bestii, jak mógł najwyżej.

Ponad dźwięki zmagania wybił się głos Malika:

– Zostawię z ciebie tyle, by Pierwszy miał z czym pracować. Lecz ani trochę więcej – stwierdził wręcz pobłażliwym tonem.

Uldyzjan próbował poradzić sobie z nimi tak jak z ognistym golemem, ale te monstra niezbyt przypominały potwornego myśliwego z lasu. Były gorsze. W niewytłumaczalny sposób Uldyzjan wiedział, że tamta bestia była o wiele mniej groźna od tych dwóch koszmarów z piekła.

Długi, ostry dziób celował w głowę Uldyzjana. Farmer spodziewał się, że bestia spróbuje go dziobnąć i też przebić mu czaszkę... Ale zamiast tego otworzyła dziób i wrzasnęła przesywająco. Dźwięk zatrzęsł każdą kością w ciele Uldyzjana. A krzyk trwał w nieskończoność.

Farmer nie był w stanie zrobić nic więcej, więc tylko z całych sił starał się zachować przytomność. Czując przejmujący ból w uszach, Uldyzjan puścił ramię stwora i wyciągnął rękę w stronę dzioba. Jednak gdy to zrobił, przyssawki sięgnęły jego piersi. I natychmiast poczęły się wgryzać w jego ciało. Ale Uldyzjan i tym razem nie pozwolił, by ból go powstrzymał. Z wysiłkiem złapał upiorny dziób i krzycząc, mocno go zatrzęsął. Latający stwór szarpnął głową, chcąc się uwolnić; nie przestał ani na moment wysysać ze swej ofiary siły życiowej, co podejrzewał Uldyzjan.

Kręciło mu się głowie, ale spróbował strząsnąć przeciwnika. Wtedy coś złapało go za nogi; złapało i poczęło wlec... wraz z uczepionym dziobatym... Uldyzjan nie miał wątpliwości, że cał za całem zbliża się do drugiego z demonów.

Wolał nawet nie myśleć, jak koszmarnie tortury może zgotować mu drugi z potworów. Uldyzjan zdwoił wysiłki, ale i tak nie zdołał się uwolnić. Moc, która go dotąd chroniła, teraz zawiodła całkowicie. Mógł jedynie zgadywać, że stało się tak, ponieważ nie był gotów, by korzystać z niej tak długo, a przy tym tak rozpaczliwie. W odpowiednim czasie bez wątpienia



dałby radę każdemu z potworów, ale nie mógł liczyć na odpowiednią chwilę – miał tylko tę teraz.

Nie obawiał się śmierci, wiedział bowiem, że Malik chce go żywego, ale arcykapłanowi wszystko było jedno, w jakim stanie dostarczy swego więźnia. Widocznie poszarpany i zakrwawiony też mógł usatysfakcjonować tajemniczego i najwyraźniej mało litościwego Pierwszego.



Ssawki skrzydlatego monstrum znacząco osłabiły Uldyzjana. Zaczął się obawiać, co będzie z pozostałymi, jeśli on poniesie porażkę. Nie mógł przestać myśleć szczególnie o ufnej twarzyczce Lylii. Wszyscy zostaną zgładzeni... Jeśli w ogóle jeszcze żyli. Nie miał pojęcia, czy ktokolwiek z ich trojga znajduje się jeszcze pod ochroną mocy, ani nie wiedział, co stało się z Achiliosem, który nie wrócił z polowania. Zapewne łucznik poległ pierwszy, zamordowany w lesie przez Strażników Pokoju.

Czuł, jak drętwieją mu stopy i nogi, i wiedział, że to nie skrzydlata bestia jest tego przyczyną. Teraz oba demony miały go w swej mocy. Było już po nim.

– Lyliia... – wymamrotał. – Lyl...

Zadygotał gwałtownie i to nie za sprawą przeciwników. Niesamowita, wspaniała moc napełniła nagle Uldyzjana. Wystarczyła chwila, by nie tylko odzyskał siły, ale i poczuł się potężny jak nigdy dotąd! Teraz nawet połączone wysiłki obu demonów zdały mu się bez znaczenia. Śmiał się z własnych obaw, że coś takiego mogłoby go pokonać.

Ożywiony zacisnął mocniej palce wokół dzioba napastnika. Tym razem jednak nie zamierzał go po prostu odsunąć.

Wystarczyło mocniej ścisnąć, a dziób pękł. Demon zacharczał i szarpnął się, próbując uwolnić. Ciemnozielona jucha popłynęła ze strzaskanych szczęk, bryzgając na Uldyzjana, ale ten zignorował palący ból, jaki sprawiała każda kropla. Zapragnął się przekonać, do czego jeszcze jest zdolny. Moc płynęła przezeń na podobieństwo ryczącej rzeki, karmiła go nieustannie. Czuł, jak całe ciało wzbiera jej potęgą. Był gigantem w porównaniu z przeciwnikiem; był tytanem.

A nawet bogiem...

Malik zmarszczył brwi. Znów poczuł, że sprawy przybrały niewłaściwy obrót. Najpierw ten głupiec zaatakował przedwcześnie, gdy demony dopiero się materializowały. Zniszczenie jednego z nich, najokrutniejszego i najpodlejszego spośród sług przekazanych przez mistrza, wprowadziło kapłana w większe zdumienie, niż po sobie pokazał. Nawet nie poczuł mocy wzbierającej w tym głupcu...

Ale dwa następne demony robiły to, czego Malik po nich oczekiwał i wyglądało, że raz–dwa poradzą sobie z ofiarą. Malik obserwował je swymi wyostrzonymi zmysłami, upewniał się, że nie dadzą się ponieść i nie spróbują zabić tego wieśniaka. Arcykapłan w takim samym stopniu brał udział w walce, jakby włączył się w nią fizycznie. I dlatego zauważył zdumiewający i niemożliwy przypływ mocy, wzbierający u tego, kto jeszcze chwilę wcześniej był powalonym, przegranym błaznem.

Zauważył... ale nie potrafił zrozumieć, skąd wzięła się ta moc. Zupełnie jakby Uldyzjan otrzymywał ją z innego źródła...

Malik oderwał się od zmagania demonów i popatrzył na troje pozostałych. Serentię wykreślił od razu – ledwie czuła rosnącą w niej moc – podobnie głupca ze zdumioną miną, stojącego obok dziewczyny. Malik domyślił się, że chłopak jest bratem Uldyzjana. Wyczuwało się w tym bracie coś szczególnego, ale to nie on był źródłem.

I wtedy spojrzenie Malika powędrowało do jedynej osoby, jaka mu została; do tej, która początkowo zupełnie nie wzbudziła jego zainteresowania. Przyjrzał się jej uważnie przez pryzmat swych umiejętności.

I zobaczył coś, czego by nigdy nie spodziewał się ujrzeć.

– Wielki Lucionie! – wyrwało mu się. Nie zdołał utrzymać lekceważącej pozy, świadczącej o całkowitej pewności siebie. Uniósł dłoń, a jego usta zaczęły formować słowa zaklęcia...

Ból ukłuł go przy lewej łopatce. Zaznajomiony z budową ludzkiego ciała Malik wiedział, że są punkty, których zranienie może błyskawicznie doprowadzić do śmierci. Odruchowo przeliczył, że gdyby strzała, bo cóż to mogło być innego, trafiła go o cale bliżej środka pleców, cała moc, jaką posiadał, nie zdołałaby go ocalić. Natychmiast też skorzystał z darów swego pana, by nie tylko zatrzymać krwawienie, ale zapobiec utracie przytomności.

Niestety, oznaczało to, że nie mógł dłużej kontrolować walki ani też poświęcać uwagi swym szokującym odkryciom. Wycofał się, usiłując utrzymać koncentrację. Jednak gdy tylko się odwrócił, zobaczył padającego na ziemię brata Rondo z gardłem przeszytym strzałą. Kapłan dostrzegł gibką postać przemykającą się na obrzeżach obozu. Zwykły łucznik! To była dla Malika oblega. Omal nie zginął z rąk istoty, która nie władała żadnymi mocami!

Od strony, gdzie Uldyzjan zmagał się z demonami, dobiegł niepokojący dźwięk. Kapłan odwrócił się, w pierwszej chwili przekonany, że pozbawione jego kontroli monstra rozdarły wieśniaka na strzępy. Jednak zobaczył, że to Uldyzjan, który ponownie podniósł się wolny. Gorzej nawet, w dłoni ścisnął kończynę demona, teraz już pozbawionego dzioba. Uldyzjan odrzucił martwe truchło na bok i oburącz złapał ostatniego

przeciwnika za gruby lepki jęzor. Malik widział wcześniej, jak ten jęzor owija się wokół nóg głupca, by porazić go zimnem tak niesamowitym, że mogło zamrozić śmiertelnika w mgnieniu oka. A jednak Uldyzjan nie tylko przetrwał atak mrozu, ale i ciągnął ku sobie ostatniego z piekielnych sługusów Malika. Potworne zębiska demona zatrzęsły się na nadgarstkach przeciwnika i arcykapłan pomyślał, że wreszcie farmer popełnił śmiertelny w skutkach błąd. Ku jego zdumieniu zęby w kontakcie z ludzkim ciałem pękły niczym kruche szkło.

Zaciskając szczęki, Uldyzjan uwolnił jedną rękę, chwycił resztki splamionego posoką dzioba i posługując się nim jak sztyletem, ugodził napastnika tuż ponad przerażającą paszczą.

Demon zaskomlał... i padł bezwładny. Gęsty, ciemny płyn popłynął z rany, plamiąc groteskowe ciało.

W tej samej chwili na ziemię upadła strzała z pleców Malika, szarpnięta jego wolą. Kapłan poczuł, jak rana się zasklepia. Nadal czuł ból, choć ten zelżał, ale przyczyną słabości był proces uzdrowienia i wcześniejsze wysiłki zmierzające do kontrolowania demonów.

Nie tak miało być, pomyślał Malik, obserwując zagładę ostatniego ze swych demonów. Pierwszy będzie wściekły. Arcykapłan wzdrygnął się na myśl o gniewie swego pana. Widział już, jak mistrz okazał niezadowolenie jednemu z poprzednich arcykapłanów. Niewiele zostało z wiernego sługi.

Ale to, co miało być prostym zadaniem, wcale takim nie było. Malik wprawdzie wciąż nie potrafił powiedzieć, kiedy sprawy przestały układać się po jego myśli, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że oto stał się pionkiem w grze, której nawet Pierwszy nie przewidział, chociaż wydawało się to niemożliwe.

Uldyzjan popatrzył na kapłana, a na jego złanej potem twarzy pojawił się grymas, który Malikowi natychmiast przywiódł na myśl gniew, do jakiego

zdolny był jego zdaniem jedynie Pierwszy.

Nie bacząc na swych podwładnych, skupił się na ochronie własnej osoby.

Moc, która uderzyła tym razem, było stokroć potężniejsza od tej, która wcześniej powywracała zbrojnych. Ciała fruwały niczym wystrzelone z katapulty. Ludzie krzyczeli, zderzali się z pniami drzew, przepadali w gęstwinie. Jeden ze Strażników Pokoju tak mocno rąbnął w dąb, że pień zatrzęszczał, a chwilę później drzewo zwało się na sąsiednie.

Jedynie Malik utrzymał się na nogach, choć z trudem. Nie wierzył w to, co widział. Farmer ruszył na kapłana, a w jego oczach lśniła żądza krwi. Malik wiedział, że jego niedoszła ofiara zamierza uczynić coś znacznie gorszego niż to, co pokazała dotychczas.

I dlatego też on sam zrobił najmądrzejszą rzecz w tej sytuacji.

Diabelski pył zawirował przed Uldyzjanem, unosząc ze sobą każdy okruch pisaku, każdy drobny śmieć, jaki znalazł się w zasięgu, i wionął Uldyzjanowi w twarz, oślepiając go natychmiast.

Kapłan skupił się...

Uldyzjan wycofał się z gęstej chmury pyłu, zły na siebie, że nie przewidział takiego ataku. Oślepiiony, szykował się na najgorsze, przekonany, że Malik ma w zanadrzu kolejny, o wiele bardziej zdradliwy atak.

Ale pył opadł niemal natychmiast... a kapłana nigdzie nie było widać.

Uldyzjan stał przez chwilę zdumiony i zaskoczony, oczekując jakiegoś podstępu, wstrętnej sztuczki, ale Malik się nie pojawił. Zamiast tego od tyłu złapały go szczupłe dłonie.

– Dokonałeś tego, Uldyzjanie! – rozległ się głos Lylii. – Uratowałeś nas od demonów i tego kapłana!

Rozejrzał się. Przynajmniej trzech zbrojni przeszyci byli przez strzały, co stanowiło widomy znak, że nie tylko Uldyzjan odpowiadał za obronę ich

grupy. Achilios stał u boku Serentii, próbując ją uspokoić.

– Wybacz jej ten brak rozwagi – powiedziała natychmiast Lyli. – Nie chciała nas przecież narazić.

Uldyzjan chciał podejść do czarnowłosej dziewczyny, powiedzieć, że rozumie, co się wydarzyło i że to Malik przejął kontrolę nad jej umysłem. Ale postanowił zostawić to jednak w troskliwych rękach łuczniaka. Wiadomo było, że Achilios zrobi, co w jego mocy, by pomóc Serentii odzyskać równowagę i spokój.

– Byłeś wspaniały! – nie milkła Lyli. – Widzisz teraz, mój ukochany? Rozumiesz, że możesz wszystko, że nic nie zdoła powstrzymać cię przed spełnieniem naszego marzenia?

Oczywiście, że rozumiał to wszystko, wciąż jeszcze był oszołomiony własnymi możliwościami. Czary arcykapłana Trójcy, zbrojni i potwory posłani przeciwko niemu – wszystkiemu temu podołał. Czy ktoś taki jak on ma się czego w życiu obawiać? Z pewnością nie.

Ale tamci nie ustaną w próbach... a inni, szczególnie Lyli, będą polegać na Uldyzjanie, póki sami nie nauczą się, jak rozbudzić w sobie moc.

– Niech przyjdą... – mruknął bezwiednie. – Niech przyjdzie... – dodał, myśląc o Maliku.

Lyli zajrzała mu w twarz. Jej oczy płonęły jaśniej niż obozowe ognisko.

– Uldyzjanie! Słyszałeś, co powiedział ten kapłan? Słyszałeś to imię?

– Imię? – spróbował sobie przypomnieć, ale nadaremno. – Jakie imię?

Zbliżyła doń usta.

– Lucion. To właśnie kapłan zawołał do demonów. Lucion. – Popatrzyła na Mendelna, który akurat do nich podchodził. – Ty też słyszałeś, prawda?

Mendeln zatrzymał się, widać było, że zbiera myśli.

– Tak. Słyszałem to imię z jego ust. Słyszałem, Uldyzjanie.

Lucion. Tego samego imienia wzywał pierwszy z demonów, nim szczeł.  
Teraz użył go Malik.

Czy było jakieś powiązanie między Świątynią a tym Lucionem? Między Pierwszym a panem demonów?

Na samą myśl Uldyzjan poczuł, jak cierpnie mu skóra i krew w żyłach tężeje. Demony posłuszne kapłanom Świątyni? Cóż to mogło oznaczać?

I kim w takim razie był ów Pierwszy, którego imię równie dobrze mogło brzmieć Lucion?

# DZIEWIĘĆ



Malik krzyczał... wciąż... wciąż... i wciąż.

Krzyczał, choć nikt nie mógł go usłyszeć, nie w tajemnej komnacie jego pana i mistrza. Krzyczał i błagał, by jego agonia dobiegła końca, choć wiedział, że ten koniec nadejdzie tylko wtedy, gdy Pierwszy tego zapragnie... o ile w ogóle zapragnie. Jego pan mógł przecież sprawić, by cierpienie Malika trwało przez wieczność.

Ta myśl wzmogła rozpaczliwe krzyki arcykapłana.

I nagle bez uprzedzenia ból zniknął. Spazmatycznie chwytając powietrze, Malik upadł na podłogę. Zdumiała go jej twardość, bo mógłby przysiąc, że chwilę temu pływał w morzu ostrzy i ognia.

– Mógłbym wysłać nowicjusza zamiast ciebie i otrzymać równie wspaniałe rezultaty – rozległ się głos Pierwszego. To nie był ten łagodny ton, pełen miłości i spokoju, z którego wielki kapłan słynął wśród wiernych. Ale Malik znał i ten zimny ton doskonale. Choć dotychczas przeznaczony był zawsze dla kogoś innego.

A ci, do których Pierwszy przemawiał tym tonem, nigdy, bez wyjątku, nie opuścili tej komnaty.

– Jestem bardzo rozczarowany – kontynuował Pierwszy. – Takie pokładałem w tobie nadzieje, mój Maliku, tak wielkie nadzieje! Kto był moim ulubieńcem dłużej niż jakikolwiek śmiertelnik?

Pytanie nie było retoryczne i Malik miał tego świadomość.



– Ja... o, wielki.

– Tak... tak, ty, mój Maliku. Żyłeś dwakroć dłużej niż jakikolwiek człowiek i w tym czasie byłeś świadkiem przedwczesnego zejścia kilku innych, o ile pamiętasz...

Arcykapłan zakonu Mefisa miał pewność, że nadszedł jego koniec. Podniósł wzrok, z determinacją gotów stanąć twarzą w twarz ze swym panem po raz ostatni.

Pierwszy spoglądał na swego sługę z wyżyn swego tronu. Milczał. Milczał tak długo, że Malik zaczął drżeć mimo wysiłków, by zachować panowanie nad sobą nawet w obliczu śmierci albo czegoś gorszego. Gdy jego pan tak długo nad czymś deliberował, było to zwykle coś szczególnie straszliwego.

Wielki kapłan wstał i powoli, miarowym krokiem zbliżył się do sługi. Przyglądał się Malikowi, jakby próbował podjąć decyzję. Po raz pierwszy od chwili, gdy Malik zdołał się przenieść do Świątyni, w jego sercu błysnął nieśmiały promyk nadziei. Czyżby mógł liczyć na szansę poprawy?

– Wiele w ciebie zainwestowałem, mój Maliku – rzekł Pierwszy jeszcze mroczniejszym tonem. Każda sylaba była jak trucizna, każde słowo jak zagłada. Arcykapłan zwiesił głowę, pewien, że jednak przyjdzie mu zginąć.

Lecz jego pan miast ostrza ofiarował mu dłoń. Dygocąc, Malik wyciągnął swoją. Pierwszy podniósł sługę na nogi.

– Jestem jego synem, Maliku, i odpowiadam przed nim, jak ty przede mną! Daruję ci życie ten jeden raz, albowiem zrodziło się we mnie pytanie, którego nawet ty nie byłbyś zdolny pojąć, pytanie, które może mieć związek z tą istotą zwaną Uldyzjanem...

– Jestem prawdziwie wdzięczny, panie! Żyję jedynie po to, by ci służyć! Przysięgam!

Nadal trzymając dłoń Malika w swojej, Pierwszy skinął głową.

– Tak... to prawda... i abyś o tym pamiętał, otrzymasz ode mnie dar, na zawsze.

Arcykapłan znów wykrzyknął niemalże w agonii, bo jego kończyzna zapłonęła bólem niczym ogniem. Ku jego osłupieniu i przerażeniu dłoń skręciła się, zwinęła, zaczęła zmieniać, zniknęły gdzieś mięśnie i ścięgna, w ich miejsce pojawiła się spaczona, ociekająca zielenią ohyda. Łuski pokryły ją daleko poza nadgarstek. Palce wyrosły gruzłowate i zbrojne w szpony, a dwa ostatnie zrosły się w jeden.

Cierpienie trwało, choć czar dobiegł końca.

Pierwszy nie pozwolił Malikowi opaść na kolana. Zmusił kapłana, by ten stał i spoglądał mu w twarz, swym wzrokiem czyniąc z Malika więźnia.

– Teraz nosisz mój znak, Maliku... znak mój i mego ojca. – Pierwszy wypuścił wreszcie dłoń Malika ze swego uścisku. – Teraz i na zawsze.

Malik dygotał, ale trzymał się na nogach nadludzkim wysiłkiem woli. Kołysząc się w przód i w tył, wpatrywał się w podłogę.

– Wie... wielki jest Lucion, wszechpotężny i wszechwiedzący... a jeszcze większy jego ojciec, wspaniały i łaskawy... – Człowiek ośmielił się podnieść wzrok. – Mefisto!

Lucion uśmiechnął się, ukazując idealne zęby, teraz jakby ostrzej zakończone. Jego postać spowił cień, nieprzenikniony dla światła. A choć arcykapłan dojrzał zaledwie niewielki przeblysk prawdziwej natury swego pana, wystarczyło to, by zbladł.

I wtedy równie szybko jak się zmienił, Pierwszy wrócił do swej dobrotliwej postaci. Położył dłoń na ramieniu Malika. Arcykapłanowi udało się wytrzymać i nie uchylić.

– Dobrze się nauczyłeś swojej lekcji, mój Maliku! Dlatego też pozostajesz mym ulubieńcem. Przynajmniej na razie. A teraz pójdź! Lepiej będzie, jeśli dokończymy te sprawy na dole, jak mniemam...

– Jak sobie życzysz, o wielki. – Przytrzymując poskręcaną, pulsującą bólem rękę, Malik stanął u boku Pierwszego. Nie odezwał się ani słowem, wołał bowiem nie narażać się znowu na gniew swego pana.

Ten, którego prawdziwe imię brzmiało Lucion, syn Mefista, poprowadził Malika nie do drzwi swej komnaty, ale do ściany za tronem. Po czym zatoczył przed nią ramieniem.

Na ścianie uformował się szkarłatny łuk, jego końce się wydłużyły i sięgnęły podłogi, zanim Malik zdążył nawet odetchnąć ponownie. Cześć powierzchni między krawędziami znikła i powstało przejście do oświetlonego pochodniami korytarza, który prowadził w głąb ziemi, do jakichś starożytnych katakumb. Wzdłuż ścian stali podobni kamieniowi strażnicy, których przerażające zbroje nie przypominały nawet tych noszonych przez Strażników Pokoju.

Gdy Lucion i arcykapłan wkroczyli na korytarz, strażnicy skierowali ku nim swe spojrzenia. I natychmiast stanęli na baczność. Z hełmów ukształtowanych tak, by przypominały czaszki bezrogich baranów, wyzierały czarne dziury, nie oczy. Ciała wojowników miały barwę kamienia nagrobnego, a napierśniki nosiły znak ich przeklętego rodzaju – krwawiącą czaszkę przebitą dwoma mieczami oplecionymi przez węże.

Malik znał ich doskonale, po prawdzie sam wybrał niejednego żołnierza tych oddziałów. W przeciwieństwie do swego pana, nie budzili w Maliku strachu. Kiedyś arcykapłani mieli ich poprowadzić w imieniu Pierwszego, gdy Świątynia przejmie władzę nad Sanktuarium i będzie można zrzucić wszystkie maski.

Sanktuarium. Tę nazwę znało tak niewielu, a większość nie należała do śmiertelników. Malik poznał prawdę o świecie z ust Luciona, który lepiej niż ktokolwiek inny pojmował rzeczywistość. W końcu czyż nie był z krwi, o ile można by użyć określenia tak prostego, samego Władcy Nienawiści,

nazywanego przez wielu demonem, który wraz z braćmi, Baalem i Diablo, rządził otchłanią Płonących Piekieł?

Pojęcie dobra i zła już dawno przestało mieć dla Malika znaczenie – poza tym najbardziej teoretycznym. Arcykapłan rozumiał jedynie władzę, a Pierwszy reprezentował władzę absolutną nad wszelkim stworzeniem. Czyż Wielka Trójca nie stworzyła świata Sanktuarium, czyż nie zaludniła go wytworami swej myśli? Czyż Diablo, Baal i Mefisto nie zostali oszukani przez tego, którego mieli za sojusznika, i wygnani z Sanktuarium na zawsze? Lecz mimo tej zdrady udało im się powrócić do świata, który stworzyli, i wkrótce uwolnią go z rąk złodzieja. Przeklęty zdrajca myślał, że posiadał królestwo wraz ze wszystkimi mieszkańcami dla własnej rozrywki. Nie doceniał jednak Trzech, a przede wszystkim, zdaniem Malika, najbardziej nie docenił syna jednego z Trzech – Luciona.

To przecież Lucion po tych wszystkich latach zmusił zdrajcę, by wyszedł z ukrycia i objawił swą obecność. To był pierwszy krok do odzyskania Sanktuarium i zmiany świata w to, czym miał być od samego początku... W miejsce, skąd kilku godnych, jak sam Malik, zostanie wyniesionych, by pomóc Trzem przekształcić wszelkie istnienie w odbicie ich chwały.

A dla takich jak Malik oznaczało to więcej władzy niż miały wszystkie klany magów i żalosne rody szlacheckie razem wzięte.

Co w tym kontekście dostrzegł Pierwszy w Uldyzjanie, tego arcykapłan nie pojmował. Zgadywał, że Uldyzjan miał stać się pierwszym z żołnierzy nowych legionów stworzonych przez Trójcę. Bo kimże by innym? Malik widział potencjał wieśniaka, odczuł ten potencjał na własnej skórze, był więc przekonany, że się nie myli. Farmera należało złamać, a wtedy chętnie podda się woli Luciona. Stanie się doskonałym sługą, wykonującym wszelkie rozkazy, nieważne jak straszliwe.

Tak jak morlu, pomyślał Malik.

Jakby w odpowiedzi na jego myśl korytarz dobiegł końca i stanęli przed opalizującym woalem jadowitej zieleni, który Malik znał aż nazbyt doskonale.

Syn Mefista ponownie wykonał gest. Woal rozwiął się w dym... i przy wtórze nieustającego szczęku broni pojawiło się przed nimi leże morlu.

Tak Lucion nazwał swych zbrojnych w baranich hełmach. Morlu – to było słowo mocy, dwie sylaby czerpiące z magii samego Mefista. Morlu byli więcej niż fanatycznie oddani. Żyli i oddychali pragnieniem Władcy Nienawiści. Nie znali już snu ani głodu. Zнали jedynie walkę.

I gdy Malik za swym panem wkroczył do olbrzymiej komnaty w kształcie misy, ukrytej głęboko pod fundamentami świątyni, ujrzał morlu pochłoniętych walką. Sceneria oświetlona strumieniami lawy płynącej przez olbrzymią jaskinię godna była koszmaru demona. Przed oczyma kapłanów ciągnęło się ogromne morze uzbrojonych sylwetek, które nie przestawały ciąć, rąbać, płać jeden drugiego z absolutną beztróską i radością. Każdy z żołnierzy krwawił z licznych ran ziejących w jego ciele. Odrąbane kończyny walały się po zalanej krwią posadzce, zwłoki zaścielały każdą wolną przestrzeń w zasięgu wzroku. Malik widział głowy spadające z karków, z ustami, o ile jeszcze miały szczęki, otwartymi w śmiertelnym krzyku. Wielu twarzom brakowało oka, czasem obu, czasem nosa czy ucha. Martwi morlu nie różnili się za bardzo wyglądem od żywych, którzy też w większości byli okaleczeni i pokancerowani, ale zaangażowani w walkę nie zwracali uwagi na rany. Kawałki ciał latały w powietrzu albo gromadziły się na brzegach płynącej lawy i z każdą chwilą było ich coraz więcej.

Lecz gdy przyjrzeć się scenie poniżej dokładniej, odkrywało się, że walka nie miała ani widocznego rytmu, ani powodu, ani nawet stron konfliktu. Morlu czegoś takiego nie potrzebowali. Każdy z wojowników walczył dla siebie, a stawał ramię w ramię z innymi tylko tak długo, jak

trzeba by zrealizować wspólny cel... a potem zwracał się przeciwko towarzyszom broni. Morlu radośnie mordowali się nawzajem, nie ustając w wysiłkach, tak samo jak wtedy, gdy stawali przeciw zewnętrznemu wrogowi. Zresztą tylko w starciu z takim byli prawdziwie zjednoczeni, tego wymagał bowiem ich pan. Mieli być plagą, która spadnie na świat i zmiecie zeń niewiernych, służących zdrajcy dobrowolnie lub w skutek oszustwa.

Lucion wpatrywał się w sklepienie jaskini, a Malik był doskonale świadom, że potężny mistrz nie interesuje się wcale formacjami skalnymi. Pierwszy spoglądał wzrokiem nieśmiertelnego w miejsce, którego żadne szkolenie ani lata nauki nie odsłoniłyby przed oczyma arcykapłana czy innego człowieka.

– Wybraliśmy doskonały moment na wizytę. Godzina jest blisko, mój Maliku – powiedział cicho Pierwszy tonem, jakim dumny i zadowolony ojciec mógłby przemawiać do swego dziecka. – Zatrzymajmy się i rozkoszujmy pięknem odnowienia...

Zwróciwszy spojrzenie na niekończącą się walkę poniżej, wielki Lucion skinął ku samemu centrum bitwy, gdzie miała miejsce najgorsza jatka. Na trójkątnym postumencie z marmuru poznaczonego czerwienią spoczywał czarny klejnot niemalże wielkości człowieka. Ten rodzaj marmuru nazywano oczywiście krwawym, zaś klejnot był nazywany przez pana Malika Pocałunkiem Mefista, choć na podstawie rozmaitych uwag kapłan miał powody przypuszczać, że kamień nosił kiedyś imię tej, której wielki Lucion nie wspominał.

– Uważaj, mój Maliku...

Jak gdyby czas nagle się zatrzymał, zamarli wszyscy wojownicy morlu. Znieruchomiały ostrza zatopione we wnętrzościach i głowy spadające z potrzaskanych karków. Potworną komnatę ogarnęła cisza.

Pocałunek Mefista rozbłysnął czarnym światłem. Nie ciemnością, ale absolutnie czarnym, najczarniejszym światłem.



A gdy światło padło na walczących i poległych, poczęli oni skręcać się i obracać, jakby ich kości stały się giętkie. Oderwane kończyny poderwały się, by wrócić do ciał, otwarte rany zamykały jedna po drugiej. Poszarpane włóki podnosiły się, znów zdolne do ruchu. Malik drgnął pod wpływem wspomnienia związanego ze zmianą, jakiej niedawno doświadczył, i ponownie złapał się za swą zniekształconą rękę.

Szeregi morlu odzyskiwały pierwotny kształt. Nawet z dymiących, czerwonych fal lawy wynurzali się zmartwychwstali wojownicy. Ich zbroje lśniły od żaru, w którym skapały się ciała, a potem znów stawały się czarne.

Malik spoglądał na to jak na cud – powstanie zmarłych, ozdrowienie rannych, choć tak naprawdę wiedział, że nie tego jest świadkiem. Klejnot nie miał mocy przywracania życia śmiertelnikom. Morlu, którzy tu ginęli, nie byli już ludźmi. Byli trupami poruszonymi ohydą magią Mefista zgodnie z wolą jego syna Luciona. Morlu nosili w sobie demoniczną esencję, która tylko naśladowała życie. Każdy nowy wojownik szybko dołączał do tych podnoszących się z martwych, tak okrutna była egzystencja polegająca na nieustającej walce. Jednak morlu uważali to za zaszczyt i wierzyli, że ich dusze wciąż jeszcze stanowią część ich istnienia.

Ale to, co rzeczywiście działo się z ich duszami, wiedział tylko Władca Nienawiści, a przynajmniej tak sądził Malik.

Trzeba było kilku chwil zaledwie, by jaskinię wypełnili wojownicy w swej najlepszej formie. Ten i ów ryknął głucho na drugiego, inny potrząsnął mieczem, toporem i maczugą, jakby groził potencjalnym przeciwnikom.

Krew, która jeszcze przed chwilą była wszędzie, teraz wsiąkła w skałę. Wszystko wyglądało tak, jakby okrutna bitwa nigdy nie miała tu miejsca.

– Damos... – szepnął Lucion.

Z przeciwległego końca jaskini, spomiędzy szeregów wojowników, wyłonił się szczególnie wielki i groteskowy morlu. Popatrzył na parę przybyszów i nagle wzniósł swój ogromny miecz, wydając przy tym gardłowy okrzyk, salut dla swego pana.

Pierwszy skinął głową, po czym wyciągnął przed siebie dłoń z rozłożonymi szeroko palcami. Damos skłonił się i począł wędrować wzdłuż szeregów gotowych do walki wojowników. Bez żadnego ostrzeżenia złapał jednego z nich za kark i pociągnął. Wybrany morlu posłusznie podążył za Damosem, a ten szukał już następnych. W krótkce zebrał pięciu i poprowadził ku krawędzi, gdzie czekali Lucion z Malikiem.

– Wielki mistrzu... – zakrakał Damos i przyklęknął na jedno kolano. Ten głos brzmiał podobnie do głosu każdego morlu, który choć raz postradał życie w walce, i świadczył wyraźnie, że mroczna esencja, która płonęła w piersiach morlu, jedynie imitowała życie.

Głos Damosa nie należał do śmiertelnika.

Za jego plecami pięciu wybranych wojowników również przyklęknęło. Lucion dotknął szczytu hełmu Damosa w geście błogosławieństwa. Damos zwrócił się ku Malikowi.

– Arcykapłanie.

Malik powtórzył gest swego pana.

– Powstań, Damosie – rozkazał syn Mefista. – Będziesz posłuszny arcykapłanowi. Wykonasz każdy jego rozkaz.

– Tak, o wielki...

– Będziesz musiał jednych oszczędzić, innych zgładzić, Damosie. Rozumiesz różnicę między życiem a śmiercią?



Wojownik skinął głową.

Malik spotkał Damosa w przeszłości. Hełm jedynie po części zakrywał twarz, która sprawiała wrażenie, jakby pocałunek Mefista nie zdołał jej do końca uleczyć. Z nosa zostały dwie dziury, a szczeka sprawiała wrażenie, jakby należała do jakiejś większej istoty, może do niedźwiedzia. Oczodoły Damosa umieszczone były na różnych wysokościach, lecz poza brakiem oczu Damos wyglądał prawie tak samo jak wtedy, gdy dołączył do żyjących oddziałów morlu. Był wyjątkowo brzydkim człowiekiem na zewnątrz i wewnątrz, gdzie kryła się dusza tak czarna, że zadawała kłam staremu powiedzeniu, by nie sądzić po pozorach. W rzeczy samej, śmiertelny Damos nie różnił się wiele od tego, co teraz zamieszkało w jego skorupie.

– Arcykapłan wskaże ci jednego, którego należy oszczędzić. Pozostałych pozbawisz życia – mówił dalej Lucion. – Ale będziesz się musiał kogoś wystrzegać.

– Drugiego?! – wyrwało się kapłanowi, który nagle przypomniał sobie, co wygadywał do swego pana w żalonych próbach usprawiedliwienia swej porażki.

W głosie Pierwszego pojawiła się nuta, jakiej Malik nie słyszał ani razu przez wiele lat swej służby. Brzmiało to niemal jak... niepewność. Nie, uznał człowiek, to było przecież niemożliwe. Lucion nigdy nie był niepewny.

Nigdy...

– Wyczułem... – odezwał się syn Mefista po niepokojąco długiej ciszy – ...że nie wszystko jest takie, jakim się pozornie wydaje. Wyczułem, że miesza się w to... ktoś... inny. – Zamilkł, zamyśliwszy się nagle.

Morlu poruszyli się niespokojnie, Malik czuł coraz większe zaskoczenie.

Co się działo? Kim był ten ktoś?

Przypomni sobie wasne podejrzenia, gdy zmag si z farmerem. Powalia go niesamowita moc, ktor wada prostaczek Uldyzjan – moc w poczeniu z umiejetnociami, ktorymi nie powinien wykazywa si wieniak. Ju wtedy arcykapan pomyla, e sprawy nie s takie, jakimi si wydaj.

A teraz... teraz Malik podejrzewa, e Lucion myli podobnie. Wielki Lucion najwyraniej uwierzy w sowa swego sugi.

Syn Mefista pokrci gow, a twarz straszliwie mu pociemniaa.

– Nie... to by nie moe. – Jego rysy wypogodziy si i wroci mu wyraz absolutnej pewnoci, do ktorego Malik by bardziej przyzwyczajony. – Bdziecie wiedzie – powiedzia nieoczekiwanie Pierwszy do wojownika i kapana. – To co musi zosta wymazane. Chop... ten Uldyzjan ma pozosta przy yciu, ale niech po tym drugim i jego towarzyszach nie zostanie aden slad. Zrozumiano?

Damos skin twierdac gow. Malik uczyni to samo, wciz ciskajc sw przeksztacon koczyne.

Ten gest nie umkn uwadze Luciona.

– To moj dar dla ciebie, moj Maliku – powiedzia yczliwie. – Zobaczysz. Zobaczysz...

Te sowa podniosy arcykapana na duchu. Popatrzy na makabryczn rek z zupełnie nowej perspektywy. Jego pan nie robi niczego bez namysu. Czyby rzeczywicie by to dar? Mog j zgina rownie atwo jak wasn, a nawet na kilka sposobw wczeniej mu niedostpnych. Bol z wolna ustepowa. Co ciekawe, kapan czu si o wiele silniejszy.

Lucion zetkn donie czubkami palcw.

– A teraz czas odnale tego Uldyzjana. Tym razem nie cierpi poraki, czy to jasne?

Malik i Damos po raz kolejny potwierdzili milczco.

– W takim razie to wszystko. Ruszajcie bezzwłocznie.

Wybrani morlu stanęli za plecami Malika, który pokłonił się kornie. Strach w jego sercu zastąpiła gotowość. Poprzysiągł w duchu, że przyprowadzi Uldyzjana do swego mistrza, nawet jeśli oznaczałoby to skatowanie ofiary tak, by tliła się w niej ostatnia iskra życia, ot zaledwie tyle, by Pierwszy miał z czym pracować.

Myślał też o pozostałych rozkazach swego pana. Bez względu na to, skąd pochodziła niezwykła moc, Wielki Lucion nie zapragnął jej dla siebie. Chciał ją zniszczyć, nie zachować. Arcykapłan nie mógł jakoś pozbyć się wrażenia, że jego pan doskonale wie co – czy też kto – było źródłem tej mocy.

Malik nie miał najmniejszego zamiaru zdradzić swego pana. Nie był aż takim głupcem. Jednakże na pewno nikomu nie zaszkodzi, jeśli dowie się, skąd bierze się moc. A jak już zaspokoi swą ciekawość, pozwoli morlu zniszczyć źródło.

Teraz liczył się tylko ten głupi farmer...

Lucion nie obserwował odjazdu Malika. Wiedział, że może zaufać kapłanowi. Śmiertelnik wypełni jego rozkazy, nie miał innego wyjścia.

W szeregach morlu dało się wyczuć irytację, ale Lucion nakazał im czekać. Nie wszystko powiedział swym sługom, nie zdradził, o czym naprawdę myślał.

To niemożliwe, przekonywał siebie. To nie może być... ona. Nie może być tutaj.

Od razu pomyślał i o tym drugim, tym, z którym prowadził tę grę o rząd dusz i umysłów śmiertelników. Ten drugi był doń nieco podobny. Czyżby to on był przeciwnikiem Luciona w tej sprawie? Czy to wszystko było tylko zagrywką, mającą na celu wytrącić z równowagi Luciona i jego ojca? Z pewnością takie założenie miało więcej sensu niż to, że ona tu jest.

Nie zamierzał na razie donosić o tym ojcu.

Tak jak Malik obawiał się gniewu Pierwszego, tak ten drżał na myśl o karze z rąk Mefista. Jego własna potworna natura bladła w porównaniu z tym, jaki był Władca Nienawiści. Nie, na razie Mefisto nie dowie się o niczym.

Ale jeśli to ona... wtedy wcześniej czy później Lucion będzie musiał stawić czoła ojcu.

Muszę dowiedzieć się więcej. Malik bez względu na to, czy będzie żywy, czy martwy, odsłoni przed Lucionem naturę mocy, która używa człowieka, by zamaskować swą obecność. Lucion nie powiedział tego słudze. Nowa ręka związała Malika z jego panem bardziej, niż kapłan mógłby podejrzewać. Posiadła umiejętności, które mogły zniszczyć nawet tamtą... oczywiście kosztem ludzkiego naczynia. Lucion uważał Malika za wyjątkowo użytecznego, ale jego utrata niewiele znaczyła, jeśli mogła gwarantować zabezpieczenie Sanktuarium, szczególnie przed pewną zdrajczynią.

Aby nieco uspokoić myśli, Pierwszy skinął w stronę czekających poniżej wojowników.

Ze zbiorowym okrzykiem morłu rzucili się na siebie. Setki wojowników zginęły w czasie nie dłuższym niż oddech. Krew zbryzgała podłogę, a krzyki rannych i konających poniosły się pod sklepienie. Były muzyką dla uszu Luciona.

A jednak mimo ulgi, jaką niósł Pierwszemu widok jatki, wciąż niespokojnie wracał on do wcześniejszych myśli. To nie mogła być ona, to w żadnym wypadku nie mogła być owa zdrajczyni. Przepadła na wygnaniu, być może już umarła. Nie miała takiej mocy, by przewyciężyć jedno czy drugie. Przecież znał ją doskonale. Czyż nie była mu kiedyś bliższa niż

ktokolwiek na świecie? Tylko dwie istoty mogły znać ją lepiej, jedną z nich był ojciec Luciona.

Drugą jego przeciwnik... który stał się przyczyną upadku zdrajczyń.

A to wszystko prowadziło do pytania, na które Lucion wciąż szukał odpowiedzi.

Jeśli nie jest to jakiś plan jego przeciwnika, czy on również wyczuł, że mogła powrócić?

# DZIESIĘĆ



Nikt się nie sprzeciwił, gdy Uldyzjan zdecydował, że nie powinni zostawać dłużej w obozie. Serentia wprawdzie chciała sprawić poległym Strażnikom Pokoju jakiś przyzwoity pochówek, ale Uldyzjan nie dbał wcale o zmarłych – ci ludzie chcieli go pojmać, a pozostałych zabić, czuł się więc całkowicie usprawiedliwiony, że zostawia ich ciała padlinożercom z lasu.

Przez jakiś czas rozglądali się za wierzchowcami strażników, ale co zaskakujące, nie natrafili na żadne ślady zwierząt. Nawet sokolooki Achilios nie zdołał wypatrzyć tropów. Zrezygnowali dość szybko, dosiedli własnych koni i pognali w noc.

Uldyzjan wciąż pozostawał napięty, nie dlatego, że bał się o siebie, ale o pozostałych... szczególnie o Lylię. Malik na pewno zauważył, jak bliska jest farmerowi, i niewątpliwie wykorzysta przewagę, którą dawała mu ta wiedza, jeszcze szybciej i łatwiej niż więzy krwi między braćmi.

Pomyślawszy o Mendelnie, Uldyzjan odwrócił się i zerknął na brata.

Tak niewiele mógł wyczytać z twarzy młodzieńca, na której znów malował się wyraz niepokoju. Młody uczonec wydawał się szczególnie wstrząśnięty starciem, bardziej nawet niż Serentia. Uldyzjan przyłapał brata, jak stawał nad każdym ciałem, potrząsał głową i sięgał gdzieś w ciemność.

Z gniewnym mruknięciem Uldyzjan przeniósł wzrok na czarną drogę przed sobą. Może lepiej będzie zostawić chłopaka gdzieś po drodze. Nie chciał, by bratu stała się jakaś krzywda, ale też nie życzył sobie, by Mendeln w takim stanie naraził ich na kłopoty. Uldyzjan zawsze wiedział, że młodszy brat nie dorównuje mu siłą fizyczną, ale też zawsze wierzył w siłę jego umysłu. Tymczasem okazało się, że był w błędzie.

Raz jeszcze zerknął przez ramię.

Tak, Mendeln wyglądał jak nawiedzony. Jeśli to się nie zmieni, coś trzeba będzie zrobić...

Jechali szybciej i szybciej; jak wiatr mknęli przez noc. Mendeln desperacko starał się patrzeć wyłącznie przed siebie, ale nawet wtedy nie udawało mu się uciec przed... nimi.

Było ich pięcioro, on, jego brat i reszta. I tylu być powinno. Pięć osób, cztery konie.

Ale za nimi pędziło teraz prawie dwudziestu jeźdźców, których najwyraźniej widział tylko Mendeln.

Na wpeł przejryste, szarobiałe cienie gnały po obu stronach ich niewielkiej grupy. Raz stawały się widoczne, to znów rozpływały w ciemności. Mieli posępne, blade twarze, hełmy i napierśniki Strażników Pokoju. Ilekroć Mendeln zwrócił na nich oczy, napotykał zawsze takie samo nieruchome, puste spojrzenie, jakby widma oczekiwały, że będzie miał im coś do powiedzenia.

Ale Mendeln nie znał słów do zaofiarowania duchom mężczyzn, którzy zginęli z ręki jego brata i Achiliosa. Nie kierował żadnych słów, lecz niema prośbę, by odeszli. Jednak duchy nie tylko nie znikwały, ale zdawały się coraz bardziej zbliżać do Mendelna. Zmarli dosiadający astralnych wierzchowców jechali w tym samym tempie co udręczony młodzieniec. Mendeln podejrzewał, że gdyby w trakcie walki zginęło jakieś zwierzę, to

zapewne i ono dołączyłoby do tego upiornego orszaku. Na tę myśl zaśmiał się nerwowo, a jadący obok Achilios obrzucił go zaniepokojonym spojrzeniem.

Mendeln rozważał, czy powiedzieć przyjacielowi, co się dzieje. Myśliwy był chyba jedyną osobą, która mogłaby to zrozumieć. Przecież też widział dziwny artefakt i tak samo połączyłby kamień z tym, co się działo, jak to zrobił Mendeln.

Ale jeżeli Achilios miał choć odrobinę rozsądku – a przecież Mendeln doskonale wiedział, że tak jest – trzymałby się z daleka od bezradnego przyjaciela. I młody uczonec nie miałby mu tego za złe. Sam chciałby znaleźć się możliwie daleko od tych duchów. Ale skoro nie było to możliwe, mógł mieć tylko nadzieję, że za jakiś czas cienie w końcu znikną, udadzą się tam, gdzie powinny.

Tak, mógł mieć nadzieję, że tak się stanie... Lecz Mendeln wątpił, że dopisze mu aż takie szczęście.

Noc ustąpiła spowitemu w mgłę dnia, ale choć Achilios sugerował, że powinni się zatrzymać, Uldyzjan poganiał ich aż do południa. Dopiero gdy przekroczyli strumień i znaleźli się pod baldachimem drzew, pozwolił im się zatrzymać. Nawet on był zmęczony. Zsunął się z siodła i od razu pomógł zsiąść Lylii. Achilios zajął się Serentią. Mendeln zeskoczył i ruszył w stronę strumienia, by ukoić pragnienie.

Ledwie jednak wyciągnął dłoń, by zanurzyć ją w wodzie, cofnął się gwałtownie, jakby coś go ukąsiło i mrugając niepewnie, obejrzał się ku pozostałym.

– Woda jest chyba zatruta – powiedział niepewnie. – Lepiej jej nie pić. W najlepszym przypadku wszyscy się pochorujemy.

– Skąd wiesz?



Mendeln skrzywił się nieco. W opinii Uldyzjana miał minę jak dzieciak przyłapany na kłamstwie.

– Widziałem... Widziałem takie małe rybki... niejedną. Wszystkie martwe i miały plamy. Wyglądały, jakby padły od jakiejś choroby.

– Już kiedyś takie widziałem – włączył się Achilios. – Jeśli Mendeln dobrze to opisał, najlepiej będzie nie pić.

– Ale nie ma się czego obawiać – oświadczyła Lylią, która stanęła u boku Uldyzjana i podniosła na niego ufne spojrzenie. – Z pewnością poradzisz sobie z czymś tak prostym.

– Z czym?

– Oczyszczeniem wody, rzecz jasna!

Pozostali patrzyli na nią z niedowierzaniem. Nawet Uldyzjan miał kłopot, aby przyswoić sobie to, co powiedziała Lylią, ale im dłużej patrzyła na niego, tym poważniej brał tę możliwość pod uwagę.

– Dobrze.

Ruszył do strumienia, zerknąwszy na brata zaledwie przelotnie. Mendeln ostrzegawczo podniósł rękę. Uldyzjan wyczuwał jednak, że Lylią wciąż na niego patrzy, minął więc brata bez słowa. Może to dla niej zrobić, uznał. Za każdym razem to jej wiara w Uldyzjana, jej miłość pokazywała mu drogę. Tym razem też tak będzie.

Zanurzył palce w strumieniu. Kilka kropel zmoczyło mu dłoń, gdy skoncentrował się ze wszystkich sił, życząc sobie, by strumień stał się czysty. Powtarzał to życzenie raz za razem, aż wreszcie uznał, że albo mu się udało, albo tylko marnował czas. Wyprostował się.

– Ale skąd będziemy wiedzieli, czy podziałało? – spytała Serentia.

Po raz kolejny Lylią dowiodła swej bezgranicznej wiary. Bez wahania uklękła przy brzegu strumienia.

To było zbyt wiele, nawet dla Uldyzjana.

– Lylia! Nie...!

Ale ona jednym ruchem uniosła do ust złożone dłonie i napiła się.

Uldyzjan gotów był rzucić się jej na pomoc, pełen obaw, że tym razem zaryzykował życie tej, która była mu najdroższa. Ku jego zaskoczeniu to Mendeln pospieszył uspokoić jego niepokój.

– Strumień... Uldyzjanie... strumień jest czysty. Nie musisz już się martwić, przysięgam, bracie...

Uldyzjan nie zapytał, skąd Mendeln ma tę pewność. W głosie brata było coś takiego, że po prostu uwierzył.

– On mówi prawdę – odezwała się Lylia. – Nic mi nie jest, kochany. Zaufaj mi.

Złapał ją i przytulił mocno.

– Nigdy więcej nie rób czegoś takiego... – szepnął jej do ucha. – Szczególnie nie z mojego powodu.

– Ależ ja wiedziałam, że twoja moc mnie ochroni... ochroni nas wszystkich. Czy nie miałam racji?

– Po prostu tego nie rób...

– No cóż, ja na przykład muszę napić się po tym wszystkim – odezwał się głośno Achilios, prowadząc wierzchowce. – Tak jak i te wspaniałe stworzenia...

Jego zachowanie przywróciło normalność. Uldyzjan i pozostali ustawili się przy strumieniu powyżej zwierząt i też ugasili pragnienie. Achilios najpierw zadbał o konie, a dopiero potem poszedł w ślady towarzyszy.

Ale potem spojrzał na drugi brzeg. Najwyraźniej coś tam dostrzegł. Uldyzjan podążył za wzrokiem myśliwego, ale niczego nie zobaczył.

– Zaraz wrócę – mruknął Achilios. Przeskoczył strumień i zniknął wśród drzew.

Serentia podeszła do Uldyzjana.

– Powinniśmy iść za nim?

Ale farmer dobrze znał przyjaciela i wiedział, że ciężko byłoby dotrzymać kroku Achillesowi, kiedy ten ścigał zwierzynę wśród drzew.

– Pewnie zobaczył zająca albo co innego na kolację. Nie ma się czym martwić. Słyszałaś, co mówił. Nic mu nie będzie.

Ale napięcie w obozie było wyczuwalne, dopóki Achilles nie zjawił się po kilkunastu minutach.

Choć niewątpliwie biegał i to w nie byle jakim tempie, nie był ani trochę zasapany. Za to jego mina daleka była od zadowolenia.

– Niedaleko jest miasto, mniej więcej o godzinę marszu. Konno krócej.

Siedząca na kamieniu Lylia gwałtownie się poderwała.

– Miasto? Niemożliwe!

Achilles przyjrzał się dziewczynie, przechylając głowę.

– Nie tylko możliwe, moja pani, powiem więcej, to Parta.

Teraz wszyscy mieli miny równie osłupiałe co Lylia.

– Jak to możliwe?! – zaprotestował Mendeln. – Przecież nie jechaliśmy w tym kierunku?!

– Wiem... ale to Parta. Rozmawiałem z jednym z tutejszych.

Przynajmniej to się wyjaśniło.

– I dlatego odbiegłeś?

– Ano tak. Myślałem, że to rzezimieszek, a to chłopaczek zaledwie... Cedryk, jak się przedstawił. Próbował polować. – Achilles uśmiechnął się po raz pierwszy od powrotu. – Niezgorzej mu szło. Musiałem się postarać, by nie zgubić tropu. Chłopak ma lekki krok.

Uldyzjan nie zwrócił uwagi na ocenę umiejętności chłopca, starał się ze wszystkich sił zrozumieć, jak to możliwe, że zatoczyli koło. Parta powinna zostać daleko za nimi.

– Malik... – powiedział wreszcie. – Nie widzicie tego? – spytał, gdy towarzysze spojrzeli na niego zaskoczeni. – To musi być sprawka arcykapłana. Tu cuchnie jakimiś czarami. Któż inny mógłby to zrobić?

– Tak. To na pewno on! – poparła ukochanego Lylią. – A skoro przejrzelismy jego podstęp, nie możemy wejść w pułapkę i wrócić do miasta! Musimy jak najszybciej się stąd oddalić!

– Ale Cedryk raczej mi się nie widział narzędziem kapłana – zaprotestował Achilios. – A ludzie z Party mają opinię uczciwych i dobrych...

– Nie ma znaczenia, jacy są tam ludzie – odpowiedziała mu. – Będą pionkami, które zostaną wykorzystane przeciwko Uldyzjanowi, i tylko to się powinno dla nas liczyć.

Ku pewnemu zaskoczeniu Uldyzjana sama Serentia opowiedziała się po stronie Lylii.

– Ona ma rację, Achiliosie. Nie ma nic naturalnego w tym, jak nieświadomie zawróciliśmy. Malik musi knuć coś wyjątkowo ohydneho.

Farmer spojrział na brata, ale chłopak uporczywie milczał. Sam Uldyzjan, co ciekawe, po raz pierwszy miał posłuchać rozsądnej rady Lylii i ominąć pułapkę, nie mógł doczekać się wejścia do miasta. Jeśli Malik chciał go tam zaskoczyć, niech się przekona, że jego ofiara jest gotowa i bardziej niż chętna, by dokończyć potyczkę.

– Pojedziemy do Party.

Achilios uśmiechnął się na te słowa zadowolony. Lylią patrzyła z potępieniem. Uldyzjan nie widział jeszcze takiego ognia, jaki zapłonął w jej oczach. Jednak zaraz dziewczyna odzyskała panowanie nad sobą. Drżąc, wypuściła z płuc powietrze i skinęła głową.

– A więc do Party – zgodziła się z uśmiechem. – Na krawędź otchłani i jeszcze dalej, tak długo, jak jestem z tobą, moja miłości.

Był jej wdzięczny za zmianę zdania. Ten gniew brał się z obawy o niego, tłumaczył sobie Uldyzjan. W końcu to jego Malik chciał pojmać.

Ale Lylię i pozostałych arcykapłan uważał za niepotrzebnych. Uldyzjan przyrzekał sobie, że jeśli Malik zaatakuje, jego towarzysze będą chronieni. Nie mógł pozwolić, by stało się inaczej, skoro to przez niego zmierzali ku niebezpieczeństwu.

Achilios przejął prowadzenie i ruszyli wszyscy w stronę miasta. Rzeczywiście, było tak, jak powiedział łucznik. Zatrzymali się, gdy zobaczyli miasto. I tak jak zapowiedział Achilios, dotarcie tutaj nie zajęło im nawet godziny.

Parta była o wiele większa od Seram, a nawet od Tulisam. Po raz pierwszy w życiu Uldyzjan zobaczył budynki wysokie na trzy pietra, dwukrotnie wyższe od największej stodoły najbogatszego sąsiada farmera. Kamienne i drewniane frontony wygładzone były gipsem, co nadawało domom ekstrawagancki wygląd. Wysklepione w łuk dachy pokrywały drewniane dachówki. A ulice...



A ulice brukowane były kamieniami. Terkot wozów i stukot końskich kopyt urastał do dźwięku gromu. Więcej tu było ludzi, niż Uldyzjan widział przez całe życie, a wielu odzianych tak, że poczuł się jak żebrak. Prawdę mówiąc, z całej piątki jedynie Lylia wyglądała dość dobrze, by pokazać się mieszkańcom.

Ktoś za nimi wołał. Świadom, że nikt nie powinien wiedzieć o ich obecności w mieście, Uldyzjan zeszywniał. Ale nie była to pułapka, której się obawiał, tylko młodzik. Podbiegł prosto do wierzchowca Achiliosa.

– Hej tam, Cedryku! – Achilios potar mosił rozczochrane włosy dzieciaka. – Mówiłem, że niedługo przybędziem.

– A ja zawołałem tatkę! – wyrzucił Cedryk bez tchu.

I rzeczywiście, za chłopaczkiem sunął dostojny mąż co najmniej dekadę starszy od Uldyzjana i odziany w powiewające brązowo–czarne szaty, który natychmiast wzbudziły nieufność w farmerze. Czyżby ojciec Cedryka był jakimś kapłanem?

– Tylko spokojnie – powiedział pospiesznie Achilios. – To handlarz, jak Cyrus. I może być, że go znał, jeśli chłopak się nie pomylił.

– To oni, Ced? – zapytał rodzic przyszłego myśliwego. Odrzucił w tył przetykane srebrem sięgające ramion włosy i przyjrzał się nowo przybyłym. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po Lylii, ale zatrzymało na Serentii.

– Znam cię, choć bardzo wyrosłaś! Tyś jest tą małą dziewczuszką Cyrusa... Sara, tak?

– Serentia – poprawiła go dziewczyna. Posmutniała. Ojciec Cedryka zauważył to natychmiast.

– Przykro mi, panienko. Nie będę cię o nic wypytywał – zapewnił.

Serentia skłoniła głowę z wdzięcznością.

Mieszkańcy miasta poczęli zatrzymywać się w pobliżu ciekawi nowych przybyszów. Częściowo ta ciekawość była spowodowana tym, że na powitanie wyszedł jeden z prominentów miasta.

– Przyjaciele, nazywam się Eton ul–Garal i choć smucę się głęboko wieścią o odejściu starego przyjaciela, to z radością witam członka jego rodziny i tych, którzy byli mu przyjaciółmi.

Uldyzjan łypnął na Achiliosa i zniżając głos, powiedział:

– Obaj byli coś bardzo pewni, że przyjedziemy.

– Postawiłem na to, że się zgodzisz i tyle. Kiedy Cedryk wspomniał, że jego ojciec jest ważnym kupcem, powołałem się na Cyrusa, za co cię,

Serentio, przepraszam. Ale przypomniało mi się, jak zawsze wydawał się znać wszystkich w okolicy, którzy zajmowali się tym co on. Cedryk obiecał, że pobiegnie do ojca i mu o nas powie, i o tym, com mu rzekł o Cyrusie...

– Nie raz, nie dwa ubiłem z Cyrusem dobry interes – dorzucił mistrz Eton, a oczy zaszklily mu się wspomnieniami.

– W każdym razie, skoro droga nas tu przywiodła, uznałem, że tu nasze przeznaczenie.

– Malik nas tu przywiódł, Achiliosie. Nie zapominaj o tym.

– Mój przyjacielu – wtrącił kupiec, wyraźnie próbując zapobiec kłótni. – Co się dzieje?

– Nic, o czym moglibyśmy mówić tutaj – odparł Uldyzjan półgłosem. – Najrozsądniej będzie, jak porozmawiamy w bardziej prywatnych okolicznościach, mistrzu Etonie. Wasz starosta także powinien usłyszeć, co mam do powiedzenia.

– Ja jestem wybranym przez lud starostą Party, więc tę kwestię rozwiążemy bez trudu. Ale chodźcie! Kogo będę miał jeszcze przyjemność gościć? Znałem Serentię, gdy była jeszcze dzieckiem, takiej piękności nie można zapomnieć. Twoja twarz – wskazał Uldyzjana – też wydaje się znajoma, ale pozostałych już nie. – Spojrzenie Etona zatrzymało się przez chwilę na Lylii. – Niektórych nigdy nie widziałem, a mam wyjątkową pamięć do twarzy.

– Jestem Uldyzjan ul-Diomed...

– A! Diomedes z Seram! Najbardziej szczerzy i najodważniejszy człowiek na ziemi! Odziedzyczyłeś jego rysy. Jesteś pierworodnym, jak mniemam?

Uldyzjan skinął głową, potwierdzając tym samym, że kupiec rzeczywiście cieszy się wyśmienitą pamięcią, a potem przedstawił

Mendelna, Achiliosa i wreszcie nieco zazdrośnie – Lylię. Spodziewał się, że mistrz Eton zacznie jej nadskakiwać, ale ten tylko skinął głową.

– Sądząc po twojej twarzy i stroju, pochodzisz z ziem na północ od wielkiego miasta?

– Tak – skłoniła leciutko głowę.

Kupiec wyraźnie spodziewał się dłuższej odpowiedzi.

Lecz szlachcianka milczała. Eton objął więc spojrzeniem całą grupę i oznajmił:

– Skoro jesteśmy przyjaciółmi, zapraszam was teraz w moje skromne progi.

Początkowo Uldyzjan zapragnął odmówić. Kupiec miał jak najlepsze intencje, ale przecież nie przybyli do miasta z wizytą towarzyską. Jednak skoro Eton był zarazem jednym ze znaczniejszych obywateli i przywódcą miasta, nie zdołaliby znaleźć nikogo lepszego, by poinformować go o ewentualnym niebezpieczeństwie, które grozić może mieszkańcom.

Uldyzjan miał nadzieję, że stary przyjaciel Cyrusa nie wtrąci jego córki i reszty towarzyszy do więzienia, gdy tylko usłyszy prawdę. Jakby nie patrzeć, przywiedli zagrożenie do spokojnej Party.

Ponieważ Eton szedł pieszko, i oni podążyli za nim, zsiadłszy z koni. Farmer zauważył, że teraz mieszkańcy odnosili się do niego i reszty grupy tak, jakby byli dostojnikami przybywającymi do miasta z wizytą. Wszyscy pochylali głowy w ukłonie. Mistrz Eton był najwyraźniej bardzo szanowany.

Uldyzjana jednak niepokoił fakt, że starosta przyszedł ich powitać bez straży przybocznej. Czyżby ludzie w Parcie byli aż tak ufni? A może przyczyna okaże się bardziej ponura? Jeśli stał za tym Malik, zaiste była to niezwykle skomplikowana pułapka. W oczach Uldyzjana nie miało to ładu ni składu. Wszystko wskazywało na to, że mieli do czynienia z dobrymi



ludźmi, ludźmi uczciwymi. Niektórzy nie tylko się kłaniali, ale i uśmiechali przyjaźnie do przybyszów. A potem, jak zauważył farmer, wracali do swych spraw. Widać było, że nie żywią wobec gości najmniejszych podejrzeń.

– Od lat nie odwiedzałem Seram – zagaił Eton, gdy szli ruchliwymi ulicami. – Jak tam handel? To zawsze było takie spokojne miejsce. Przyznaję, że jeździłem tam, by cieszyć się spokojem i ciszą w tym samym stopniu co płomiennymi targami z mistrzem Cyrusem!

– Ostatnio nad Seram przeszła potężna burza – wtrącił Mendeln.

Uldyzjan rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale młody uczonek najwyraźniej nie zamierzał rozwijać tematu.

– Czyżby? Domyślam się, że było to najbardziej ekscytujące wydarzenie, jakie mieliście tam od wieków, szczęściarze! Kocham Partę, ale jest tu tak wiele, wiele spraw, które wymagają mojej uwagi, sami rozumiecie. Czasem myślałem, że chętnie zamieniłbym się miejscami z twoim ojcem, panienko Serentio.

– A kapłani Świątyni bądź Katedry oferują wam, mistrzu, jakąś pomoc? – zdecydował się sprawdzić Uldyzjan.

– Oni? – kupiec zaśmiał się, spoglądając na swego gościa przez ramię. – Od ponad roku żaden z nich nie zawitał do miasta. Nie mają nam nic do zaoferowania. Jesteśmy zadowoleni z tego, co mamy. Mogą zachować swe nauki dla tych, co chcą je słyszeć, za przeproszeniem.

Zadowolony Uldyzjan skinął głową. Słowa mistrza Etona pokrywały się z tym, co farmer sam już zaobserwował. Widział kobiety i rumianych mężów z uśmiechem wypełniających swoje obowiązki, które przerywali od czasu do czasu, by coś zjeść albo zamienić kilka słów z przyjaciółmi. Widział brukowane ulice i zadbane domy z kamienia i drewna. Nie zauważył ani jednej osoby niechlujnie odzianej, niezależnie, czy patrzył na

ubrania proste i skromne czy bardziej eleganckie i kosztowne. To było dobre miasto i dobrzy ludzie.

Oczywiście nie wszystko w Parcie było doskonałe. Uldyzjan widział też ludzi chorych i kalekich. Starzec, któremu w ustach został chyba jeden tylko ząb, podpierał się kulami, bo brakło mu nogi. Młody chłopiec miał lewą rękę wyschniętą, skurczoną. U mężczyzny wyglądającego na farmera twarz, kark i ramiona poznaczone były okrutnymi bliznami, zapewne pamiątką po jakimś wypadku.

Nikogo z nich jednak nie odtrącano, co więcej, każdy przemierzał miasto w jakimś towarzystwie. Parta zarządzana przez Etona była najwyraźniej miejscem pełnym zrozumienia. Nawet Seram mogłyby się sporo nauczyć.

Wzrok Uldyzjana znów powędrował do okaleczonego dziecka. Uschnięta ręka przypomniawsza mu o najmłodszej siostrze, Ameli. Jej ręka miała właściwą długość, ale wyrosła cienka niczym źdźbło trawy i wyginała się do tyłu. A jednak Ameli była najweselsza z nich wszystkich, najbardziej chętna do pomocy...

Chłopiec zniknął wśród przechodniów. Uldyzjan zgrzytnął zębami. Ludzie jak Malik wiedli życie książąt, a dzieci cierpiały w skutek jakiegoś kaprysu losu, być może...

Zatrzymał się.

– Mendelnie.

Młody uczony się zawahał.

– O co chodzi?

– Łap!

Uldyzjan rzucił mu wodze i zawrócił tam, gdzie zniknął chłopiec.

Nieświadom tego, co dzieje się za jego plecami, mistrz Eton pokazywał jakieś istotne miejsce w mieście.

– Może zechcielibyście spojrzeć na ten grzebień na szczycie...

Lylia nie odezwała się, gdy Uldyzjan ją minął, posłała mu jedynie uśmiech pełen zrozumienia. Serentia i Achilios ledwie zauważyli, że odszedł.

Uldyzjan nigdzie nie mógł dostrzec chłopca, co budziło w nim irytację. Próbował sobie przypomnieć, gdzie dokładnie widział małego...

Jest! Z walącym dziko sercem przepchnął się obok zdumionej sprzedawczynie, która rozkładała właśnie towary. Rozpoznawał stojącą przed nim kobietę. Odwróciła się, gdy podszedł bliżej. Przy jej boku stał kaleki chłopczyk.

Uldyzjan przykląkł przy nim, ignorując kobietę.

– Mogę zobaczyć twoją rękę... proszę?

Z ufnością właściwą jego wiekowi chłopiec wyciągnął uschnięte ramię, jak mógł najdalej. Jednakże jego matka wyglądała na lekko zaniepokojoną i odciągnęła chłopca w tył.

Uldyzjan spojrział na nią.

– Proszę... Nie mam złych zamiarów. Moja siostra cierpiała na podobną przypadłość. Nie zrobię mu krzywdy, pozwólcie mi się tylko przyjrzeć.

Kobieta nie miała żadnych powodów, by spełnić jego prośbę, jednak skinęła przyzwalająco głową, a rysy jej twarzy złagodniały.

Uldyzjan zbadał chłopca delikatnie. Z bliska stan ręki okazał się gorszy, niż to było w wypadku Ameli. Wspomnienie siostry wezbrało w Uldyzjanie falą uczuć, jakby dopiero teraz zrozumiał, co dusił w sobie przez lata. Łzy przyćmiły mu wzrok. Żałował, że nie mógł zrobić więcej dla siostrzyczki... dla całej rodziny. Teraz władał taką mocą, że zapewne zdołałby ich ocalić.

Łzy płynęły mu po twarzy. Nie był świadom, że wciąż trzyma rączkę chłopca. Wydawało mu się, że czas się cofnął, że to okaleczona kończyzna Ameli. Z całej rodziny to siostrę Uldyzjana los potraktował najokrutniej.

Najpierw urodziła się kaleką, a potem zmarła, zanim miała szansę przeżyć cokolwiek.

Widział w wyobraźni utraconą siostrzyczkę, lecz z jedną różnicą. Teraz miała obie ręce zdrowe. Wyobraził sobie, jak łapie różne rzeczy, a nawet jak mocno tuli brata.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że – w rzeczy samej – ktoś go mocno przytula. To przywróciło Uldyzjana do rzeczywistości i pojął, że chłopczyk obejmuje go z całych sił.

Dwiema zdrowymi rękami...

Uldyzjan spojrział na jego matkę. Kobieta wpatrywała się weń z niedowierzaniem. Policzki miała mokre od łez. Kilku mieszkańców Party przystanęło i oni też spoglądali na farmera ze zdumieniem.

Uwolnwszy się z uścisku dziecka, Uldyzjan spojrział na otaczających go ludzi. Przypomniały mu się przepełnione odrazą twarze mieszkańców Seram. Zaniepokoił się.

– Nie chciałem... nie chciałem...

Ale tak naprawdę chciał. Zobaczył chłopca i poczuł nagłą potrzebę, żeby przekonać się, czy będzie mógł zrobić dla tego malca to, co chciałby zrobić dla Ameli.

A teraz Parta także zwróci się przeciwko niemu, nazwie Uldyzjana czarownikiem albo gorzej jeszcze...

Matka chłopca zaczęła go ścisnąć i obsypywać pocałunkami.

– Dziękuję! Dziękuję!

Za jej plecami jakiś człowiek, stojący na przedzie gęstniejącego tłumu, pochylił nisko głowę i inni natychmiast poszli w jego ślady. Ktoś ukląkł na jedno kolano, dając przykład pozostałym. Wystarczyło kilka chwil i wszyscy wokół Uldyzjana klęczeli przed nim, jakby był królem.

Albo kimś o wiele więcej...



# JEDENAŚCIE



Sześć złotoskórych kobiet odzianych w białe, sięgające podłogi szaty z uniesionymi głowami śpiewało na jego chwałę, gdy wypoczywał na szezlongu w swych prywatnych komnatach. Choć nie były ze sobą spokrewnione ani nawet do siebie podobne, to jednak fanatyzm w ich spojrzeniach i na twarzach sprawiał, że wyglądały identycznie.

Ich uwielbienie dla Proroka było nieskończone i każda z radością powitałaby jego zainteresowanie... Nie żeby coś takiego mogło się wydarzyć. To, że były piękne, nie miało znaczenia, spoglądał na nie jak na freski na ścianach albo rzeźbione wazy na marmurowych postumentach. Stanowiły część wystroju wnętrza, które zostało stworzone, by pomóc mu przeżywać cudowną przeszłość, jaką zostawił za sobą.

Świetliste srebrnobiałe oczy Proroka błędziły po mistrzowsko wymalowanych obrazach skrzydlatych istot unoszących się w przestworzach. Artysta był niewątpliwie artystą nad artystami, ale i tak nie zdołał pojąć głębi, jaką jego zleceniodawca chciał widzieć w wizerunkach nieba. Ale i tak efekty ciężkiej pracy malarza pozwalały Prorokowi wracać myślami do tego, kim był... i co zostało mu odebrane.

Sprawał wrażenie nieledwie młodzieńca, acz wygląd ten był bardzo zwodniczy. Alabastrowa skóra nie miała najmniejszej skazy, a złote loki opadały aż na plecy. Prorok był smukły i gibki, choć nie nadmiernie umięśniony jak dwóch członków straży inkwizytorskiej stojącej na

baczność po drugiej stronie drzwi do jego prywatnych komnat. Zdaniem wszystkich, którzy go widzieli, był po prostu doskonały.

Zazwyczaj na jego idealnej twarzy malował się wyraz niewinnej zadumy, ale dziś daleko mu było do łagodności. Oto zdarzyło się niemożliwe, a on, Prorok, nie będzie stał beczynnym. Był już zbyt blisko osiągnięcia ostatecznego celu, zbyt blisko odtworzenia raj, który utracił.

Obok miejsca jego odpoczynku czterech wysokich rangą kapłanów w srebrnobiałych szatach z wysokimi kołnierzami klęczało z głowami pochylonymi w modlitwie. Każdy wyglądał na dość wiekowego, by być ojcem albo nawet dziadkiem Proroka, a jednak spoglądali na niego z nieskończonym szacunkiem.

On sam nagle doszedł do wniosku, że nadmiar głosów rani jego uszy. Uniósł dłonie i śpiew ucichł. Modlitwy umilkły chwilę później, gdy tylko kapłani zorientowali się, że nastrój Proroka uległ zmianie.

– Muszę przygotować się do kolejnego kazania – oznajmił, a jego głos był niczym dźwięki harfy.

Pieśniarki posłusznie umknęły z komnaty, a tuż za nimi wyszli kapłani.

Prorok odczekał, po czym upewnił się, że jego azyl pozostaje zamknięty dla każdego, kto zechciałby tu wejść albo też podsłuchiwać, co dzieje się za drzwiami. Usatysfakcjonowany ponownie zapatrzył się w fantastyczne obrazy nad głową, szczególnie te z majestatycznymi lotnikami. Studiując szczegóły, zmarszczył lekko brwi. Skrzydła miały pióra jak u ptaków, to najbliższej prawdzie, co zdołał osiągnąć śmiertelny umysł, a ciągle pozostawało niekoniecznie od prawdy odległe. Twarze na obrazach podobne były obliczu Proroka, nieskazitelne, młode, ale zarazem wiekowe, o oczach pełnych wiedzy. Prorok musiał przyznać artyście – ten wizerunek był chyba najbardziej akuracnym portretem, nawet jeśli błędnym pod tak wieloma względami...

Minęły lata, nie, wieki, od czasu, gdy odsłonił prawdę, nawet przed sobą samym. Po części dlatego, że nieustannie próbował zapomnieć o przeszłości, skupić się jedynie na wykuwaniu przyszłości, która będzie doskonała, pozbawiona najmniejszej choćby skazy.

Ale główny powód związany był z nią... i z jej straszliwą zdradą. Nie chciał, by cokolwiek przypominało mu, co było i co być mogło. Trzeba było czasu dłuższego kilkakrotnie niż życie śmiertelnika, by zdołać choćby przestać o niej myśleć, a potem jeszcze dwa razy tyle, by w głębi umysłu pogrzebać wspomnienie o zdrajczyni i udawać, że nigdy nie istniała.

A teraz... teraz wyglądało na to, że wszystkie jego wysiłki poszły na marne.

Niech i tak będzie. Uwolni swój słuszny gniew i ona – wraz z innymi – przekona się, czym kończą się próby spiskowania przeciwko niemu. Prorok przypomni wszystkim, kim i czym był... na chwilę przed tym, jak zostaną unicestwieni.

Prorok uniósł ramiona... i światło spowiło jego wraz z całą komnatą. Obrazy, freski, wszystko, co było na ścianach, poczęło niknąć niczym rosa w promieniach porannego słońca. Rozpływały się inkrustowane wazy, wielkie marmurowe postumenty, długie arrasy, girlandy kwiatów... wszystko, nawet siedzisko, na którym odpoczywał. Nie zostało nic prócz samego Proroka.

Kolejną myślą przekształcił komnatę. Od sufitu po podłogi, każdy cal powierzchni lśnił teraz niczym lustro. Postać Proroka odbijała się setki tysiące razy, nadal tak samo wspaniała, bez względu na to, jak daleko znajdowało się odbicie od oryginału.

Ale wciąż nie przybrał swej prawdziwej postaci. Wypełniło go nieznane mu uczucie. Pragnienie. Pragnienie, by choć raz spojrzeć na swą odrzuconą dawno postać. I nagle pragnienie stało się nie do zniesienia. Spojrzał na swe



najbliższe odbicie, przywołując z pamięci tamten kształt. A potem raz jeszcze uczynił go realnym.

Światło, które przywołał, skupiło się teraz wokół jego postaci. Stało się tak jasne, że zwykły człowiek oślepliby natychmiast bez względu na to, jak dokładnie zasłoniłby oczy. A potem stało się jeszcze jaśniejsze, podobne do rozpalonego do białości płomienia, i wreszcie zmieniło się w taki płomień.

Ale płomienie nie czyniły krzywdy Prorokowi, były bowiem częścią niego, tak jak on był ich częścią. Kapał się w białym ogniu, pozwalając, by fałszywa twarz młodego człowieka, którą nosił już zbyt długo, stopiła się w żarze.

Miejsce młodzika zajęła zakapturzona, wysoka postać o skrzydłach z białego płomienia, pozbawiona twarzy w śmiertelnym tego słowa znaczeniu. Z kaptura emanował cudowny blask, przesłonięty błyskami srebrnego światła, których ułożenie przywodziło na myśl gęstą grzywę włosów.

Reszta płomieni przygasła, pozwalając Prorokowi zobaczyć swoje wspaniałe odbicie. Długa szata utkana była z promieni słońca, imponujący napierśnik lśnił niczym najczystsza miedź. Niektórzy powiedzieliby, że postać przypomina rycerza, ale rzecz jasna, nie z ziemskiego zakonu. Nawet gdyby mu ująć ogniste skrzydła sięgające teraz krańców komnaty, nadal nie było wątpliwości, że nikt jego rodzaju nie bratałby się z istotami tak marnego pochodzenia jak ludzie. Światło w głębi kaptura było jego prawdziwą twarzą, niespotykanym połączeniem czystej energii i wibracji dźwięku, która czyniła go wyjątkowym i jedynym w swoim rodzaju wśród mu podobnych.

I wreszcie wyszeptał imię, które zostawił za sobą w tym jednym, brzemienym w skutki momencie; imię, które kiedyś dźwięczało w pieśniach wysławiane przez najwyższych spośród wysokich.

Imię, które ona szeptała wśród miłosnych zaklęć.

Inarius... Inarius... – rozległ się głos, który nie był głosem, a raczej wrażeniem doświadczanym przez umysł, uszy i duszę jednocześnie. – Znów jestem Inariusem.

I gdy wyznał to sam przed sobą, poczuł uniesienie czystej radości. Znów był Inariusem, dowódcą Niebiańskich Zastępów!

Buntownikiem przeciwko Królestwu Niebios i Płonącym Piekłom...

Ostatnia myśl w znacznej mierze stłumiła jego przyjemność. Ale nie do końca. Uczynił, co uczynił, obie strony zaangażowały się bowiem w konflikt i nie dostrzegały już, że ich walka nie ma końca i jest daremna. Od zarania rzeczywistości, od powstania dwóch wymiarów, wojska obu ruszyły do walki o panowanie nad Wszystkim. Cokolwiek miało jakąś wartość, stawało się celem ataków i kontrataków, póki nie przestało istnieć. Całe legiony aniołów – jak jego i jemu podobnych nazywali ludzie – i demonów ginęły na rozkaz Rady Angiris, która rządziła Królestwem Niebios, i jej odwiecznych przeciwników, Najwyższych Złych. Ale Inarius miał dość tej niekończącej się walki, tych podstępów i kontrataków. Nikt nie odnosił zwycięstw. Gdyby to on przewodził Radzie, podjąłby inne decyzje, ale nawet jego bratu – bratu w sensie ich rezonansu, ich istoty, z którym łączył go szereg podobieństw – brakło w tej kwestii rozsądku. Nawet Tyrael, uosobienie Sprawiedliwości, nie mógł, a może nie chciał dostrzec prawdy.

I tak Inarius zdecydował wreszcie odstąpić od walki. A nie mógł przy tym wyzbyć się przekonania, że gdzieś tam musieli być inni jemu podobni, nawet w wymiarze Płonących Piekieł. Odnalezienie ich – aniołów czy demonów – nie było łatwym przedsięwzięciem, jednak Inarius nie na darmo służył jako doradca Rady Angiris. Rozumiał zależności nie tylko w Radzie, potrafił też przewidzieć zasady rządzące Płonącymi Piekłami, dlatego udało mu się zwieść czujność jednych i drugich. Szybko odnalazł tych, którzy

myśleli podobnie, i po cichu zaczęli ich gromadzić wokół siebie. Ku jego zdumieniu było ich znacznie więcej, niż śmiałyby marzyć. Wielu nie widziało sensu w walkach ciągnących się przez wieczność. A co najbardziej zaskoczyło Inarius, wśród demonów odnalazł kogoś, kto doszedł do takich wniosków o wiele wcześniej, niż ośmielił się to uczynić anioł.

Ją. Tę, która obudziła w nim miłość i wzajemnie go pokochała. Tę, z którą wspólnie stworzyli świat, miejsce nazwane przez buntowników Sanktuarium.

Inarius spojrział na swoje odbicie i ponownie zobaczył ją u swego boku. Ale teraz z pewnością nie wyglądała tak, jak on ją pamiętał. Jeśli rzeczywiście udało jej się wrócić, ukryła się w innym kształcie, zapewne kobiecym, choć niekoniecznie. Była naprawdę przebiegła, czarująca... i stanowiła zagrożenie dla tego wszystkiego, co, wedle wszelkich praw należało do niego.

Nie odbierzesz mi Sanktuarium – powiedział do wspomnienia. – Nie pozwolę ci ponownie zniszczyć mojego marzenia! Sanktuarium i nic, co zawiera, nie będzie do ciebie należeć, nawet jeśli będę musiał je zniszczyć... do czego mam prawo...

– W końcu to on uratował ten świat przed całkowitym upadkiem po jej potwornej zdradzie. To on przeciwdziałał intrygom Najwyższych Złych i Luciona, gdy ci odkryli Sanktuarium. On pilnował, by Rada Angiris pozostała nieświadoma istnienia tego świata. Los Sanktuarium i wszystkich tych krótkotrwałych istnień należały do niego i nikogo innego!

Anioł odpędził wspomnienie z uczuciem, które człowiek nazwałby gorczą, ale w wypadku Inarius nie mogło być tak proste. Dobrze się ukrywała, ale nie dość dobrze. Nie mogła ukryć się przed nim, znał ją lepiej nawet niż jej brat. Kiedy już był pewien, że wróciła do Sanktuarium, Inarius

począł zastanawiać się, gdzie mogła się ukryć. Nie była to trudna zagadka – nie, jeśli znało się tę intrygantkę, jej odwieczną obsesję.

Nie pozwolę na ponowne przebudzenie nefalemów, pomyślał, pamiętając doskonale, co wydarzyło się poprzednim razem. Takie wynaturzenie nie może istnieć! Nagle stał się większy, skrzydła wypełniły komnatę bez reszty, a cała Katedra zadrżała wstrząśnięta jego gniewem, choć wierni zapewne przypisali to trzęsieniu ziemi.

Nie powinnaś była wracać z tego powodu, nie powinnaś poruszać tego, co winno być pogrzebane głęboko...

Inarius patrzył na swoje odbicia. Ludzka forma miała swoje zalety, postanowił skorzystać z niej ponownie. Myślą zmienił swą powierzchowność, odtwarzając pod kapturem twarz podobną twarzy złotowłosego Proroka. Oczy nadal były czystą energią, ale pod innymi względami Inarius wyglądał jak śmiertelnik.

Co więcej, teraz miał usta wygięte w gniewnym grymasie. O wiele lepiej pozwalały mu wyrazić kipiącą w nim furję.

– Nie powinnaś była wracać – powtórzył, zadowolony z gniewnie zaciętych ust i ostrego tonu w głosie, który pozwalał mu akcentować słowa. Grymas stał się jeszcze wyraźniejszy. Inarius był usatysfakcjonowany mimiką. – Nie powinnaś była ponownie wchodzić mi w drogę, Lilith...

Przynieśli mu dary. Kwiaty, jedzenie, rozmaite przedmioty. Często zostawiali je po prostu przy bramie posiadłości mistrza Etona.

– W Parcie pojawiali się czasem rozmaici kaznodzieje i kapłani, którzy mówili o leczeniu ciała i duszy – rzekł gospodarz Uldyzjanowi. – Ale żaden z nich nie potrafił poprzeć swych słów czynem!

– Zrobiłem tylko... Zrobiłem tylko to, co chciałbym uczynić dla mojej siostry – wyjaśnił farmer bezradnie nie wiadomo który już raz.

Opowieść o uleczonym chłopcu rozprzestrzeniła się po mieście niczym ogień po wyschniętej łące. Wszyscy bez wyjątku uznali to za cud, szczególnie zaś wdzięczna matka. Z tego, co mówił Eton, chodziła od domu do domu, pokazując wszystkim, co Uldyzjan uczynił dla jej jedyne­go dziecka i wychwalając go pod niebiosa.

– Znam tę kobietę. Na imię jej Barta. Syn jest jej jedynym skarbem, największą miłością. Ojciec małego zmarł, zanim ten się urodził. Spadł z konia. – Kupiec uśmiechnął się smutno. – Zawsze się bała o chłopca, choć z tego, co wiem, starała się tego nie okazywać. Uczyła syna być silnym.

– Muszą przestać przynosić te wszystkie rzeczy – przerwał mu Uldyzjan, wyglądając przez okno. Nawet teraz, gdy patrzył, jakaś postać okryta płaszczem zostawiła koszyk, który zawierał chyba bochenek chleba i butelkę wina. Strażnicy przy bramie patrzyli ostentacyjnie w przeciwną stronę, co w żaden sposób nie poprawiało samopoczucia Uldyzjana. Domyślał się, że są dla niego pełni podziwu, jak i reszta miasta.

– Moi ludzie są szczodrzy i umieją okazywać wdzięczność. Chcą tylko dać do zrozumienia, że doceniają twój dobry uczynek. To wszystko.

– Najlepiej będzie, jeśli wyjedziemy, zanim to jeszcze bardziej wymknie się spod kontroli – stwierdziła Lylia. – Powinniśmy ruszać do wielkiego miasta.

Początkowo ustalili, że zostaną w domostwie Etona tylko na jedną noc. Potem ta jedna noc zmieniała się w dwie, następnie w trzy. Eton w żaden sposób nie sugerował, że powinni wyjechać, a Uldyzjan szybko odkrył, że tak naprawdę brakowało mu prostych wygód takich jak czysta pościel i normalne posiłki. Podobało mu się miasto i tutejsi ludzie, szczególnie gospodarz. Farmer był tylko zażenowany ich hojnością, bo w duchu uważał, że na nią nie zasługuje.

– Nie mogę – powiedział Lylii. – Jeszcze nie teraz.

I bez wyjaśnienia ruszył do drzwi.

Pozostali też się podnieśli.

– Gdzie idziesz? – spytał Achilios.

– Na zewnątrz, zrobić, co trzeba. Poczekaście tutaj.

Nie dał im szansy, by zaprotestowali. Najbardziej obawiał się, co Lylia mogłaby powiedzieć. Plan nadal zakładał dotarcie do Kedzan... tylko... jeszcze nie teraz.

Zbiegł po schodach, a przy drzwiach dogoniła go smukła figurka. Cedryk z oczami wielkimi jak talerzyki dopadł boku Uldyzjana.

– Wychodzisz wreszcie? Tak? Zrobisz coś takiego jak poprzednio? – dopytywał się podekscytowany.

Farmer skrzywił się lekko.

– Idę, ale sam. Zostań tutaj, Ced. Dla swojego bezpieczeństwa.

– Bezpieczeństwa? A co mi grozi?

Zamiast odpowiedzieć, Uldyzjan tylko przyspieszył kroku. Przeszedł przez próg tuż przed chłopcem, a kiedy Cedryk chciał iść za nim, drzwi zamknęły mu się przed nosem, choć nikt ich nie dotykał.

Na zewnątrz Uldyzjan odetchnął z ulgą. Miał nadzieję, że drzwi go posłuchają, ale gdy to się stało, był jednak zdumiony. Nikt nie zdoła ich otworzyć, póki Uldyzjan nie dotrze do głównego placu w mieście. A wtedy będzie już za późno, by go zatrzymać...

Niestety, umiejętności go zawiodły, gdy próbował przemknąć się niepostrzeżenie. Zanim jeszcze wyszedł przed bramę, ludzie zaczęli się wokół niego gromadzić. Jakby czekali, aż wreszcie wyjdzie... Zapewne tak właśnie było, stwierdził w duchu. Na żadnej z twarzy nie dostrzegał złości czy strachu. Malowało się na nich coś zupełnie innego. Coś zbliżonego do... czci?

Nie tego od nich oczekiwał. Doświadczył już podobnych uczuć ze strony Serentii i wciąż czuł się niezręcznie. Był prostym człowiekiem. Przybył ofiarować im coś, co sprawi, że się z nim zrównają, co pomoże uwolnić ich spod kontroli magów i szlachty, a przede wszystkim od Katedry i Świątyni. Absolutnie nie chciał być obiektem czci.



Ale najpierw musiał im pokazać, że to, czego dokonał, nie było cudem, że sami mogą osiągnąć coś podobnego.

Gdy doszedł do placu, ciągnął się za nim spory tłumek. Niemniej Uldyzjan nadal nie wyczuwał wokół żadnych wrogich emocji. Może koniec końców przesadził trochę, zabraniając przyjaciołom sobie towarzyszyć. Nie mógł jednak wykluczyć, że gdzieś w tłumie nie znajdowała się jedna osoba, która widziała w nim zło, potwora, jakim ogłoszono go w rodzinnej wiosce.

Centrum Party stanowił otwarty wybrukowany plac, gdzie o poranku kupcy i farmerzy ustawiali wozy i sprzedawali rozmaite towary, głównie spożywcze. Stawali wokół okrągłej fontanny, z której wyrastała rzeźba długobrodego uczonego z dwoma zwojami pod pachą. Mistrz Eton nazwał go Proteuszem. Był to jeden ze słynnych założycieli Party, który głosił dobro i zrozumienie. Uldyzjan uznał, że cień Proteusza będzie mu sprzyjał w zadaniu.

Na krawędzi fontanny kamienne ryby, zatrzymane jakby w pół skoku, wypluwały wodę. Uldyzjan stanął pomiędzy dwiema z nich, w ten sposób Proteusz patrzył na tłum zza pleców farmera.

Handel wciąż jeszcze trwał, ale gdy Uldyzjan się zatrzymał, zarówno sprzedawcy jak i kupujący ucichli nagle. Poczł zdenerwowanie. W ustach mu zaschło. Kusiło go, by wskoczyć do fontanny, nie tylko po to, by ugasić

pragnienie, ale też by ukryć się przed publicznością, której jeszcze przed chwilą wyglądał.

I wtedy dostrzegł w tłumie znajomą postać. Barta. Wystarczyło tylko spojrzeć niżej, by zobaczyć też jej syna. Chłopiec uśmiechał się do mężczyzny, który go uleczył, jak do ukochanego ojca.

To przywróciło Uldyzjanowi odwagę. Nieświadomie stanąwszy w identycznej pozycji jak posąg za nim, Uldyzjan objął wzrokiem zebranych.

– To, czego dokonałem, nie było żadnym cudem!

Jego słowa spotkały się z niedowierzaniem ze strony jednych i zmieszaniem innych. Barta uśmiechała się, jakby usłyszała dowcip. Ona nie miała wątpliwości, czego była świadkiem, a jej syn pozostawał żywym dowodem.

Jednak Uldyzjan pokręcił przecząco głową.

– To nie cud... Leży bowiem w waszych możliwościach dokonać tego samego albo i więcej!

Teraz wśród tłumu słyhać było pomruki, ludzie zwyczajnie nie wierzyli w to, co mówił.

– Wysłuchajcie mnie! – zakrzyknął, ile sił w płucach. – Wysłuchajcie! Niedawno byłem taki jak wy! Uprawiałem swój kawałek ziemi i obchodziła mnie tylko robota, jaką trzeba było wykonać każdego dnia. Rzadko myślałem o czymś innym. Zajadłe walki klanów magów mnie nie interesowały, miałem tylko nadzieję, że nie dotrą do mojej wioski! Nie obchodziły mnie też puste słowa wysłanników z Katedry i Świątyni, wiedziałem doskonale, że nic, zupełnie nic nie działali dla mojej rodziny, która pierwsza ucierpiała od plagi, a potem skoła w męczarniach!

Teraz patrzyli na niego ze zrozumieniem i współczuciem, przynajmniej niektórzy. Uldyzjan dostrzegł kilku o twarzach poznaczonych dziobami, ewidentny znak, że przeżyli zarazę. Parta jako miasto mogła prosperować



znakomicie, ale poszczególni obywatele też doświadczyli swych czarnych dni.

– Rzekłem, że to nie cud, ale dla mnie to był cud, pewnego dnia, coś się obudziło we mnie... moc, siła... nazywajcie to, jak chcecie! Wokół mnie zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Niektórych to przerażało, innych nie. – Tylko tyle zamierzał im powiedzieć o tym, co wydarzyło się w Seram. Jeśli później odkryją prawdę, trudno, ale do tego czasu przekona ich albo dowiedzie, że nie jest szaleńcem. – Nagle mogłem robić różne rzeczy, pomagać innym...

Skinął na chłopca, którego imienia, co sobie uświadomił, wciąż nie znał. Barta trąciła chłopca w ramię, wysyłając go do Uldyzjana. Mały pobiegł natychmiast i z całej siły uściskał wysokiego mężczyznę.

– Byłem w stanie mu pomóc – powiedział Uldyzjan, pokazując wszystkim zdrowe ramię. – I wy też będziecie mogli dokonać czegoś takiego. Zapewne nie od razu, ale będziecie.

Ludzie kiwali głowami i marszczyli brwi. Czym innym było dla nich uwierzyć, że on może dokonywać cudów, a zupełnie czym innym, że sami będą do tego zdolni.

Uldyzjan westchnął. Może za bardzo się pospieszył, nawet w wypadku wyrozumiałych i otwartych mieszkańców Party. Może trzeba im było po prostu pokazać.

– Barto! – zawołał do matki chłopca. – Chodź do mnie, proszę.

Rumieniąc się, posłuchała.

– Tak, święty mężu?

Aż się skrzywił, słysząc ten tytuł. Nie chciał być zaliczany do tej samej kategorii co Malik i jemu podobni. Nigdy.

– Jestem po prostu Uldyzjanem, Barto, z chłopskiej chaty, jak wielu innych. – Już po jej minie widział, że nie dotarły do niej te słowa.

Westchnął. – Nazywaj mnie Uldyzjanem, proszę.

Skinęła głową. Mógł tylko żywić nadzieję, że posłucha.

– Stań przy mnie – poprosił, a potem rozejrzał się za mężczyzną, którego twarz została najokrutniej okaleczona przez chorobę. – Ty tam. Podejdz.

Płowowłosy mężczyzna zawahał się na moment, ale podszedł do Uldyzjana posłusznie. Ścisnął czapkę w dłoniach, jakby mogła go przed czymś ochronić.

– Jak ci na imię?

– Jonas, święty mężu.

Uldyzjan zdusił w sobie złość. Skłonił ich, żeby przestali... w końcu.

– Mogę dotknąć twojej twarzy?

Kolejne wahania. Ale w końcu mężczyzna skinął głową.

– Tak. Tak, święty mężu.

Uldyzjan ujął miękką dłoń Barty w swoją. Pozwoliła mu poprowadzić swe palce ku zniekształconemu ciału bez strachu, choć twarz była prawdziwie groteskowa. To zaimponowało Uldyzjanowi. Co innego było patrzeć na kogoś okaleczonego bez wstrętu, co innego poczuć pobliżnioną skórę pod palcami. Wybrał właściwą osobę.

Gdy ich palce dotknęły nieszczęśnika, Uldyzjan zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie, że ciało zostaje uleczone. W tym samym czasie sięgnął ku Barcie, próbując zajrzeć do jej wnętrza, a zarazem pokazać jej, co robi.

Poczuł, jak kobieta drży gwałtownie, ale nie cofnęła dłoni. Był jej za to wdzięczny i skupił się na stojącym przed nim mężczyźnie. Jonas był zdenerwowany, najbardziej chyba tym, że znalazł się w centrum uwagi. Farmer wiedział, że musi się pospieszyć, zanim Jonasa całkiem opuści odwaga.

Uldyzjan spróbował przypomnieć sobie tamte uczucia, które płynęły przez niego, gdy leczył chłopca. Tym razem było mu je znacznie łatwiej przywołać, co go zaskoczyło.

Ból i żal popłynęły przez niego rwącą falą. Znał niejednego, który cierpiał z powodu zniekształceń ciała, ludzi z rodzinnej wioski Uldyzjana, którym teraz mógłby pomóc. Może... Może gdyby wszystko potoczyło się tak, jak miał nadzieję, będzie mógł tam kiedyś wrócić i odbyć pokutę...

I wtedy, jakby ta myśl była kluczem, moc wylała się z niego. Wyczuł zdumienie Barty, zdumienie zmieszane z ogromną przyjemnością.

Wiedział też, że Jonas czuje przepływającą przez niego moc, szczególnie przez zniekształconą twarz.

Wśród zgromadzonego tłumu poniosły się szepty i westchnienia. Uldyzjan otworzył oczy...

Jego palce pozwoliły mu już częściowo odgadnąć, co zobaczy, ale gdy spojrział na rezultaty, czuł takie samo zaskoczenie jak inni. Zniszczona skóra miała normalną barwę i ani śladu zeszpecenia... Twarz mężczyzny była nieskazitelna.

– Kolejny cud... – szepnęła Barta.

Jonas podniósł dłonie do twarzy, dziwiąc się, jak gładka stała się skóra pod jego palcami. Odwrócił się do pozostałych, pozwalając im dokładnie obejrzeć rezultaty.

Zanim zaczęli go wychwalać, Uldyzjan odezwał się głośno:

– Barto, poczułaś to wszystko?

Popatrzyła na niego zmieszana i niepewna.

– Czuję, jak go leczysz...

Nie dał jej dokończyć.

– Ale co czułaś wewnątrz? Co czułaś?

Położyła dłoń na sercu. Tłum, nie wyłączając uleczonego Jonasa, zwrócił ku niej oczy.

– Czuję... czuję – uśmiechnęła się błogo. – Czuję się, jakbym właśnie się obudziła, święty... mistrzu Uldyzjanie. To jest... nie umiem tego opisać...

Skinął głową i przeniósł spojrzenie na zebranych.

– Od tego się zaczyna. To uczucie stanie się silniejsze. To może potrwać, ale powoli, powoli, staniecie się tacy jak ja... albo lepsi, o wiele lepsi.

To była ważka obietnica i Uldyzjan pożałował, gdy tylko ją wypowiedział. Ale teraz za późno było się wycofać. W miarę jak będzie się uczył tego, co sam potrafi zrobić, postara się nauczyć też innych, przynajmniej póki nie znajdzie się ktoś, kto będzie w tym lepszy.

A to oznaczało, że Kedżan będzie musiał poczekać dłużej nawet, niż Uldyzjan zakładał. Nie mógł przecież zostawić ludzi w Partie, póki nie pojmą wszystkiego lepiej.

Nagle pomyślał o Lylii. Na pewno na początku będzie zdenerwowana, ale tak jak zawsze, zrozumie go w końcu. Kiedy tylko zobaczy, jak zareagowała Parta, pojmie konieczność pozostania w mieście tak długo, jak to będzie potrzebne.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Uleczony mężczyzna podszedł doń ponownie.

– Mistrzu Uldyzjanie... czy mógłbyś... mógłbyś mi pokazać?

Uldyzjan wyciągnął do niego rękę, po czym się zawahał. Uśmiechnął się, zaskoczony, że nie wyczuł tego wcześniej.

– Chyba nie muszę. Powinieneś już to wiedzieć. Spójrz w siebie. Poszukaj...

Jonas zmarszczył brwi... i nagle jego twarz rozjaśniła się radością, która nie miała nic wspólnego z uleczoną skórą.

– Czuję... chyba to, co powiedziała Barta! Czuję się... obudzony...

Jego pełne zachwytu i zdumienia słowa poniosły się wśród tłumu radosną wrzawą. Ktoś podszedł do Uldyzjana, a za nim cały tłum postąpił do przodu. Każdy chciał być następny.

Uldyzjan, całkowicie pochłonięty, ujmował dłonie kolejnych osób, każdemu poświęcając tyle czasu, ile trzeba było. Następne ręce wyciągały się ku niemu, szukając jego dotyku. Nie każdy poczuje przebudzenie tak szybko jak Barta czy Jonas i Uldyzjan tłumaczył to każdemu – ale poczują to prędzej czy później. Uldyzjan był przekonany, że skoro w to wierzył, więc uwierzą też ci, którym pomagał.

Z każdym kolejnym suplikantem rosło przekonanie Uldyzjana o słuszności jego decyzji. Parta była idealnym miejscem, by się sprawdzić. Jeśli da sobie radę tutaj, to nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jaki obrót przybiorą sprawy w wielkim mieście.

Nie, krótki postój tutaj na pewno nie narazi całego planu...

Otoczony ciasnym kręgiem ludzi, nie zauważył, że ta, której opinia miała dlań największe znaczenie, przygląda mu się zza woalu wody. Lylia stała u podstawy schodów prowadzących do fontanny, chłonąc widok, jaki miała przed sobą. Co dziwne, mimo niezwykłej urody, nikt nie zwrócił na dziewczynę uwagi.

Za to ona zauważyła wszystko, również to, że działania, jakich podjął się Uldyzjan, zajmą mu sporo czasu. Zbyt wiele, jeśli ma być szczerą. Powinien się już zbliżyć do Kedżanu. Tak to przecież zaplanowała. A już na pewno nie życzyła sobie tego ze wszech miar podejrzanego zawracania do Party.

Po chwili zastanowienia Lylia uśmiechnęła się nieoczekiwanie. Plany były po to, by je nieustannie zmieniać i dostosowywać do sytuacji.

– Jeśli nie Kedżan, jak najbardziej pozostaje to właśnie miasto, mój ukochany... – wyszeptała do siebie. – W końcu miejsce nie ma znaczenia.

Dasz mi to, do czego mam wszelkie prawa, Uldyzjanie... Dasz... nawet gdybyś musiał umrzeć, by tego dokonać...

# DWANAŚCIE



Achilios znalazł Serentię nie do końca tam, gdzie się spodziewał. Był pewien, że dziewczyna będzie asystować Uldyzjanowi, tymczasem siedziała w miejscu, z którego mogła wszystko obserwować, ale na tyle daleko, by pozostać z dala od centrum wydarzeń. Oczu nie odrywała oczywiście od Uldyzjana, Achilios nawet by nie przypuszczał, że mogłoby być inaczej, a jednak gdy podchodził, zauważył, że ukradkiem przeniosła spojrzenie na Lylię, a potem z powrotem na Uldyzjana.

– Przyniosłem ci wodę. – Przekroczył próg jej prywatnego świata. Podał jej bukłak, świeżo napełniony w domu mistrza Etona. Zawsze praktyczny, z wyjątkiem swych wyborów w miłości, Achilios najpierw zatrzymał się, by zaopatrzyć się w coś do picia, zanim ruszył za przyjacielem.

Serentia przyjęła bukłak z wdzięcznym skinieniem głowy. Wypiła więcej, niż Achilios się spodziewał, a to znaczyło, że siedziała już tu dość długo. Prawdopodobnie biegła przez całą drogę w obawie przed jakimś wymyślonym niebezpieczeństwem, podczas gdy myśliwy się nie spieszył, jakoś wewnętrznie przekonany, że Uldyzjanowi nic nie grozi.

Serentia ugasiła pragnienie i oddała bukłak.

– To naprawdę zdumiewające, prawda, Serri?

– Tak, to prawda.

– Jesteśmy przyjaciółmi od czasu, gdyśmy byli dziećmi. – Usiadł obok niej, nie pytając o zgodę. Jak dotąd nie pozwolił sobie na więcej. Mimo

swej pogodnej i towarzyskiej natury lepiej czuł się w lesie, sam ze zwierzyzną. W sytuacjach towarzyskich niewiele przebijał Mendelna, a gdy przychodziło do przebywania obok tej kobiety, czuł się wyjątkowo niezręcznie.

Jego uwaga sprawiła, że Serentia spojrzała nań z taką intensywnością, że Achilios pewien był, że popełnił jakiś błąd. Wyglądało na to, że dziewczyna szykuje się do odpowiedzi, ale minęła chwila, zanim wypowiedziała choćby jedno słowo.

– Dlaczego jesteście przyjaciółmi, Achiliosie? Tak bardzo się od siebie różnicie.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Bo jesteśmy i już. Byliśmy przyjaciółmi w chwili, gdy się spotkaliśmy.  
– Wzruszył ramionami. – Dzieci takie są.

– Chyba tak – zgodziła się i zamilkła, zastanawiając się nad czymś. – Czy ona jest tym, czego ty byś pragnął?

A jednak poruszyła temat, którego Achilios spodziewał się już dawno. Serentia po prostu dotarła doń nieco okrężną drogą.

– Lylia? Jest piękna, jeśli mam być szczery, i nie ma takiego, który by ją minął i tego nie dostrzegł, ale to samo można powiedzieć o innych, nie tylko o niej.

Uznał, że nie może być już bardziej otwarty, ale Serentia chyba nie zrozumiała, że miał ją na myśli.

– Wiem, że dla nas ona jest taka niezwykła i mogę zrozumieć, dlaczego Uldyzjan się w niej zakochał, ale to było takie nagłe.

– Czasem tak się zdarza. – Jemu się tak zdarzyło... w pewnym sensie. Jednego dnia widział w Serri tylko psotną dziewczynkę, następnego stała przed nim piękna kobieta. Achilios tak był zdumiony tą zmianą, że cały następny tydzień niczego nie upolował.



Serentia milczała, a myśliwy czerpał radość z jej bliskości... – i tak zazwyczaj kończyły się wszelkie ich rozmowy. Patrzyli, jak Uldyzjan ujmując dłonie jednego mieszkańca Party po drugim. Za każdym razem udawało mu się to, cokolwiek zamierzał. Achilios widział, że zarówno jego przyjaciel, jak i osoba, którą dotknął, mieli na twarzach wyraz niesamowitej satysfakcji.

– Czy tak się czułaś? – ośmielił się wreszcie spytać Serentii. – Tak jak oni?

– Tak.

Jednak jej ton zabrzmiał w taki sposób, że łucznik nie był do końca pewien, czy odpowiedź rzeczywiście była twierdząca.

– I udało ci się zrobić cokolwiek?

– Nie wiem – odparła po chwili.

– Jak możesz nie...

– Nie wiem – tym razem jej ton był stanowczy.

Zazwyczaj Achilios wycofywał się w takich sytuacjach, ale teraz nie mógł.

– Co masz na myśli?

Jej spojrzenie zatrzymało się nie na nim, a na jej dłoniach.

– Czuję to tak samo, jak wielu z nich tam, wiem, ale to wszystko. Nie zauważyłam, żeby się coś we mnie zmieniło. Próbowałam myśleć o różnych rzeczach, życzyć sobie, żeby się stały... Ale jak na razie, z tego co wiem, nic się nie stało.

– Nie? Myślałam, że do tej pory...

Teraz na niego popatrzyła, wzrokiem niczym stal.

– Ja też. Wierz mi.

Achilios nie mógł tego zrozumieć. Lylija już kilkakrotnie demonstrowała nowe umiejętności, sprawiała, że kwiaty kwitły albo jagody dojrzewały,

wyleczyła niewielkie skaleczenie na nodze wierzchowca, a raz wezwała królika, oszczędzając Achiliosowi wyprawy do lasu. Aczkolwiek łucznik miał paskudne uczucie, że zwierzak został oszukany i pozbawiony szansy, by walczyć o życie.

– A jak to jest z tobą? – zapytała dziewczyna bez uprzedzenia. – U ciebie też nie widziałam żadnych mocy.

Po prawdzie Achilios czuł coś, wewnątrz, próbujące przybrać na sile, ale zdławił to natychmiast. Nikomu nie powiedział o tej decyzji. Wielu mogło pożądać daru Uldyzjana, Achiliosowi wystarczało to, kim był. Myśliwym. Prostym człowiekiem.

– Chyba nie jestem najlepszym z uczniów Uldyzjana – odparł. – Nic a nic.

– Ale jego nikt nie uczył! W jego wypadku moc przyszła gwałtownie jak burza nad Seram... którą chyba też on spowodował!

– Uldyzjan czuł nacisk z wielu stron, Serri. Został oskarżony przez brata Mikeliusa o brutalne morderstwo. Inkwizytorzy jak nic powlekliby go do Katedry i spalili! Nie miał wyboru.

Nie wyglądała na przekonaną.

– To wszystko było straszne, ale dlaczego akurat w tym momencie? Dlaczego nie wtedy, kiedy jego rodzina umierała od plagi? Czemu nie wtedy? I dlaczego w ogóle on? Są inni, którzy cierpieli bardziej, a nigdy nie słyszałam o czymś takim! Nawet by nie dotarło do Seram, wiesz o tym! – I choć Achilios kiwał głową, mówiła dalej. – I dlaczego nie Mendeln? Tyle samo wycierpiał. Stracił całą rodzinę, jego brata oskarżono o straszne zbrodnie! To mógł być on, ale nie! Nie zauważyłam niczego niezwykłego, jeśli chodzi o Mendelna, a ty?

Kiedy wspomniała młodszego brata Uldyzjana, Achilios drgnął nerwowo. Serentia zauważyła to natychmiast i zmrużyła oczy.

– O co chodzi, Achiliosie? Co jest z Mendelnem? Ma takie możliwości jak jego brat?

To nie taka myśl wytrąciła myśliwego z równowagi, ale nagły przebłysk z przeszłości, z innego czasu i miejsca, kiedy to razem z Mendelnem badali tajemniczy kamień w pobliżu Seram. Achilios nie tylko przypomniał sobie, jak to Mendeln zamarł po dotknięciu kamienia, ale też jakie to było uczucie, gdy sam dotknął artefaktu... Odrażającą pustką, która go ogarnęła, zanim udało mu się wyrwać.

– Nie... – wykrztusił wreszcie. – Nie... nic takiego nie zauważyłem.

Nie przekonał jej.

– Achiliosie, co...

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, łuczniczką targnęła przemożna obawa, ale nie o siebie. Poczł okropną i zarazem dojmującą pewność, że coś złego dzieje się z Mendelnem dokładnie w tym momencie.

Zerwał się gwałtownie.

– Co się dzieje? Coś złego? – pytała przestraszona Serentia.

Chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Bez słowa rzucił się do biegu, ignorując pełne obawy wołanie Serentii.

Ale nie odbiegł zbyt daleko, gdy zatrzymał się raptownie. Obawa o Mendelna wciąż go przepełniała, ale łucznik zawahał się, zanim znów zaczął biec.

Prawda była taka, że Achilios nie miał pojęcia, gdzie przepadł brat Uldyzjana.

Ulice, które przemierzał Mendeln, były puste, a budynki wokół niego dziwnie poszarzałe. Nie czuł nawet tchnienia wiatru, nie słyszał najłżejszego bodaj dźwięku. Czułby się bardzo samotny... gdyby nie to, że nadal towarzyszyły mu duchy strażników zgładzonych przez Uldyzjana.

Od czasu, gdy przybyli do Party, Mendeln wkładał niezwykle dużo wysiłku, by nie wykrzyczeć prawdy pozostałym. Albo cienie tych mężczyzn istniały naprawdę, albo całkiem postradał zmysły. Możliwe, że jedno i drugie. Sam Mendeln nie wiedział, co byłoby gorsze. Wiedział tylko, że bardzo chce komuś powiedzieć, co się z nim dzieje.

Ale nie powiedział. Nie powiedział, gdy przybyli do Party, a jego nadzieje, że duchy znikną, rozwiały się z chwilą, gdy pierwszy z nich wkroczył do miasta. Do tego momentu pocieszał się, że został nawiedzony jedynie na chwilę. Teraz bał się, że martwi pozostaną przy nim na zawsze.

„Bał się” – to nie było chyba właściwe określenie. Oczywiście, denerwowali go, ale im dłużej z nim byli, tym mniej go przerażali. Nie robili nic, tylko się w niego wpatrywali. Nie z potępieniem, lecz jakby oczekiwali od niego jakiegoś słowa. Jak na razie Mendeln niewiele powiedział bezpośrednio do nich. Poprosił grzecznie, by sobie uprzejmie poszli, ale skoro nie posłuchali, nie miał powodu, by kontynuować monolog.

W tej chwili byli jego najmniejszym problemem. Gdy szedł przez miasto, zaczął zauważać szereg charakterystycznych znaków, jakby Parta była starożytnym miastem, opuszczonym przed wiekami. Zmiana była widoczna z każdym krokiem. Szarość nabrała ciemniejszych tonów, zbliżyła się niepokojąco do czerni...

Coś było nie w porządku, uświadomił sobie. Gdzie są wszyscy? Gdzie Uldyzjan, którego Mendeln próbował odszukać? Niepokoił się o brata, martwił się tym, co mogą zrobić mieszkańcy Party. Miał w pamięci wypadki w Seram, gdzie ludzie, którzy całe życie znali Uldyzjana, zwrócili się przeciwko niemu...

I nagle Mendeln zobaczył coś, co sprawiło, że zwolnił kroku i całkowicie zapomniał o swym bracie. Odwrócił się błyskawicznie i chciał już rzucić

się do ucieczki, gdy zrozumiał, że spogląda dokładnie w tym samym kierunku, który, zdawałoby się, zostawił za plecami.

Patrzył na dawno zapomniany cmentarz, cmentarz tak stary, że zdecydowanie nie był częścią Party.

Mendelna otoczyły cienie umarłych strażników. Był pewien, że z wejścia między groby nie wyniknie nic dobrego. A jednak kiedy próbował się odwrócić, za każdym razem odległość między nim a cmentarzem stawała się mniejsza. Nie bacząc na to, Mendeln postąpił krok w tył...

I znalazł się wśród grobów.

Zachłysnął się powietrzem z wrażenia i spróbował jakoś ogarnąć umysłem to, co działo się wokół niego. Modlił się w duchu, żeby to wszystko okazało się snem, ale wiedział, że nie ma na to szans. Pomyślał o wcześniejszych utratach przytomności i uznał, że to jakaś ich dziwaczna kontynuacja. Innej odpowiedzi nie miał.

Nagle uświadomił sobie kolejną dziwną i zarazem niepokojącą kwestię. Cienie zmarłych strażników nie weszły z nim na cmentarz. Zostały przy łuku bramy, jakby kamienny gargulec na jej szczycie trzymał je w szachu. Po raz pierwszy Mendeln zapragnął ich towarzystwa, choćby dlatego, że było czymś znajomym. Tymczasem znalazł się zupełnie sam, w obliczu nie wiadomo czego.

Gdy zaczął się odwracać, przeszło go wrażenie, że jakaś ręka pchnęła go w głąb cmentarza. Robiąc kilka chwiejnych kroków, Mendeln spojrział przez ramię. Gwałtownie przełknął ślinę. Oczywiście za nim nikogo nie było.

Popatrzył na pierwszy z grobów oznaczony kamiennym półksiężycem. Grób wykopano tak dawno temu, że zarosły go całe pokolenia chwastów i trawy. Nawet zapadł się nieco. Mendeln miał już odwrócić wzrok, gdy raz jeszcze spojrział na kamień nagrobny.

Nieczytelne niemalże, spowite tańczącymi cieniami, widniały takie litery jak na kamiennym artefakcie.

Mendelna ogarnęła fascynacja odkryciem pomimo niejasnej świadomości, że nie powinien tak się czuć. Z szacunkiem dla miejsca pochówku przyklęknął i pochylił się nad kamieniem. Z bliska był w stanie zweryfikować to, co widział. Na powierzchni półksiężyca biegły rzędy symboli, ale Mendeln nie rozpoznawał wzorów. Bez wahania przesunął palcami po pierwszej linii. Natychmiast poczuł emanującą ze znaków moc. Słyszał o słowach mocy, których używali magowie, mógł tylko zgadywać, czy te do takich należały.

Podniósł głowę i spojrzał na pole nagrobków. Poza półksiężycami widział takie w kształcie gwiazdy, prostokątne i inne o najróżniejszych kształtach. Dostrzegł nawet jeden wyróżniający się wysokością, w kształcie skrzydlatej postaci z mieczem w dłoni.

Zaintrygowany, przeszedł pomiędzy grobami, żeby obejrzeć posąg z bliska. Miejsce strachu zastąpiła fascynacja. Musiał dowiedzieć się czegoś więcej. Czy to miejsce, w którym spoczywali magowie? Jeśli tak, to czy mieli jakiś związek z tym, czego doświadczał on sam... i Uldyzjan także, jeśli już o tym mowa? Wcześniej by w to wątpił. Z okruchów informacji, które pozbierał od kupców jeszcze w Seram, wynikało, że magowie odcięli się od świata, pogrążeni w swych pojedynkach i próbach przechytrzenia się nawzajem. A więc najpewniej nie mieliby czasu, żeby zawracać sobie głowę przybyszami z farmy tak odległej od miasta.

Choć posąg stał w głębi cmentarza, Mendeln miał wrażenie, że zrobił zaledwie kilka kroków i od razu znalazł się w cieniu figury. Zatrzymał się, próbując zrozumieć, co właściwie przedstawia ten pomnik. Skrzydlatą istotę z twarzą osłoniętą kapturem tak, że widać było jedynie zarys ust i kaskadę włosów. Postać miała szaty i napierśnik podobne nieco do tych

noszonych przez Inkwizytorów, ale daleko bardziej zdobiony i lepiej wykonany. Na napierśniku widniała inskrypcja w tym samym tajemniczym języku.



Mendeln raz jeszcze popatrzył na skrzydła, uświadamiając sobie, że nie są to pierzaste skrzydła ptaków. To, co w pierwszej chwili wziął za pióra, było artystycznym przedstawieniem płomienia. Nigdy dotąd nie słyszał żadnej legendy o istotach z takimi skrzydłami, nie było takich nawet w bajkach, które opowiadała mu matka, gdy był jeszcze dzieckiem.

W lewej dłoni wielkiej figury tkwił miecz, którego czubek wsparty był o podstawę rzeźby. Druga dłoń skierowana była w dół, wskazując nie tylko grób, jak się zdało Mendelnowi, ale też mogiły wokół. Miał niejasne wrażenie, że to coś oznacza, ale co, nie potrafił powiedzieć.

Choć powinien być przerażony, czuł się sfrustrowany ponad wszelkie wyobrażenie. Z natury był człowiekiem ciepłym, ale ktoś tu wyraźnie robił wszystko, żeby wyprowadzić go z równowagi.

– No dobrze! – krzyknął, a jego głos odbił się echem w ciszy cmentarza.  
– Jeśli czegoś ode mnie chcesz, powiedz mi czego! Powiedz mi, żądam tego!

Ledwie ucichł, a dobiegł go zgrzytliwy chrzęst. Przerażony Mendeln obserwował, jak dłoń posągu obraca się w taki sposób, by wskazywać napis na podstawie. Odczekał jeszcze chwilę, a gdy kamienny strażnik ponownie znieruchomiał, Mendeln zebrał się na odwagę i spojrzał w dół.

Znów miał przed sobą niezrozumiałe starożytne litery. Wprawdzie tego się po części spodziewał, ale i tak jego frustracja jeszcze się wzmożła.

– Nie mogę tego odczytać – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie wiem, co tu jest napisane!

Mrużąc oczy z wysiłku, próbował przypomnieć sobie słowa, które nieoczekiwanie pojawiły się w jego myślach, gdy demon dopadł go samotnego w lesie. Pamiętał symbole i dźwięki, ale to wciąż było za mało, żeby zrozumieć napis przed jego oczami.

Zmęczony bezradnością, tym, że cały ten koszmar do niczego nie prowadzi, Mendeln ośmielił się wreszcie oprzeć o grób i ze skupieniem studiował symbole. Jego usta układały się do wymawiania dźwięków, ale to wszystko. Nic, ale to nic nie miało dlań sensu.

– Co tu jest napisane? – zirytowany warknął pod nosem. – Co tu jest napisane?

– Smok cię wybrał...

Mendeln poderwał się na równe nogi. Słyszał już taki głos, w Seram. Tak brzmiał Cyrus...

Cyrus po tym, jak zginął.

Z jednej strony chciał krzykiem wygonić ten głos ze swojej głowy, ale jednocześnie skupił się na słowach.

– Smok cię wybrał...

Wpatrywał się w starożytny napis i czytał go od nowa.

– Smok wybrał mnie... ciebie... Smok... cię... wybrał.

I nagle Mendeln mógł przeczytać całą linię. Co więcej, pozostałe symbole zaczęły nabierać sensu. Czuł, że znajduje się na granicy odkrycia, co wszystkie znaczą; na granicy zrozumienia, co się z nim dzieje.

Tylko do czego odnosiło się to zdanie? Klęcząc, badał symbol o najważniejszym znaczeniu... Smok. Skręcona pętla bez początku i końca. Mendeln znał smoki z legend, dlaczego ten znak odnosił się akurat do takiej istoty? Dlaczego w ogóle smok?



– Co się stało? – spytał Mendeln cicho... i zmarszczył brwi, uświadamiając sobie, jak sformułował to pytanie. Chciał spytać: „Co się dzieje?”. Dlaczego miałyby...

Ziemia pod nim poruszyła się raptownie, jakby coś pod spodem próbowało się wygrzebać. Mendeln odczołgał się w tył, podpierając rękami i wpadł na inny grób, gdzie również, ku jego przerażeniu, coś poruszało się pod warstwą ziemi.

Jakby tego było mało, uświadomił sobie, że groby osypywały się jak okiem sięgnąć. Wiele już okryła warstwa świeżej ziemi i oczyma wyobraźni Mendeln widział już wyłazące spod niej szkielety.

I gdy jego obawy miały stać się straszliwą rzeczywistością, z cienia skrzydlatej figury wyłoniła się postać całkowicie odziana w czerń. Mendeln przez ułamek sekundy widział jej twarz podobną do własnej, a jednak tak wystudiowaną, że całkowicie obcą. Tak nieprawdopodobną regularność rysów można było osiągnąć jedynie na obrazie bądź w rzeźbie.

Postać narysowała w powietrzu pojedynczy symbol, który załśnił intensywną bielą. Dźwięk przypominający głośne westchnienie przetoczył się po cmentarzu...

Groby przestały się osypywać. Czarna sylwetka zniknęła, a Mendeln zorientował się, że otoczenie wygląda teraz zupełnie inaczej.

Nadal był w Parcie – to pojmował nawet jego oszołomiony umysł – ale już nie na cmentarzu. Stał przed cmentarną bramą, z której patrzył na niego gargulec, szczerząc się, jakby wyśmiewał się z szaleństwa Mendelna. Cmentarz nie wyglądał już na starożytny i opuszczony, był zadbany i idealnie pasował do obecnej Partii.

I nie ważne jak bardzo Mendeln się wysiłał, nie widział nigdzie skrzydlatego posągu.

Coś dotknęło jego ramienia i aż jęknął niczym kopnięty pies. Mocne palce złapały i obróciły Mendelna.

Ku swej uldze ujrzał Achiliosa, a nie żadne ożywione monstrum.

– Mendelnie! Nic ci nie jest! Co ty tu robisz?! – Achilios, poblady, wyglądał tak, jak Mendeln się czuł. Spojrzał w głąb cmentarza nad ramieniem młodego przyjaciela. – Byłeś tam?

– Ja... Nie. – Mendeln uznał, że najlepiej będzie niczego nie tłumaczyć, bo tak naprawdę sam nie wiedział jak. Co właściwie mu się przytrafiło? Zwidy? Sen? A może utrata zmysłów?

Zamiast tego skupił się na kwestii, która go intrygowała.

– Achiliosie, a skąd ty się tu wzięłeś, przyjacielu? Śledziłeś mnie?

Tym razem to łucznik się zawahał, zanim odpowiedział, w sposób równie podejrzany.

– Tak. Śledziłem. – Achilios uśmiechnął się do Mendelna szeroko i plasnął go w ramię. – Nie chcemy przecież, żebyś się pogubił, Mendelnie. W dużym mieście jest mnóstwo rzeczy, które mogą zaprzątnąć twoją uwagę!

Mendelnowi wydawało się, że chyba powinien poczuć się dotknięty komentarzem, ale dla dobra ich obu postanowił zignorować te słowa. Może przy innej okazji będzie mógł podzielić się z Achiliosem swą tajemnicą, a łucznik odwdzięczy mu się tym samym. Był przekonany, że te sekrety wiążą się jakoś z feralnym artefaktem, który znaleźli w lesie pod Seram.

– Musisz iść ze mną na plac. Uldyzjan...

Mendeln poczuł bolesne ukłucie wstydu, bo całkowicie zapomniał o bracie.

– Uldyzjan! Wszystko z nim dobrze?! – zawołał, nerwowo pocierając dłonie.

– Nawet lepiej niż dobrze – zapewnił go Achilios. – Ale musisz zobaczyć, żeby samemu zrozumieć... – Jego spojrzenie zawadziło przypadkiem o dłonie Mendelna. Uniósł pytająco brwi. – Twoje ręce całe są w ziemi! Co...?

– Potknąłem się i podparłem rękami, żeby nie upaść na twarz – wyjaśnił szybko młody uczoney. – Tu była ziemia – dodał jakoś tak rozpaczliwie.

Ku jego zaskoczeniu, a zarazem uldze, łucznik uznał to tłumaczenie za dobrą monetę.

– Wywalić się na ulicy! Jesteś nieobecny duchem, to się kiedyś dla ciebie źle skończy. Żwawo, poszukajmy czegoś do wytarcia rąk i pójdźmy stąd.

Niczego nie znaleźli, więc Mendeln otarł dłonie o ubranie. Wyrósł na farmie, gdzie takie zachowanie było najzupełniej normalne, ale tu, w mieście, czuł się nieco zażenowany swoim wyglądem. Jednakże nie chciał wrócić prosto do domu mistrza Etona. Był niezwykle ciekaw tego, co działo się na placu.

Ruszył za Achiliosem, ale zatrzymał się po kilku krokach i upewniwszy się, że jego przyjaciel nie patrzy, odwrócił szybko w stronę cmentarza.

Duchy, które podążały za nim, zniknęły. Zupełnie jakby postać w czarnym kapturze odesłała je na spoczynek wraz z tymi, które próbowały wydostać się z grobów.

– Dziękuję... – szepnął.

– Mówiłeś coś? – łucznik zatrzymał się, czekając na przyjaciela.

– Nie... – Mendeln gwałtownie potrząsnął głową. – Nic.

Achilios uznał tę odpowiedź tak jak wcześniejsze, za co Mendeln był mu w duchu wdzięczny. A gdy spiesz yli na plac, myśli młodego uczonego nie krążyły wcale wokół starszego brata, a wokół niepokojącego, a nawet złowieszczonego wydarzenia, które właśnie przeżył.

Szczególnie jedna myśl nie dawała mu spokoju. Nie tyle to, co się wydarzyło, nie, raczej pytanie, które wynikało z tego dziwnego doświadczenia... a dokładniej dwa pytania.

Czym był ów smok... i dlaczego wybrał właśnie jego?

Mimo okazywanej pogody ducha, Achilios był w nastroju o wiele mroczniejszym niż w chwili, gdy wyruszył na poszukiwanie Mendelna. Nie spodziewał się znaleźć młodego przyjaciela przed bramą do takiego miejsca. Po raz kolejny tego dnia wróciło do niego owo straszliwe uczucie, jakie wywołało dotknięcie kamienia.

Ukrył udrękę pod uśmiechem i cieszył się w duchu, że Mendeln był tak zaabsorbowany, że jej nie zauważył. Niestety, to zaabsorbowanie z kolei zwróciło uwagę myśliwego... i nie dawało Achiliosowi spokoju.

Kiedy spytał Mendelna, czy wchodził na cmentarz, ten zaprzeczył. A jednak Achilios wcale nie musiałby być mistrzem wśród myśliwych, by wiedzieć, że ziemia na rękach młodego przyjaciela nie pochodzi z ulicy. Była przesuszona i zmieszana z kawałkami chwastów i korzeni traw.

Taką ziemię o wiele łatwo znaleźć na cmentarzu.

Przypomniało to Achiliosowi inne wydarzenie z Seram, kiedy to brat Mikelius życzył sobie zobaczyć grób zamordowanego misjonarza... a potem stwierdził, że miejsce pochówku zostało zbezczeszczone. Mistrz inkwizytor oskarżył o to Uldyzjana. Uldyzjana albo kogoś z nim związanego.

A dziś Achilios u bramy innego cmentarza spotkał Mendelna z rękoma pobrudzonymi ziemią, Mendelna, który był tajemniczo nieobecny w trakcie większości wydarzeń, jakie rozegrały się w Seram.

Mendelna, który pod pewnymi względami zaczął przerażać Achiliosa bardziej niż sam Uldyzjan.



# TRZYNAŚCIE



Dni mijały, a zadanie Uldyzjana w Parcie wciąż dalekie było od ukończenia. Owszem, wyczuwał przebudzoną w ludziach moc, ale ich postępy nie były tak szybkie jak jego ani nawet Lylii, i to nie dawało mu spokoju. Rozmawiali na ten temat z Lylią, leżąc w eleganckich pokojach przydzielonych im przez mistrza Etona, jednak dziewczyna nie podzielała jego niepokoju.

– To tylko dowodzi, że jesteś bardziej wyjątkowy, mój ukochany, co zresztą zawsze wiedziałam – gruchała, gładząc jego pierś. – Ale daj im kilka dni. Coś mi się wydaje, że zobaczysz rezultaty, o jakich marzysz.

– Cieszę się, że tak myślisz – odparł ponuro. – Tym bardziej mnie to raduje, że wiem, jak bardzo byłaś niezadowolona ze zmiany planów, kiedy znaleźliśmy się tutaj miast w Kedżanie.

– Och, bardzo szybko potrafię przyzwyczajać się do okoliczności, kochany. Musiałam nie raz.

Uldyzjan chciał zapytać, co ma na myśli, ale gdy na nią spojrział, odkrył, że już zamknęła oczy. Wkrótce i on zasnął, wolny od swych trosk na następne kilka godzin.

Przewidywania Lylii sprawdziły się po dwóch dniach. Uldyzjan dotknął już niemal wszystkich mieszkańców Party. Zaskakująco niewielu z nich wahało się, czy obudzić w sobie dar, jeszcze mniej było takich, którym Uldyzjan odmówił. Do tej ostatniej grupy należeli przestępcy – najmniej

godni zaufania. Mistrz Eton, jako że przewodził trybunałowi partańskiemu, znał wszystkich przestępców z twarzy, a gdy tylko dotarło doń, co dzieje się w jego mieście, nie opuszczał Uldyzjana na krok.

– Ten człowiek tam... Uważaj, zanim dasz mu cokolwiek... A ten – pokazał kolejnego – prawdopodobnie spróbuje poderżnąć ci gardło, gdy będziesz go witał, więc i z nim ostrożnie.

Początkowo Uldyzjan posłusznie stosował się do tych wskazówek, ale tego dnia ponownie zobaczył odpychającego, brodatego mężczyznę o imieniu Romus. Paskudna długa blizna przecinała szczyt łysej czaszki, widomy dowód niełatwej przeszłości. Gdy tylko Romus zorientował się, że jest obserwowany, zaczął się wycofywać. Ale Uldyzjan ni z tego, ni z owego zdecydował, że chce porozmawiać z tym człowiekiem.

– Romusie! Romusie! Podejdź no do mnie!

Setki par oczu zatrzymały się na Romusie, nie miał wyjścia – musiał tylko spełnić życzenie Uldyzjana, mimo wrogich spojrzeń rzuconych mu przez strażników i innych mieszkańców.

Mistrz Eton też nie był zadowolony.

– Chłopcze, wiem, że masz jak najlepsze chęci, ale tacy jak on staną się tylko bardziej niebezpieczni, gdy otrzymają dar...

Lylia położyła mu na ramieniu delikatną dłoń.

– Ależ drogi Etonie! Skąd możesz wiedzieć, czy tacy jak on nie otrzymali już pomocy ze strony Uldyzjana? Nie chcesz chyba powiedzieć, że znasz każdego złoczyńcę w mieście?

– Nie, pani, ale piekielnie wielu z nich, wybaczcie mój język, a ten tu należy do najgorszych!

Nie dała się przekonać.

– Widziałeś twarze tych, którzy doświadczyli przebudzenia. Ty też tego doświadczyłeś. Zajrzyj w głąb siebie. Myślisz, że mógłbyś użyć daru, by

czynić zło?

Eton się zawahał.

– Nie... nigdy... ale...

– Nikt by nie mógł – upierała się Lylia. – Nikt.

Nie czekając, co ich gospodarz mógłby mieć do powiedzenia, Uldyzjan wyciągnął rękę do Romusa, który wyglądał bardziej na przestraszone dziecko niż groźnego zbira. Brodacza otaczali mieszkańcy miasta, a wielu z nich uważało Uldyzjana za świętego.

– Nie obawiaj się – przemówił doń farmer. – Zróbcie mu trochę miejsca!  
– zwrócił się do tłumu. – Wszystko jest w porządku.

Posłuchali, a wtedy Uldyzjan przyciągnął mężczyznę bliżej. Romus zmarszczył brwi, ale nie zaprotestował.

U boku mistrza Etona Lylia pochyliła się nieco, obserwując wszystko z niezwykłym skupieniem.

Reszta mieszkańców z niejakim niepokojem przyglądała się Romusowi, którego reputacja była im najwyraźniej doskonale znana. Gotowi byli bronić Uldyzjana, gdyby zaszła taka potrzeba.

Ale sam Uldyzjan wcale się nie bał. Gdy tylko dotknął ręki Romusa, moc popłynęła w nim rwącym strumieniem. Od razu poczuł, że w brodaczu coś drgnęło. Romus z sykiem wciągnął powietrze, a na jego twarz wypłynął wyraz absolutnego zachwytu, przez co mężczyzna wyglądał zupełnie inaczej. Temu nowemu Uldyzjan powierzyłby własne życie.

– To... to... – jękał się Romus.

– Tak.

Uldyzjan cofnął się o krok, pozwalając, by brodacz oswoił się ze zmianą. Romus chichotał jak dziecko, wielka łza popłynęła mu po policzku, obiema dłońmi potarł łysą czaszkę, jakby miało mu to pomóc zrozumieć cud, jakiego doświadczył.



Kiedy opuścił ręce, Lylia krzyknęła:

– Uldyzjanie, patrz! Zobacz, co on zrobił! Spójrz na bliznę!

Uldyzjan nie mógł spojrzeć na bliznę, bo jej nie było. Skóra, przed chwilą jeszcze poszarpana nierówno, teraz była zdrowa i gładka.

I z pewnością nie stało się tak wskutek wysiłków Uldyzjana.

Mieszkańcy Party nie do końca to pojmowali. Bez zastanowienia przypisali zniknięcie blizny Uldyzjanowi. Ale on podniósł dłonie i uciszył ich radosne okrzyki.

– To, co widzicie, nie dokonało się za moją sprawą! Ani trochę! To, co widzicie... cud, którego byliście świadkami... Romus uczynił to sam! – a gdy głosy protestu przybrały na sile, popatrzył po ludziach z surową powagą. – Jam to mówię, bo wiem! Kto jeszcze zarzuci mi fałsz!

Nikt nie mógł. Wielu ze zdumieniem popatrywało teraz na Romusa, który potrząsał głową raz za razem, zaprzeczając prawdzie tak jak przed chwilą jego sąsiedzi. Ale Uldyzjan mu na to nie pozwolił.

– Romusie, dołącz do mnie tu, przy fontannie! Pozwól innym zobaczyć!

Brodacz posłuchał bez słowa. Ludzie tłoczyli się wokół niego, komentując półgłosem i wskazując sobie nawzajem uleczoną głowę. Romus czerwieniał coraz bardziej. W żadnej mierze nie wyglądał na zatwardziałego złoczyńcę, jakiego widział w nim mistrz Eton.

– Niesłychane... – mruknął kupiec. – Czy to możliwe?

Lylia zacisnęła palce na jego ramieniu.

– Tak! Czy teraz rozumiesz, panie?

– Tak... tak, chyba tak...

Uldyzjan tymczasem znów przemawiał do ludzi.

– Może upłynąć trochę czasu, zanim moc ponownie da o sobie znać, ale widzicie teraz, że to możliwe! Pozbądźcie się wątpliwości, każdy będzie mógł zrobić to samo... i więcej!

Na te słowa ryk podniósł się wśród tłumu. Wielu padło na kolana, dziękując Uldyzjanowi.

– Wstańcie! Wstańcie! – krzyczał Uldyzjan. Jego furia wstrząsnęła zebranymi. Patrzyli na niego ze strachem. – Nikt przede mną nie klęka! Byłem i jestem prostym farmerem! Może i straciłem moją ziemię, mój dom, ale nie zmieniłem się nawet po tym, jak otrzymałem dar! Przyszedłem się z wami dzielić, nie rządzić! Nigdy więcej nie klękajcie przede mną! Tu nie ma żadnych panów! Wszyscy jesteśmy równi!

Ale nawet gdy wykrzykiwał te słowa, wiedział, że mieszkańcy Party nie dzielają w pełni jego punktu widzenia. Będą szukać u niego wskazówek i odpowiedzi. Pocieszał się myślą, że stanie się dla nich nauczycielem i przewodnikiem. Za dzień czy dwa większość nie będzie już go potrzebować. Istniała przecież możliwość, że wręcz przerosną go umiejętnościami; że tym razem on będzie musiał uczyć się od nich.

Jak na razie jednak wszystko zależało od niego, aczkolwiek musiał przyznać, że zaskakujący czyn Romusa obudził w nim nową nadzieję. Każdy z tych ludzi był inny. Jako farmer Uldyzjan rozumiał, że tempo rozwoju, tempo wzrostu bywa różne. Musiał tylko być cierpliwy.



Miał czas. W Kedzanie przecież nikt na niego nie czekał. Mógł zostać w Parcie, póki nie będzie miał pewności. Wszystko pójdzie lepiej, gdy będzie obecny.

Z nieco lepszym samopoczuciem Uldyzjan odwrócił się ku kolejnemu suplikantowi... i następnemu... i jeszcze jednemu...

Tym razem Malik był bardziej ostrożny. Nie dlatego, że obawiał się ponownego spotkania z Uldyzjanem, ale ponieważ nie chciał, by cokolwiek

poszło nie tak. Morlu mogli stać się czasem prawdziwie obosiecznym mieczem. Byli niezwykle przydatni, jednak ich skłonność do rozlewu krwi była niemal tak silna jak u demonów. Na szczęście pan wysłał jednego ze zdolniejszych wojowników, a Damos dobrze wybrał swych pięciu towarzyszy. Razem mieli o wiele większy potencjał niż demony i klerycy, których Malik powiódł poprzednio.

Damos wyprzedzał oddział, węszył w powietrzu niczym pies, który podjął trop. Pozostali morlu siedzieli w siodłach, niecierpliwie oczekując zwierzyny.

– Tędy przeszli – zazgrzytał Damos. Uniósł głowę osłoniętą baranią czaszką ku niebu i powęszył raz jeszcze. – A tu skręcili... w tamtą stronę.

Malik powiódł spojrzeniem za wyciągniętą ręką Damosa.

– Jesteś pewien?

Morlu wyszczerzył się, odsłaniając pozólkłe zęby.

– Czuję krew, arcykapłanie...

– Zmierzali do Kedżanu. Kiedy spotkałem ich poprzednio, kierowali się ku nizinom i dżungli. Jeśli pojechaliby w tym kierunku, to znacznie nadłożyliby drogi.

Damos wzruszył ramionami. Dla niego takie rozważania były pozbawione sensu. Liczyło się tylko to, gdzie można znaleźć ofiarę, a nie w jakim kierunku biegła, zanim zaczęło się polowanie.

Kapłan pogładził swe makabryczne ramię – od czasu transformacji powtarzał ten gest często i nieświadomie. Drgnęły zbrojne w szpony pazury. Tuż przed wyruszeniem w drogę pan powiedział Malikowi, do czego zdolna jest jego nowa ręka. Arcykapłan nie mógł się doczekać, by tego spróbować. Najpierw jednak musiał dopaść zwierzynę.

– Pojedziemy zatem w tę stronę – zdecydował wreszcie.

Pomrukując i stękając, Damos wrócił do swego czarnego wierzchowca. Żeby dogonić ich ofiary, musieli podążać tym, a nie innym szlakiem, było to oczywiste dla wszystkich morlu, ale ponieważ znali swe miejsce, nie zareagowali na całkowicie zbędne słowa arcykapłana. Nie zamierzali kwestionować pozycji zwierzchnika, o ile ich pan im tego nie nakáže.

Prowadzona przez Malika grupa ruszyła dzikim galopem. Ich wierzchowce nie zostawiały żadnych śladów, nie słychać było nawet uderzeń kopyt. Gdyby ktokolwiek widział, jak przejeżdżali, mógłby zauważyć nawet, że kopyta czarnych koni w ogóle nie dotykały ziemi...

Nad Partą zapadła noc. Wyczerpany do cna Uldyzjan padł na łóżko. Nie do końca był nawet świadom, że Lylia wślizgnęła się pod przykrycie u jego boku.

Nawiedziły go sny. Były to przyjemne obrazki, w których pomagał chorym i okaleczonym na całym świecie uczyć się, jak położyć kres swoim cierpieniom. Albo jak przywracać życie i plony wypalanej ziemi. Patrzył, jak świat zmienia się w raj, a ludzie pod jego kierunkiem osiągają doskonałość, o jakiej nawet nie śmiał marzyć.

I nagle cała ta miłość i harmonia zniknęły w potwornym kataklizmie. W ziemi otworzyły się głębokie szczeliny, nawet niebo popękało straszliwie, zupełnie jakby jego dom tkwił w środku jajka, które teraz zostało rozbite.

W jednej chwili niebo wypełniło się istotami o ognistych skrzydłach, a z rozpadlin wypełzły makabryczne, pokryte łuskami monstra. Dwie przerażające armie zderzyły się ze sobą, a ludzkość znalazła się między nimi. Mężczyźni, kobiety i dzieci padali rozdzierani na strzępy przez wojowników obu stron, którzy nawet tego nie zauważali. Tysiące poległo w mgnieniu oka.

– Stójcie! – ryczał Uldyzjan. – Stójcie!

Nikt z walczących nie słyszał jego krzyków, a gdy Uldyzjan sięgnął po swój dar, by ich powstrzymać, nic się nie stało.

– Są wszędzie! – krzyczał Achilios, który nagle znalazł się u boku Uldyzjana. – Zrób coś! Kończą mi się strzały!

Rzeczywiście, łucznik sam jeden zdołał powalić ze stu wojowników, ale tych wciąż przybywało. Niepowstrzymana fala pędziła w stronę Uldyzjana.

– To twoja wina! – krzyknął Achilios nagle rozgniewany. – Twoja wina!

– Nie! – Uldyzjan odwrócił się od łucznika i jego oskarżeń, tylko po to, by spojrzeć prosto na Serentię przyglądającą mu się z oddali. Stała wśród morza wściekłych wojowników, nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa. Ostrza szczękały wokół niej, ale dziewczyna tylko patrzyła na Uldyzjana jak wielu z ludzi, którzy go dzisiaj otaczali.

– Wierzę w ciebie – oświadczyła. – Wierzę...

Poszczerbiony w niejednej walce topór zdjął jej głowę z ramion jednym cięciem. Z otwartego karku trysnęła fontanna krwi. I gdy głowa Serentii potoczyła się po ziemi, jej twarz wciąż wyrażało to samo bezgraniczne zaufanie.

– Serri! – zaszlochał. Chciał rzucić się ku niej, ale czyjaś dłoń pociągnęła go w tył. Spojrzał, kto też nie pozwala mu iść do Serentii i odkrył, że to jego własny brat... ale jego postać przejęła Uldyzjana głębokim dreszczem.

– Nie martw się już o nią – powiedział Mendeln tonem wypranym z emocji. Jego twarz była wychudzona i szara jak u trupa, zdawał się na pół cieniem. Spowijał go ciemny płaszcz, który wydymał się i falował, choć nie było żadnego wiatru. – Nie martw się już o nią. Teraz jest jedną z moich.

Dopiero wtedy Uldyzjan zobaczył inne postaci za plecami brata, postaci o twarzach, które rozpoznawał zarówno z Seram, jak i z Party. A jednak jak w wypadku Mendelna, te twarze były chude i wymizerowane, a ciała poranione i poszarpane.

Byli martwi.

Mendeln przepłynął koło Uldyzjana niczym cień, za nim podążyły cienie niewiernych, którzy polegli na polu bitwy. Walczący omijali ciało Serentii, które wciąż stało niewzruszone, choć martwe.

Mendeln skinął dłonią i ciało ruszyło za nim.

– Czeka! – Achilios rzucił się do przodu. Cisnął łuk, pochwycił krwawiącą głowę Serentii i pobiegł za Mendelnem. – Czeka!

Uldyzjan chciał iść za nimi, ale walczące legiony nie rozstąpiły się przed nim. Skrzydlaci wojownicy napierali na swych potwornych przeciwników z niegasnącą zjadłością, a mimo dotkliwych strat po obu stronach, wojsk nie ubywało. Nieustająca rzeka wojowników napływała do świata.

Nie było już śladu po rajach, który jeszcze przed chwilą otaczał Uldyzjana. Ziemia stała się rozpaloną rzeźnią, spalone niebo zasnuwał dym.

I wtedy, gdy już niemal zgasła w nim wszelka nadzieja, usłyszał głos Lylii. Rozglądał się, szukając jej rozpaczliwie, aż wreszcie wypatrył, jak zachwycająco piękna sunęła ku niemu pośród jatki. Przynajmniej jej nie tknęły wszechobecne walki, prawdę powiedziawszy, wojownicy zdawali się nader chętni, by zejść jej z drogi. Lylii wpadła wprost w objęcia Uldyzjana i przytuliła go równie mocno jak on ją.

– Lylio – wszeptał zdławionym głosem, bo ulga, którą czuł, była niewyobrażalna. – Lylio... myślałem, że ciebie też straciłem...

– Ależ nigdy mnie nie stracisz, mój kochany, nigdy... – zapewniła go słodko, przytulając go jeszcze mocniej. Policzek oparła na jego piersi. – Jesteśmy związani ze sobą na zawsze...

Przepełniony wdzięcznością pochylił się, by ją pocałować. Lylii uniosła twarzyczkę...

Dławiąc się, próbował wyrwać się z jej objęć, ale uścisk Lylii był nierozzerwalny. Mógł tylko w przerażeniu patrzeć, jak jej usta zbliżają się do

jego warg.

– Nie pocałujesz mnie, ukochany? – zapytała z uśmiechem... pełnym ostrych zębów. Jej oczy nie miały źrenic, były wypełnione szkarłatem. Skórę pokrywały łuski, a z włosów sterczały ostro zakończone uszy, przy czym włosy, choć wciąż długie, nie były złotymi lokami, ale sztywnymi kolcami o barwie szmaragdów.

Mimo tych makabrycznych zmian, było w niej coś takiego, co wypełniło Uldyzjana pożądaniem, i to tak potężnym, że go przeraziło. Suknia, którą Lylija nosiła wcześniej, zniknęła, i choć jej ciało pokryte było łuskami, nie skrywały one nic z tego, co często sugerował jedynie ludzki strój.

– Nie! – wypalił, odpychając ją z całej siły. – Nie!

Lylija zaśmiała mu się w twarz. Jej ogon zakończony trzema wyrostkami niczym sztylety uderzał w przesiąkniętą krwią ziemię. Nogi miała zakończone kopytami jak kozy, które Uldyzjan trzymał na farmie. Cofnęła się o krok i zaprezentowała się w całości.

– Nie jestem tym wszystkim, o czym zawsze marzyłeś? Nie jestem tym, czego pragniesz? – roześmiała się. Ten śmiech przejął Uldyzjana dreszczem zgrozy, ale też wzmógł jego pożądanie. – Chodź do mnie, ukochany – skinęła nań ręką zbrojną w długie szpony. – Chodź... jesteś mój, ciałem i duszą, duszą i ciałem... Chodź do mnie...

I gdy to powiedziała, armie zaprzestały tytanicznych zmagania i zwróciły się ku Uldyzjanowi. Poczęły maszerować wolno w jego stronę, w rytm słów Lylii.

„...ciałem i duszą, duszą i ciałem...”

Obudził się, krzycząc bez słów. Obrócił się na bok, by zobaczyć, jak Lylija pochyla się nad nim, a na jej twarzy, jej pięknej twarzy, maluje się czysta troska.

– Uldyzjanie, kochany! Źle się czujesz?

– Widziałem... innych... ty. – Schował twarz w dłoniach i z wolna dochodził do siebie. – Śniło mi się... śniło mi się coś. To wszystko. Miałem zły sen.

– Koszmar? – pogładziła jego policzek delikatną dłonią pozbawioną szponów. Uchylił się odruchowo, przypominając sobie, jak wyglądała we śnie. – Co to musiał być za okropny koszmar, skoro sprawił, że nawet mnie się boisz!

– Lylio... przepraszam.

Potrząsnęła głową, pozwalając, by złociste włosy opadły kaskadą na nagie ramiona. Nawet w półmroku była zachwycająco piękna. Uldyzjana wypełniło pożądanie i powoli zaczął zapominać szczegóły koszmaru.

Lylio objęła go czule.

– Pozwól, że pomogę ci się uspokoić, pokażę ci, że nie powinieneś się mnie bać...

– Lylio, ja...

– Cii...

Nakryła jego wargi swoimi i całowała go, póki nie stracił tchu. Gdy gwałtownie nabrał powietrza, zaśmiała się, to był wyjątkowo miły śmiech, zupełnie niepodobny do owego drwiącego, choć podniecającego śmiechu z koszmaru.

– To dopiero początek, obiecuję. – Jej dłonie pieściły jego barki, pierś, a potem zsunęły się niżej.

Zły sen zbladł i rozwiął się całkowicie. Z udanym warknięciem, Uldyzjan pochwycił ją i przyciągnął do siebie. Przetoczyli się po łóżku, a on niestrudzenie pracował, by upewnić się, że żadne wspomnienie wizji ze snu nie zostanie w jego głowie...

Kiedy Uldyzjan ponownie zasypiał, był w nastroju, który mógł mu przynieść jedynie przyjemne sny, nie koszmary. Pochrapując, spał na



brzuchu, nagim ramieniem obejmując Lylię.

Ale Lylia nie spała. Leżąc na plecach, wpatrywała się nieruchomo w miejsce we własnej pamięci, daleko od łóżka i śpiącego Uldyzjana.

Wielu ludzi wierzyło, że sny to wróżby. Lylia wiedziała, że to bliskie prawdy. Sen mógł być znakiem, ona wiedziała to najlepiej. Gdy się kochali, udało jej się wyciągnąć nieco od Uldyzjana, nieświadomego, że w ogóle jej coś zdradza. Te poskładane kawałki stworzyły taki obraz, że Lylia niemal się zapomniała. Na szczęście szybko wróciła do siebie, w przeciwnym razie Uldyzjan miałby długą i paskudną ranę na grzbiecie.

Tak, marzenia senne mogą być wróżbą, znakiem i tym mógł być sen Uldyzjana. Ale mogą też być zupełnie czym innym i to niepokoiło Lylię daleko bardziej.

Sny, a koszmary w szczególności, mogą być ostrzeżeniem.

A Lylia doskonale wiedziała, czego mogło dotyczyć to ostrzeżenie. Nie wiedziała tylko, skąd ono się bierze. Zrobiła, co mogła, by ukryć swą obecność przed tymi, którzy mogliby ją rozpoznać. Mieli pewne podejrzenia, to na pewno, ale musieli postępować z niezwykłą ostrożnością, żeby nie powiadomić o całej sytuacji Królestwa Niebios. Nikt, nawet on nie chciałby, żeby Rada Angiris dowiedziała się o istnieniu Sanktuarium.

A to znaczy, że nadal miała przewagę.

Jednak sen nie dawał jej spokoju. Wszystko to raczej nie wyglądało na próbę ze strony tych, którzy chcieliby ją powstrzymać przed osiągnięciem celu. Żadnego z nich. A jednak cóż innego mógł oznaczać?

Nieważne – powiedziała sobie. Była panią sytuacji. To ona obudziła moc w nefalemie, tym głupcu przy jej boku, i za jego pośrednictwem uczyni to z każdy śmiertelnikiem. Nic nie stanie jej na drodze.

A jeśli Uldyzjan ul-Diomed przestanie być posłuszną marionetką, Lylia go zabije i znajdzie kolejnego głupca. Świat przecież pełen jest mężczyzn...



# CZTERNAŚCIE



Minęły kolejne cztery dni i Uldyzjan jeszcze lepiej poczuł się w Parcie. Kedżan stanowił cel w przyszłości, ale przyszłości raczej odległej, która jeszcze oddalała się z każdym mijającym dniem.

Poza mieszkańcami Party zaczęli do niego zjeżdżać inni z niewielkich farm czy osad oddalonych od miasta o dzień drogi. Wieści szybko się rozchodziły. Uldyzjan oczywiście witał każdego nowo przybyłego i robił, co mógł. Postępy były powolne, ale mężczyzna miał już dowody, że mówił ludziom prawdę. Jakieś dwa tuziny osób, poza Romusem, przejawiało umiejętności władania mocą, aczkolwiek w najróżniejszym zakresie. A to leczyli drobne urazy, a to powodowali kwitnienie kwiatów, jedno dziecko nagle zyskało umiejętność wzywania ptaków. Te różnice niesamowicie fascynowały Uldyzjana, który próbował dojść, dlaczego coś sprawdza się u jednych, ale nie u innych.

Nie męczyły go już koszmary, zapomniał o nich, ponieważ miał dużo obowiązków. Szeregi jego zwolenników zwiększały się w jeszcze jeden sposób, którego wcześniej nie wziął pod uwagę. Parta była miastem kupieckim. Codziennie zatrzymywali się tu kupcy i handlarze z rozmaitych stron. Nie mogli nie dać się porwać rosnącemu podnieceniu wśród mieszkańców miasta i wielu, którzy przybyli do Uldyzjana z pustej ciekawości, odchodziło przebudzonych. Nie wszyscy oczywiście, tak samo jak nie wszyscy mieszkańcy Party tego doświadczyli. Jednak szeregi

opornych i niedowierzających kurczyły się z każdym dniem, z każdym nowym cudem – takim jak starszy mężczyzna, któremu córka przywróciła wzrok, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Ona również nie mogła powtórzyć tego dokonania, ale to nie przeszkadzało Uldyzjanowi. Widział, że wielu jest już na granicy i wkrótce do niego dołączy.

Mimo tych ogromnych zmian, ludzie w mieście próbowali żyć jak dotychczas. Cóż innego mieliby robić? Zboża trzeba było zżąć, a dzieci nakarmić. Mistrz Eton sam powtarzał wielokrotnie, że lubi swą pracę, szczególnie od czasu, gdy przed kilku laty umarła jego żona, a nie tak dawno temu dwóch synów wyruszyło do Kedzanu.

I to właśnie z powodu upodobania do pracy musiał opuścić swoich gości następnego wieczora.

– Wybacz mi, Uldyzjanie, że będę dziś nieobecny. Stary przyjaciel, a przy tym kupiec, odwiedzi mnie, by pokazać swe najnowsze towary! Tak jak ja został dotknięty przez ciebie... ale cóż, tak jak ja w głębi serca jest kupcem.

– Nie ma powodu przeproszać, mistrzu Etonie. Byłeś dla nas bardziej niż hojny. Tyle dla nas zrobiłeś.

– Ja? Ja? – śmiał się kupiec. – Och, Uldyzjanie, jesteś chyba najskromniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem! Ja wiele zrobiłem! A ty tylko zmieniłeś życie wszystkich ludzi w mieście!

Eton wyszedł, wciąż się śmiejąc, co sprawiło, że Uldyzjan poczuł się zawstydzony.

Nieco później Lylią postanowiła poprawić mu nastrój.

– Powinieneś się cieszyć! Jesteś po prostu sobą, kochany! Nie ma się czego wstydzić! – Pocałowała go. – Ale miał rację, że wyjątkowo jesteś skromny, biorąc pod uwagę, jaka jest prawda.

– Być może... – nagle ogarnął go niepokój z rodzaju tych, co nie pozwalają siedzieć spokojnie. – Muszę się przejść.

– Dokąd pójdziemy?

– Chciałbym pójść sam. – Nieprzyjemne uczucie przybrało na sile.

Lylia sprawiała wrażenie rozbawionej.

– W Parcie? Ośmielę się stwierdzić, że daleko nie zajdziesz, mój drogi, ale pozwolę ci spróbować. Życzę szczęścia.

Wiedział, co miała na myśli. Wystarczyło, by dostrzegła go choćby jedna osoba, a zaraz wokół niego zbierał się tłum jakby za sprawą magicznego zaklęcia. Noc była dla niego najlepszą porą. Większość ludzi wróciła już do domów, zajazdy i karczmy nadal były otwarte, ale tych Uldyzjan zamierzał unikać.

– Pójdę ulicą do granicy posiadłości i później pewnie wrócę.

– Biedny Uldyzjanie, nie musisz mi się spowiadać ze wszystkiego, co robisz. – Pocałowała go ponownie, tym razem dłużej. – Życzę ci miłego spaceru.

Słyszając te słowa z innych ust, uznałby je za drwinę, ale u Lylia dostrzegał jedynie troskę i miłość. Mam szczęście, że ją spotkałem, pomyślał nie po raz pierwszy. Zupełnie jakby Los to zaplanował.

Po trzecim, jeszcze bardziej namiętnym pocałunku, zostawił ją samą w domu mistrza Etona. Kusiło go, żeby poszukać brata, ale podejrzewał, że tak jak wcześniej, gdy próbował go odnaleźć, tylko straci czas. Podczas gdy wszystko wokół zdawało się układać po myśli Uldyzjana, on i Mendeln oddalali się od siebie coraz bardziej. Sytuację pogarszało również to, że przy tych nielicznych okazjach, kiedy mogliby porozmawiać, Uldyzjan poświęcał czas tym, którzy przychodzili doń spragnieni daru. Nie chciał im odmawiać, więc rezygnował z cennych chwil spędzonych z bratem.

Ale musi wreszcie przyjść na to moment. Z Mendelnem źle się działo. Tego Uldyzjan był pewien. Młodszy brat skrywał coś istotnego. Co to było, mógł wiedzieć jedynie Achilios, ale i łucznik był świetny w znikaniu, szczególnie wtedy, gdy Uldyzjan chciał z nim odbyć rozmowę. Nawet obecność Serentii na wszelkich zgromadzeniach nie była dla Achiliosa wystarczającą zachętą.

Nie po raz pierwszy Uldyzjan przysiągł sobie, że to wszystko się zmieni, gdy tylko będzie taka możliwość. Jakoś dowie się prawdy. Na razie jednak musiał pozbierać własne myśli i się odprężyć.

Nocne powietrze pomogło mu niemal natychmiast. Gdy dotarł do bram, ludzie Etona pozdrowili go bez słowa. Na szczęście starali się szanować prywatność Uldyzjana.

– Niedługo wrócę – zapowiedział.

– Jak sobie życzycie, mistrzu Uldyzjanie. Będziemy tutaj czekać na wasz powrót.

Farmer już dawno się poddał; przestał walczyć z tytułami, jakie mu nadawali. Wolał już być tytułowany mistrzem niż świętym mężem, a i tak niektórzy uparczywie zwracali się do niego właśnie w ten drugi sposób.

Wybrał najmniej oświetloną z ulic i skierował się w tamtą stronę. W ciemności czuł się najlepiej. Dawała mu poczucie anonimowości, której akurat teraz naprawdę potrzebował. Zaczął myśleć o swej farmie – zapewne popadła już w ruinę albo zagarnął ją któryś z sąsiadów, zorientowawszy się w wartości ziemi. Uldyzjan miał tylko nadzieję, że ktoś zajął się jego zwierzętami.

Echa głosów zdradziły mu, że z naprzeciwka nadchodzą jacyś ludzie. Uldyzjan, spragniony samotności, skręcił w jeszcze ciemniejszą boczną uliczkę i przyspieszył kroku. Nie chciał, żeby tamci go zobaczyli. Z tego,

co zdołał posłyszeć, było to dwóch członków straży, którzy akurat robili obchód, ale nawet ich towarzystwo to było zbyt wiele dla Uldyzjana.

Nie miał pojęcia, dokąd prowadzi ulica, którą szedł teraz, ale zdecydował się jej trzymać, skuszony panującą tu pustką. Nie słyszał już rozmowy strażników. Powoli zaczynał się odprężyć, a tego ostatnimi czasy nie dawał mu nawet sen. Pierwszy raz od katastrofy w Seram Uldyzjan czuł się jak zwyczajny człowiek.

I wtedy usłyszał inny głos. Szept właściwie. Spojrzał w lewo, skąd, jak mu się wydawało, dochodził ów dźwięk.

Ale z prawej dosłyszał kolejny szept. Tak jak poprzedni brzmiał na tyle cicho, by nie można go było zrozumieć. Ale było coś w tonie, co podniosło włosy na jego karku.

– Kto to?! – zawołał Uldyzjan w ciemność. – Kto tam jest?!

Z lewej rozległ się ponownie pierwszy głos. Uldyzjan nie próbował wołać nadaremno, tylko skoczył w stronę dźwięku... Lecz złapał jedynie cień.

Trzeci głos odezwał się gdzieś z przodu. Z głuchym pomrukiem Uldyzjan rzucił się tam... i znów niczego nie złapał.

Ostrożnie cofnął się kilka kroków i spojrział przez ramię. Powinien dostrzec ulicę, z której tu skręcił, ale zobaczył tylko ciemność.

Nagle wszystkie głosy podjęły obłąkane mamrotanie. Gorzej nawet, dołączyły do nich inne i wszystkie mówiły tym samym tonem, który szarpał nerwy Uldyzjana. Farmer obrócił się wokół własnej osi, szukając właścicieli głosów albo choćby wyjścia z ulicy, ale na próżno.

– Pokaż się, u licha! – krzyknął, wyprowadzony z równowagi. – Pokaż się!

Próbował przyzwać moc... ale nie zdołał. Spróbował więc wyobrazić sobie jasne światło, im bardziej jaskrawe tym lepiej, albo choćby wiatr,

który wyniesie go stąd. Bezskutecznie.

Nic...

Jeden głos odezwał się nagle tuż przy prawym uchu Uldyzjana. Farmer zaczął się odwracać... gdy z przeciwnej strony wystrzeliło potężne ramię i owinęło się wokół jego gardła.

Uldyzjan walczył o oddech i o to, by uwolnić się z morderczego uścisku. Nie był w stanie nawet powiedzieć, czy to ludzka kończyzna, czy też jakaś macka, jedynie tyle, że uścisk był iście żelazny.

Brak powietrza zaczął odbierać mu przytomność. Myśli Uldyzjana pomknęły ku Lylii. Mógł się domyślić, że za ten atak odpowiedzialny jest Malik, więc ona stanie się następnym celem. Ale nawet obawa o ukochaną nie dała mu sił, by wyrwać się z uścisku...

Nagle znikąd dobiegł go syk, a potem warkot jakby z samej głębi gardła paskudnej bestii. Instynkt sprawił, że każdy mięsień w ciele Uldyzjana stężał.

Powietrze zafalowało. Chrapliwy krzyk rozdarł nocną ciszę, a zaraz po nim Uldyzjan usłyszał dźwięk, jakby coś roztrzaskało się z impetem.

Zniknął ucisk na gardle, ucichły wstrętne szepty. Nagle jedynymi dźwiękami w uliczce było jego spazmatyczne wciąganie powietrza i czyjeś niegłośnie, szybkie kroki.

– Uldyzjanie! – rozległ się tym razem głos bardzo znajomy. – Uldyzjanie, myślałem, widziałem... do diabła! Nie wiem, com widział...

Ale mimo tej niedogodności Achilios zdołał oddać naprawdę mistrzowski strzał. W ciemności równie łatwo mógł trafić Uldyzjana i kto wie, czy tak by się nie stało, gdyby łuk znalazł się w rękach kogoś innego. Uldyzjan znał jednak doskonale umiejętności swego przyjaciela i wiedział, że nie stanie mu się krzywda, przynajmniej nie od strzały.

– Dziękuję... dziękuję – wysapał.



Achilios pomógł mu się wyprostować.

– Nie masz za co dziękować. Przepraszam, że nie udało mi się zabić tego, co cię pochwyliło... Choć niech mnie licho porwie, jeśli wiem dlaczego! Miałem czysty strzał, prosto w kark, jak się należy! Gdyby to był zabójca, już powinien leżeć martwy. – Upewniwszy się, że Uldyzjan może stać samodzielnie, myśliwy przykląkł. – Coś tu jest, ale raczej nie krew. Nie świeża w każdym razie. Nie może pochodzić od twojego napastnika...

Uldyzjan był świadom, z jakimi przeciwnikami przyszło mu się mierzyć, więc nie podzielał pewności Achiliosa, ale postanowił na razie zaufać jego wiedzy i umiejętnościom.

Myśliwy wstał i odbiegł w kierunku, z którego rozległ się huk. A gdy wrócił zaledwie chwilę później, nawet w ciemności można było dostrzec, jak bardzo jest niezadowolony.

– Coś ciężkiego uderzyło w budynek od tej strony – skinął ręką w kierunku, z którego przyszedł. – Cała ściana popękała... Ale cokolwiek to było, zaraz się podniosło i uciekło.

Ta wiadomość nie była dla Uldyzjana niespodzianką. Tym razem Malik z pewnością przyprowadził lepsze sługi niż poprzednio, tak jak i lepiej zaplanował swoją małą pułapkę, odczekawszy, aż Uldyzjan zostanie sam. Arcykapłan przejrzał farmera. Wiedział, że jego ofiara prędzej czy później poszuka samotności.

W tym momencie dotarło do niego, że nie ma pojęcia, co właściwie robi tu łucznik. Uldyzjan dawno już przestał wierzyć w zbiegi okoliczności.

Nie zdążył jednak zadać pytania.

– Lepiej żebyśmy poszli tam, gdzie jest trochę więcej ludzi. Może i chciałbyś pobyć sam, ale chyba nie aż tak bardzo?

Uldyzjan tylko skinął głową i w milczeniu ruszył za przyjacielem. Achilios widział w ciemności znacznie lepiej niż farmer i szybko

doprowadził ich w okolice posiadłości mistrza Etona. Dopiero wtedy obaj się zatrzymali, żeby odetchnąć.

– O wiele lepiej – uznał myśliwy.

– Raz jeszcze ci dziękuję – powiedział Uldyzjan. – Teraz powiedz mi, jak to się stało, że znalazłeś się dokładnie w tym miejscu i czasie, gdy potrzebowałem twojej pomocy?

Achilios przechylił głowę.

– A dlaczegożeś potrzebował pomocy? Co tam się stało?

Jednak Uldyzjan nie chciał pozwolić przyjacielowi na zamianę ról. Jeszcze nie teraz.

– Odpowiedz mi, Achiliosie.

– Przyszło mi do głowy, że na pewno znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

– Co masz na myśli?

– Miałem przecucie, że coś się stanie, więc poszedłem tam, gdzie mnie poprowadziło. I tyle.

– I udało ci się trafić do miejsca, gdzie akurat byłem?

Łucznik wzruszył ramionami.

– To nic specjalnego. To tylko instynkt, jakby powiedział ojciec. – Ojciec Achiliosa był myśliwym, nie mającym sobie równych, póki nie dorósł jego syn. – To chyba sprawia, że jestem dobrym myśliwym.

Jednak Uldyzjan był przekonany, że to coś więcej niż tylko instynkt. Nie powiedział tego głośno, ale był niemal pewien, że Achilios przekuł dar w coś, co naturalnie współgrało z jego umiejętnościami. Możliwe, że rodzina Achiliosa robiła tak od dwóch pokoleń.

To by oznaczało, że w mocy, która się w nich przebudziła, było coś więcej, niż Uldyzjan mógłby przypuszczać. Uświadomił sobie, że wcale nie

jest pierwszym, który otrzymał dar, a po prostu nikt wcześniej nie zrozumiał, jak bardzo to było zdumiewające.

– Co to było? – spytał Achilios. – Widziałeś to?

Uldyzjan zdecydował, że na razie nie będzie drążył tematu umiejętności przyjaciela.

– Zapewne jakieś zwierzątko arcykapłana – odparł i zastanowił się. – Było chyba przebrane za człowieka, poczułem zbroję.

– No cóż, moja strzała z pewnością nie trafiła w zbroję. Słyszałem, jak weszła w ciało. Powinna wyrządzić więcej szkody...

Uldyzjan zupełnie o to nie dbał, przyszło mu do głowy coś o wiele ważniejszego. Ten atak nastąpił w samym sercu Party. Farmer nie mógł tego tak zostawić.

– Achiliosie, muszę cię prosić o przysługę. Obiecuj, że ją mi wyświadczysz.

– Nie, póki nie usłyszę, w czym rzecz, przyjacielu! Na tyle mnie chyba znasz.

– Zatem słuchaj pilnie, a myśl jeszcze pilniej. Jesteś jedynym, któremu mogę w tym względzie zaufać. Doszedłem do wniosku, że pozostali są tu tylko narażeni na niebezpieczeństwo. Musisz zaprowadzić ich gdzieś daleko ode mnie. Zrobisz to?

– Kiedy mówisz: „pozostali”, to myślisz o Lylia, prawda?

– Myślę o wszystkich... Ale tak, oczywiście, liczę na to, że jej pomożesz.

Achilios rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nikogo nie ma w pobliżu. Ulice były puste.

– Rozumiem, dlaczego chcesz, żeby Lylia, Serri i Mendeln znaleźli się daleko stąd... i wiesz przecież, że sam chcę najbardziej na świecie, żeby Serri była bezpieczna.

– Achiliosie...

Myśliwy uciszył przyjaciela gestem.

– Nigdy nie będę dla niej tobą, ale już się z tym pogodziłem. Ale choć się zgadzamy, że powinni stąd wyjechać, i jak rozumiem, ja też, żebym był bezpieczny – roześmiał się – to i tak wiem, że żadne z nich nie zgodzi się odejść. Nawet twój brat. Będą ze mną walczyć ze wszystkich sił.

– Tu nie jest bezpiecznie dla żadnego z was! Właśnie mieliśmy okazję się przekonać!

– Tak, ale jak im to powiemy, tylko bardziej się uprą... i nawet nie mogę powiedzieć, że ich winię. Nie pozbędziesz się ani ich, ani mnie, przyjacielu! Nie masz wyboru...

Mam wybór, pomyślał Uldyzjan. Najgorszy ze wszystkich.

Wiedział doskonale, że nie ma sensu się dalej kłócić, ale i tak otworzył usta... i zamknął, słysząc stukot kopyt. Obaj mężczyźni natychmiast się spięli, Achilios mocniej ujął łuk.

Jednakże u wylotu ulicy pojawił się nie kto inny, a mistrz Eton. Kupiec zobaczył dwóch swoich gości i podjechał do nich.

– Uldyzjanie. Łuczniku. Z jakiegoż to powodu stoicie tu tacy zaniepokojeni?

Achilios uśmiechnął się szeroko.

– To tylko nerwy, mistrzu Etonie! Tylko nerwy!

Uldyzjan skinął potakująco głową.

– Zapragnąłem zaczerpnąć świeżego powietrza.

– A to mnie nie dziwi. – Kupiec zsunął się z siodła i klepnął Uldyzjana w ramię. – Wieleś dla nas uczynił, Uldyzjanie! Wiele... – zawahał się, po czym dodał: – Jeśli jest coś, co mogę zrobić dla ciebie poza tym, co już uczyniłem, proszę, nie wahaj się poprosić. – Uldyzjan poczuł się zażenowany, na szczęście Eton przeniósł uwagę na Achiliosa: – Czym

wspomniał już, jak wspaniały masz łuk, panie łuczniku? Od razu wpadł mi w oko.

– Ojcowy, mistrzu Etonie! Ojciec utrzymywał łuk w takim stanie od nowości i zadbałem, by taki pozostał! Rezultat po połowie zależy od łuku, jakim się włada...

– Aż w takiej mierze? Mogę go potrzywać? – Kupiec wyciągnął rękę.

– Ależ proszę. – Achilios pozwolił ich gospodarzowi wziąć łuk. Eton ze znanstwem oglądał broń. Uldyzjan, który sam kilkakrotnie miał okazję trzymać ten łuk, a nawet zeń strzelał, teraz zobaczył broń w innym świetle. Niewielu potrafiło wykonać taką broń lepiej niż Tremas, ojciec Achiliosa.

Ale może ten jego talent do nadawania drewnu pożądanego kształtu był kolejnym sposobem korzystania z mocy?

Obejrząwszy łuk nader dokładnie, mistrz Eton oddał broń właścicielowi.

– Wspaniały. Chciałbym raz jeszcze zobaczyć go w akcji.

Ta uwaga sprawiła, że przyjaciele wymienili się spojrzeniami. Starosta nie miał pojęcia, o co tak naprawdę prosił. Uldyzjan był pewien, że atak na ulicy był zaledwie zapowiedzią czegoś o wiele bardziej podstępnego... czegoś, co mogło pochłonąć całe miasto.

Owieczki opuszczały Świątynię nieświadome, że zbliżyły się o krok do utraty swych dusz... a zarazem do Luciona.

Nie... nie do niego, poprawił się w myślach Pierwszy, ukrywając nagłą obawę za miną pełną nabożności. Do jego ojca i pozostałych Najwyższych Złych, dla ich wiecznej chwały.

Syn Mefista nie miał jednak nic przeciwko, by skąpać się w blasku tejże chwały.

Ale żeby było mu to dane, żeby w końcu uzyskać kontrolę nad całym Sanktuarium, wszystko musiało potoczyć się tak, jak Lucion to zaplanował... A ostatnie wydarzenia sprawiły, że jego plan przestał być

absolutnie pewny. Należało jak najszybciej przywrócić właściwy bieg spraw. Jak na demona Lucion był istotą bardzo uporządkowaną. I lubił, by wszystkie sprawy wokół niego też takie były.

Dwaj pozostali arcykapłani, Herodiusz i Baltazar, podeszli, gnąc się w pełnych szacunku ukłonach. Zazwyczaj Pierwszy wygłaszał kazanie dla wszystkich trzech obrządków, a następnie wraz ze swoimi najbardziej oddanymi wiernymi spotykał się w swoich prywatnych komnatach, żeby omówić dalszą drogę Świątyni Trójcy ku dominacji.

Nie tym razem jednak. Teraz musiał skupić się na opanowaniu bieżącej sytuacji. Jego słudzy niewątpliwie byli pożyteczni, ale jeśli chodziło o planowanie, Pierwszy polegał wyłącznie na sobie samym.

– Porozmawiamy jutro wieczorem, gdy wzejdzie księżyc. A teraz wracajcie do swych obowiązków...

Do tych obowiązków zaliczało się przede wszystkim nauczanie wiernych, którzy zaczynali się już zwracać ku prawdziwym doktrynom Świątyni... Nienawiści, Zniszczeniu i Grozie. Metody, jakimi Pierwszy i jego słudzy powoli kierowali głupców do tego właśnie stanu, były rozmaite, zarówno zwyczajne, jak i magiczne. Niektórzy wierni, ci o słabych umysłach, byli bardzo podatni – tych ze szczególną uwagą wyłuskiwano z tłumu i zapraszano na specjalne kazania. W trakcie prywatnych kazań Pierwszego odbywało się delikatne kształtowanie umysłów śmiertelników, które sięgało do ich najmroczniejszych zakątków.



Ale Lucion mógł w tym względzie oprzeć się na arcykapłanach. Odprawił ich więc i sam pospieszył do swego azylu. Bolało go, że musi pracować w tajemnicy, ale niektóre poświęcenia były koniecznością...

szczególnie, jeśli ona była w to zamieszana. Działania Malika odwrócić jej uwagę od prawdziwych zamiarów Luciona.

Czterej strażnicy wyprężyli się słuźbiście, gdy Pierwszy ich minął. Nosili wprawdzie szaty i zbroje Straźników Pokoju, ale w rzeczywistości byli morlu. Kaźdy na tyle głupi, by choć spróbować przekroczyć ten próg bez pozwolenia, szybko pozna, na czym polega różnica... a ledwie moment później zostanie pocięty na kawałeczki.

Komnatę wypełniły cienie. Praca, jaką miał wykonać Lucion, powinna odbywać się w ciemności. Pierwszy spojrział ku dwóm morlu, którzy pilnowali skulonego ze strachu młodego człowieka w szarych szatach nowicjusza. Na początku swej drogi w służbie Świątyni klerycy nie nosili oznak żadnego z obrządków, dopiero później Pierwszy decydował, któremu będą słuźyć najlepiej.

– Ikarionie – powiedział śpiewnie Lucion, przybierając najłagodniejszy i najbardziej dobrotliwy wyraz twarzy. Na próźno. Nowicjusz doskonale wiedział, kim jest jego mistrz.

– W...wielki jest m...mój pan – jękając się, Ikarion przykląknął na jedno kolano. – Litościwy jest mój p...pan...

Te słowa rozśmieszyły Pierwszego, który jednak znał samego siebie lepiej niż ten śmiertelnik. Ujął klęczącego nowicjusza delikatnie pod brodę.

– Drogi Ikarionie, wiesz, żeby przywdziać strój kapłana konieczna jest ofiara, czyź nie?

– I zgodziłem się na nią chętnie!

– Czyźby? Twoje siostry miały zostać nam przywiezione, by stać się naszymi lojalnymi słuźgami... – Lucion miał wyjątkowy apetyt na ludzkie kobiety, w szczególności te nietknięte. Na znak oddania akolici chętnie oddawali mu swoje krewne i ukochane. – Ale najwyraźniej udały się w jakąś długą podróż...

– Panie, ja...

Dłoń, która trzymała podbródek, zamknęła mu usta bolesnym gestem.

– Nie odjechały jednak daleko – mówił dalej Lucion tym samym serdecznym tonem – dzięki oddaniu brata Tomala, twego dobrego przyjaciela. Nie dalej jak zeszłej nocy miałem przyjemność poznać ich talenty...

– Ach! – Ikarion popełnił błąd, chciał rzucić się na swego mistrza.

Jeden z morlu uniósł topór i jednym płynnym ruchem strącił młodzikowi głowę z ramion. Zakołysała się w dłoni Luciona, ten zaś odwrócił ją szybko, by nie uronić jej zawartości. Zazwyczaj zabijał sam, ale nie mógł karać wojownika za entuzjizm.

– Zostawcie truchło – rozkazał. – Możecie odejść.

Morlu skłonili się i wyszli. Lucion zaś spojrział w górę.

– Astroga! Wiem, że patrzysz! Mam tu dla ciebie kasek.

– A za jaką cenę? – odpowiedział syczący głos. – Za jaką cenę, o Lucionie?

– Zapłacisz ją bez trudu, psie Diabło... Porozmawiamy o tym później. Weź zwłoki...

Coś na kształt białej liny strzeliło z góry do miejsca, gdzie leżał trup. Podobne było do sieci pajęczej, tylko o wiele, wiele grubsze, jakby w załomach sufitu krył się pająk dorównujący rozmiarami Lucionowi.

Bezgłowe ciało wystrzeliło w górę, podniesione siecią ku cieniom powały. Chwilę później rozległ się odrażający odgłos siorbania.

Został opłacony, stwierdził Lucion w myślach. Zostaje jeszcze jeden.

Wolną dłonią Pierwszy nakręcił trójkątny symbol w powietrzu, przypominający ten, jakim posługiwała się Trójca. Wzór zapłonął szkarłatem, popłynął ku posadzce i na niej pozostał.



Lucion wrzucił głowę brata Ikariona do symbolu. Wylądowała idealnie pośrodku, wytrzeszczone oczy patrzyły w górę, usta pozostały otwarte w niemym krzyku. Z karku wylała się krew, nasycając symbol mocą.

– Gulagu... mam coś dla ciebie. Chodź i weź to.

Podłoga pod głową zmieniła się, zafalowała, jakby nagle stała się płynna, ale magiczny wzór pozostał nietknięty.

I nagle wśród wzburzonych kamieni, tuż obok szkarłatnego wzoru, powstała wyrwa i mimo że okrągła, widać w niej było ostre krawędzie zębów. Niby–paszcza objęła symbol i spróbowała go pochłonąć.

Symbol strzelił czarnymi iskrami. Wreszcie zębata dziura znieruchomiała.

– Gulag głupcem jest – rozległ się potworny głos Astrogi.– Jak i pan jego...

– Dostałeś swój podarek, pająku... – skarcił go Lucion. – Zamilknij...

Demon nie powiedział już słowa, podjął przerwane siorbanie.

Raz jeszcze makabryczne usta próbowały porwać głowę i raz jeszcze symbol im na to nie pozwolił.

– Powstań, Gulagu...

Podłoga się wybrzuszyła. Przyjęła kształt z grubsza ludzki, ale po części świński, wciąż noszący wzór podłogi, tylko tam, gdzie znajdowała się głowa, wysunęły się trzy czułki z oczami.

– Luuucioonnn... – zabrzmiał głos, przywodzący na myśl ostatnie tchnienie umierającego. – Chcęęę...

– I otrzymasz, słuگو zniszczenia, słuگو Baala, ale za chwilę. Ty i Astroga musicie pomóc mi z zaklęciem. Uczynisz to?

Siorbanie nad nimi ucichło ponownie.

– Kosztowny posiłek, ten tutaj myśli teraz...

Rysy twarzy Luciona wyostrzyły się nagle, oczy zdały się zapadać w głąb czaszki i nagle był dwakroć większy niż przed chwilą.

– Przyjąłeś go tak czy inaczej, pająku. Umowa zawarta bez namysłu i tak pozostaje umową...

– Niech tak będzie... – odparł niechętnie demon.

Lucion skupił się na drugim z demonów.

– A ty, Gulagu, masz jakieś opory przed przyjęciem, co oferuję, zanim usłyszysz cenę?

– Zniszczeeenieeee?

Lucion uśmiechnął się na to proste pytanie.

– Tak, może i będzie zniszczenie.

– Głooowaaa.

Wyraźniej sformułowanej zgody Lucion nie miał szans doczekać się od sługi Baala. Ruchem dłoni usunął symbol.

Paszcza Gulaga otworzyła się tak szeroko, że głowa brata Ikariona wpadła w nią w całości.

Demon zatrasnął szczęki i ze wzoru posadzki ułożył coś na kształt uśmiechu.

Lucion skinął głową. Zetknął dłonie czubkami palców i zamknął oczy w namyśle.

– Świetnie. Teraz... Oto, czego od was oczekuję...

# PIĘTNAŚCIE



Uldyzjan stracił złudzenie spokoju, jakim owiane było jego życie w Parcie. Teraz towarzyszył mu nieustanny niepokój. Malik był niedaleko i bez wątpienia przygotował jakiś podły plan. Uldyzjan jak zawsze martwił się nie o siebie, a o Lylię i pozostałych. Wiedział jednak, że Achilles ma rację – nie odejdą z własnej woli, a farmer nie potrafiłby przekonać ich do zmiany decyzji.

Mistrz Eton zauważył coraz bardziej ponury nastrój swego gościa i po obiedzie odciągnął Uldyzjana na bok.

– Nie jesteś sobą – stwierdził stanowczo. – Czy coś ci dolega?

– Nie, nic.

Ciemne oczy kupca zajrzały uważnie w głąb oczu Uldyzjana.

– A mnie się mocno wydaje, że coś jest, tylko nie chcesz o tym rozmawiać – Eton zmarszczył brwi. – Jakiś czas temu zaoferowałem ci wszelaką pomoc, jakiej możesz jeszcze potrzebować. Myślę, że potrzebujesz pomocy. Może gdybyśmy się spotkali, kiedy wszyscy już zasną, mógłbym choć służyć ci radą.

Od śmierci rodziców Uldyzjan polegał na sobie, czasem jedynie zwracając się o radę do Cyrusa i innych przyjaciół ojca. Ale kupiec niejedno w życiu widział i niejednego doświadczył i miał na wiele spraw znacznie szersze spojrzenie niż farmer.

Uldyzjan poczuł wdzięczność dla swego gospodarza.

– Dziękuję, chętnie skorzystam.

– Do zobaczenia później w takim razie – powiedział półgłosem Eton – powiedzmy, godzinę przed północą?

Uldyzjan skinął głową i powrócił do Lylii i pozostałych. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to ukryć swe zniecierpliwienie. Minuty wydały mu się godzinami, godziny – wiecznością. Ponieważ Lylii przyzwyczała się już do jego nocnych spacerów, nie zdziwiła się, gdy ją opuścił. Uldyzjan zaś zamknął drzwi i niemal przebiegł przez dom, do gabinetu gospodarza, tak śpieszno mu było zwierzyć się ze swych obaw.

Po drodze niemal zderzył się z jakąś drobną figurką. Cedryk uniósł swą dziwnie pobladłą twarz.

– Ced! Dlaczego jeszcze nie śpisz?

Chłopiec sprawiał wrażenie, że nade wszystko chce się oddalić od spotkanego mężczyzny.

– Ojciec... mój ojciec chciał się ze mną zobaczyć. Teraz idę do łóżka.

Uldyzjan i tak czuł się już poważnie spóźniony na umówione spotkanie, więc tylko klepnął chłopaka w ramię.

– Oczywiście. Biegnij zatem. – I nie czekając na odpowiedź, ruszył korytarzem. Niewiele tu było światła, na noc pozostawiono zaledwie kilka lamp olejnych. Uldyzjan nie spotkał też strażników. Najwyraźniej kupiec czuł się bezpieczny we własnym domu. To niewątpliwie się zmieni, gdy tylko usłyszysz, co ma do powiedzenia jego gość.

Drzwi do gabinetu pozostawały zamknięte, a w szczelinie pod nimi nie widać było błysku światła. Uldyzjan obrzucił spojrzeniem pusty korytarz i zapukał.

Zaraz dobiegły go zapraszające słowa. Z uczuciem ulgi farmer przekroczył próg i szybko zamknął za sobą drzwi.

Pokój oświetlała pojedyncza świeca stojącą na niewielkim mahoniowym stoliku pod ścianą. Przy niej ustawiono karafkę z winem i dwa puchary. Gdy tylko oczy Uldyzjana przyzwyczały się do tak nikłego oświetlenia, dostrzegł mistrza Etona usadowionego w fotelu, sięgającego po puchar wypełniony trunkiem.

– Dziś cisza nocy niesie spokój i odprężenie... – Kupiec upił łyk wina. – Sprzyja myśleniu.

Uldyzjan usiadł w drugim fotelu wskazanym mu przez gospodarza.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać, mistrzu.

– Jakże mogłoby być inaczej?! Po tym wszystkim, co się wydarzyło? Uldyzjanie, nie mógłbym ci odmówić chwili mojego wolnego czasu! – wskazał na drugi puchar. – Proszę... naprawdę polecam.

Uldyzjan chciał zachować jasność myśli, ale nagle poczuł się spragniony, pozwolił więc, by mistrz Eton nalał mu wina. Płyn spłynął mu do gardła strugą przepysznego płomienia.

– Mocny trunek, ale taki, który dotyka duszy, śmiałym powieźcie. – Eton odstawił swój puchar. – Jesteś bardzo zatroskany, mój synu.

Uldyzjan pochylił się lekko do przodu i wyjawiał wszystkie swe obawy – strach o przyjaciół i o samo miasto. Kupiec słuchał w milczeniu, od czasu do czasu kiwając głową ze zrozumieniem.

Kiedy Uldyzjan opowiedział już wszystko, Eton potarł podbródek w zamyśleniu. W jego oczach odbijało się światło świecy, przyciągając uwagę farmera.

– Obawa o moich ludzi i twoich towarzyszy pokazuje, kim jesteś. W twojej sytuacji też miałbym nadzieję się takową wykazać...

– Ale co mogę uczynić, żeby nikt z was nie doznał krzywdy? Nie mam pojęcia, jak mógłbym wszystkich ochronić, nie przed potęgą Trójcy. Kiedyś myślałem, że dałbym radę, ale po tamtej nocy...

Kupiec wstał i począł się przechadzać przed swym gościem, wyraźnie nad czymś się zastanawiając.

– Zaiste... Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że siła twojego daru się waha, czego bym się nie spodziewał. To była decydująca chwila. – Eton zatrzymał się i popatrzył na Uldyzjana. – Możesz mieć rację, moc, którą władasz, może okazać się niewystarczająca przeciwko Świątyni. Trójca ma do swej dyspozycji legiony. Ze źródeł godnych zaufania słyszałem, że służą tam wojownicy, przy których Strażnicy Pokoju to bezbronne kocięta. Niektórzy uważają, że ci mroczni, zakuci w zbroje wojownicy nie mogą być pokonani przez śmiertelników...

Te słowa uderzyły Uldyzjana.

– Tak! Ten napastnik z ulicy! Jak mówiłem! Achilios powinien zabić go strzałą, ale tylko go spłoszył...

Kupiec wyszedł z kręgu światła rzucanego przez świecę i zniknął w cieniu zalegającym w kącie pomieszczenia.

– A więc historie te nie są bezpodstawne. Niemal sprawiają, że chcę zasugerować... nie, ty byś tego nie uczynił.

– Czego? – Uldyzjan gotów był spróbować wszystkiego, co pozwoliłoby mu ochronić ludzi, których kochał. – Powiedz mi!

Eton odwrócił się ku niemu. Gdyby nie płomyk świecy, który pobłyskiwał w oczach starosty, Uldyzjan nie zdołałaby niczego odczytać z tej twarzy, ale w spojrzeniu dostrzegł determinację, która umocniła go w postanowieniu.

– Jest jeden sposób, by obronić zarówno ich... jak i moją ukochaną Partę, ale czułbym się winny, sugerując to rozwiązanie.

– Proszę! Nie będę miał ci niczego za złe, mistrzu Etonie! Nie okazywałaś nam niczego poza przyjaźnią i gościnnością!

– Dobrze więc. Może być, mój miły Uldyzjanie, że zdołasz to osiągnąć, opuszczając ich, nie uprzedziwszy wcześniej. W środku nocy wyjedź z Partę tak szybko, jakbyś psy Świątyni miał już na karku. A potem spotkaj się z tym Malikiem...

Uldyzjan poderwał się na równe nogi, upuszczając puchar i niemalże wywracając fotel.

– Co?!

– Wysłuchaj mnie! Malik przyszedł po ciebie! Chce dostać tylko ciebie! Bez względu na to, jak skończy się wasze spotkanie, porzucając Partę i swych towarzyszy, usuwasz ich z tego równania całkowicie! Słudzy Trójcy nie będą sobie nimi głowy zawracać!

Najgorsze w tym pomyśle było to, że Uldyzjan sam go rozważał od jakiegoś czasu. Jednak gdy usłyszał te słowa wypowiedziane tak bez ogródek, zyskały one dlań jeszcze większą wagę i zaciążyły mu na sercu.

Ale to zapewni im bezpieczeństwo, szczególnie Lylia...

Powinien jednak wziąć pod uwagę przynajmniej jedno.

– Ale słudzy arcykapłana są już w Parcie, być może za późno jest na takie rozwiązanie.

– Obserwują ciebie. Niewątpliwie będą wiedzieć, że wyjechałeś z miasta, nawet jeśli zrobisz to teraz. Te istoty natychmiast podążą za swą zwierzyną... Czy to nie wydaje ci się oczywiste?

Owszem, Uldyzjanowi wydało się to straszliwie oczywiste, a jednak w sugestii mistrza Etona było coś, co budziło odruchowy sprzeciw w duszy farmera.

Ale to jedyny sposób!, powtarzał sobie w duchu.

Kupiec milczał, pozwalając Uldyzjanowi podjąć decyzję samodzielnie. Zostawienie przyjaciół i ukochanej zdawało się jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Wtedy do starcia dojedzie między farmerem a Malikiem.

– Pojadą za mną, tak sądzisz? Te stwory wysłane przez arcykapłana?

– Jestem tego pewien. Pomysł, że mogą postąpić odwrotnie, nie ma zupełnie sensu.

To wreszcie przekonało Uldyzjana.

– Muszę to w takim razie zrobić.

Mistrz Eton skinął głową, dając do zrozumienia, że ta decyzja nie była dla jego gościa łatwa.

– Pomogę ci w tym, jak tylko zdołam najlepiej.

Eton wyciągnął rękę. Uldyzjan odruchowo postąpił tak samo, ale zanim przypieczętowali swoją decyzję uściskiem dłoni, jakieś niepokój, uczucie palącej konieczności wezbrało w farmerze, cofnął się i spojrzał kupcowi głęboko w oczy. Coś w nich było nie tak...

Nagle poczuł, że musi spojrzeć w górę.

Za późno. Ciężka, zakuta w zbroję postać spadła z cienia pod sufitem. Powaliła Uldyzjana na podłogę. Rozległ się trzask pękających desek.

– Zawsze znajdzie się coś, co zburzy nawet najlepszy plan! – rozległ się głos, który nie należał do Etona. – Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie zasługa twych nieprzewidywalnych zdolności...

Uldyzjan, choć próbował ze wszystkich sił wyrwać się z uścisku przeciwnika, nie miał żadnych problemów, by rozpoznać ten głos. Malik. Malik, przebrany za mistrza Etona...

– A miało być tak prosto... Wywabić cię poza mury miasta, gdzie będzie można zająć się tobą bez większych komplikacji. Ale, tak jak poprzednio, nic nie jest proste, gdy chodzi o ciebie, kmieciu, czyż nie?

Z twarzą niemal wgniecioną w podłogę Uldyzjan walczył o oddech.

– Gdzie... gdzie Eton?

– Ależ tu – usłyszał głos, który należał do Etona i do Malika zarazem. – Niech zobaczy – rozkazał arcykapłan swojemu słudze.



Ciężka ręka złapała Uldyzjana za włosy i szarpnięciem uniosła mu głowę. Przed nim nadal stał Eton.

– Dokładnie tu, we własnej osobie – powiedział mistrz Eton głosem Malika. – A przynajmniej odziany w jego osobę.

Dotknął policzka prawą dłonią, a tam, gdzie palce zetknęły się z twarzą, skóra spłynęła, niczym roztopiona. Zawisała na podbródku wstrętnymi kawałkami.

Uldyzjanowi żołądek podszedł do gardła. Szarpał się w uścisku napastnika ze wszystkich sił, ale tamten trzymał go mocno.

Zza makabrycznej maski widać było teraz rysy Malika. Arcykapłan odjął rękę od twarzy, co zatrzymało odrażające spływanie skóry i zademonstrował Uldyzjanowi wyciągniętą dłoń.

Był to widok równie straszny co zdeformowana twarz, albowiem ramię Malika nie było ludzkie, raczej pasowało do demonicznego serca kleryka. Arcykapłan rozprostował tę część ręki, która mogła uchodzić za palce, a Uldyzjan zdumiał się mimowolnie, że nie zauważył wcześniej tej wynaturzonej kończyny.

– Wystarczyło wykorzystać iluzję i odwrócić twoją uwagę. – Malik bezbłędnie odczytał wyraz twarzy farmera, a może nawet jego myśli. – Otrzymałem ją od mego pana, by pomogła mi w polowaniu. Dwukrotnie wypróbowałem, zanim użyłem na kupcu, którego morlu schwytali, gdy wracał do domu. Nie mogłem przepuścić takiej okazji.

Uldyzjan splunął na arcykapłana, nie trafił jednak. Wojownik, morlu, jak nazwał go arcykapłan, ukarał farmera, wgniatając mu twarz w podłogę.

– Dość – powiedział Malik, choć trudno było stwierdzić, czy do morlu, czy do swego więźnia. – Podnieście tego głupca.

Kolejna para mocarnych rąk złapała Uldyzjana za ramię. Dwóch zbrojonych chwyciło jeńca w stalowe kleszcze uścisku.

– Nie będzie tak, jak planowałem, ale nic to...

Drzwi się otworzyły. Kątem oka Uldyzjan, ku swemu przerażeniu, dostrzegł Cedryka.

– Uciekaj! – krzyknął do chłopca. – Biegnij!

Ale Cedryk go nie posłuchał, nie wyglądał też na przestraszonego.

– Kobiety nie ma w pokoju – zwrócił się do Malika.

Uldyzjanowi zamarło serce. Głos, jakim mówił syn Etona, nie należał już do chłopca.

– Nie... – zachłysnął się farmer. – Nie!

– Musi tam być! – upierał się kapłan. – Wyczuwam ją nawet teraz. Ramię też to potwierdza, ona je przyciąga, tak powiedział pan. Szukałeś w niewłaściwym pokoju.

Cedryk pokręcił głową, a potem lekceważącym gestem wskazał Uldyzjana.

– Tego zapach jest wszędzie w pokoju... i na łóżku. Jej nic. Ani zapachu, ani śladu.

Malik zastanowił się chwilę.

– Rozumiem. To przebiegła zwierzyna. Na pewno bardziej niż ten oto dureń...

Uldyzjan nie rozumiał dokładnie, o czym tych dwóch rozmawia, ale jedno nie ulegało wątpliwości... Łzy popłynęły mu po policzkach na myśl o tym, co stało się z chłopcem, Malik wysłał tę potworność w pościg za Lylią. Na szczęście jak na razie bez rezultatów.

– Znajdź ją jak najszybciej, Damosie – polecił arcykapłan. – Zajrzyj wszędzie, nawet pod każdy kamień, jeśli będzie trzeba. Czar, który rzuciłem, stłumi tylko dźwięki w obrębie domu. Pamiętaj o tym nieustannie.

– Znajdę ją, panie, i szczerze chwilę później. – Fałszywy Cedryk podkreślił swe słowa iście zwierzęcym warknięciem i wyszedł.

Malik uśmiechnął się do swego więźnia.

– Będziemy mieli trochę czasu dla siebie, jak się okazuje. A później wyruszysz na swą spóźnioną już audiencję u Pierwszego.

– Nie pozwolą ci wyjechać z Party, kapłanie... – wycharczał Uldyzjan. – Ludzie kochali mistrza Etona. Zatrzymają cię. Rozerwą na strzępy za to, coś uczynił!

– Ale dlaczego mieliby mnie powstrzymać? – zapytał kleryk, podnosząc swą wynaturzoną łapę do twarzy. I Uldyzjan, jednocześnie pełen wstrętu i zdumienia, zobaczył, jak ciało pokrywa odsłonięte rysy Malika, by znów odmienić go w kupca. Zniknęła nawet różnica wzrostu. Czar, który pozwalał arcykapłanowi przywdziać ciało Etona, był zadziwiający, nawet jeśli budził przy tym głęboką odrazę. – Dlaczego mieliby mnie zatrzymać, mnie, swego ukochanego przywódcę?

W rzeczy samej, nie było powodu, Uldyzjan rozumiał to doskonale. Strażnik i każdy inny człowiek z łatwością da się omamić, szczególnie w nocy.

– Musi być z innymi – Malik najwyraźniej wrócił myślami do Lylii. – Może już uwodzi następnego, by zajął twoje miejsce...

Arcykapłan nie mógłby znaleźć straszniejszych słów. W Uldyzjanie krew się zgotowała, bezrozumna furia przyćmiła wzrok. Szarpnął się w tył, licząc, że zdoła uwolnić się z uścisku strażników.

Jednak zamiast się tylko cofnąć, Uldyzjan i dwaj wojownicy polecili przez pokój... Przez pokój i przez okno w deszczu szkła i odłamków.

Ale nawet wtedy morlu trzymali więźnia, jakby zależało od tego ich istnienie. Uldyzjan natomiast spróbował skulić się, świadom, że ziemia nie jest wcale daleko.

Upadli z łomotem, wzniecając chmurę pyłu. Uldyzjan usłyszał wyraźny trzask pękających kości. Jeden z morlu z rykiem wściekłości rozluźnił uścisk.

Farmer natychmiast spróbował pozbyć się drugiego wojownika, ale tamten trzymał mocno. Przetoczyli się i zatrzymali twarzą w twarz. Noc ukrywała całkiem dobrze rysy upiornego wojownika, ale z takiej odległości Uldyzjan nie mógł nie zauważyć czarnych jam w miejscu, gdzie powinny być oczy.

Cios pięścią w szczękę nie przyniósł żadnych rezultatów. Uldyzjan złapał więc przeciwnika za gardło. Morlu uczynił to samo. Ale palce wojownika nie zacisnęły się z całą mocą na szyi więźnia, z jakiegoś powodu morlu się powstrzymał.



Uldyzjan potrzebował kilku cennych sekund, by zrozumieć, co się dzieje. Nadal usiłowali wziąć go żywcem. W przeciwnym razie dlaczego staraliby się uprowadzić go po cichu?

Ta myśl obudziła w Uldyzjanie nadzieję, nie miał jednak pewności, że w ferworze walki morlu nie zapomni swych rozkazów i nie zabije. Istota, która wpatrywała się weń zza hełmu o niepokojącym kształcie baraniej czaszki, nie była już człowiekiem. W każdej chwili mogła zawładnąć nią bestialska żądza krwi.

Uldyzjan usiłował przyzwać tę przepotężną siłę, która pozwoliła mu odrzucić napastników, i wkładał w to całą siłę woli. Zgrzytając zębami, uniósł ramię do ciosu, tym razem jednak mierząc w opancerzoną pierś.

Morlu zablokował jego nadgarstek, spowalniając cios. Uldyzjan otworzył pięść. Uderzył dłonią o napierśnik tak lekko, że nie mógłby uczynić żadnej

większej szkody.

Upiorny wojownik zapadł się pod ziemię jakby uderzony gigantycznym, niewidzialnym młotem. Zapadł się tak głęboko, że nie pozostał po nim nawet ślad.

Gdy Uldyzjan chciał się pozbierać, znowu został unieruchomiony. Wokół rozległy się krzyki. Najpewniej straż mistrza Etona ruszyła bronić swego pana i jego posiadłości. Farmer chciał uprzedzić ich o straszliwym przebraniu Malika, ale nie zdołał. Drugi morlu doszedł do siebie po upadku i rzucił się do ataku.

Nie można było nie zauważyć, że choć morlu się podniósł, to nie do końca odzyskał wcześniejszą formę. Część karku wystawała mu w niemożliwy wręcz sposób. Jednak to zdawało się zupełnie nie przeszkadzać istocie bez reszty przepełnionej furją.

I znów upiorne palce zacisnęły się na gardle Uldyzjana. Morlu wzmocnił uścisk, choć nie na tyle, by zabić swą ofiarę, ale dość, by nie pozwolić jej zaczerpnąć tchu. Wiedział, że wystarczy poczekać, aż człowiek straci przytomność. Wtedy Malik dostanie, po co przyjechał... i nikt nie zdoła obronić Lylii.

Uldyzjan pochwycił morlu za głowę i zaciskając zęby, szarpnął z całej siły.

Z ohydym młaśnięciem głowa oddzieliła się od tułowia.

Ciało morlu wzdrygnęło się, palce rozwarły i ręce przestały już szukać Uldyzjana, w zamian po omacku wyciągnęły się w stronę głowy. Uldyzjan cofnął się nieco.

Niczym upiorna kukła ciało morlu postąpiło za farmerem ku wysokiemu murowi otaczającemu posiadłość mistrza Etona. Uldyzjan zamachnął się z całej siły i przerzucił głowę na drugą stronę.

Ciało skoczyło za nią, ale tylko uderzyło w mur. Spróbowało raz jeszcze, z tym samym rezultatem. Przy trzeciej próbie zatoczyło się i legło nieruchomo na ziemi.

Mężczyzna odwrócił się w stronę domostwa. Nie dostrzegł, by coś działo się w środku, ale wokół budynku pojawili się strażnicy. Dwóch z nich biegło do Uldyzjana.

Zwolnili, gdy tylko go rozpoznali.

– Do środka! – wskazał im dom. – Wewnątrz jest ich więcej! Uważajcie, trzeba im odciąć głowy!

Strażnicy popatrzyli nań z obawą malującą się na twarzach. Uldyzjan nie zastanawiał się, czy mu uwierzyli, nie dbał o to. Biegł już do domu zdjęty dojmującym strachem, że Malik mógł odnaleźć Lylię... albo kogokolwiek innego z ich grupy.

Wpadł przez frontowe drzwi i niemal natychmiast się potknął. Na podłodze odkrył ciało, z pewnością kogoś ze służby Etona. I znów żołądek szarpnął się w nim boleśnie, ciało zostało bowiem idealnie i dokładnie... obdarte ze skóry.

Najpierw Eton i jego syn, teraz ta biedaczka. Uldyzjan czuł mieszaninę żalu i wstrętu. Każda z tych potwornych śmierci mogła zostać przypisana jemu. Ale nie był takim głupcem, żeby winić jedynie siebie. Malik dopuścił się tych zbrodni. Malik na rozkaz Pierwszego.

Znów porwała go fala gniewu. Nie mógł nic zrobić z tajemniczym Lucionem, ale mógł dopilnować, by arcykapłan nikogo już nie skrzywdził, nawet jeśli Uldyzjan miałby przy tym zginąć.

Strażnicy, których widział na zewnątrz, teraz zatrzymali się w progu. Blask pochodni trzymanej przez jednego z nich wydobył z mroku koszmarną scenę. Obaj wybałuszali na Uldyzjana oczy pełne strachu i osłupienia.

– Uważajcie na każdego uzbrojonego, kto będzie przypominał waszego pana albo jego syna. Jeśli naprawdę będą to Eton i Cedryk... – musiał jakoś zdusić emocje i znaleźć właściwe słowa albo strażnicy domyślą się prawdy – ...zrozumieją, że zamykacie ich dla ich własnego dobra!

– Zamknąć ich? – powtórzył zaskoczony strażnik.

– Dla ich własnego bezpieczeństwa. Zaufajcie mi!

Gdyby usłyszeli taki rozkaz od kogoś innego, nigdy by nie posłuchali, ale to był Uldyzjan, znany w całym mieście ze swych cudów. Uldyzjan zaklął pod nosem. Szczerze żałował, że nie ma więcej ludzi, którzy dysponowaliby zdolnościami na miarę jego własnych. W tym momencie byłby szczęśliwy, gdyby miał Romusa albo Jonasa u boku.

Albo Achiliosa.

Łucznik był jego jedyną nadzieją. Achilios raz już prawie zgładził Malika i mógł zabić morlu, jeśli tylko będzie wiedział jak.

I gdy strażnicy wciąż jeszcze próbowali zebrać się w garść, Uldyzjan popędził po schodach. Wyobraźnia podsuwała mu obraz martwej Lylii leżącej na korytarzu i strach, że tak może być w rzeczywistości, dawał mu siłę, by przewyciężyć zmęczenie i ból ran.

Pokój, który dzielił z Lylią, znajdował się przed nim. Zebrawszy siły, runął na drzwi całym ciałem.

Otworzyły się z trzaskiem. Uldyzjan przetoczył się po podłodze i poderwał w mgnieniu oka gotów stawić czoła setkom Malików.

Ale kapłana tam nie było. Lylii też nie. Tylko przerażona młoda kobieta kulila się w kącie. Uldyzjan rozpoznał w niej służącą, której mistrz Eton nakazał usługiwanie Lylii.

– Gdzie ona jest?! – ryknął, nie bacząc na przerażenie dziewczki. – Gdzie Lylia?!

Służka wskazała na dębową szafę, gdzie Lylia przechowywała swoje suknie, również te podarowane jej przez ich gospodarza. Wszyscy otrzymali odzienie od mistrza Etona. Ten człowiek okazywał swym gościom jedynie troskę i hojność, a to, co go spotkało, było koszmarem, którego Uldyzjan nigdy nie zapomni.

Teraz bał się, że podobny los spotkał ukochaną kobietę. Co innego mogło być powodem dygotu i przerażenia służącej?

Coś go nagle tknęło. Służąca... Ktoś ze służby mistrza Etona...

Przypomniał sobie Cedryka. Coś, zapewne potężny czar, ukryło potwornego morlu w niewielkiej postaci chłopca.

Czy mogło tak być znowu?

Odwrócił się błyskawicznie... niemal za późno.

Coś skoczyło ku niemu zza łóżka. Stwór wielokrotnie większy niż skóra, którą nosił, rozdęta teraz do niewiarygodnych rozmiarów. Drobne ciało zaczęło rwać się i pękać, odsłaniając ukrytą pod nim zbroję. Twarz była już jedynie powykrzywianą i zbyt małą maską. Potworna postać zaatakowała Uldyzjana, a ten ponownie zdumiał się czarem Malika, który sprawiał, że rozmiar i kształt nie miały żadnego wpływu na doskonałość przebrania.

Spleceni w śmiertelnym uścisku upadli na szafę, zmieniając ją w stos drzazg. Skrawki porwanej skóry opadły z morlu upiornym deszczem, gdy makabryczny wojownik uniósł potężny topór.

Śmiejąc się zgrzytliwie, opuścił zakrzywione ostrze topora wprost na Uldyzjana.



# SZESNAŚCIE



Achilios obudził się gwałtownie. Ubrał się naprędce i sięgnął po łuk oraz kołczan pozostawione na krześle. Nie słyszał nawet szmeru, ale nerwy miał napięte jak postronki. Cichutko zakradł się do drzwi, zatrzymał i nasłuchiwał przez chwilę.

Początkowo za drzwiami panowała niezmacona cisza, ale naraz usłyszał jakiś szmer – dźwięk był nikły, ktokolwiek szedł przez korytarz, był albo niewielki, albo umiał poruszać się niczym kot. Achilios zawiesił łuk na ramieniu i dobył myśliwskiego noża, który zawsze nosił przy pasie. A potem z największą ostrożnością nieznacznie uchylił drzwi.

Przyćmione światło pojedynczej lampy oliwnej wystarczyło wytrenowanym oczom myśliwego. Łucznik dokładnie widział korytarz i kogoś, kto poruszał się na granicy światła. Postać nie była dość rośla jak na mistrza Etona czy kogoś ze służby domowej.

Achilios był pewien, że zobaczył młodego Cedryka.

Chłopiec powoli szedł korytarzem, co rusz zatrzymując się pod którymiś drzwiami. Zatrzymał się przed tymi, które prowadziły do komnaty Serentii, a potem ruszył dalej. Z niewyjaśnionego powodu Achilios poczuł ulgę.

Łucznik nie miał pojęcia, co właściwie robił syn ich gospodarza. W zachowaniu chłopaka wszystko było nienaturalne. Achilios zaniepokoił się nawet wyglądem Cedryka... Chłopak mógł być chory, ale biorąc pod

uwagę to, co zdarzyło się niedawno, bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że ktoś przejął nad nim kontrolę.

Ta myśl przeważała szalę. Cicho niczym kot, Achilios wślizgnął się na korytarz. Trzymał nóż w pogotowiu na wypadek... wszelakich okoliczności, jak na razie nieprzewidzianych. Nie zamierzał go użyć przeciwko chłopcu, to na pewno. Dzieciak był przecież całkiem niewinny.

Cedryk nie przestawał sprawdzać drzwi, ale zaglądał też do wnętrza, a czasem popatrywał też na sufit. Achilios przez moment ciekaw był, czego chłopiec tam szuka, ale zaraz uznał, że jednak woli nie wiedzieć.

Łucznik, widząc doskonale w przyćmionym świetle, szedł korytarzem w tym samym tempie co niczego niepodejrzewający chłopak. Dotarł do drzwi Serentii, zawahał się i przyłożył do nich ucho. Ledwie słyszalny szmer oddechu upewnił go, że dziewczynie nic nie jest.

Wyprostował się ponownie i skupił uwagę na Cedryku... czy może raczej skupiłby, gdyby chłopak był w zasięgu wzroku. Jakimś sposobem w ciągu tych kilku sekund, gdy łucznik koncentrował się na bezpieczeństwie Serentii, Cedryk zniknął jak zaczarowany.

Achilios ruszył na przód ze ściągniętymi brwiami. Chłopiec musiał być przecież przed nim, chyba że jakoś zdołał się wślizgnąć do jednego z ostatnich pokoi, gdy myśliwy nie patrzył. A to było mało prawdopodobne. Czegoś tak oczywistego łucznik nie mógłby przeoczyć.

Ale im dalej szedł korytarzem, tym bardziej wydawało się prawdopodobne, że Cedryk jednak zniknął za którymiś drzwiami. Te najbardziej podejrzane okazały się jednak zamknięte, a zresztą Achilios na pewno usłyszałby szcęknięcie kłamki.

Myśliwy zrobił jeszcze kilka kroków i dotarł do ściany. Zdumiony przesunął po niej dłonią, szukając ukrytych drzwi. Niczego nie znalazł.

Nagle wewnętrzny głos kazał mu spojrzeć na sufit... Achilios podniósł głowę i przekonał się, że nie ma tam nic poza ciemnością. Zmarszczył czoło, zastanawiając się, skąd to nagłe wrażenie, że niebezpieczeństwo wisi tuż nad jego głową.

Nadal nie pojmując tajemniczego zniknięcia chłopca, myśliwy odwrócił się...

Cedryk stał nieco dalej, wpatrując się w łucznika poważnie.

Mało brakowało, a Achilios by podskoczył.

– Ced!

– Szukałem jej – odpowiedział cicho i bezbarwnie chłopiec. – Tej z Uldyzjanem.

– Masz na myśli Lylię? Dlaczego ona...

– Lylia – powtórzył Cedryk, jakby starał się zapamiętać imię. – Wiesz, gdzie ona jest?

– Zapewne z Uldyzjanem, jak żeś rzekł, chłopcze! – zaśmiał się Achilios.

– Ale nie przeszkadzaj im teraz. To byłaby wysoce nieodpowiednia chwila!

– Nie ma jej z nim.

– A ty skąd to wiesz? – Nagle, nie wiedzieć dlaczego, łucznik poczuł przejmujący chłód. Pochylił się do chłopca. – Ced, czy wszystko...

Chłopak rzucił nim o ścianę z taką siłą, że Achilios usłyszał, jak pękają deski. Dziękując w duchu opatrności, że to nie jego kości wydały ten dźwięk, myśliwy przypadł do podłogi. Tuż nad jego głową Cedryk uderzył pięścią w ścianę, czyniąc jeszcze więcej zniszczeń i to takich, których nie powinien dokonać ktoś jego rozmiarów. Rozmiarów Achiliosa też nie, szczerze mówiąc.

Myśliwy kopnął dzieciaka ile sił, ale równie dobrze mógł uderzyć w skałę. Osiągnął tyle, że kopniak odezwał się rezonansem w jego ciele.

Cedryk ani drgnął. Więcej, Achilios był niemal pewien, że chłopiec uśmiechnął się, widząc te żalosne wysiłki.

Gdy drobna figurka ruszyła do ataku, Achilios upomniał się w duchu, że jego przeciwnikiem nie jest niedorostek. To nie był Cedryk, to nawet nie był człowiek. Achilios skoczył do przodu, przemykając obok fałszywego Cedryka.

Niestety, gdy spróbował się podnieść, czyjaś ręka złapała go za kołnierz. Z pomrukiem zadowolenia Cedryk rzucił Achiliosa w dół korytarza.

Myśliwy wylądował ciężko, ale łomot upadającego ciała był dziwnie stłumiony. Łucznik miał pewność, że nie słyszał tego nikt poza nim samym. Najwyraźniej zastosowano tu kolejny czar, działający tak samo na Achiliosa, jak istotę udającą chłopca. A to znaczyło, że cała armia dowodzona przez Malika mogła przejść przez dom i nikt by się nie zorientował, póki nie byłoby za późno.

Wrogowie przyszli po Uldyzjana. Być może już go nawet ujęli. Ale w takim razie po cóż im była Lylia? Albo Achilios się mylił i jego przyjaciel uciekł z łap arcykapłana, a to znaczyło, że Lylia potrzebna była jako przynęta, albo Uldyzjan był więźniem i jego wrogowie chcieli wykorzystać dziewczynę, by zmusić farmera do uległości.

Jednak niezależnie od powodów Lylii nie było z Uldyzjanem. Achilios podziękował za to losowi, nawet gdy zbierał się z podłogi, próbując zarazem uniknąć kolejnego ciosu. Ucieczka Lylii pozwalała mu żywić nadzieję.

Nie miał jednak czasu, by martwić się Uldyzjanem czy Lylią, bo nagle w dłoniach Cedryka pojawiły się miecze niemal tak wielkie jak chłopak. Achilios nie miał pojęcia, skąd się wzięły, ale stwór podszywający się pod Cedryka władał nimi z niesamowitą wprawą, kreśląc łuki w powietrzu i na drewnie poręczy. Drzazgi wzbijały się niczym chmara owadów.

Achilios dostrzegł coś dziwnego w samej postaci chłopca. Urosła i rozděła się, jakby coś znacznie większego próbowało wydostać się ze skóry. Achilios poczuł lodowate palce ściskające mu serce na samą myśl, co stało się z chłopcem, który był dlań przyjacielem i który chciał być wytrawnym myśliwym tak jak Achilios.

Twarz Cedryka rozdarła się w kilku miejscach, skóra pękła na wysokości szczęki, ukazując oblicze blade jak śmierć i osłonięte przyłbicą. W miejscu, gdzie przed chwilą stało dziecko zaledwie, teraz znajdowała się postać wzrostu Achiliosa o potężnych ramionach.

W trakcie tej przemiany miecze nie zatrzymały się ani na chwilę. Myśliwy unikał ciosu za ciosem, ledwie mając czas na złapanie tchu między jednym a drugim atakiem. Ktoś mniej zwinny już dawno zostałby poszatowany jak główka kapusty. Achilios miał świadomość, że wystarczy jedno cięcie, by położyć go trupem. Do tego martwił się nie tyle o siebie, co o Serentię i Mendelna.

Co stanie się z nimi po jego śmierci? Bał się nawet ich ostrzec, bo przecież mogli wyjść ze swych pokoi, a wtedy zostaliby zgładzeni w mgnieniu oka. Choć nie wiadomo, czy w ogóle usłyszeliby wołanie – może nie, jeśli rzeczywiście na dom został rzucony czar.

Jedno z ostrzy ponownie zatoneło w poręczu, tym razem na tyle głęboko, że w niej utkwilo. Tyle wystarczyło. Nóż gdzieś przepadł, gdy Achilios uderzył o ścianę, ale myśliwy zsunął z ramienia łuk i założył strzałę. Z takiej odległości nie mógł chybić, nie wiedział tylko, gdzie celować. Zgadywał, że oto ma przed sobą wroga, który zaatakował Uldyzjana pamiętnej nocy, czyli nie wystarczyło po prostu trafić w witalne miejsce. Trzeba było jeszcze je znaleźć. Achilios uznał, że jest tylko jeden punkt, w który powinien celować.

Wszystko to przemknęło mu przez głowę w ułamku sekundy. W następnym Achilios wycelował w oko przeciwnika. Czaiła się tam ciemność, jakby celem był pusty oczodół. Łucznik nie miał innego wyjścia, jak tylko spróbować...

Powinien był trafić. Bez trudu. Nawet jego przeciwnik był tego samego zdania, bo uniósł potworne ostrza, żeby zasłonić twarz. A jednak strzała nie tylko ominęła cel, ale poleciała zupełnie wbrew wszelkiej logice i utkwiała głęboko w ścianie za plecami wroga.

Potworny wojownik roześmiał się głośno. Zerwał resztki makabrycznego przebrania i stanął przed Achiliosem w swej prawdziwej postaci – uzbrojony olbrzym z hełmem na podobieństwo zwierzęcej czaszki.

Achilios zaklął, cofnął się o krok i sięgnął po kolejną strzałę. Pamiętając tor lotu poprzedniej, napiął cięciwę i strzelił.

Tym razem grot odbił się od osłoniętego zbroją ramienia.

Straszliwy wojownik wyszczerzył zęby w przerażającym uśmiechu.

– Nie za dobrze – zadrwił. Jego głos przeszył Achiliosa dreszczem strachu, brzmiał prawdziwie grobowo i łucznik mimowolnie wrócił myślami do chwili, gdy dotknął kamiennego artefaktu. – Nie za dobrze dla ciebie.

Bliźniacze ostrza zbliżały się niczym dwa wiry powietrzne. Tym razem Achilios okazał się zbyt wolny. Jedno ucięło go w udo. Upadł z okrzykiem bólu.

– Byłby z ciebie niezły morlu – zazgrzytał potwór w zbroi. – Nie tak dobry jak ja, Damos, ale dobry. Może zabiorę cię do naszego pana...

Uniósł oba miecze...

Za jego plecami ktoś odezwał się cicho. Łucznikowi zdało się, że rozpoznaje ten głos, ale słowa zabrzmiały w uszach myśliwego równie nienaturalnie, co te wypowiedane przez morlu.

Potęźny wojownik szarpnął się jak kukła na sznurkach. Achilios sięgnął po łuk, ale nie miał pojęcia, gdzie jeszcze wycelować. Jedynym nieosłoniętym miejscem był kark morlu, a myśliwy już raz próbował posłać tam śmiertelną strzałę. Bezskutecznie.

– Kim jesteś?! – zahuczał Damos do postaci w mroku. – Co mówisz?

Tamten odpowiedział w języku, którego łucznik nie zrozumiał.

Morlu zawył. Skręcił się wpół, upuszczając jeden z mieczy.

– Przestań! Przestań! – Damos chciał rzucić się do ataku, ale nie zdołał. Z jękiem przyklęknął na jedno kolano. Drugi miecz brzęknął na deskach podłogi.

Ciemna postać wypowiedziała pojedynczą sylabę.

Damos wył. Dygotał. Wokół rozchodził się niesamowity smród padliny.

Z ostatnim pełnym bólu jękiem zbrojny olbrzym zapadł się w sobie. Odór przybrał jeszcze na sile.

Zakrywając nos i usta, Achilios patrzył osłupiały na mężczyznę stojącego nad zwłokami morlu.

– Mendeln?!

Młody uczonek popatrzył na Achiliosa, jakby ten był przezroczysty. Otaczało go coś takiego, co sprawiło, że łucznik zadrżał niemal tak samo jak w chwili, gdy zrozumiał, co stało się z Cedrykiem. Obecność, jaką wyczuwał wokół Mendelna, nie była zła, ale nieskończenie obca, co po raz kolejny przywołało wspomnienie tajemniczego kamienia w lesie i uczuć, jakie ogarnęły Achiliosa w bliskości artefaktu.

– Kyr i' Trag 'oul discay – powiedział Mendeln tonem, jakby ten bełkot wszystko wyjaśniał.

Achilios dźwignął się na nogi, po czym spojrzał na morlu. Po zapachu i tym, co zdołał zobaczyć w nieruchomym pancerzu, łucznik byłby gotów

twierdzić, że makabryczny wojownik był martwy od dawna, może nawet od kilku tygodni. Ciało zdawało się wręcz rozkładać na oczach myśliwego.

Achilios popatrzył na bladego jak trup Mendelna. Młodzieniec zamrugał. Jego twarz się ożywiła, nabrała kolorów, odmalował się na niej wyraz absolutnego zdumienia i przerażenia zarazem. Mendeln popatrzył na makabryczne szczątki.

– Achiliosie... co... gdzie...?

W tej samej chwili dom wypełnił się hałasem. Na dole słychać było głosy ludzi i jakieś trzaski. Od strony komnaty, którą Uldyzjan dzielił z Lylią, dobiegło łupnięcie, które zatrzęsło domem w posadach. Achilios poderwał głowę; myślał, że te pomieszczenia są puste, przynajmniej tak wynikało ze słów fałszywego Cedryka.

Na korytarz wypadła Serentia szczelnie otulona szlafrokiem podarowanym jej przez mistrza Etona. Najpierw dostrzegła Achiliosa, potem Mendelna, a dopiero potem ohydne szczątki na podłodze. To trzeba jej było oddać – zachowała zimną krew.

– Gdzie Uldyzjan i Lylia? – zapytała natychmiast, zdławivszy krzyk grozy. – Nic im nie jest?

Zanim Achilios zdołał odpowiedzieć, z komnaty Uldyzjana dobiegł kolejny łomot. Łucznik natychmiast skoczył w tamtym kierunku.

– Wy dwoje, zostańcie tu! Róbcie, co mówię! – krzyknął, widząc, że Serentia rusza za nim.

Nie wiedział, czy go posłuchali, ale miał nadzieję, że Mendeln wykaże się rozsądkiem na tyle, by trzymać dziewczynę z dala od kłopotów. Achilios nie rozumiał, w jaki sposób jego młody przyjaciel pokonał morlu, nie wiedział nawet, co właściwie stało się z makabrycznym wojownikiem, ale liczył, że ta sama moc uchroni zarówno Mendelna, jak i Serentię, gdyby zostali zaatakowani. Nie miał pojęcia, ilu wrogów mogą jeszcze spotkać.



Po schodach wbiegło dwóch strażników. Najwyraźniej zmierzali w tym samym kierunku co Achilios. Pierwszy wyciągnął rękę i złapał za klamkę...

Z komnaty obok tej należącej do Uldyzjana wypadł na korytarz potężny morlu. Uderzył w dwóch zaskoczonych strażników, posyłając jednego w dół schodów. Drugi próbował stawić czoła wrogowi, ale potworny przeciwnik ciął go przez pierś toporem, obryzgując wszystko wokół krwią. Strażnik zatoczył się i upadł na plecy. Oczy nieszczęśnika zgasły, wpatrując się w Achiliosa.

Myśliwy napinał już cięciwę, pamiętał jednak, że jak dotąd każdy strzał okazał się niecelny. Dokonał w myślach pospiesznych obliczeń, jakie zazwyczaj uwzględniały siłę wiatru albo prędkość uciekającego zwierzęcia, i wypuścił strzałę.



Wbrew wszelkim regułom strzała gwałtownie skręciła. Teraz łucznik był już pewien, że ktoś zaklął jego broń, nie potrafił tylko powiedzieć, kiedy to mogło się stać. Jedyne osoby, które dotykały łuku, były Uldyzjan i mistrz Eton...

Grot trafił dokładnie tam, gdzie Achilios miał nadzieję go posłać. Morlu zawył i sięgnął do twarzy, próbując wyrwać strzałę z pustego oczodołu.

Ale Achilios miał już kolejną na cięciwie. Wystrzelił bez wahania i z ponurą satysfakcją obserwował, jak leci, by utkwic w drugim oczodole wojownika.

Zakuty w zbroję potwór opadł na kolana. Dłoń, która jeszcze przed chwilą szarpała za brzechwę, teraz opadła bezwładnie. Podobnie ta dzierżąca ciężki topór. Jednak morlu wciąż nie został pokonany ostatecznie.

Achilios skoczył ku niemu i wyrwał topór z osłabłych palców.

Morlu próbował go pochwycić. Łucznik uchylił się, wprawnym ruchem założył łuk na plecy i uniósł topór nad głowę.

A potem opuścił go na kark morlu, strącając głowę w ohydny hełmie jednym czystym cięciem. Dopiero wtedy ciało padło nieruchomo na podłogę.

Trzymając topór w pogotowiu, Achilios odwrócił się w stronę drzwi do komnaty Uldyzjana. Ku swej rozpaczy zobaczył stojącą tam Serentię z kawałkiem ułamanej poręczy w dłoni, a tuż za nią Mendelna.

– Mówiłem, żebyście zostali...

Ignorując jego słowa, Serentia jednym szarpnięciem otworzyła drzwi. Natychmiast znalazł się u jej boku, zdjęty strachem o bezpieczeństwo ukochanej.

Zobaczyli Uldyzjana i kolejnego morlu, każdy z nich zaciskał ręce na gardle przeciwnika. Serentia gwałtownie nabrała powietrza. Ruszyła ku zakutemu w zbroję wojownikowi. Achilios był pewien, że dziewczyna spróbuje użyć poręczy jak pałki, ale Serentia uchwyciła kawał drewna niczym dziwaczny sztylet i z całej siły wbiła w kark potwora.

Drewniany kawałek powinien się rozpaść, połamać, co najwyżej spowodować płytką ranę. A jednak gdy Serentia włożyła w atak wszystkie swoje siły, czubek poręczy rozjarzył się bielą i wszedł w ciało morlu z niezwykłą łatwością.

Przeciwnik Uldyzjana zacharczał, wypuścił farmera i sięgnął do karku. Padł na kolana, desperacko próbując pozbyć się wbitego weń drewna.

Serentia cofnęła się, jakby zaskoczona własnym czynem. Uldyzjan natomiast pochylił się do przeciwnika i złapał wbity improwizowany palik. Z ogromnym wysiłkiem obrócił go tak, że niemal oderwał morlu głowę.

Wojownik padł.

– Głowa... chodzi o głowę – wyjaśnił Uldyzjan. – Głowa... – podniósł wzrok. – Lylia! Czy jest z wami Lylia?

– Nie! – odparła natychmiast Serentia.

– Jeden z tych stworów jej szukał – dodał Achilios. – Ale raczej nie miał szczęścia.

– Nie rozumiem... chyba że... – Uldyzjan przepchnął się między nimi. – Musiała pójść mnie szukać! Na pewno poszła do gabinetu... tam był Malik!

Kiedy Uldyzjan i reszta ruszyli na ratunek Lylii, Mendeln został z tyłu. Nie chodziło o to, że nie chciał pomóc ukochanej brata, chciał, jednak coś zmusiło go, by raz jeszcze przyjrzeć się zabitym morlu. Gdy zbliżył się do pierwszego ciała, ogarnęły go złe przecucia. Czuł niemalże, że w odrażających szczątkach tli się jeszcze jakaś iskra... nie tyle życia, co raczej siły, która animowała bestię.

Sam nie wiedząc dlaczego, wyciągnął rękę nad ciałem. W jego głowie pojawiły się symbole. Tym razem rozumiał je z grubsza, a wymawianie ich, tak jak poprzednio, wydało mu się czymś łatwym.

Gdy wypowiedział te obce słowa na głos, poczuł, że z jego dłoni emanuje chłód. I blade światło, podobne księżycowemu.

Ciało morlu zadrżało, zupełnie jakby wojownik zamierzał powstać ponownie. Mendeln z trudem powstrzymał się, by nie cofnąć dłoni. Jakiś wewnętrzny głos podpowiedział mu, że taki gest mógłby skończyć się katastrofą.

Szczałki morlu zadygotały gwałtownie. I nagle czarna chmura nie większa niż jabłko podniosła się ze zwłok, popłynęła ku dłoni Mendelna... i się rozwiała.

Morlu ponownie znieruchomiał. Mendeln miał wrażenie, że ktoś wypuścił ze zwłok powietrze. Niczego już w nich nie wyczuwał.

Podszedł do powalonego morlu w korytarzu i powtórzył rytuał. Spojrzał przez ramię na szczątki tego, który pierwszy walczył z Achiliosem. Młodzieniec nie mógł sobie przypomnieć, jak doszło do tego, że wstał z łóżka, przyszedł tutaj i dlaczego morlu padł martwy u jego stóp. Był pewien tylko tego, że słowa, jakie wtedy wyrzekł, sprawiły, że nie było potrzeby odprawiać krótkiego rytuału nad zwłokami.

Przypomniawszy sobie, że gdy wypowiadał te słowa, miał wrażenie, że ktoś jest z nim. Mógłby wręcz przysiąc, że za nim ktoś stał – ktoś, kto podpowiadał mu właściwe kwestie.

Ale kto? Kto?

Dopiero teraz dotarło do Mendelna, że zakutych w zbroje wojowników może być więcej. Również takich, którzy zostali uznani za pokonanych. Młodzieniec musiał odnaleźć każdego. Dopiero po odprawieniu rytuału mógł mieć pewność, że żaden z morlu nie podniesie się z martwych.

Wzdrygnąwszy się na samą myśl, pospieszył korytarzem.

Musiała być w gabinecie. Uldyzjan po prostu wiedział, że tam właśnie poszła Lylija, choć nie umiałby powiedzieć, skąd ta pewność. Na pewno przekroczyła próg bez wahania, przekonana, że zastanie tam swego ukochanego i mistrza Etona, omawiających jakieś ważne sprawy.

A Malik pochwyci ją i spróbuje wykorzystać, by zapanować nad Uldyzjanem. Wiedział doskonale, że Uldyzjan nie dopuści, by Lylii stała się krzywda.

Farmer poczuł, że krew w nim wrze.

Jeśli stała jej się krzywda...

Drzwi do gabinetu były zamknięte. Wydało mu się to nieco dziwne, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że służby i strażnicy biegali po domu, usiłując zrozumieć, co się wydarzyło. To, że nikt z nich nie zajrzał nawet do

gabinetu w poszukiwaniu swego pana, było co najmniej zaskakujące, a w opinii Uldyzjana z daleka śmierdziało manipulacjami Malika.

Jego niepokój przybrał na sile.

Bez wahania Uldyzjan uderzył barkiem w drzwi.

Otworzyły się z takim rozmachem, że jedno skrzydło połamało się, uderzając o ścianę. Uldyzjan wylądował na podłodze. Przetoczył się i w mgnieniu oka podniósł.

– Malik! – ryknął wściekle, spodziewając się najgorszego. – Ta sprawa dotyczy ciebie i...

Ale gdy dotarło do niego, co widzi, głos mu zamarł. Pośrodku gabinetu leżał kolejny morlu. Głowę zdjęto mu jednym czystym cięciem, na piersi pozostały ślady spalenizny. Głowa, wciąż w hełmie, zdawała się z wściekłością wpatrywać w sufit.

Dalej jednak widok był jeszcze koszmarniejszy. Uldyzjan zobaczył ciało pozbawione całkiem skóry, leżące w kałuży krwi z rozerwanych żył. Ciało wysokie, mocno zbudowane, co nadal było widoczne, mimo poszarpanych mięśni i ścięgien, a do tego obdarte ze skóry, ale nie z odzieży.

Ciało Malika, arcykapłana Zakonu Mefisa.

# SIEDEMNAŚCIE



Potworna ręka Malika zacisnęła się na jego piersi, tuż poniżej gardła. Zadrgała dwa razy, jakby nie była całkiem martwa, mimo stanu kapłana.

Kawałek dalej kuliła się Lylio, spoglądając na Uldyzjana.

– Kochany! – Podbiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Pachniała lawendą i kwiatami, co stanowiło uderzający kontrast z makabryczną sceną. Uldyzjan głęboko odetchnął jej aromatem, życząc sobie, by wszystko poza tym okazało się jedynie straszliwym koszmarem.

Niestety, to było tylko życzeniem. Oderwał się więc od kobiety, którą kochał, i popatrzył na zwłoki arcykapłana.

– Lylio... co się stało?

– To... po części szczęście, po części dar, który we mnie obudził. Zorientowałam się, że nie ma cię w sypialni i przyszedłam tutaj. Wydawało mi się, że coś usłyszałam i zapukałam. – Wzdrygnęła się. – Usłyszałam głos naszego drogiego gospodarza i kiedy weszłam, stał tu i czekał na mnie... – Przcisnęła dłoń do serca. – Och, Uldyzjanie, nie każ mi mówić dalej!

– Odetchnij głęboko. Musimy to usłyszeć. Może zdarzyło się coś ważnego, z czego nie zdajesz sobie teraz sprawy.

Mendeln prześlizgnął się obok nich i przykląkł przy morlu. Uldyzjan poczuł się nieco zirytowany tym makabrycznym zainteresowaniem zwłokami, ale uznał, że nie będzie się tym teraz zajmował.

– S...spróbuję. – Lylia postarała się opanować. – Przeszłam przez próg... drzwi od razu się za mną zatrzęsęły. Odskokczyłam i zobaczyłam to... tę potworność... – Wskazała martwego morlu. – A potem dostrzegłam, że okno jest rozbite. Eton nagle się zaśmiał, jego głos się zmienił. Poznałam głos arcykapłana. Wtedy... wtedy... och, Uldyzjanie, on nosił skórę biednego Etona!

– Wiem Lylio, wiem. Cedryk i jedna ze służących skończyli tak samo.

– Chłopczyk też? To straszne!

Przytulił ją mocno.

– I co wtedy?

Lylia próbowała się opanować.

– Malik... on ruszył na mnie, wyciągnął to... coś... nigdy jeszcze nie widziałam takiej ręki! Pomyślałam, że zaraz zrobi ze mną to co z Etonem! I znalazłam w sobie siły, żeby skoczyć na niego i pchnęłam go jego własną ręką!

Mendeln podniósł się z klęczek i podszedł do zwłok kapłana.

– I w ten sposób to się stało? Tak szybko? I wbrew jego woli?

– To było jakby ktoś zerwał zasłonę z posągu! Nigdy tego nie zapomnę! Nie zdążył nawet krzyknąć, a co dopiero pomyśleć...

Uldyzjan nie mógł nie docenić, że śmierć Malika okazała się wyjątkowo sprawiedliwa. Miał tylko nadzieję, że arcykapłan cierpiał równie dotkliwie co jego ofiary, szczególnie młody Cedryk.

– A morlu? – zapytał Mendeln, odchodząc od oskórowanych zwłok. – To też ty zdołałaś uczynić?

Spojrzała na niego twardo.

– Ta bestia ruszyła na mnie, jak tylko jej pan pożegnał się z życiem! Nie wiem, co zrobiłam, ale zamachałam rękami, jakbym nimi cięła, i stało się to, co widzicie.

Uldyzjan doskonale rozumiał, co się stało. Strach i złość wzburzyły w niej moc, tak jak to często zdarzało się jemu. Lylia działała instynktownie, w obronie własnego życia, i na szczęście jej działania przyniosły morlu śmierć.

– Jego pierś też jest spalona – stwierdził Mendeln. – Głęboko.

– To musiało stać się w tym samym czasie. Nie wiem. Nie pamiętam. Nie chcę pamiętać.

Na zewnątrz słychać było jakieś poruszenie. Uldyzjan mocniej przygarnął Lylię.

– Wystarczy tego – zwrócił się do brata. – Mieliśmy szczęście, że uszliśmy z tego żywi.

Mendeln skinął głową.

– Walczyłeś z kimś jeszcze, bracie?

– Z dwoma, na zewnątrz. Jeden jest głęboko pod ziemią, drugi pod murem, bez głowy, bo ta jest po drugiej stronie.

Młody uczonek bez słowa wyszedł z komnaty. Uldyzjan spojrzał za nim zaskoczony, nie rozumiejąc, dlaczego właściwie ta informacja miała dla Mendelna jakiegokolwiek znaczenie.

W drzwiach stanął jeden ze strażników. Widok obdartych ze skóry zwłok mocno nim wstrząsnął.

– Mistrz Eton! Gdzie jest?!

– Nie żyje, tak jak i jego syn – wyjaśnił Uldyzjan. – Ciała są gdzieś tu ukryte. Zapewne wyglądają... jak te tutaj – dodał wskazując Malika.

– Na mą duszę... Mistrzu Uldyzjanie, cóż tu się stało?!

Nie było czasu, by opowiadać całą historię.

– Zło się wydarzyło. Posprzątajmy i módlmy się, byśmy znaleźli gospodarza i jego syna, aby odpowiednio ich pochować. Obawiam się, że ciało Mistrza Etona może być nawet poza miastem.



Kolejny strażnik stanął u drzwi komnaty. Wymienili z pierwszym znaczące spojrzenia i ów drugi natychmiast się oddalił.

– Zostanę tu na straży – zapowiedział pierwszy. – Przekażę reszcie tę straszliwą wiadomość. – Twarz miał wykrzywioną żalem. – Mistrzu Uldyzjanie... nie możecie nic dla nich uczynić?

Potrzeba było kilku sekund, żeby Uldyzjan pojął, co strażnik ma na myśli.

– Nie... nie, nic. – Z trudem przełknął ślinę, bo sama myśl wywołała w nim mdłości. – Przykro mi.

Strażnik ponuro skinął głową i stanął przy drzwiach, na korytarzu.

Achilios położył dłoń na ramieniu Uldyzjana.

– Chyba powinniśmy stąd wyjść.

– Chyba powinniśmy opuścić Partę – odparł Uldyzjan grobowo. Wszystkie jego obawy się ziściły. Przyjaciele i niewinni zginęli tylko dlatego, że był tutaj. – I to jak najszybciej...

Dość szybko znaleźli szczątki Cedryka. Chłopiec leżał w łóżku i większość uznała, że umarł we śnie. Nikt nie chciał myśleć, że mogło być inaczej, szczególnie Uldyzjan.

Zwłoki morlu i arcykapłana spalono bez żadnej ceremonii. Nie zawiadamiano Świątyni, aczkolwiek wszyscy wiedzieli, że prędzej czy później ktoś przyjedzie szukać zaginionego kapłana. Ale i tu każdy wolał odsunąć tę myśl na jakiś czas, najchętniej na zawsze, jeśli tylko byłoby to możliwe.

Zgodnie z obyczajami Party zwłoki Cedryka spalono ze wszelkimi honorami, a prochy zostały umieszczone w rodzinnym mauzoleum. Nikt nie przemawiał w trakcie ceremonii, ale niemal wszyscy mieszkańcy zjawili się, by opłakiwać chłopca.

Ciało mistrza Etona znaleziono dwa dni później. Morlu dobrze je ukryli i gdyby nie Achilios, który zauważył padlinożerców, pogrzeb nigdy by się nie odbył. Urnę z prochami Etona ustawiono obok tych zawierających doczesne szczątki Cedryka i jego matki, a żałobnicy nosili przez cztery dni ciemnoniebieskie szarfy na piersi, oddając w ten sposób honory wielkiemu człowiekowi.

Uldyzjan chciał wyjechać. Chciał być pewien, że nic podobnego nie wydarzy się już z jego powodu. Jednak ciągle pojawiały się sprawy wymagające jego uwagi bądź dozoru. Najpierw pogrzeb Cedryka. Potem rozmowa z tymi wszystkimi, którzy przychodzili do Uldyzjana po pocieszenie. Ledwie skończył, odnaleziono ciało mistrza Etona i wszystko zaczęło się od nowa. Przychodzono po wskazówki do Uldyzjana, choć ten nadal uważał się za prostego farmera.

Ku zaskoczeniu starszego z braci, młodszy nieoczekiwanie pomógł mieszkańcom Party radzić sobie z żałobą po ukochanym przywódcy. Kilka osób przyszło zobaczyć się z Uldyzjanem, który nieco wcześniej wyszedł, by pomóc innym. I Mendeln zmusił się, by odbyć z nimi tę rozmowę. Jego przesłanie było dość niezwykłe i gdy Uldyzjan usłyszał je po raz pierwszy, zaniepokoił się poważnie. Ale ci, którzy słuchali Mendelna, odnaleźli w jego słowach pocieszenie i spokój.

Mendeln mówił o śmierci, ale nie jako o końcu wszystkiego. Mówił, że to tylko stan. Mistrz Eton wraz z synem nie leżą tak po prostu w grobach. Odeszli ze świata śmiertelników, by stawić czoła nowym, ekscytującym wyzwaniom. Śmierci nie należy się obawiać, trzeba ją tylko lepiej zrozumieć.

Wyglądało na to, że Mendeln sam był najbardziej zaskoczony własnymi sugestiami. Pytany skąd i kiedy mu to przyszło do głowy, nie potrafił odpowiedzieć. Po prostu przyszło i już.

Mieszkańcy Party nie wiedzieli, że Uldyzjan zamierza opuścić miasto. Farmer nalegał na zachowanie tajemnicy. Uważał, że jeśli rozniesie się wieść o jego wyjeździe, wielu porzuci swe dotychczasowe życie, by pójść za nim. Lylia była przekonana, że to dobrze, ale Uldyzjan uznał, że dość już złego stało się w mieście za jego sprawą. Chciał dotrzeć do Kedżanu, nie narażając już nikogo na utratę życia. W wielkim mieście wszystko będzie wyglądało inaczej, nikt go przecież nie zaatakuje, gdy będzie otoczony tak wielką liczbą ludzi – powtarzał sobie.

Było to jawne kłamstwo, ale farmer chciał w nie wierzyć.

Ku jego zdumieniu grupa tych, którzy postanowili wyruszyć z nim, była mniej liczna, niż przypuszczał. Dowiedział się tego od Achiliosa.

Stało się to dwie noce przez planowaną ucieczką z miasta. Lylia nadal upierała się, że nie mogą się tak wymknąć. Jeśli ktoś zechciałby podążać za Uldyzjanem, powinien mieć do tego prawo, powtarzała. Czy nie tego właśnie chciał? Czy nie pragnął dowodu, który będzie mógł przedstawić w Kedżanie? A jaki dowód byłby lepszy niż świadkowie, w tym tacy, którzy mogą zademonstrować własne umiejętności, nawet jeśli niewielkie?

Uldyzjan wolał wyjść na nocny spacer niż kłócić się z kobietą, którą kochał. Zawsze starał się pozostawać w zasięgu wzroku, albo przynajmniej w rejonach, gdzie mieszkało więcej ludzi. Wątpił, by w mieście pozostały jeszcze jakieś służby Malika, ale pewności mieć nie mógł.

I właśnie gdy szedł przez ciemne ulice miasta, wyczuł, że ktoś za nim podąża. Zatrzymał się za rogiem i przyczaił, i odkrył, że to Achilios.

– Hej, tam! – zawołał łucznik. – Nie jestem morlu, przysięgam!

– Pozwoliłeś, bym cię usłyszał – odparł Uldyzjan. – Chciałeś mnie zatrzymać.

Achilios uśmiechnął się szeroko.

– To prawda, taki jestem dobry.

– A czegoż chcesz?

Łucznik spoważniał natychmiast.

– Porozmawiać z tobą na osobności. Wydało mi się, że to jedyny sposób.  
Przepraszam, jeśli źle zrobił.

– Możesz porozmawiać ze mną o wszystkim, Achiliosie. Wiesz o tym.

– Nawet... o Serentii?

Zarówno myśliwy, jak i jego przyjaciel od zawsze nazywali Serentię skróconą wersją jej imienia. Teraz Uldyzjan uniósł pytająco brew. Serentia?

Łucznik odchrząknął. Chyba po raz pierwszy Uldyzjan widział go tak zdenerwowanego.

– Woli, jak tak do niej mówić.

– A czego chcesz?

– Uldyzjanie... wszystko to między tobą a Lylią... pozostaje wciąż silne?  
Farmer zaczął powoli domyślać się, dokąd zmierza rozmowa.

– Silne jak burze na wiosnę. Silne jak wzburzona rzeka.

– I nie ma nic między tobą a Serentią?

– Jest dla mnie jak ukochana siostra – oświadczył Uldyzjan.

Achilios zdołał się uśmiechnąć.

– Ale dla mnie jest kimś znacznie więcej. Wiesz o tym.

– Zawsze to wiedziałem.

Tym razem łucznik się roześmiał.

– Tak, chyba wszyscy wiedzieli, no może poza nią.

– Wiedziała. – Uldyzjan był gotów przysięgać. Serentia nie była głupia, gdy chodziło o chorego z miłości Achiliosa. – A teraz powiedz mi, w czym rzecz.

– Uldyzjanie... Serentia chce tu zostać, kiedy ty wyjedziesz. I ja też.

Farmera najbardziej zaskoczyła decyzja Serentii, bo w tym, że Achilios do niej dołączy, nie było nic dziwnego. Uldyzjan poczuł ulgę, słysząc te

słowa, choć w głębi serca bolał, że przyjdzie mu utracić przyjaciela.

– Chciałem, żebyście wszyscy zostali. Cieszy mnie, że Serri... Serentia chce to zrobić teraz. Jeszcze bardziej jestem rad, że nie zostanie sama, że będzie miała w tobie oparcie, Achiliosie, ale... czy ona o tym wie, a jeśli tak, spodziewasz się, że coś zmieni się między wami?

Teraz Achilios uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ostatnio miałem powody przypuszczać, że się zmieniło.

To dobra... nie, to radosna wiadomość.

– W takim razie jestem podwójnie szczęśliwy. Miałem nadzieję, że w końcu zobaczy, jaki jesteś naprawdę, Achiliosie... I to, że będziecie bezpieczni, również mnie cieszy.

– Nie powinniśmy cię porzucać, przede wszystkim ja nie powinienem! Ty nadal będziesz w niebezpieczeństwie. Znajdzie się kolejny Malik! Chciałbym stać przy tobie...

– Zrobiłeś więcej niż należało! – przerwał mu Uldyzjan. – Tak samo jak Serentia i Mendeln! Już wcześniej mówiłem, że chcę, żebyście byli bezpieczni jak najdalej ode mnie. Dobrze rzekłeś, będą inni podobni Malikowi, i to tak długo, jak Pierwszy będzie przewodził Świątyni Trójcy. Nie chcę, by któreś z was pozostawało blisko mnie, gdy pojawi się następny Malik... nawet nie chcę Lylii.

– Ale ona nigdy cię nie opuści!

– Wiem... Ale próbuję przemówić jej do rozsądku. Jeśli mi się uda, chciałbym, abyś o nią zadbał, dla mnie... i o Mendelna także.

Łucznik wyciągnął rękę, a Uldyzjan ją uściskał.

– Możesz mnie prosić o wszystko... – powiedział cicho Achilios. – Nawet o to, bym z tobą został.

– Nie mógłbyś zrobić mi większej przysługi niż zostać tutaj i zatrzymać resztę.

– A ludzie z Party? Co mam im powiedzieć, gdy odkryją, że zniknąłeś?  
Nie spodoba im się to.

Uldyzjan zastanowił się przez chwilę.

– Powiedz im, by wzrastali.

To były słowa farmera – mówił prosto z serca i nie mógłby być bardziej szczerzy. Miał nadzieję, że zrozumieją. Miał też nadzieje, że wybaczą mu to, jak bardzo zmienił ich życie. Teraz nie zaznają już spokoju.

Ani trochę...

Mendeln wydawał się spokojny, ale wewnątrz cały wrzał. W ciągu ostatnich kilku dni uświadomił sobie wiele ważnych prawd, a te z kolei otworzyły drogę dla tysięcy pytań, na które jeszcze nie poznał odpowiedzi. Wciąż nie wiedział, co się z nim dzieje, poza tym że przechodzi przez coś zupełnie odmiennego niż jego brat, czy ktokolwiek inny. Ścieżki tamtych wiodły ku życiu, ku wzrostowi.

Jego ścieżka wiodła do śmierci.

I tak naprawdę nie miał nic przeciwko temu. Już nie. Prawdę mówiąc, Mendeln czuł się dobrze w nowej roli, o wiele lepiej niż na początku. Teraz chętnie przebywał z dala od ludzi, pociągały go cienie i samotność. Ktoś nad nim czuwał. Mendeln był tego pewien. Kto, tego jeszcze nie wiedział. Lecz nieustannie podsycalo to jego ciekawość. Tak bardzo chciał poznać tożsamość tajemniczego obrońcy. I co ciekawe, nie bał się odpowiedzi.

A powinien.



W miarę jak rosło w nim zrozumienie, zaczęły się też zmiany. Mendeln zawsze ubierał się w stonowane barwy, ale teraz najlepiej czuł się w czerni. Ludzie zaczęli odnosić się do niego z większym szacunkiem, ale też z

pewną dozą niepewności. Wszyscy zdawali się dostrzegać jego powolne przeobrażenie, ale ponieważ nawet Mendeln nie rozumiał go dokładnie, tym bardziej reszta skłonna była przypisywać zachodzące w nim zmiany mocy, jaką władał jego brat. Dlatego też do niego przyszedli szukać pocieszenia po utracie przywódcy, a on powiedział im to, w co sam wierzył. Ku jego uldze większość brała sobie jego słowa do serca, nawet jeśli nie do końca je rozumieli.

Cienie, i nie tylko one, stały się jego towarzyszami. Coraz rzadziej sypiał w nocy. I nagle zaczął słyszeć szepty. Po dwóch nocach nasłuchiwania zdobył się na odwagę, by za nimi pójść.

I oczywiście zaprowadziły go wprost na cmentarz.

Tym razem Mendeln nie wahał się nań wejść, choć na niebie nie świecił ani księżyc, ani nawet gwiazdy. Nie bał się ani trochę, bo nie było tym tajemniczym i bezkresnym cmentarzyskiem, a zwyczajnym miejscem, gdzie mieszkańcy miasta składali szczątki swych zmarłych. Było to miejsce pogrążone w spokoju, zadumie i wiecznym śnie.

Ale w samym centrum znajdowało się coś starożytnego, coś, co przyzywało go, budząc szepty.

Mendeln odkrył już, że coraz lepiej widzi w ciemności. Właściwie widział tak samo jak za dnia. Nawet Achilios nie mógł się z nim równać.

Zbliżył się już do miejsca, które niewątpliwie było źródłem. Szepty przybrały na sile, stały się wyraźniejsze. Dochodziły z grobów. Głównie dotyczyły życia tych, którzy w tych grobach spoczywali, jakby to życie nadal trwało.

„Muszę ugotować fasolę, włożyć chleb do pieca. Dzieciom trzeba ponaprawiać koszule”.

„Ta klacz da mi dobrego źrebca, będę mógł go potem sprzedać mistrzowi Liniusowi”.

„Poppy mówi, żeby nie bawić się nad rzeką, ale woda tak iskrzy w słońcu i w falach pluskają rybki, tylko zerknę i będę bardzo ostrożna”.

I tak dalej, i tak dalej. Mendeln zmrużył powieki i zdało mu się, że nad nagrobkami unoszą się niewyraźne kształty szepczących.

Ale choć wszystko to uznawał za wyjątkowo interesujące, nie dlatego tutaj przybył. Chciał dotrzeć do serca cmentarza. Gdy był tu po raz pierwszy, widział tylko zarośnięte stare kamienie, opatrzone nieczytelnym napisem.

Pochylił się i poczuł ukłucie rozczarowania. Było to z pewnością stare, ale doskonale czytelne epitafium, a nie symbole, które miał nadzieję zobaczyć. Już chciał wyjść, gdy nagle przypomniał sobie coś na temat miejsca, w którym się właśnie znajdował.

To było to samo miejsce, gdzie w jego wizji stał wielki skrzydlaty posąg.

Wrócił do kamienia nagrobego i drążącymi palcami dotknął imienia wypisanego na szarej powierzchni... Potworna siła cisnęła nim na inny nagrobek. Upadek go ogłuszył. Oczy mu się zamglily...

Wielka, na wpół widoczna postać pojawiła się nad kamieniem. Nie przypominała człowieka, ale też nie budziła skojarzeń z demonami. Cienie i światło gwiazd, gwiazd, których nie było na niebie, uformowały tę postać. To co Mendeln w duchu uznał za długi gadzi pysk, zwróciło się w jego stronę.

– Musisz przy nim być – usłyszał – brat zdradzi tajemnicę siostry, a ona za to zabije...

Mendeln odzyskał wreszcie ostrość widzenia i postać zniknęła. Wszystko wokół wyglądało dokładnie jak w chwili, gdy dotknął kamienia. Wiedział, choć nie potrafił powiedzieć skąd, że to nie nagrobek przyzwał to coś... czymkolwiek było. Nie, prawdziwe źródło pogrzebane było pod grobem. Kamień działał niczym łącznik. Ale co oznaczała ta wizja?



„Musisz przy nim być, brat zdradzi tajemnicę siostry, a ona za to zabije...”

Brat? Siostra? Mendeln nic z tego nie rozumiał, poza tym, że cień ostrzegał go przed śmiercią, która będzie wynikiem ich konfliktu. Co dziwniejsze, wspomnienie tej śmierci budziło w Mendelnie prawdziwy niepokój, jak żadna inna śmierć ostatnimi czasy. Czuł, że ta jedna spowoduje jeszcze straszniejsze wydarzenia.

„Musisz przy nim być...”

Poderwał się na równe nogi. To był klucz. Ostrzeżenie mogło odnosić się tylko do jednej osoby, bo o kim innym mógł pomyśleć Mendeln, jak nie o swoim bracie?

– Uldyzjanie!

Biegiem opuszczał cmentarz, pośpiech kazał mu zapomnieć o szacunku dla tych, którzy tu spoczywali. To, o czym mówiła wizja, zdarzy się już wkrótce, zaraz. Kto wie, czy już się nie wydarzyło...

W ciemnościach nocy Katedra była niczym zapraszająca wszystkich zapalona latarnia. Bez względu na porę dnia czy nocy, zawsze ktoś był gotów powitać spóźnionych wędrowców i zagubione dusze. Tak zarządził Prorok, mówiąc, że zbawienia nie można odłożyć na później tylko dlatego, że dzień dobiegł końca.

Samego Proroka też można było zobaczyć o tej późnej porze, gdyż Inarius nie potrzebował snu. Jednakże, choć wyparłby się tego natychmiast, anioła dręczył niepokój. Nie mógł pojawić się wśród tłumu w pełnej chwale i poderwać do lotu, chodził więc tylko niespokojnie po gmachu, czasem pokazując się tam, gdzie jego wyznawcy najmniej się spodziewali.

Tej nocy stał na szczycie najwyższej z wież w postaci młodzieńca spowitego blaskiem. Stąd widział wszystko wokół na milę. Była to jedyna namiastka lotu, jaką Prorokowi udało się uzyskać.

Inarius nie obawiał się, ale był ostrożny. Rozgrywka przeciwko Lucionowi wymagała od obu stron uwagi i wyczucia, żeby przypadkiem bieg spraw nie odsłonił istnienia Sanktuarium przed jego pobratymcami.

Sam Inarius w pełni czuł się na siłach stanąć do walki z Lucionem, nawet przy założeniu, że ten może wezwać całą potęgę Płonących Piekieł. W końcu ten świat był tworem Inariususa. I nikt nie mógł go aniołowi odebrać... Ani demon, ani ona, a już na pewno nie jakiś prosty kmieć, którego życie było z perspektywy Inariususa jedynie mgnieniem.

I już wkrótce się o tym dowiedzą.

# OSIEMNAŚCIE



Uldyzjan usłyszał krzyki akurat, gdy zbierał się na odwagę, by powiedzieć Lylii, że ta nie może jechać z nim dalej. Już dwa razy próbował tego wieczora i dwa razy mu się nie udało; obie próby skończyły się namiętną miłością, co nijak nie uciszyło jego poczucia winy. Teraz, gdy już odzyskał oddech i siły, był zdeterminowany wreszcie jej powiedzieć. I właśnie wtedy głos – najwyraźniej jego brata – poniósł się echem po domu mistrza Etona. Mieszkańcy Party uznali, że teraz dom należy się Uldyzjanowi, lecz farmer zamierzał w nim pozostać najwyżej dzień, może dwa... A i tak zżerało go z tego powodu poczucie winy. Kiedy on już odejdzie, Lylia i pozostali mogli sobie mieszkać tu, jak długo będą chcieli, i jakoś porozwiązywać swoje problemy.

Niestety wyglądało na to, że Mendeln potrzebował rozwiązania już teraz. Uldyzjan podniósł się z łóżka, żeby zobaczyć, co się stało.

– Wracaj zaraz – zamruczała Lylia namiętnie.

Skinąwszy głową, założył ubranie i wyszedł z pokoju... niemal zderzając się ze swym bratem.

– Uldyzjanie! Całe szczęście! Obawiałem się już najgorszego!

Trudno było nie zauważyć napięcia Mendelna.

– Cóż to?! Strażnicy Pokoju?! Morlu?! Inkwizytorzy?!

– Nie! Nie! – Mendeln obrzucił brata uważnym spojrzeniem od stop do głów. – Uldyzjanie, wszystko z tobą dobrze?

– Owszem. – Starszy z braci nie zamierzał teraz informować młodszego o swych zamiarach. Mendeln mógł się o tym dowiedzieć później. – No dobrze, o co to zamieszanie?

– Obawiałem się... myślałem...

– Co?

Mendeln smutny i zawiedziony potrząsnął głową.

– Nic. To był zły sen, Uldyzjanie. Głupi koszmar... – Spojrzenie Mendelna pobiegło ponad ramieniem brata, gdzie, co farmer właśnie sobie uświadomił, widać było część łóżka, w którym leżała naga Lylią. – Wybacz, bracie... przepraszam. Sam już nie wiem, co myśleć.

– Tak długo już jesteś na nogach, dzień i noc – odparł Uldyzjan z namysłem. – To nic dobrego. Bardzo mi pomogłeś, niosąc pocieszenie mieszkańcom miasta, gdy zamordowano mistrza Etona. Potrzebujesz odpoczynku.

– Być może... – odpowiedział Mendeln, ale jakoś bez przekonania. Jego spojrzenie raz jeszcze powędrowało w stronę łóżka. – Przepraszam za to wtargnięcie...

I zanim Uldyzjan zdążył cokolwiek powiedzieć, brat obrócił się na pięcie i odszedł szybko.

Uldyzjan zamknął za nim drzwi i wrócił do łóżka. Lylią posłała mu omdlewający uśmiech.

– Z twoim bratem wszystko w porządku?

– Jest przemęczony.

Lylią zaczęła pieścić jego pierś, bawiąc się włosami.

– A ty?

– Ani trochę. – Uldyzjan przygarnął ją do siebie. – Pozwól, że ci pokażę.

Minęły trzy godziny. Trzy godziny, w trakcie których upajał się Lylią. Trzy godziny od chwili, gdy legł u jej boku. Trzy godziny, a teraz siodłał

konia. To był jedyny sposób, żeby rozwiązać sytuację. Koniec z rozważaniami. Koniec z wyjaśnieniami. Upewniwszy się, że Lylija zasnęła, wstał i ubrał się po cichu. Krokiem tak cichym, że zyskałby nawet uznanie Achiliosa, Uldyzjan wymknął się z komnaty i poszedł do stajni. Spostrzegł po drodze kilku strażników, którzy teraz przysięgali strzec Uldyzjana, jak wcześniej strzegli swego pana Etona – nikt jednak nie zauważył przemykającego się farmera. Zażyczył sobie w duchu, by strażnicy popatrzyli w inną stronę... I tak się stało.

Z rosnącym poczuciem winy Uldyzjan jechał przez ciche ulice Party, aż znalazł się poza granicami miasta. Mieszkańcy powoli zaczęli rozumieć, co się z nimi dzieje. Mimo że zdolności Uldyzjana nie ujawniły się o wiele wcześniej, to jednak mężczyzna rozumiał je daleko lepiej niż ktokolwiek z nich. I Uldyzjan był też odpowiedzialny za transformację pozostałych. I to wszystko stanowiło powód, by zawrócić do miasta i wziąć odpowiedzialność. Ale na drugiej szali ciążyła śmierć niewinnych. Może jeśli Uldyzjan porzuci wszystkich i wyruszy do Kedżanu samotnie...

Potrząsnął głową i jechał dalej. Nie był w stanie rozważyć tej drugiej opcji.

Drzewa otoczyły go na podobieństwo milczących strażników. Noc zdawała się ciemniejsza niż zwykle. Uldyzjan starał się zmusić wierzchowca do szybszego biegu, ale koń szedł tak opornie, jakby obawiał się czegoś, co czaiło się w ciemności. Droga wiodła wśród niewielkich wzgórz. Z Party do Kedżanu prowadził uczęszczany szlak, ale Uldyzjan chciał w miarę możliwości utrudnić ewentualny pościg. A wybór cieszącej się mniejszą popularnością drogi zapewnił mu też więcej szans na samotną podróż.

Niewiele miał ze sobą – parę sztuk odzieży, miecz nie pierwszej młodości i kilka kęsów jedzenia. Wyruszał w takim pośpiechu, że nie

zdążył się zaopatrzyć. Miał tylko jeden bukłak z wodą, ale i nadzieję, że wkrótce dotrze do jakiegoś źródła.

Na myśl o bukłaku poczuł nagłe pragnienie. Odwiązał więc worek z wodą od siodła i osuszył jego zawartość. Woda była nieco słonawa, ale dała się pić. Przełykając ostatnie krople, wpatrywał się w ciemność i myślał o swojej wyprawie. Niziny i Kedzan czekały nań na wschodzie. Granica dżungli też leżała niedaleko. Jeśli będzie kontynuować jazdę w dotychczasowym kierunku, niedługo znajdzie się w cieplejszych rejonach. Pamiętał, że Cyrus mówił o nagłej zmianie temperatury w tamtej okolicy. Zupełnie jakby jakiś duch urządził świat, kierując się kaprysem zamiast planu.

„Jednego dnia – mawiał – masz na sobie płaszcz, który cię chroni przed zimnem, a drugiego dyszysz w upale i nieustannie oganiasz się od komarów wielkości ptaków”.

Uldyzjan jakoś nigdy nie mógł w to do końca uwierzyć, choć niektórzy kupcy przyjeżdżający do Seram potwierdzali istnienie egzotycznych terenów na wschodzie. Farmer spotkał kilku o smagłej skórze, skośnych, wąskich oczach niczym wydłużone kreski. Ludzie o takim wyglądzie mieli ponoć zamieszkiwać tereny dżungli. Uldyzjan słyszał też plotki o czarnych niczym węgiel albo o skórze barwy złota.

Klany magów miały się ponoć składać z najróżniejszych i najdziwniejszych ras, a o Kedzanie mówiono, że to prawdziwy tygiel. Uldyzjan doskonale pamiętał, jak Eton odgadł pochodzenie Lylii po rysach twarzy i stroju. I nagle myśl o samotnej wyprawie do wielkiego miasta wydała mu się mało pociągająca. Był przecież prostym kmieciem. Żałował, że nie ma przy nim choćby Lylii – pochodziła ze szlachty i tak dobrze знаła Kedzan – jednak to ją najbardziej chciał ochronić przed

niebezpieczeństwami. Właśnie ów strach, że mogłoby się jej stać coś złego, był przyczyną ucieczki Uldyzjana.

Mógł myśleć tylko o niej. Może pewnego dnia znów będą razem, ale najpierw Uldyzjan upewni się po stokroć, że nic jej z tego powodu nie grozi. I tak Lylio zawsze będzie przy nim, nawet jeśli tylko w jego myślach i w sercu.

– Uldyzjanie... – odezwał się nagle słodki głos. – Mój ukochany...

Wypuścił z dłoni bukłak i odwrócił się w siodle. Ku swemu bezgranicznemu niedowierzaniu ujrzał Lylię we własnej osobie. Była całkowicie ubrana i dosiadała wielkiego czarnego ogiera, którego farmer widział chyba po raz pierwszy.

– Lylio! Co ty tu robisz?!

Jej uśmiech od razu nadkruszył silną wolę Uldyzjana.

– Przybyłam, by zostać u twego boku.

– Powinnaś była zostać w Parcie – upierał się, próbując zebrać siły do tej kłótni. – Zostawiłem cię zresztą dla twego dobra...

– Ich mogłeś zostawić, ale mnie nigdy nie opuścisz, Uldyzjanie. Zaczęłam to razem z tobą i razem z tobą skończę.

Jej oddanie go wzruszyło. Już miał wziąć ją w ramiona, gdy przypomniały mu się podłości Malika. Jeśli Uldyzjan zatrzyma Lylię przy sobie, zawsze już będzie ona celem takich ludzi jak arcykapłan... albo gorzej nawet – tych, którzy tymi ludźmi władali. Bez względu na to jak bardzo pragnął jej bliskości, musiał ją opuścić.

– Nie, Lylio. Nasza wspólna droga tu się kończy. Nie chcę, by coś ci się stało. Nie zniósłbym, gdybyś zginęła.

– Ależ zobacz tylko, czego dokonałam, stając przeciwko Malikowi! On był przecież bardzo potężny! Zdołam się obronić, ukochany, szczególnie przed tymi, którzy będą chcieli nas rozdzielić!

To był mocny argument. Jednak Uldyzjan rozważył to w kontekście własnych umiejętności i doszedł do wniosku, że Lylia miała po prostu szczęście, a następnym razem stanie całkowicie bezbronna w obliczu potężnego wroga. I myśl o tym, co by się wówczas stało, wystarczyła, by Uldyzjan odzyskał silną wolę.

– Nie, Lylie. Nie mogę sobie pozwolić, by tak myśleć. Jeśli coś ci się stanie, ja tego nie zniosę! Musisz wracać. Nie ma dyskusji. Zostań z moimi przyjaciółmi i nie myśl nawet, by znów za mną podążyć.

Jednak dziewczyna zamiast posłuchać, zsiadła z konia.

– Nie odejdę. Pójdę za tobą, gdziekolwiek cię droga poprowadzi.

– Lylie...

Zostawiła wierzchowca, zupełnie nie przejmując się, że zwierzę mogłoby odbiec w noc, i wyciągnęła ramiona do Uldyzjana.

– Chodź, weź mnie w ramiona raz jeszcze. Pocałuj raz jeszcze. Udowodnij, że zdołasz mnie zostawić. Jeśli powiesz mi, że zdołasz, to może nawet cię posłucham.

Uldyzjan wiedział, że to głupota, ale zsiadł z konia. To tylko jeden uścisk. Jeden pocałunek. Będzie miał co wspominać. Bo przecież i tak będzie nalegał, by wróciła do Party. Nie podda się.

Ale gdy osunęła się w jego ramiona, gdy jego usta dotknęły jej, Uldyzjan znów osłabł w swym postanowieniu. A jeśli Lylie pojedzie za nim? Czy wtedy nie znajdzie się w jeszcze większym zagrożeniu, niż gdyby podróżowała u jego boku? Zyskiwał przecież coraz większą władzę nad swym darem, mógł zapewnić ukochanej bezpieczeństwo...

Nagle wstrząsnął nim dreszcz. Nie otwierając oczu, przerwał pocałunek i odsunął się od Lylie. Ogarnęła go słabość tak wielka, że ledwie utrzymał się na nogach.

– Uldyzjanie?! Źle się czujesz?



Siły wróciły mu równie nagle, jak go opuściły. Uldyzjan potrząsnął głową. Otworzył oczy, ale wzrok miał zamglony. Zamrugał kilka razy, usiłując przywrócić mu ostrość.

– Chyba... Chyba przechodzi – mruknął niewyraźnie.

Rozmazany kształt, który był przecież Lylią, teraz zaczął nabierać konturów.

Uldyzjan zmarszczył brwi, gdy zaczął widzieć wyraźniej. Coś było nie tak. Wyglądała inaczej, niemal jak...

Udało mu się zdławić okrzyk zaskoczenia, ale nie zdołał się powstrzymać, by nie cofnąć się kilka kroków. Nie patrząc, zderzył się z własnym wierzchowcem. Koń odwrócił się, parsknął i też się cofnął, jakby zobaczył nagle coś niepokojącego.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Lylią. – Uldyzjanie?! Co się dzieje?

Nie mógł jej odpowiedzieć, bo sam nie wiedział. To, co stało przed nim, nie było już kobietą. Było wyższe, pokryte łuską, liczne ogniste kolce starczały jej zamiast włosów, biegły wzdłuż kręgosłupa aż po koniec gadziego ogona, zakończonego potężnymi szpikulcami. Gdzie wcześniej były drobne dłonie, teraz znajdowały się czteropalczaste kończyny zbrojne w długie pazury. Nogi kończyły się wielkimi rozszczepionymi kopytami.

Nagie ciało, choć potworne, nadal było bardzo, bardzo kobiece. Miękkie krągłości przyciągały wzrok Uldyzjana, mimo że farmer przepełniony było odrazą. Ale najstraszniejsza była twarz z płonącymi oczami, pozbawionymi źrenic i zębami ostrymi jak igły – bowiem Uldyzjan wciąż dostrzegał rysy kobiety, którą pokochał.

– Źle się czujesz? – czarny rozwidlony język wymykał się z ust monstrum z każdym słowem.

To była, a zarazem nie była istota z koszmaru Uldyzjana. Przez chwilę farmer modlił się, by to wszystko znów okazało się snem. Ale wiedział, coś

mówiło mu wyraźnie, że to rzeczywistość... i tym razem postać przed nim nie jest w żadnym razie złudzeniem ni iluzją.

– Czym... czym ty jesteś?

– Jestem twoją Lylią! – odpowiedziała zmieszana i nieco zirytowana. – A czym niby miałabym być?

Ogon ze złością smagnął ziemię. Wzrok Uldyzjana podążył za nim, ale szybko wrócił do twarzy Lylii. Jednak ona zauważyła reakcję farmera i wyraz jej twarzy stał się jeszcze straszniejszy.

– Lucion... – wymknęło jej się, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Lucion? Co on ma z tym wspólnego? – Uldyzjan desperacko starał się odnaleźć jakiś sens w tym, co się działo.

– To na pewno czar Pierwszego! On mnie w to przemienił! – Lylią wyciągnęła do niego ręce. – Tylko ty mnie możesz ocalić!

Uldyzjan zrobił krok w jej stronę... i instynkt nakazał mu się cofnąć. Farmer uświadomił sobie, że Lylią spojrzała na swój ogon bez zaskoczenia, jakby był tam od zawsze.

Poczuł pustkę w dołku. Potrzęsnał głową, broniąc się przed tym, co zaczynał rozumieć i dostrzegać. To nie mogła być prawda! Musiało być jakieś inne wytłumaczenie! Lylią nie mogła być... tym.

– Uldyzjanie! – błagała demoniczna istota. – Błagam! Obejmij mnie! Twój chłód mnie przeraża! Mój ukochany, tylko ty możesz przywrócić mi dawną postać!

– Lylio... – Ponownie uczynił krok w jej kierunku... i tym razem tak samo instynkt nakazał mu się cofnąć niemal natychmiast. Patrzył na nią uważnie, nie mógł nie zauważyć, jak dobrze, jak swobodnie czuje się w tej postaci.

Jego koń stawał się coraz bardziej niespokojny. Począł szarpać wodze i Uldyzjan z trudem utrzymywał je w dłoni. Wierzchowiec Lylii zaś wręcz

przeciwnie, stał nieruchomo. Zbyt nieruchomo, co musiał zauważyć każdy, kto miał do czynienia ze zwierzętami. Zupełnie jakby czarny ogier został zahipnotyzowany...

Umysł Uldyzjana panicznie próbował znaleźć jakieś wyjaśnienie. Może to wcale nie była Lylia?! Może jego ukochana śpi spokojnie w domu Etona, a jakiś demon przybrał jej postać. Tak, to było całkiem możliwe.

– Odejdź ode mnie, demonie! – warknął, dobywając miecza. – Zabijałem już tobie podobnych! Nie oszukasz mnie tym głosem!

Stwór zdawał się bezgranicznie zdumiony.

– Uldyzjanie, to ja, Lylia! Pamiętasz, jak się spotkaliśmy?! Pamiętasz, jak zobaczyłeś mnie, gdy podziwiałam konie? Jak nalegałam, by przyjść do ciebie, gdy zostałeś uwięziony? Zapomniałeś o tym wszystkim?

Zaczęła wymieniać kolejne wydarzenia, podawać dość szczegółów, by pozbawić go nadziei, że może jakiś demon podszył się pod nią. Może sądziła, że w ten sposób go do siebie przekona, ale osiągnęła skutek wręcz przeciwny od zamierzonego. Przekonała Uldyzjana, że baraskował w łóżu z potworem. Jednak choć przerażenie niemal odbierało mu dech, nie mógł oderwać od niej oczu. Było w niej coś niesamowicie, nienaturalnie kuszącego. Jego ciało boleśnie pragnęło jej objąć, mimo że umysł krzyczał, by trzymać się z daleka. Każdy jej ruch wabił, jakby przysięgała, że jest niewinna, ale jednocześnie próbowała pochwytać go w swoje sidła.

Uldyzjan wzdrygnął się i zmusił, by spojrzeć w innym kierunku. Gdy tylko odwrócił głowę, usłyszał ostry, pełen furii syk.

– Spójrz na mnie, Uldyzjanie – gruchała. – Spójrz na to, co miałeś i co możesz mieć znowu... i znowu... i znowu...

Coś mu mówiło, że jeśli spojrzy, będzie po nim. Był zaledwie śmiertelnikiem, podczas gdy istota, z którą dzielił łóżo, z pewnością nie była człowiekiem.

– Odejdź ode mnie, czymkolwiek jesteś! – krzyknął, odwracając się. – Odejdź... albo zrobię z tobą to co z innymi demonami!

Spodziewał się, że zareaguje gniewem albo strachem, musiała przecież pamiętać, jak pokonał stwory wezwane przez Malika...

Malik... Nagle wszystkie szczegóły tamtego starcia zaczęły mieć sens. Uldyzjan był zaskoczony szybkim zakończeniem pojedynku z przebiegłym kapłanem, ale teraz, gdy rozumiał już, że Lylija była czymś więcej niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka, w tamtym zdarzeniu odnalazł logikę. Biedny Malik, nie wiedział, z czym przyszło mu się zmierzyć. Nawet jeśli miał jakieś podejrzenia, to nie wystarczyło. Ironia losu zapewne skłoniłaby Uldyzjana do uśmiechu, gdyby nie sytuacja, w jakiej się znalazł.

Od strony Lylii dobiegł go zaskakujący dźwięk. Nie syk, nie charkot, a śmiech, który rozdarł farmerowi duszę.

– Biedny Uldyzjan! Moje słodkie kochanie! Tak naiwny, taki łatwowierny wobec wszystkiego, co mu mówiłam...

Niemal się ku niej odwrócił, ale może właśnie o to jej chodziło.

– Co masz na myśli?

– Nie zastanawiałeś się nigdy nad tym, jak szybko rozwinęły się twoje umiejętności? Że nikt inny poza twą ukochaną Lylią nie czynił podobnych postępów?

Zastanawiał się, a sugestia w jej słowach sprawiła, że zjeżyły mu się włosy na karku.

– O tak, teraz widzi prawdę, a przynajmniej jakieś jej zarysy. Tak, mój drogi, słodki Uldyzjanie... To ja prowadziłam każdy twój krok! To co robisz, robisz sam, zaiste, ale dzięki mnie. Nie zawdzięczasz tego sobie! To ja sprowadziłam burzę i wskazałam cel błyskawicy, ja sprawiłam, że wszystko, czego pragnąłeś, stało się rzeczywistością...

– A kto zaszlachtował jednego misjonarza, a drugiego zabił, używając mojego noża? – zapytał, bo z każdą chwilą rozumiał coraz więcej.

Zachichotała. Dźwięk, który kiedyś był dlań muzyką, teraz przepełniał go odrazą.

– Musiałam przygotować ci scenę, ukochany! A zresztą, kim oni byli?! To pionki, zabawki zdradzieckiego kochanka i brata, skończonego głupca!

Uldyzjan powoli przyswajał sobie ostatnie słowa. Jeśli miałyby uwierzyć, to zarówno Pierwszy jak i Prorok byli doskonale znani Lylii. Jeden był tej samej krwi, o ile to krew krążyła w ich ciałach, drugi zaś pełnił tę samą rolę co Uldyzjan, tyle że wcześniej. Ta wiedza tylko zwiększyła jego konsternację. Całe jego życie okazało się iluzją. Nie był potęgą i siłą, a kukielką. Marionetką w rękach potwora.



Ale w głębi duszy nie chciał pogodzić się z tym wnioskiem... Przypomniawszy sobie, że to spotkanie nie potoczyło się tak, jak zaplanowała. Imię Luciona wyrwało jej się, zanim zdążyła się opanować. No i gdyby Uldyzjan w rzeczywistości był zaledwie pionkiem, dlaczego w ogóle zawracali sobie nim głowy? Dlaczego Lucion po prostu go nie zgładził? Farmer przypuszczał, że ma jakąś wartość dla Pierwszego, czy też Luciona, i dlatego nie mogli się go po prostu pozbyć. Miało to o tyle sens, że poniekąd znajdowało potwierdzenie w słowach Malika, które Uldyzjan doskonale pamiętał. A skoro tak, to znaczy, że musiało mieć to jakiś związek z mocą, która rosła w farmerze. Z jakiego innego powodu Lyli, jeśli rzeczywiście tak miała na imię, wybrała właśnie jego?

– Raz już powiedziałem – starał się, by słowa te brzmiały pewnie. – Odejdź albo cię skrzywdzę!

Znów się zaśmiała.

– Mój kochany Uldyzjanie, jak ja uwielbiam ten twój upór! Powiedziałabym, że zawdzięczasz go mnie, ale równie dobrze mogłeś go dostać od niego, tacy są aroganccy, tacy zawsze prawi. – Uldyzjan milczał, więc Lyliam mówiła dalej. – Ale ty nawet tego nie wiesz, prawda? Nie znasz własnej historii! Dowiedziałbyś się wszystkiego z czasem, gdy byłbyś gotowy. Mam ci teraz powiedzieć? Wciąż możemy być razem! Wciąż możesz wziąć mnie w objęcia i pieścić...

Uldyzjan czuł, że jego wola słabnie, i cofnął się jeszcze. Niestety, jego koń wybrał właśnie ten moment, by wyszarpnąć wodze z dłoni swego pana. Uldyzjan odwrócił się i skoczył za nim, ale wierzchowiec był już zbyt daleko. Farmer bezradnie patrzył na znikające w mroku nocy zwierzę.

– Biedny Uldyzjan... Ale nie potrzebujesz tej nędznej istoty. Mogę nauczyć cię latać albo materializować, gdzie tylko zechcesz! Ponownie nefalemowie powstaną i tym razem zajmą należne im miejsce! Ja zajmę należne mi miejsce, bez względu na protesty Królestwa Niebios albo Płonących Piekieł!

W jej głosie pobrzmiwała odległa nuta szaleństwa, którego dotąd Uldyzjan nie słyszał. Bez zastanowienia spojrział na nią.

Jej wzrok natychmiast podchwycił jego spojrzenie. Usta się rozchyliły, język wysunął jakby w oczekiwaniu na smaczny kąsek.

– Myślał, że wygnał mnie na wieczność, ale mnie nie docenił! Zabiłam wszystkich dla dobra moich dzieci i miałam mu je zostawić?! Żeby urabiał je na swój wyniosły obraz i podobieństwo?! Były wyjątkowe. Były czymś więcej niż anioły i demony! Wiedziałam, że staną się naszą przyszłością, położą kres wiecznej wojnie!

Lyliam podniosła pazurzystą dłoń i Uldyzjan poczuł, jak jego prawa stopa robi krok. Demoniczna istota skinęła na niego placem i lewa stopa podążyła

za prawą. Ogromnym wysiłkiem spowolnił ten ruch, ale wiedział, że wkrótce znajdzie się wprost przed nią; że to tylko kwestia czasu.

Najwyraźniej zdawała sobie z tego sprawę, bo nie przestawała mówić, zupełnie jakby nic się między nimi nie zmieniło; jakby Uldyzjan nie posiadał się z radości, że sypiał z potworem.

– To co nazywasz darem, kochany, jest czymś o wiele większym! Wy... wszystkie istoty ludzkie... jesteście owocem naszego połączenia! Z demonów i aniołów narodzili się nefalemowie, więksi i wspanialszy niż jakakolwiek inna kreacja we wszechświecie! Ta moc, którą w tobie obudziłam, którą w tobie odnalazłam błagając o uwolnienie, jest wam przyrodzona! Jest waszym prawem! On chciał ją zdławić, zrobić z was bydło w służbie swojej próżności, ale ja... ja mogę oferować o wiele więcej! – Wyciągnęła ku niemu ramiona. – O wiele, wiele więcej...

Uldyzjan zgrzytnął zębami.

– Jedyne czego bym pragnął, to zapomnieć, co się wydarzyło! – warknął.

– Naprawdę chcesz zapomnieć wszystko, kochany? Naprawdę chcesz mnie zapomnieć?

Uldyzjan wreszcie zdołał się zatrzymać.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności... – powiedział z twarzą zmienioną z wysiłku.

– Czyżby? – W oczach Lylii zapłonęła ciemność. – Czy tak, ukochany?

Ku swemu przerażeniu zatoczył się w jej stronę z taką prędkością, że omal nie skręcił karku. Wszystkie jego wysiłki okazały się śmiechu warte. Zrozumiał, że się nim bawi. Ani przez chwilę nie był w stanie stawić czoła jej mocy. Jego moc była niczym innym jak tylko pustym kłamstwem.

Objęła go, gdy znalazł się wystarczająco blisko. On też wziął ją w ramiona, nie bacząc, że kolce na jej plecach ranią mu ręce. Pokryte łuską

ciało było gorące jak piec i cudownie miękkie tam, gdzie miękkie być powinno.

Uldyzjan czuł, jak budzi się w nim żądza silniejsza niż jakikolwiek wstręt.

– Pocałuj mnie i przekonajmy się, jak bardzo chcesz mnie zapomnieć – kpiła Lylia.

Nie mógł jej nie posłuchać. Jego ciało reagowało z pasją, której nic nie mogło ugasić.

Nie!, krzyczał Uldyzjan w myślach, nawet gdy Lylia napierała nań swoim ciałem. Nie! Już nigdy nie będę do niej należał!

Skrzywił się, czując ból w dolnej wardze. Lylia go ugryzła. Poczuł, jak jej język zlizuje krople krwi i aż się wzdrygnął. Wreszcie cofnęła głowę. Wyraz jej twarzy mówił właściwie wszystko. Wiedziała, że choć w głębi Uldyzjan krzyczy z odrazy, jednak znajduje się całkowicie pod jej wpływem.

Zaśmiała się gardłowo. Uldyzjana ogarnęło złe przeczucie...

Potężna moc uderzyła w niego i posłała go w powietrze tak, jak on swego czasu rzucił strażnikami Malika. Krzyknął, gdy wyleciał nad drzewa, pewien, że zaraz w któreś uderzy, ale żadna gałąź go nie tknęła. Upadł na ziemię i potoczył się ciężko. Miał wrażenie, że każda kość w jego ciele została połamana, każdy mięsień krzyczał z bólu. Kiedy Uldyzjan wreszcie się zatrzymał, nie mógł nawet ruszyć palcem. Jednak choć przeleciał spory kawałek, czuł Lylię tuż obok. I rzeczywiście, pochyliła się nad nim ułamek sekundy później.

– Wielki Uldyzjan, reformator światów! Myślę, że zrozumiałeś już, jak naprawdę jesteś wielki!

– Niech cię... – nie mógł powiedzieć nic więcej, nie miał ani krzty powietrza w płucach.



– Nadal się opierasz? – Uklękła przy nim, dając mu tym samym możliwość obejrzenia z bliska zalet swego ciała. – Czasem to wartościowa cecha...

Nie mógł zaprotestować, gdy pocałowała go ponownie. Świadoma targających nim sprzecznych emocji, postarała się, by ten pocałunek trwał dłużej.

– Odzyskasz rozsądek – roześmiała się wreszcie. – Ale najpierw lekcja, którą musisz sobie przyswoić. Kim tak naprawdę jesteś beze mnie.

Wiatr zerwał się nagle z wyciem. Kolce na jej głowie zadrżały, jakby żyły własnym życiem. Lylia wstała i wzniosła ramiona. Najwyraźniej to za jej sprawą nastąpiła zmiana pogody.

– Przekonajmy się, kim jesteś beze mnie – powtórzyła ze śmiechem. – Zobaczymy, jak długo będziesz się opierał! Nie za długo, tak myślę, co, kochany?

Zebrawszy wszystkie siły, Uldyzjan rzucił się, próbując pochwycić ją za kostki. Nie umiałby powiedzieć, co właściwie chciał osiągnąć, może co najwyżej wywrócić Lylię, ale i tak czuł, że musi spróbować.

Ta próba była równie żałosna jak jego wcześniejsza arogancja. Zdołał jedynie zadrasnąć łuskowatą skórę. Lylia stała i przyglądała się tym próbom spokojnie.

– Nie, jeszcze nie, kochany Uldyzjanie! Będziesz mógł mnie przytulić, gdy poniesiesz zasłużoną karę... Jeśli, oczywiście, przetrwasz tę lekcję! – Przekrzywiła głowę. – Jeśli...

Warknął i raz jeszcze spróbował ją pochwycić, ale wiatr pchnął go w tył z taką siłą, że farmer upadł na plecy. Świat zawirował wokół niego, a Uldyzjan ponownie walczył o oddech.

I nagle bez ostrzeżenia wichur ustał. Okolicę ogarnęła cisza. Uldyzjan zdołał nabrać powietrza w płuca. Odzyskał nawet ostrość wzroku i teraz

czekał, co też kusicielka zamierza z nim uczynić.

Jednak Lylią zniknęła.

„Przekonajmy się, kim jesteś beze mnie”, powiedziała. Wzruszył ramionami, wiedząc, że jej nieobecność zapowiadała jedynie nadejście czegoś jeszcze gorszego. Zdołała już mu udowodnić, że nie ma prawdziwej mocy, a wszystko, co osiągnął, dostało mu się za jej sprawą.

Farmer myślał o Strażnikach Pokoju i Inkwizytorach. Wyobrażał sobie demony i morlu spragnione jego krwi, a dotąd trzymane w ryzach przez swych panów. Religia nie miała tu znaczenia, zapewne Pierwszy i Prorok będą chcieli dostać Uldyzjana z uwagi na jego moc. Jednak odkąd zrozumiał, że był zaledwie pustym naczyniem, uznał, że pionki nie będą miały z niego korzyści.

Gorzej, że ci, których dotąd prowadził, zobaczą w nim kogoś, kto składa puste obietnice. Stracą nadzieję, obrócą się przeciw niemu. Jego przyjaciele rozumieją, że zrezygnowali ze wszystkiego w imię niczego.

Przekonajmy się, kim jesteś beze mnie...

Lecz Uldyzjan już wiedział – był głupcem, największym z głupców. Co więcej, potępionym na wieki.

# DZIEWIĘTNAŚCIE



Ktoś go wołał. Znał ten głos, ale nie mógł odpowiedzieć.

– Uldyzjanie!

Chciał pomachać, dać jakikolwiek znak – nie zdołał. Jego umysł powoli układał kolejne wspomnienia. Uldyzjan przypomniał sobie Lylię i odkrycie jej prawdziwej natury. Ta straszliwa myśl dała mu siłę, by krzyknąć. I to wystarczyło, żeby nakierować nań szukającego.

– Uldyzjanie! Wiem, że gdzieś tu jesteś! Gdzie... – to był głos Achiliosa, uświadomił sobie Uldyzjan. Dobrego, wiernego Achiliosa. Farmer spróbował wymówić imię łuczника, ale tylko zacharczał niezrozumiale.

– Tutaj! Jest tutaj – odezwał się ktoś, chyba Serentia. I choć Uldyzjan poczuł wdzięczność, że i ona go szuka, to natychmiast ogarnęła go też obawa, bo nie miał wątpliwości, że Lylia z prawdziwą przyjemnością dręczyłaby czarnowłosą dziewczynę.

Miękkie dłonie ujęły jego twarz. Szarpnął się instynktownie, zdjęty strachem, że to Lylia. Ale ten strach został niemal natychmiast przegnany głosem Serentii.

– Żyjesz! Achiliosie! Mendelnie! On jest tutaj!

Uldyzjan usłyszał trzask łamanych gałęzi, a potem przekleństwo, które padło z ust łuczника.

– Jest ranny? – w głosie Mendelna słychać było raczej zaniepokojenie niż zaniepokojenie.

– Posiniaczony – odparła Serentia. – Ale nie widzę ran ani nie czuję połamanych kości.

Kolejna postać pochyliła się nad farmerem.

– Jest blady jak śmierć... – mruknął Achilios. – Albo i co gorszego.

Uldyzjan przypominał sobie szczegóły. Obawę o brata i przyjaciół, a także to, że chciał zawrócić, ale wówczas Lylia jakby odebrała mu całą wolę i stracił nagle przytomność. Nie wiedział, czy kiedykolwiek by się obudził, gdyby przyjaciele nie przyszli go szukać. Pewnie w końcu tak. Przecież Lylia nie chciała jego śmierci, tylko cierpienia i porażki.

– Skąd...? – przełknął ślinę i spróbował raz jeszcze. – Skąd wiedzieliście...?

Zupełnie jakby zapytał ich, czy nie postanowili wspólnie popełnić jakiejś przerażającej zbrodni.

Cała trójka sprawiała wrażenie mocno zakłopotanych. Zapadła niezręczna cisza.

– Wiedzieliśmy, że twoje życie jest w niebezpieczeństwie – wyznał w końcu Mendeln.

Uldyzjan przypomniał sobie, jak brat wcześniej biegł przez dom, wykrzykując jego imię.

– Ty wiedziałeś?

– Wszyscy wiedzieliśmy.

Achilios i Serentia kiwali głowami.

– Myślałam, że to zły sen – powiedziała dziewczyna. – Ale był tak przerażający, że musiałam to sprawdzić. I zobaczyłam Achiliosa.

– A ledwieśmy się spotkali, dołączył do nas Mendeln, nalegając, że musi się z tobą zobaczyć raz jeszcze.

Mendeln zmarszczył brwi.

– Wrażenie, że jesteś w niebezpieczeństwie, nie mijało. Wiedziałem, że możesz być na mnie zły, Uldyzjanie, ale musiałem cię ostrzec za wszelką cenę... i wtedy odkryliśmy, że ty... i Lylia... zniknęliście.

– Lylia! – Serentia gwałtownie wciągnęła powietrze. – Zapomnieliśmy o niej! Uldyzjanie, nie byliście razem?

– Byliśmy – wychrypiał, ale nie z powodu stanu, w jakim się znajdował, lecz przez odrażające wspomnienia. A jednak w głębi serca tęsknił za Lylią boleśnie.

Jego towarzysze zaczęli się rozglądać, ale on tylko pokręcił głową.

– Nie... nie szukajcie jej. – Zmusił się, by usiąść. – Z naszym szczęściem jeszcze ją znajdziemy.

Nie umknęło mu ich zmieszanie. Wstał przy pomocy Serentii i Achiliosa i wtedy napotkał wzrok Mendelna. Uldyzjan ponownie wrócił myślami do tej koszmarnej wizji młodszego brata. Przyjrzał się Mendelnowi tak intensywnie, że ten wreszcie odwrócił głowę, jakby czuł się winny.

– Uldyzjanie... – mruknął Achilios zakłopotany. – Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego nie powinniśmy chcieć jej odnaleźć? Dlaczego ty tego nie chcesz?!

Gdyby nie to, że wszyscy mieli już do czynienia z demonami i czarami, pewnie nie zdołaliby im wszystkiego wyznać. Teraz musiał jedynie pokonać własny wstyd, który był tak potężny, że trwało dobrą chwilę, zanim farmer zaczął mówić.

A kiedy skończył, patrzyli na niego z takim przerażeniem, jakie on czuł w duszy.

– Musiało ci się wydawać! – stwierdził łucznik. – To nie może być prawda.

– Demon? – wymamrotała Serentia, kręcąc głową. – Demon?

Tylko Mendeln, początkowo zaskoczony, teraz jednak już kiwał głową ze zrozumieniem.

– To wiele wyjaśnia – oświadczył. – Jak spojrzeć w przeszłość, to mnóstwo rzeczy nabiera sensu.

Uldyzjan nie był pewien, czy podziela to zdanie. Wiedział tylko, że bez wątpienia był ślepy, głuchy i głupi. Pozwolił, by Lylia prowadziła go niczym konia na postronku. Ludzie ginęli z powodu jej szaleństwa, bo chciała stworzyć świat pełen magicznych istot.

Musiał przyznać pozostałej trójce, że wzięli sobie jego słowa do serca.

Powiedział im wszystko, nawet to, że według Lylii ich świat nazwany został Sanktuarium i został stworzony przez zbuntowane anioły i demony. Zależało mu na tym, by zrozumieli, że miała plany przewidujące konflikt zarówno ze Świątynią, jak i z Katedrą, i w jakiś sposób były one z nią powiązane. Powiedział również o tym, że Lylia pozostawiła go w ramach kary za to, że jej się sprzeciwił. A to znaczyło, że wszyscy znaleźli się w niebezpieczeństwie.

– Musimy opuścić Partę! – podniósł głos. – Musimy ratować się ucieczką! Dżungle na nizinach są naszą najlepszą...

– Chwila, Uldyzjanie – powstrzymał go Achilios. – Co ci chodzi po głowie? Nie możemy uciekać! Ucieczka oznacza, że będziemy ścigani i nie zdołamy się bronić!

– Achiliosie, wszystko to, co myślałem, że mogę zrobić, okazało się kłamstwem! To była ona! Wszystko!

– Nie wiem, czy mam w to wierzyć. Jakoś nie brzmi prawdziwie!

– Bo to nieprawda – Serentia poparła łuczника. – Uldyzjanie, obserwowałam cię, czułam to, co robiłeś. To nie mogła być Lylia! To, co poczułam, gdy mnie dotknąłeś, pochodziło od ciebie! Wiem to tak dobrze, jak... jak... znam siebie. – Poczerwieniła przy tych słowach.

Uldyzjan był jej wdzięczny za te słowa, ale jej nie wierzył.

Nadal był przekonany, że wszystkie jego wysiłki były tylko pustym spektaklem urządzonym przez Lylię.

– Nie widziałaś, z jaką łatwością mną manipulowała, jak łatwo popychała mnie w tę stronę, w którą chciała!

– Uldyzjanie...

– Nie, Serri! Gdyby chciała, mogła mnie zabić na miejscu. Widzieliście, w jakim byłem stanie, gdy mnie znaleźliście... Potrzebuję wszystkich sił, żeby utrzymać się na nogach.

– No i właśnie. Zaprowadźmy go do konia – mruknął Achilios.

Lylia nie żartowała, mówiąc, że bez niej on jest niczym – teraz Uldyzjan był słaby niczym dziecko. Przyjaciele będą wyraźnie potrzebować nieco więcej czasu, żeby to pojąć. Niestety, właśnie tego czasu nie mieli. Z pewnością niedługo zjawi się ktoś, by pojmać Uldyzjana.

– Twoje argumenty miałyby więcej wagi... – zaczął Mendeln, lecz potem poczekał, aż Uldyzjan wespnie się na siodło przy pomocy Achiliosa, i podał bratu wodze – gdybyś mógł wyjaśnić, w jaki sposób Serentia i Achilios wiedzieli, że jesteś w niebezpieczeństwie.

Serentia natychmiast się tego uchwyciła.

– Właśnie! To szczególnie wygląda jak spisek, który miałby jej przekłąć korzyść na względzie! – rzuciła z sarkazmem.

– Musicie dostrzec prawdę! – ryknął, wrywając wodze z dłoni brata. – To wszystko była sztuczka! Gra między demonami! W której ja odegrałem największego głupca!

Zalała go gorycz. Uderzył piętami w boki wierzchowca i podpędził zwierzę w kierunku, w którym zmierzał pierwotnie. Wolał uciec niż ryzykować życiem i zdrowiem ludzi, których kochał i których bezpieczeństwo było dlań ważniejsze niż kiedykolwiek.

Ale nie ujechał daleko, gdy usłyszał dobiegający z tyłu tętent.

Klnąc, spieszył konia do szybszego galopu. Ścieżka była zwodnicza i do tego opadała stromo, ale farmer nie zwolnił. Gdyby koń się potknął i zrzucił jeźdźca w objęcia śmierci, byłoby to – zdaniem Uldyzjana – najlepsze rozwiązanie. Nie musiałby się bać, że znów stanie się obiektem podstępnych manipulacji, a Mendeln i pozostali będą bezpieczni. Żadne z nich nie zostało przecież uznane za zagrożenie, nie stało się też bronią w rękach Katedry czy Świątyni. Nie będą musieli się obawiać.

– Niech cię szlag, Uldyzjanie! – krzyknął za nim Achilios. – Zatrzymaj się!

Farmer poczuł się niemile zaskoczony, bo głos łuczника zabrzmiał naprawdę blisko. Uldyzjan zerknął przez ramię. Achilios był zaledwie o długość konia. Dalej, w ciemności, majaczyły sylwetki Mendelna i Serentii, którzy dzielili wierzchowca.

– Wracaj do Party! – krzyczał Uldyzjan. – Zabierz ich ze sobą! Nie chcę, by ktoś jeszcze postradał życie, może poza mną!

– Gdzie masz rozum?! Wiesz, że żadne z nas cię nie opuści, nie po tym jak nam powiedziałaś, czym jest Lylia i co ci zrobiła!

Serentii i Mendelna nie było już widać. Przed sobą Uldyzjan zobaczył rozstaje. Ścieżka wiodąca w lewo zwężała się niebezpiecznie. Tam Achilios nie zdoła zbliżyć się do Uldyzjana.

Farmer gwałtownie skręcił. Wierzchowiec niemal się potknął, bo grunt był tu jeszcze bardziej zdradziecki. Widać było, że mało kto jechał tym szlakiem, ale Uldyzjan o to nie dbał, chciał tylko, by ci za nim zaprzestali pościgu.

Achilios zaklął podniesionym głosem.

Uldyzjan nie odwrócił się, pilnując drogi przed sobą. Nie słyszał już pogoni, jego przyjaciel najwyraźniej został z tyłu.



I nagle z ciemności wyłoniły się wiszące nisko gałęzie. Uldyzjan ledwie zdążył się uchylić przed pierwszą. Konar trafił farmera w ramię, wstrząsając całym jego ciałem. Tylko cudem gałąź nie pozbawiła Uldyzjana przytomności, albo choć nie ogłuszyła częściowo, a wtedy z pewnością nie zdołałby się uchylić przed kolejną, jeszcze grubszą. Trzecia i czwarta pojawiły się niemal natychmiast. Uldyzjan zanurkował w lewo, w prawo i znów w prawo. Ostatnia gałąź przesunęła mu się po głowie. Poczul płynącą po karku wilgoć, niewątpliwie krew.

Ale Uldyzjan nie czuł bólu, tylko rosnącą nadzieję. Achilios będzie musiał zwolnić, przejeżdżając pod gałęziami, a to znaczyło, że farmer albo zostawi go daleko w tyle, albo nawet zgubi. W słabym świetle księżyca Uldyzjan widział miejsca doskonale na kryjówkę, której nie znajdzie nawet doświadczony łucznik. I nagle głośny trzask zaskoczył go na tyle, że mało brakowało, a poprowadziłby konia wprost na drzewo. Bez zastanowienia Uldyzjan zwolnił. Dźwięk doszedł od strony zdradzieckich gałęzi.

Gałęzie... gdyby nie zwolnił... Achilios.

Uldyzjan wstrzymał konia i nasłuchiwał.

Cisza... nie... parskanie konia. Ale nie tętent kopyt.

Miał już pognać swego wierzchowca, gdy nagle się zawahał. Nadal słyszał jedynie konia.

Zaklął i zwrócił. Jeśli coś złego się stało...

Pogrążona w ciemności ścieżka okazała się równie niebezpieczna przy wspinaczce, jak i przy zjeździe. Kawałki skały kruszyły się pod końskimi kopytami, osuwała się ziemia.

Przed Uldyzjanem zamajaczył ciemny kształt. Koń Achiliosa. Ale bez jeźdźca. Gdzie...?

Z lewej rozległ się jęk. Ścieżka opadała tam w sposób nieco przypadkowy. Uldyzjan poczul narastający lęk. Nie czekał nawet, aż

wierzchowiec się zatrzyma, tylko zeskoczył na ziemię. Bolał go każdy mięsień – wcześniej, w złości, nie zwracał uwagi na swój stan – i teraz jego ciało dawało mu o tym znać bezlitośnie. Ledwie mógł chodzić.

Nie zatrzymał się jednak.

Uwiązał oba konie do jednej ze zwisających nisko gałęzi i niezgrabnie ruszył w stronę, z której słyszał jęki.

Nie umknęła mu ironia losu widoczna w tej sytuacji aż nadto wyraźnie. Achilios z własnej woli przybył Uldyzjanowi na pomoc i oto, co dostał w zamian. Farmer czuł się teraz winny i zawstydzony, tym bardziej, że doskonale pamiętał, jak jeszcze przed chwilą miał nadzieję, że któraś z gałęzi przysporzy Achiliosowi kłopotów.

Uldyzjan był jednakowoż świadom niebezpieczeństwa i nie obchodziło go nic poza własnymi wyborami.



Droga w dół była wyjątkowo ryzykowna, bowiem ziemia osypywała się spod nóg przy każdym kroku. Nadal nie było słychać trzeciego konia i Uldyzjan mimowolnie zastanowił się, jak daleko byli Serentia z Mendelnem. Nie mógł założyć, że pojawią się w cudowny sposób, gdy tylko wyciągnie Achiliosa na górę. Uldyzjan przestał już wierzyć w cuda – te wielkie i te małe też.

Poniżej widział jedynie ciemność. Liczył, że jasne włosy łucznika będą bardziej widoczne, ale niestety. Zaniepokoił się poważniej. Czy aby na pewno był w ogóle w odpowiednim miejscu?

Nagle coś pchnęło go w lewo, do miejsca, którego Uldyzjan początkowo w ogóle nie brał pod uwagę. Ale gdy chciał zawrócić, odkrył, że nie jest w

stanie. Zszedł głębiej i dostrzegł jakiś ciemniejszy kształt. Odwrócił go ostrożnie i usłyszał stłumione kasznięcie.

– U... Uldyzjan? Dziwne. A myślałem, że to ja ratuję ciebie.

– Wybacz mi, Achiliosie! Nie chciałem, żeby stało się coś takiego!

Możesz wstać?

Łucznik stęknął boleśnie.

– Lewa noga całkiem zeszywniała, ale chyba tylko się poobijałem.

Daj... daj mi rękę.

Gdy Uldyzjan spełnił prośbę przyjaciela, własne ciało z kolei przypomniało mu, czego tego dnia doświadczyło. Obaj mężczyźni jęknęli zgodnym chórem.

– Ale... ale z nas mocarze – zaśmiał się słabo Achilios.

– Pamiętam, że bywaliśmy bardziej poobijani jako dzieciaki i wcale wtedy nie jęczyliśmy – odpowiedział równie rozbawiony Uldyzjan.

– Dzieci są bardziej odporne niż starsi panowie!

Powoli wspinali się po skarpie, potykając się przy tym nie raz i nie dwa. Gdy wreszcie wrócili na ścieżkę, Uldyzjan usłyszał powolny stukot kopyt. Dogonili ich Mendeln i Serentia.

– Widzisz? Znaleźliśmy ich, jak obiecywałem – powiedział Mendeln nienaturalnie spokojny. Ale Serentia ani myślała marnować czas na rozmowy, ześlizgnęła się z końskiego grzbietu i pobiegła, ale nie do Uldyzjana, a do Achiliosa.

– Nic ci nie jest? – spytała, chwytając go w objęcia.

– Nic... nic.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale w końcu odwróciła się do Uldyzjana.

– Co się stało?!

Farmer już miał jej odpowiedzieć, gdy odezwał się Achilios:

– Byłem nieuważny, Serentio, to... to wszystko. Na szczęście mój przyjaciel zrozumiał, że coś się stało i wrócił po mnie.

Przesunęła dłońmi po jego ramionach, piersi i twarzy, uspokoiwszy się dopiero wtedy, gdy zyskała pewność, że nie odniósł poważnych ran.

– Całe szczęście! Gdyby coś się stało...

Uldyzjan widział już, że Achilios miał rację, mówiąc, że Serentia zaczęła odwzajemniać uczucia myśliwego. To był jeden z niewielu powodów do radości. Tych dwoje pasowało do siebie.

Poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

– Chodźmy do koni – powiedział, starając się, aby zabrzmiało to zwyczajnie.

Ale zarówno Uldyzjanowi, jak i Achiliosowi ciężko się było poruszać, a to z kolei wywołało kolejne lamenty Serentii.

– Twoja noga? Złamana?!

– Nie, obita. Jak i moja duma. Przecież wiem doskonale, że trzeba uważać na niskie gałęzie.

– Daj mi ramię – zażądała i poprowadziła Achiliosa do koni, bez namysłu zostawiając Uldyzjana, który był dotąd podporą łucznikowi. Farmer nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Ale i jego podtrzymały czyjeś ręce.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział Mendeln.

Obecność brata Uldyzjan powitał z ulgą, ale i zarazem nową falą wstydu.

– Dziękuję ci – mruknął.

– Mamy tylko siebie.

Te słowa trafiły Uldyzjana w samo serce. Tak się przejmował Lylią, że nie poświęcał bratu nawet po części tej uwagi, co powinien. Ale teraz, wraz z troską, powróciła też obawa o bezpieczeństwo Mendelna i tamtych dwojga.

– Dżungle toradzańskie – znenacka odezwał się Mendeln cicho. – Te najbardziej nieprzebyte, na południowy zachód od Kedżanu.

– Co z toradzańskimi dżunglami?

Mendeln popatrzył na brata i zamrugał niepewnie.

– Dżunglami? Co masz na myśli?

– Mówiłeś o dżungli, a konkretnie o dżungli toradzańskiej, na południowy zachód od wielkiego miasta.

– Tak? – Mendeln zacisnął usta, ale nie wydawał się zaniepokojony tą luką w pamięci. – Bo jeśli nie wracamy do Party, wydaje mi się, że to by było dobre miejsce. – Skinął głową w stronę wierzchowca. – Mam prowiant i wodę, dość, żeby wyruszyć w drogę. Dlatego nie mogliśmy was dogonić, koń niósł zapasy i dwóch jeźdźców.

Uldyzjan nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Zdołałeś przygotować zapasy? Kiedy?

– Były już przygotowane. Uznałem, że zamierzałeś poprowadzić luzaka, tylko zrezygnowałeś w ostatniej chwili.

Szybkie spojrzenie na konia upewniło Uldyzjana, że nie chodzi o tego czarnego jak noc ogiera, na którym jechała Lylia. Ale nadal nie wiedział, jak to możliwe, że przygotowane do drogi zwierzę czekało, i to dokładnie w chwili, gdy jego brat takowego potrzebował.

Farmer nie umiał odgadnąć, czy to dar, czy przynęta, czy też jakiegoś rodzaju łapówka, wrócił więc myślami do dżungli – kwestii wartej rozważenia, bez względu na fakt, czy Mendeln pamiętał, że o niej wspomniał, czy nie. Ponieważ pochodziła od brata, Uldyzjan był w jakiś niewytłumaczalny sposób przekonany, że Lylia nie ma z tym nic wspólnego.

– Dżungle toradzańskie... – powtórzył pod nosem, teraz już z większym przekonaniem.

- Chcesz tam pojechać. – To nie było pytanie.
- Nie sądzę, bym miał wybór – odparł Uldyzjan ponuro.
- Nie ty, a my. My nie mamy wyboru.

Uldyzjan mocniej uścisnął ramię brata, wdzięczny za tę stanowczość.

- I zrozum mnie dobrze, Uldyzjanie, mówię też o Serentii i Achiliosie.

– Co mówisz o nas? – zainteresował się myśliwy, wciągając dziewczynę na siodło przed sobą. Nikt nie zaprotestował przeciwko tej zamianie miejsc.

– Chcemy jechać do dżungli toradzańskiej – odpowiedział Mendeln, nim Uldyzjan choćby znalazł odpowiednie słowa.

– Toradzańskiej... – Achilios przechylił głowę. – Nieprzebyta i niepoznana, jak słyszałem. Toradza to jedyne miasto, w którym ludzie malują swoją skórę na czarno i piłują zęby, żeby były jak sztylety – roześmiał się. – Wygląda na wspaniałe miejsce.

Uldyzjan myślał o czekającej ich drodze. Zanim dotrą do celu, będą musieli przemierzyć okolice niezbadane jeszcze przez ludzi, może wielce niebezpieczne. W rzeczywistości jedna wielka dżungla porastała ogromne tereny, ale człowiek, istota terytorialna, dzielił je, wyznaczał granice i nadawał im różne nazwy. Dżungla toradzańska była jedynie częścią znaczenie rozleglejszego lasu. Po prawdzie, jeśli w ogóle dotrą tak daleko, to mogą się zorientować dopiero po upływie paru dni.

Uldyzjan nie potrafił wyobrazić sobie Serentii w takim otoczeniu.

– Serri...

– Powiedz tylko słowo, że mam zostać, Uldyzjanie ul-Diomedzie, a gorzko tego pożałujesz. Nie ma wątpliwości, że jadę z wami.

Achilios uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Dobrze wiesz, że nie będę się z nią kłócił.

Uldyzjan w istocie, wiedział dobrze, skinął więc tylko głową. Jednak nadal pragnął, żeby zrozumieli, jak poważna jest ich sytuacja.

– Jeśli ruszycie ze mną, nie ma mowy o powrocie do Party. Ja się nie cofnę. Wątpię, byśmy dali radę wyjechać raz jeszcze bez podrywania na nogi całego miasta.

Te słowa zyskały natychmiastową aprobatę Mendelna, a Serentia i Achilios szybko postąpili za przykładem młodego uczonego.

– Mam trochę zapasów i wodę – poinformował ich młodzieniec.

– Ja postaram się o świeże mięso po drodze – dodał Achilios bez cienia zarozumiałości. Nie mieli wątpliwości, że myśliwy bez trudu dotrzyma słowa.

Uldyzjan musiał powiedzieć jeszcze jedno:

– Dziękuję... Wolałbym, żebyście zostali, ale... dziękuję.

– Odkryją nasze zniknięcie o świcie, do tego czasu powinniśmy znaleźć się jak najdalej stąd – rzekł Mendeln.

Nikt się z tym nie spierał. Gdy tylko partanie zorientują się, co się stało, niektórzy natychmiast wyruszą śladem Uldyzjana. Przynajmniej na początku. Farmer wcale nie chciał ich porzucać, ale uważał, że czyni to dla ich dobra. Niedługo zorientują się, że nie dana im była żadna moc. Poczują się oszukani i gniew zastąpi dotychczasowe uwielbienie. Uldyzjan zastanawiał się, jak bardzo może rozpaść się płomień tego gniewu. Gdyby troje jego towarzyszy pozostało w Parcie, mogliby stać się celem gniewu mieszkańców. Z pewnością musieliby ratować się ucieczką. Jeśli spojrzeć na sprawy z tego punktu widzenia, to tej trójce lepiej było podróżować z Uldyzjanem.

Przynajmniej na razie.

Lucion wpatrywał się intensywnie w czarę wypełnioną krwią. Widział wszystko, co się wydarzyło od chwili, gdy wespół z dwoma demonami rzucił zaklęcia. Znalazł ją – Lilith – w ramionach ludzkiego durnia i zaplanował obnażenie jej prawdziwej natury przed tym głupcem. To był

prawdziwy majstersztyk. Z całej jej arogancji zostały tylko poza i gniew. Zwróciła się przeciwko własnej marionetce, a potem porzuciła kanalię.

I to był pierwszy z jej wielkich błędów.

Obraz w czarze zbladł, we krwi zbrakło już bowiem życiowej esencji. Lucion mógł oczywiście ponowić czar, ale musiałby ponownie targować się z Astrogą i Gulagiem, którzy tym razem zażądałoby bez wątpienia o wiele więcej niż niewielkiej ofiary, którą musieli zadowolić się poprzednio. Z demonami i ludźmi ciągle był ten sam problem – zawsze chcieli więcej.

Tym razem Lucion zamierzał sam zająć się wszystkim – nagroda była zbyt cenna, by się nią dzielić. Bez trudu utrzyma w niewiedzy dwóch pozostałych wysłanników Najwyższych Złych. Robił to od chwili, gdy wcielił się w rolę Pierwszego, o której nie mieli pojęcia... O której nie wiedział nawet jego ojciec.

– Dziękuję ci za takie piękne podwaliny, siostrzyczko – zachrypiał nieludzkim głosem. Był też wdzięczny poległym Malikowi i Damosowi, którzy tak dobrze wywiązali się ze swoich zadań, bez względu na to, czy byli ich świadomi, czy nie. Szkoda, że stracił obu równocześnie, ale wiedział już, kogo uczyni zastępcą arcykapłana, a zajadłych morlu też miał pod dostatkiem. Najważniejsze zaś, że dotknięcie magicznej kończyny, które było nieuniknione, jeśli wziąć pod uwagę chciwość Malika i upodobanie Lilith do ironii, nie tylko odsłoniło prawdziwą naturę siostry Luciona, ale i na pewien czas usunęło wszelkie magiczne osłony, jakie mogła przygotować. I w tej właśnie chwili cierpliwy Lucion rzucił czar, który miał zniszczyć wszelkie plany Lilith. Gdy zaistniały odpowiednie okoliczności, Uldyzjan ul-Diomed zobaczył swą ukochaną taką, jaka była naprawdę. Wszystko potoczyło się wręcz idealnie. A nawet lepiej, Lilith w gniewie poprzekręcała bowiem fakty, plunęła kłamstwami, ukrywając przed



swoją marionetką prawdę. A potem go porzuciła. I zostawiła Uldyzjana, by teraz Lucion mógł wejść do gry i sam manipulować kmiem.

Pierwszy uśmiechnął się szeroko, ale zaraz spowaźniał, poczuł bowiem, że ktoś go obserwuje. Natychmiast począł szukać obserwatora, lecz nie oczyma, a umysłem, udając, że wciąż wpatruje się w czarę z krwią, ale mimo wszelkich wysiłków nikogo ani niczego nie znalazł. Nadal niespokojny, przeszukiwał świątynię, by sprawdzić, gdzie znajdują się pozostałe dwa demony. Gulaga znalazł na dole, gdzie monstrum rozrywało wojowników morlu na strzępy dla samej przyjemności niszczenia. Inni morlu atakowali demona zawzięcie, zadając mu rany, które natychmiast się zasklepiały. Ów brak powodzenia w żaden sposób nie tłumili ich żądy walki. Rzucali się do kolejnego ataku, a Gulag rozrywał ich po kolei. Demon niszczenia wiedział doskonale, że póki tylko nie zjada żadnych fragmentów ciała czy kości, może rwać, zabijać i siać zamęt, ile tylko zapragnie. Morlu zostaną wskrzeszeni Pocałunkiem Mefista, a śmierć uczyni ich tylko bardziej zajadłymi i skorymi do walki.

Lucion z zadowoleniem przyjął fakt, że obserwatorem nie był Gulag, i począł szukać Astrogi. Pająk był o wiele bardziej przebiegłą istotą, powołany został bowiem przez Diabło. Jeśli któryś z dwóch demonów mógłby szpiegować Luciona dla jakichś własnych celów, to tylko ten.

Ale Astroga nadal krył się w cieniu, który lubił, i raczył się tym, co pozostało z brata Ikariona. Wokół niego roiło się od mniejszych wielonożnych pajaków, powstałych z samej esencji demona, będących przedłużeniem jego kończyn i zmysłów, gotowych wypełnić każdą wolę Astrogi.

Może to jeden z nich? – zastanawiał się Lucion, ale wiedział, że nawet Dzieci, jak Astroga zwał swe stworzenia, nosiły ślad samej istoty demona, więc Lucion natychmiast by go rozpoznał.

Wciąż nieruchomy raz jeszcze zbadał dokładnie komnatę, ale i tym razem niczego nie znalazł. Demony, jako że były, czym były, miały skłonność do nienaturalnej wręcz podejrzliwości i Lucion wiedział, że on również nie jest od niej wolny.

Zdołał wreszcie pozbyć się myśli o ewentualnym obserwatorze. Najważniejsza była teraz marionetka Lilith. Przyszedł czas, by Lucion dokończył edukacji człowieka, tak pięknie rozpoczętej przez jego siostrę.

Albo – jeśli człowiek nie będzie nic wart – by się go pozbyć.

W miejscu, które było i nie było zarazem, zmaterializowała się postać spowita w czerń. Wokół panowała tylko ciemność, a jednak mężczyzna nie okazał w żaden sposób zaniepokojenia. To miejsce–niemiejsce było mu domem, tak jak i każde inne w czasie tysięcy żywotów.

Czekał w milczeniu, świadom, że ten, z którym musiał mówić, przyjdzie doń w odpowiednim czasie. Rozumiał, że może to znaczyć oczekiwanie przez dni, tygodnie czy może nawet lata, ale nie miało to żadnego znaczenia. W tym drugim miejscu, zwanym Sanktuarium, nie minie ani chwila. Mężczyzna wróci dokładnie w tym samym momencie, w którym je opuścił.

Co nie znaczyło, że zdąży na czas.

Nie było dźwięków ani drgnienia wiatru. Pod nogami czuł grunt, ale wiedział, że to tylko złudzenie. W tym miejscu wszystko, co istniało, było jedynie snem jego nauczyciela.

I nagle z góry popłynęło światło, które obudziło jego zmęczone kości. Podniósł wzrok, oczy natychmiast przyzwyczyły się do zmiany. Ponad jego głową z tego, co zdawało się bezładnie rozrzuconymi gwiazdami, formował się kształt. Najpierw gwiazdy zbiły się w gromadę, potem poczęły oddalać od siebie. Na koniec utworzyły zarys kształtu na podobieństwo konstelacji.

Wytrenowanym okiem mężczyzna bez trudu zobaczył zarys gargantuicznej bestii tak mitycznej jak on sam.

– To jej brat uczynił ruch – powiedział. – On nie. A to może oznaczać tylko jedno...

Głos, który napłynął z góry, nawet anioły zmusiłby do bezruchu.

– Tak... I nadejdzie śmierć...

# DWADZIEŚCIA



Kierowali się ku dżungli, zatrzymując jedynie wtedy, gdy zmuszała ich do tego konieczność. Uldyzjan był pewien, że podróżują w niezłym tempie. Tak naprawdę żadne z nich nie oddalało się wcześniej od Seram i mogli się teraz opierać jedynie na pamięci Mendelna do map. Na szczęście Mendeln po raz kolejny udowodnił, że każda mapa, którą w życiu widział, zapisała się w jego pamięci na zawsze. Kolejne znaki, jakich kazał wypatrywać swym towarzyszom, zaczynały się przed nimi pojawiać.

Ostatnim z nich była góra o ściętym wierzchołku, którą, jak wspominał Mendeln, właściciel mapy nazywał wulkanem. Żadne z nich czworga nie widziało wcześniej niczego podobnego. Młody uczoney próbował wytłumaczyć pozostałym to, czego sam się dowiedział – że ze środka tej góry płonące kamienie zostały wystrzelone w niebo niczym z największej katapulty – ale oni tylko patrzyli nań jak na szaleńca. Wzruszył więc ramionami i zamilkł.

Uldyzjan nieustannie oglądał się przez ramię, przekonany, że w końcu zobaczy mieszkańców Party podążających jego śladem. Jednakże nikt ich nie próbował gonić.

– Wulkan był naszym ostatnim drogowskazem – przypomniał im Mendeln. – Leży niedaleko za granicą dżungli.

– Zbliżamy się zatem do Toradży?

– Nie, przed nami wciąż długa droga, ale przynajmniej dotarliśmy na niziny.

I rzeczywiście, zauważyli już zmianę pogody. Zrobiło się znacznie cieplej i wilgotniej. Uldyzjan był zlany potem. Nawet Achilios i Serentia nie wyglądali zbyt świeżo. Tylko Mendeln zdawał się odporny na panujące warunki. Można było wręcz odnieść wrażenie, że cieszy go ta zmiana.

Jak dotąd bracia nie mieli okazji porozmawiać o tym, co działo się z młodszym z nich. Podróż kosztowała ich mnóstwo wysiłku i na postojach wszyscy padali z wyczerpania. Ale zgodnie z zapowiedzią Mendelna dżungla miała zapewnić im wytchnienie, nawet jeśli będą musieli stawić czoła nowym niebezpieczeństwom. Uldyzjan miał nadzieję, że gdy tylko przekroczą granice gęstwiny, znajdzie czas, by uporać się z bratem.

Ubrania, w których opuścili Partę, zaczęły już się strzępić, lecz ponieważ cały czas starali się unikać cywilizowanych regionów, nie mieli możliwości zakupu nowych strojów lub choćby wyprania starych. Woda i pożywienie nie stanowiły najmniejszego problemu – Achilios polował na zwierzyne, pozostali zbierali jagody. Prowiant, z którym wyruszali, już dawno się skończył, ale zdolali zaopatrzyć się po drodze na tyle, by móc przetrwać trzy dni, a do tego nie przestawali gromadzić zapasów.

Bory i grądy, do których byli przyzwyczajeni, zastąpiły teraz krzewy i niskie drzewa o mięsistych liściach. Mendeln przewidywał, że następnego dnia znajdą się na granicy terenów opanowanych przez dżunglę.

Zatrzymali się przed zachodem słońca. Uldyzjan miał wrażenie, że ich obozowisko jest wyjątkowo wręcz odsłonięte, ale musieliby się cofnąć o pół dnia drogi albo jechać przez całą noc naprzód, żeby znaleźć dogodniejsze miejsce. Jego towarzysze też wydawali się zaniepokojeni, co wcale nie pomagało farmerowi. Miał świadomość, że żadna z jego umiejętności nie była prawdziwa, a co z tego wynikało, nie mógłby w

żaden sposób pomóc pozostałym, gdyby zostali zaatakowani przez Lylię albo wysłanników którejs z sekt.

Na szczęście noc minęła spokojnie, tak spokojnie, że po raz pierwszy Uldyzjan spał mocno aż do rana. Wstał wypoczęty, ale i zły na Achiliosa, bo ten nie obudził go, gdy nadeszła kolej farmera, by trzymać wartę.

Niebo zasnuło się ponurymi chmurzyskami, ale nie słychać było pomruku grzmotów, wiatr też nie przybrał na sile. Uldyzjan spoglądał w niebo z pewną obawą, zastanawiając się, czy te czarne chmury nie zapowiadają aby jakichś nadnaturalnych zjawisk. Jednak tego dnia podróż mieli wyjątkowo udaną. Jechali bez przeszkód i tak szybko, że zanim słońce zaczęło zachodzić, zdołali nie tylko dotrzeć do wyczekiwanej granicy dżungli, ale i po kilku minutach dyskusji zanurzyć się w nieskończonej zieleni.

Las jednocześnie fascynował i odrzucał Uldyzjana. Takich dziwnych roślin farmer dotąd nie widział, do tego w takiej obfitości. Zdawały się wręcz walczyć ze sobą o dominację nad każdym kawałeczkiem gruntu.

– Wszystko tu takie zielone! – zdumiewała się Serentia.

Achilios klepnął się w ramię z rozmachem.

– A ile robactwa! Pierwszy raz widzę coś takiego.

– Więcej tu życia na jednej mili kwadratowej niż na dwudziestu wokół Seram – stwierdził Mendeln.

Nikt go nie spytał, skąd to może wiedzieć, bo od razu założyli, że źródłem jego wiedzy był któryś z przejeżdżających kupców. Uldyzjan zgodził się z uwagą wygłoszoną przez brata i nieustannie strzepywał z siebie rozmaite rodzaje egzotycznych i ohydnych insektów. Zaczynał już szczerze żałować, że tu właśnie postanowił szukać schronienia.

– Jest tu w pobliżu jakaś rzeka? – spytał brata.

– Jutro... Powinniśmy trafić na jakąś, zanim jutro zajdzie słońce – odparł po zastanowieniu Mendeln.

– Wody powinno nam wystarczyć.

Przez splecione korony drzew i ciężkie chmury mieli wrażenie, że podróżują po zmierzchu. Konie stawały się coraz bardziej niespokojne, nie były przyzwyczajone ani do takiego terenu, ani warunków. Na moment nawet nie przestawały chłostać boków ogonami, próbując opędzić się od rozmaitego robactwa.

W miarę jak posuwali się naprzód, Uldyzjan wciąż wracał myślami do tego, co powiedziała mu Lylija. Wedle jej słów, które go teraz prześladowały, świat został stworzony przez grupę uciekinierów, dezertersów z obu nieludzkich armii. Przez anioły i demony. Połączone potęgi tych niesamowitych istot musiały zrodzić moc, która pozwoliła na powstanie tych drastycznych zmian krajobrazu i pogody.

Uldyzjan nie mógł nie pomyśleć, że oznaczało to również niewyobrażalne niebezpieczeństwo dla ich czwórki.

Gdy zrobiło się zbyt ciemno, by ryzykować dalszą wędrówkę, postanowili się zatrzymać. Przez ostatnie kilka godzin musieli sami robić dla siebie szlak, a była to wyjątkowo ciężka praca. Teraz spętali konie, zjedli resztę zapasów i wszyscy poza Achiliosem ułożyli się do snu.

Lecz Uldyzjan nie spał. Dżungla, tak odmienna od wszystkiego, co oglądał przez całe życie, budziła w nim niepokój. Rozbrzmiewała głosami nocnych istot. Śpiewem owadów szukających partnerów. Farmerowi zdawało się, że panuje tu większy hałas niż za dnia.

W pewnej chwili coś całkiem sporego przebiegło w niewielkiej odległości od ich obozowiska. Stojący na warcie Achilios skoczył w gęstwinę, ale wrócił bez jednego słowa. Uldyzjan miał jednak wrażenie, że przyjaciel stał się nieco niespokojny.

Noc była chłodniejsza od dnia, ale tak samo wilgotna. Uldyzjan czuł, że jest cały mokry. Włosy kleiły mu się do czaszki, ubranie do skóry. To wszystko tylko bardziej go przygnębiało i wzmagало lęk. Po raz kolejny źle wybrał. Powinien trzymać się terenu, który był mu znajomy. Przynajmniej wtedy czułby się choć odrobinę pewniej.

Gdy wreszcie światło kolejnego chmurnego dnia przebiło się przez zielony baldachim, wszyscy byli bardziej niż gotowi do drogi. Mieli nadzieję jak najszybciej dotrzeć do rzeki i zobaczyć w górze coś więcej niż tylko gęste, mięsiste liście.

Insekty nie dawały im ani chwili wytchnienia. Wszyscy byli pogryzieni – poza Mendelnem, bowiem z jakiegoś powodu jego blade ciało nie wydawało się interesujące tym niewielkim mieszkańcom dżungli. Młodzieniec był przy tym cieplej odziany niż pozostali, a jednak upał znosił o wiele lepiej niż oni.

Gdy dochodziło południe, zatrzymali się na krótki odpoczynek. Podzielili się też resztką wody. Uldyzjan upierał się, że on będzie pił ostatni. Podniósł niemal pusty bukłak do ust, nie przestając jednak wpatrywać się w zielony gąszcz wokół nich i nagle zobaczył coś potężnego jak drzewo, choć niewątpliwie drzewem nie było. Opuścił bukłak, żeby przyjrzeć się lepiej, ale nic już nie dostrzegł.

– Co się dzieje? – Serentia zauważyła jego zachowanie.

– Myślałem, że widziałem... sam nie wiem. Myślałem, że to drzewo, ale...

– Ale nie było nim? – wtrącił Achilios. Minę miał nieprzeniknioną. – Wysokie, potężne, zgadza się?

To wystarczyło, żeby utwierdzić Uldyzjana w podejrzaniach.

– Zobaczyłeś coś wczoraj w nocy. Wiedziałem!



– Czekaj! – Achilios podniósł ręce w obronnym geście. – Tyłem widział co i ty! Znaczy niewiele. Cokolwiek to jest, stanowi część tego lasu jak drzewa i krzewy!

– Chce nas dopaść? – zapytała Serentia i rozejrzała się niespokojnie.

– Początkowo pewnie bym powiedział, że tak, ale teraz... Sądzę raczej, że nasz przyjaciel jest... ciekaw.

– Mnie się taka ciekawość nie podoba – mruknął Uldyzjan. – Myślisz, że jest ich więcej?

– Jam widział jednego. Może i jest więcej, ale coś mi się wydaje, że to samotnik.

– Jak samotny łowca?

Myśliwy się skrzywił.

Nastroje zrobiły się niespokojne i ponure. Wędrowcy nie zwlekali z wyruszeniem w dalszą drogę i przez resztę dnia nieustannie przepatrywali zieloną gęstwinę. Nie zobaczyli niczego, ale i tak byli przekonani, że tajemniczy towarzysz podąża ich śladem.

Gdy dobiegł ich wreszcie szum płynącej wody, Uldyzjan poczuł ulgę, ale i wezbrała w nim podejrzliwość. Cieszył się, że dotarli do kolejnego z punktów orientacyjnych, ale rzeka stanowiła też pewnego rodzaju granicę. A od kiedy wiedział o tajemniczej istocie podążającej ich tropem, obawiał się nieustannie, że jedyne, co uda im się osiągnąć, to wjechać z własnej woli w kolejną pułapkę.

Achilios najwyraźniej żywił podobne obawy.

– Poszukam miejsca, w którym będziemy mogli szybko przekroczyć rzekę, jeśli zajdzie potrzeba – oznajmił cicho.

Po czym głośno poinformował wszystkich, że udaje się na polowanie i zostawił ich samych.

Uldyzjan spojrział na Serentię, która z niepokojem wpatrywała się w gąszcz, gdzie zniknął Achilios.

– Nic mu nie będzie – zapewnił ją nieco niezręcznie, nie mógł bowiem zapomnieć, że przyjaciel znalazł się w tej sytuacji z jego powodu. – Prawda, Mendelnie?

– Oczywiście, nic. – Ale to twierdzenie nie zdało się na wiele, bo Mendeln był wyraźnie rozkojarzony. Zdawał się zainteresowany czymś na brzegu rzeki, ale czym, Uldyzjan nie potrafił odgadnąć. Z pewnością nie była to ta wielka istota, którą wcześniej zauważyli z Achiliosem. Jedyne, co można było znaleźć w wodzie, to ryby.

Napełnili bukłaki i w tej samej chwili wrócił Achilios. Serentia wyraźnie musiała się powstrzymać, by nie wybiec mu na spotkanie. Łucznik uśmiechnął się pewny siebie i spokojniejszy.

– Dalej jest most – oznajmił wesoło. – Kilka minut z nurtem. Trochę zaniedbany, brak paru desek, ale przejdziemy z końmi bez kłopotów.

– Rozbijemy obóz po drugiej stronie – zdecydował natychmiast Uldyzjan.

Nikt się nie sprzeciwił. Tym razem Achilios poprowadził ich dalej. Podążali zgodnie z nurtem i wkrótce zobaczyli most, o którym wspominał Achilios.

Zbudowano go z materiałów, jakich dostarczyła dżungla. Deski pozyskano z drzew, od spodu wciąż pokrywała je kora, kilka było połamanych, paru brakowało, ale jeśli wędrowcy przeprowadzą konie ostrożnie, nikomu nic stać się nie powinno.

Kawałki drewna powiązano grubymi lianami i szczeliny zalepiono jakąś brązową substancją. Most chwiał się lekko pod ich ciężarem, lecz wytrzymał.



Kiedy już znaleźli się po przeciwnej stronie, rozgorzała dyskusja, co robić dalej. Achilios chciał trzymać się blisko mostu. Serentia go poparła. Uldyzjan wolał znaleźć się nieco dalej.

Mendeln... Mendeln zostawił decyzję pozostałym. Jak zawsze wydawał się całkowicie pogrążony w myślach.

Wreszcie Achilios wytknął Uldyzjanowi, że podczas gdy ten słusznie martwi się o ich niewidzialnego towarzysza, nie bierze pod uwagę, że bliżej może czaić się inne niebezpieczeństwo, i to takie, które nie będzie zwlekać. Po tych słowach farmer zgodził się trzymać blisko mostu.

Obóz zajmował najmniej miejsca jak to tylko możliwe, wszyscy niemalże tulili się do siebie. Tylko Achilios musiał się oddalić – potrzebowali uzupełnić zapasy. Kiedy powrócił, powitano go z radością, bardziej dlatego, że wrócił bezpiecznie niż z uwagi na upolowaną przezeń zwierzynę.

Dwa stworzenia, które trzymał w ręku, były definitywnie gadami, ale takich jeszcze żadne z nich dotąd nie widziało. Były ogromne, niemal pięć stóp od pyska do końca ogona, i wystarczyło spojrzeć na wielkie zębiska, by wiedzieć, że były to drapieżniki, nie ich ofiary.

– Byłem bardzo ostrożny – uspokoił przyjaciół Achilios. – Wiedziałem, że rzeka może okazać się niebezpieczna, ale może też zapewnić jedzenie. Znalazłem tę parkę w trzcinie. Chyba nie były przygotowane, że staną się zdobyczą.

Uldyzjan przyglądał się gadom podejrzliwie.

– Jesteś pewien, że warto je próbować?

– Kilka najlepszych kąsków, jakie dane mi było spróbować, to jaszczurki i węże! A te tutaj będą jak ucztą w porównaniu z tamtymi!

Dwa martwe gady dokonały tego, co mało komu się udawało... przyciągnęły uwagę Mendelna. Dotknął jednego z nich niemal z czułością.

– Są młode. Niedorostki.

– Takem pomyślał – zgodził się Achilios. – Dorosłe są pewnie trzy razy takie. Te były mokre, jakby dopiero wyszły z wody. Chciałeś, żebyśmy trzymali się z dala od rzeki – zwrócił się do Uldyzjana. – Myślę, że to dobry pomysł.

Nie zwlekali z wprowadzeniem tego pomysłu w życie. Achilios ruszył przodem i wybrał miejsce, które wedle niego leżało poza terenem polowań gadów z rzeki. Ale nawet wtedy Uldyzjan upierał się, by mimo ciemności poszli jeszcze dalej.

Achilios wyszukał kolejne miejsce, które tym razem zyskało aprobatę Uldyzjana. Bracia zajęli się rozpaleniem ogniska, a Serentia z Achiliosem przygotowaniem posiłku.

– Nie oddalaj się zbyt od obozu – napomniał Uldyzjan brata, nieustannie zmartwiony jego stanem.

– Będę uważał. Ty też bądź ostrożny.

W dżungli niełatwo było znaleźć drewno, które nadawałoby się do spalania, wszystko było przesiąknięte wilgocią. Uldyzjan zbierał, co mógł, starając się unikać robaków i zwierząt kryjących się w poszyciu. Niestety, warunki zmusiły go, by sam przestał stosować się do własnych ostrzeżeń i coraz bardziej oddalał się od obozu. Nie przestawał jednak zerkać w stronę obozowiska, by się nie zgubić. Zapуścił się w głąb dżungli i w końcu zebrał spore naręcze chrustu.

Za plecami usłyszał szelest. Świadom, jak daleko odszedł, podejrzewał, że któryś z przyjaciół ruszył go szukać. Odwrócił się...

Chrust posypał mu się z rąk.

Stała za nim bestia, półtora razu tak wysoka, dwakroć szeroka jak on. Początkowo Uldyzjan uznał, że to demon, bo z grubsza stwór przypominał człowieka, miał dwie nogi, dwoje ramion i głowę, ale na tym podobieństwa się kończyły. Stwór był tak dziwaczny, że nie mógł pochodzić z tego świata.

Jeśli był to demon, to wyjątkowo łagodny. Jego twarz skrywała po części ciemność, ale Uldyzjan i tak dostrzegął inteligencję w tych dziwacznych rysach, coś więcej niż żądzę krwi.

Gigant przestąpił z nogi na nogę, ale nie w taki sposób, by Uldyzjan poczuł się zagrożony. Przez moment farmer mógł zauważyć szczegóły. Tors sprawiał wrażenie okrytego korą, jedno ramię kończyło się nie ręką czy łapą, lecz czymś na kształt sękatego konara, maczugi, na którym wyrzeźbane były jakieś runy. Drugie ramię miało dłoń, ale też nietypową formację poniżej łokcia, jakby wyrosła na przedramieniu żywą tarczę. Na głowie stwora wyraźnie było widać rogi niczym skrzydła nietoperza, sam łeb był ciężki i kwadratowy. Uldyzjan nie wypatrzył ni ust, ni nosa, zaś oczy okazały się jedynie szczeliną widoczną pod zarysem ciężkiej brwi.

Potwór ruszył ku Uldyzjanowi dziwnie powolnym krokiem, nie czyniąc przy tym najmniejszego dźwięku. Farmer zrozumiał, że szelest liści, jaki słyszał wcześniej, miał go uprzedzić.

– Czy ty... ty za nami szedłeś? – zapytał.

Stwór nie odpowiedział. Zamiast tego z zaskakującą gracją opadł na jedno kolano.

W tym samym momencie rozległ się głos Achiliosa.

– Uldyzjanie! Uldyzjanie? Gdzie jesteście?

Farmer spojrział, skąd dobiegał głos, i chwilę później zobaczył swego przyjaciela.

– Czy mnie zawsze już przyjdzie cię szukać, gdy tylko oddalisz się od obozu? – zapytał łucznik wesoło.

Uldyzjan uniósł brwi, zaskoczony tak zwyczajnym pytaniem w obecności tak niezwykłego mieszkańca lasu. Spojrzał na stwora... i natychmiast zrozumiał zachowanie Achiliosa. Bestia zniknęła, jakby nigdy jej tam nie było.

Myśliwy zauważył napięcie przyjaciela i spoważniał w mgnieniu oka.

– Co się dzieje?

– To... on... – Z jakiegoś powodu Uldyzjan był pewien, że stwór był rodzaju męskiego. – ...on tu był.

– Co...? To coś, co za nami podążało? – Achilios miał już łuk w rękach, ale Uldyzjan powstrzymał go gestem.

– Nie chciał mi zrobić krzywdy. Ukląkł...

– Przed tobą?

W pierwszym odruchu farmer chciał zaprzeczyć, ale w końcu skinął twierdząco głową.

– Ukląkł przede mną – przyznał. I w kilku słowach opisał przyjacielowi dziwną istotę. – A potem, gdy spojrzałem w twą stronę, zniknął.

– A to znaczy, że ciebie chciał zobaczyć, przyjacielu, ciebie. Nikogo innego.

– Może dotąd nigdy nie widział ludzi i tyle. To mógł być Mendeln albo ty, bo Serentia, od czasu gdy Malik się nią posłużył, zawsze zostaje w obozie.

Ale łucznik widział tę sytuację odmiennie.

– Miał mnóstwo okazji, żeby mnie zobaczyć, szczególnie za pierwszym razem. Mendelna też. Chciał zobaczyć ciebie, Uldyzjanie. Musisz to przyznać.

– To nie ma sensu.

Achilios odwrócił się i ruszył do obozu. Szedł swobodnym krokiem, ale łuk trzymał w pogotowiu.

– Tylko dla ciebie, Uldyzjanie, tylko dla ciebie...

Chociaż istota z lasu nie przejawiała wrogości, Uldyzjan nie mógł spać spokojnie. Cały czas spodziewał się, że z lasu wychyną kolejne dziwne stworzenia. Noc jednak minęła spokojnie. Rano zjedli to, co zostało z wieczornego posiłku, i wyruszyli.

– Jak daleko do dżungli toradżańskiej? – spytał Uldyzjan brata.

– Kilka dni – odpowiedział Mendeln. Nie dodał ani słowa więcej, więc Uldyzjan też zamilkł. Zaczynał mieć dość gęstwiny i od dłuższego czasu miał dość także siebie.

Niewielkie stworzenia latały wśród gałęzi, niektóre wyglądały znajomo, niektóre zaś tak obco jak drzewopodobny stwór. Uldyzjan czuł jednak, że to niegroźne i proste istoty, a nie tajemnicze i obdarzone inteligencją.

Zastanawiał się, jak powinien rozumieć spotkanie z tamtym stworem. Nie chciał wierzyć ocenie Achiliosa. Farmer wiedział, że jest oszustem, okrutną drwiną, że nie ma w nim nic nadzwyczajnego.

Te myśli towarzyszyły mu przez cały dzień. Nie zatrzymali się, póki nie zapadły ciemności, dlatego też trochę trwało, zanim Achilios znalazł polanę na tyle dużą, by mogli na niej rozbić obóz.

Uldyzjan wcale nie chciał oddalać się od obozowiska, ale jak co wieczór musiał postarać się o drewno na ognisko. Próbował nie oddalać się zbyt daleko, lecz i tym razem nie miał wielkiego wyboru, jeśli chciał cokolwiek znaleźć.

Zbierał gałązka po gałązce i z każdym krokiem czuł narastający niepokój. W każdym momencie spodziewał się, że zza drzew wyłoni się tajemnicza istota, ale jedyne, co spotkał, to zirytowaną ropuchę, która wyskoczyła spod podniesionej przez Uldyzjana gałęzi.

Wrócił do obozu z naręczem drewna i w nastroju czarniejszym niż noc. Zjadł kilka kęsów dużego królika, świeżej zdobyczy Achiliosa, i zapadł w niespokojny sen. Obudziło go potrząsanie.

Przekonany, że będzie miał do czynienia z bestią z lasu, szarpnął się, zanim na dobre otworzył oczy. Ale budził go nie potwór, a Achilios, ponieważ nadeszła kolej Uldyzjana, by pełnić wartę.

– Hej, spokojnie... – mruknął łucznik. – Pewnyś, że chcesz stać na warcie?

– Wolę to niż spać.

– Jak sobie chcesz.

Uldyzjan wziął miecz i przeszedł na skraj obozowiska. Jak to było w zwyczaju, stał przez chwilę w jednym punkcie, a potem wolno przeszedł do następnego. W ten sposób zachowywał czujność.

Po jakimś czasie jednak zmęczenie wzięło górę i kiedy już wiedział, że nie zdoła dłużej utrzymać oczu otwartych, obudził brata. Po Mendelnie obozu pilnować miała Serentia, a potem ponownie Achilios, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Wszyscy trzej woleliby zwolnić Serentię z tej konieczności, ale dziewczyna upierała się, że radzi sobie z mieczem równie dobrze jak oni... Jej zmarły ojciec zawsze nalegał, by zdobyła umiejętności w tej dziedzinie.

Uldyzjan podszedł do posłania brata i odkrył, że Mendelna tam nie ma. Nie zdziwił się, w końcu każdemu zdarzało się pójść w nocy za potrzebą. Odczekał nieco, pewien, że nie potrwa to długo.

Ale czas płynął, a Mendeln nie powracał.

Uldyzjan przekonywał siebie, że trzeba jeszcze chwili, ale potem ta chwila mijała, a brata jak nie było, tak nie było. Wypatrzył na ziemi ślady stóp. Nie chciał jeszcze wszczynać alarmu, więc ostrożnie dobył miecza i ruszył tam, gdzie prowadził trop.



Droga okazała się niełatwa, Uldyzjan raz po raz musiał ścinać gałęzie. Kilkakrotnie zawołał Mendelna półgłosem, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Serce waliło mu coraz mocniej, przyspieszył kroku. Mendeln musiał tędy przechodzić.

Jakiś nikły dźwięk dochodzący z prawej strony sprawił, że Uldyzjan zatrzymał się i począł nasłuchiwać. Kiedy dźwięk zabrzmiał ponownie, farmer skierował się w tamtą stronę. To mógł być jego brat albo też coś o wiele groźniejszego.

Albo... drzewopodobny gigant.

Nie bacząc na ryzyko, Uldyzjan parł przed siebie. Mendeln gdzieś tu był i tylko to się liczyło. Jeśli wśród drzew czaił się gigant, to może nawet będzie skłonny pomóc w poszukiwaniach. Ta myśl wydała się Uldyzjanowi niedorzeczna, a jednak nie miał wątpliwości, że gdyby trafił na dziwnego mieszkańca dżungli, bez wahania poprosiłby go o pomoc.

Z nieco innego kierunku dobiegł go szelest, może ruch. Uldyzjan znieruchomiał. Chwilę później usłyszał jakiś hałas, który dobiegł jeszcze skądinąd.

Cokolwiek czaiło się wśród drzew, nie było samo.

Uldyzjan natychmiast pomyślał o morlu, a zaraz potem o konieczności powrotu do obozu, jednak na to było już za późno. Słyszał odgłosy z różnych stron i wszystkie pobrzmiwały coraz bliżej. Pochylił się, po czym ruszył w kierunku najbliższego. Nie zamierzał stać bezczynnie, podczas gdy coś lub ktoś spróbuje wymordować jego przyjaciół. Nawet jeśli powali tylko jednego wroga, to będzie małe zwycięstwo... Właściwie nie mógł już liczyć na więcej.

Jakiś czarny kształt zdawał się ułatwiać farmerowi zadanie, bo skierował się wprost na niego. Uldyzjan szybko zorientował się, że nie widzi zarysu

ohydnej baranej czaszki, której kształt miały hełmy piekielnych wysłanników Świątyni.

Czyli ścigali go Strażnicy Pokoju. Albo Inkwizytorzy. Od dłuższego czasu Katedra Światłości nie podejmowała żadnych działań przeciwko Uldyzjanowi i jego towarzyszom, a jednak farmer nie miał wątpliwości, że o nim nie zapomniła.

Jego przeciwnik był teraz tak blisko, że słyszał jego przyspieszony oddech. Co więcej, gdyby nie to, że farmer swoje wiedział, to byłby gotów przysiąc, że zbliżający się przeciwnik jest podenerwowany, a może nawet przestraszony.

Poczuł coś w rodzaju ponurej satysfakcji i spróbował zająć wroga od tyłu. Krok czy dwa i znajdą się obaj na właściwych pozycjach.

Postać nagle gwałtownie skręciła i teraz zmierzała prosto na kryjówkę Uldyzjana.

Farmer nie chciał dłużej czekać. Skoczył do ataku.

Miał to być szybki, śmiertelny sztych, ale przeciwnik uniknął go, bo potknął się i stracił równowagę. Upadli na poszycie zwarci w uścisku. Obaj stracili broń. Uldyzjan zaklął, świadom, co dla niego znaczy ta strata. Był otoczony przez wrogów, od samego początku miał niewielkie szanse, a teraz nie miał ich wcale.

Dlatego walczył jak szalony. Udało mu się przygnieść przeciwnika i złapać za gardło.

Ale zanim Uldyzjan zdołał zacisnąć palce, jakieś ramiona pochwyciły go od tyłu. Wokół zaroilo się od ciemnych postaci.

Ktoś zaświecił Uldyzjanowi w twarz pochodnią, niewątpliwie wrogowie chcieli się upewnić, że pojмали właściwą osobę.

– To on! – zakrzyknął ktoś ochryple.

Uldyzjan już niemal czuł ciężar kajdan, ale zamiast tego uścisk przytrzymujących go rąk zelżał. Wrogowie cofnęli się o krok.

I jeden pod drugim poczęli klękać, stał jedynie ten z pochodnią. Teraz zbliżył płomień do własnej twarzy.

– Chwała! Znaleźliśmy cię, święty mężu! – wykrzyknął Romus!!!!.

# DWADZIEŚCIA JEDEN



Mendeln obudził się przekonany, że ktoś go woła. Początkowo myślał, że to brat, podniósł się więc i rozejrzał. Ale gdy nie zobaczył Uldyzjana, zrobił się podejrzliwy.

I wtedy głos zawołał go ponownie.

„Tędy... – przyzywał. – Tędy...”

I jakimś sposobem Mendeln wiedział doskonale, w którą stronę się udać. I nie wahał się ani chwili. Dawno już przekroczył granicę strachu. Teraz był zafascynowany.

Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, zanurzył się w zieloną gęstwinę. Co zaskakujące, czuł się bardziej w domu tutaj niż w Seram. Zupełnie jakby wrócił do miejsca, które kiedyś zwykł kochać.

Wchodził coraz głębiej w las ponaglany tajemniczym głosem, który mówił mu, dokąd iść. Mendeln słuchał tych wskazówek z absolutnym zaufaniem.

Insekty trzymały się odeń z daleka, tak jak miało to miejsce od pierwszego dnia w dżungli. Wyczuły zmianę, jaka w nim nastąpiła; inność, którą sam Mendeln dopiero zaczynał pojmować.

Mimo że słońce już dawno zaszło, Mendeln nadal widział bez większych kłopotów. Owszem, cienie zrobiły się nieco głębsze, ale jego wzrok stał się ostrzejszy niż kiedykolwiek. Pod pewnymi względami widział wyraźniej

nawet niż w dzień. Otoczenie miało ostrzejsze kontury, łatwiej rozróżniało się poszczególne elementy.

„Skręć... skreć...” – polecił głos.

Mendeln posłuchał, postąpił kilka kroków i czekał.

Ale głos zamilkł.

Mendeln zmarszczył brwi i ruszył naprzód...

I nagle znalazł się przed wysokim lśniącym obeliskiem, wolnym od wszechobecnej roślinności. Był on dwakroć tak wysoki jak Mendeln i zrobiony z czegoś, co młody uczonek uznał za obsydian. Podziwiał już podobny czarny kamień w składzie Cyrusa. Teraz patrzył na kamień łudząco podobny.

Jednak jego uwagę nie tyle przykuł sam obelisk, co znaki na nim wyryte.

Starożytne pismo.

Znaki biegły od góry do dołu i gdy Mendeln na nie patrzył, zdawały się jarzyć lekko. Spróbował wymówić je najlepiej jak umiał, rozpoznawał przy tym dość symboli, by odgadnąć znaczenie tych, które widział po raz pierwszy.

Im dalej czytał, tym więcej rozumiał. Z rosnącą ekscytacją po raz kolejny odczytywał zapis z pierwszego boku. Za każdym razem przesłanie stawało się jaśniejsze. Mendeln czytał z twarzą rozpromienioną niczym u dziecka, bo słowa zapisane na obelisku napępniały go zdumieniem i zachwytem jednocześnie.

I czytał dalej...

Uldyzjan z niedowierzaniem wpatrywał się w stojącego przed nim mężczyznę. Romus złoczyńca. Romus, którego sam nawrócił.

– Co... co ty tu robisz? – zapytał. Powiódł spojrzeniem po twarzach widocznych w mdłym świetle pochodni. Rozpoznawał większość z nich. Wszyscy pochodzili z Party.

– Kiedy zorientowaliśmy się, że was nie ma, święty, obawialiśmy się najgorszego, szczególnie po tym, co spotkało biednego mistrza Etona i jego syna! Nikodemus jest całkiem niezłym tropicielem i inni też są niezgorsi! Najprędzej jak zdołaliśmy, wyruszyliśmy za wami! – Romus uśmiechnął się szeroko. – Ale nic wam nie jest.

– Nie powinniście za mną jechać – skarcił go Uldyzjan. – Tylko się narażacie... A co z waszymi rodzinami?

– Wszyscyśmy ruszyli z własnej woli – powiedział ktoś z ciemności. – A nasze rodziny są z nami! Nie porzuciliśmy bliskich! Czyż nie?

Odpowiedział mu chór głosów. Dopiero teraz Uldyzjan zauważył, że postaci z tyłu grupy są drobniejszej budowy, a niektóre mizernego wzrostu. Nie spodziewał się zobaczyć tu kobiet i dzieci.

Dlaczego zabrali ze sobą rodziny, ruszając w ten desperacki pościg? Poczł, że ogarniają go złe przecucia i żołądek ściska się boleśnie.

– Dlaczego poszliście za mną, Romusie?

– Dlaczego? Żeby się od was uczyć, święty! Podążać twoją drogą bez względu na to, dokąd ona prowadzi! – odparł Romus, a pozostali natychmiast go poparli.

– Nie nazywaj mnie tak! – huknął Uldyzjan. – Nigdy!

Romus natychmiast skłonił głowę.

– Wybaczcie, mistrzu Uldyzjanie! Zapomniałem!

– Porzuciliście swoje korzenie, żeby za mną podążyć? – zapytał farmer przez zaciśnięte zęby. – Czyście poszaleli?

Potrząsali głowami niemal równocześnie. Patrzył na nich, wiedząc, że jego gniew wcale ich nie dotknął. Zupełnie postradali zmysły i byli tego nieświadomi.

Ale gdy tylko zorientują się, że on już niczego nie może ich nauczyć, odzyskają zdrowy rozsądek... i wtedy to oni zwrócą się przeciw niemu z

gniewem.

Nadal niepokoił się o brata, ale najpierw musiał coś począć z tymi ludźmi.

– Ilu was jest, Romusie?

– Będzie czwarta części miasta, mistrzu, a reszta tylko czeka na wieści od nas, żeby też wyruszyć w drogę!

Uldyzjan poczuł się jeszcze gorzej. Ledwie był w stanie myśleć, więc tylko odwrócił się na pięcie i ruszył do obozowiska.

– Chodźcie za mną – rzucił jeszcze.

– Zawsze – mruknął Romus.

Farmer natychmiast doszedł do wniosku, że trzeba było inaczej dobrać słowa. Za plecami słyszał szelest gałęzi i szuranie licznych stóp.

Gdy dotarli do obozu, czekał na nich Achilios z łukiem w ręku i strzałą na cięciwie. Na jego początkowo ponurej twarzy odmalowała się cała gama emocji, w miarę jak docierało doń, co widzi.

– Coś ty znalazł wśród drzew? Armie?

– Mieszkańców Pary... a przynajmniej sporą ich część.

Achilios popatrzył po nowo przybyłych.

– Czy w mieście został ktoś jeszcze?

– Zbyt niewiele. – Uldyzjan rozejrzał się szybko. – Gdzie Mendeln?

– Myślałem, że z tobą.

– Widziałam, jak wstawał – wtrąciła Serentia znad ogniska. Ona też popatrywała na ludzi z Pary ze zdumieniem. – Ale zaraz potem znów zasnęłam.

Nie to Uldyzjan chciał usłyszeć.

– Zbyt długo go nie ma. Pójdę go poszukać.

Łucznik pochylił się ku niemu.

– Czemu więc nie wykorzystają tych tutaj? Zgaduję, że przybyli za tobą i po tych twarzach pełnych uwielbienia widać, iż jeśli im powiesz, by szukali twego brata, popędzą bez wahania.

– I połowa zostanie zjedzona, druga zginie wskutek jakichś wypadków albo od ukąszeń! Nic nie wiedzą o dżungli!

– My też nie, a i tak tu przybyliśmy.

Gdy dwaj przyjaciele się sprzeczali, coraz więcej ludzi napływało na polanę. Teraz już widać było kobiety i dzieci, szukające miejsca przy pojedynczym ognisku. Kilku mężczyzn przyniosło drewna, by rozpałić kolejne ogniska. Ludzi było coraz więcej.

I wciąż przybywało.

– Pewnyś, że to tylko część miasta? – spytał Achilios.

– Jak na razie... – Uldyzjan dostrzegł Bartę i jej syna. Kobieta uśmiechnęła się, pochyliła i wskazała farmera chłopcu. Dzieciak radośnie pomachał ręką. Uldyzjan odruchowo odpowiedział tym samym, ale na piersi zaległ mu kolejny ciężar. Cała ich wiara opierała się na kłamstwach.

Romus podszedł ponownie. Uldyzjan z zaskoczeniem stwierdził, że ślad nie został po nieufnym, przykrym obejściu, jakie zauważył u mężczyzny w trakcie ich pierwszego spotkania.

– Mistrzu, można będzie rozpocząć przygotowanie posiłku i oczyścić nieco więcej ziemi?

– Macie jedzenie? – Modlił się w duchu, by nie poprosili go o magiczne rozmnożenie produktów i zaspokojenie innych potrzeb.

– Och, mamy! Wiedzieliśmy, że podróż może potrwać! Konie niosą nasze zapasy.

I w rzeczy samej, teraz wśród tłumu ludzi Uldyzjan dostrzegł i ciężko objuczone zwierzęta. Ledwie wierzył własnym oczom. Jakim cudem zdołali



wszystko tak szybko zorganizować i do tego jechać jego śladem bez najmniejszych trudności?

Oczekują od ciebie całego świata, przyszło mu do głowy. Spodziewają się, że nauczysz ich, jak stać się potężniejszymi niż klany magów...

Ogrom tych oczekiwań, szczególnie że leżały całkowicie poza jego możliwościami, był dla Uldyzjana ciosem. Odwrócił się i bez słowa pomaszerował w dżunglę. Niezbyt daleko, ale dość, by odnaleźć nieco spokoju.

Czy może raczej, by podjąć próbę odzyskania tego spokoju. Nawet w samotności nie mógł uwolnić się od uczucia obezwładniającego wstydu i świadomości, że poniósł sromotną porażkę. Zżerały go z mocą, jakiej jeszcze nie doświadczył. Z pamięci napływały głosy mówiące o nim z czcią; widział twarze, młode i stare, synka Barty. Chłopczyk i jego matka dostrzegali w Uldyzjanie jakiegoś mitycznego uzdrowiciela, tymczasem prawda była taka, że to demon w kobiecej postaci podarował dziecku zdrowie i nowe życie.

Lylia. Teraz pewnie śmiałyby się z sytuacji, w jakiej się znalazł. Bardzo możliwe zresztą, że go skądś obserwuje i napawa się jego udręką w oczekiwaniu na chaos, jaki nastąpi, gdy mieszkańcy Party odkryją prawdę o swym świętym. Nazwała go „niczym” i Uldyzjan dostrzegł prawdę w tych słowach, z każdą chwilą coraz bardziej wydawały mu się zasłużone.

Może kusicielka delikatnie zachęciła mieszkańców Party do tej podróży? Może szeptała im do ucha, że powinni ruszyć śladem Uldyzjana? To by wyjaśniało, jak zdołali dogonić go tak szybko. Zapewne chciała być świadkiem jego upadku, dlatego osobiście zgromadziła wszelkie potrzebne elementy. Jakże inaczej mogłaby mieć pewność, że będzie to upadek bolesny i głęboki? Uldyzjan nie docenił jej pragnienia zemsty.

– Masz, czego chciałaś! – krzyknął w ciemność! – A teraz mnie zostaw!

Nikt mu nie odpowiedział. Ale i farmer nie oczekiwał odpowiedzi. Lylija pragnęła, by zaznał absolutnego upokorzenia. Może nawet zginął. Jeśli rozgniewani wyznawcy rozerwą Uldyzjana na strzępy, Lylija znajdzie sobie nową marionetkę.

Sądziłeś, że doprowadzisz do upadku władców Sanktuarium. Że Świątynia Trójcy i Katedra Światłości upadną, żebyś ty mógł ostatecznie rozprawić się z duchami własnej przeszłości.

Uldyzjan wzdrygnął się na myśl, że po raz kolejny zawiódł swych utraconych bliskich. Teraz wspomnienie o nich będzie nosiło piętno jego porażki. Kiedy ludzie pomyślą o jego rodzinie, to zawsze z przekleństwem i ponurą refleksją.

– Chciałem tylko pomóc... – wymamrotał. – Chciałem tylko nadać wszystkiemu sens.

Dla udręczonego umysłu głosy nocnych zwierząt zabrzmiały jak śmiech pełen drwiny. Uldyzjan niemal zawrócił i pobiegł do obozu, ale przypomniał sobie, co tam znajdzie. Popatrzył po otaczających go cieniach, jakby mogły wskazać mu drogę ucieczki.

Zawsze jest Trójca. Początkowo ta myśl go wystraszyła, ale gdy zaczął ją rozważać, wydała mu się całkiem rozsądna. Owszem, sugestię wcześniej rzucił Malik, ale teraz Uldyzjan zastanawiał się, co by się stało, gdyby z własnej woli wszedł do głównej świątyni i oddał się w ręce kapłanów. Nie musiałyby uciekać. Ludzie z Party zapewne byliby rozgniewani jego dwulicowością, ale w końcu uznaliby, że sprawiedliwości stało się zadość. Uldyzjan nie dbał o to, co stanie się z nim, obchodziło go tylko, by już nikt inny nie ucierpiał.

Może najlepiej będzie zaprowadzić też ludzi Party do Świątyni. Żeby zobaczyli prawdę na własne oczy.

Skrzywił się. Fakt, że w ogóle rozważał tak oburzający pomysł, świadczył wymownie o stanie jego umysłu. Potrząsnął głową, próbując zebrać myśli. Nieważne, co zamierzał zrobić sobie, ale nie skaże niewinnych ludzi z Partii na kolejne oszustwa... A już z pewnością nie zaprowadzi ich do Świątyni.

Miał jednak zamiar raz na zawsze przeciąć wszelkie więzi z tymi, którzy szli za nim, i to najszybciej, jak to tylko możliwe. Jednak jeśli powróci do obozu, będą obok niego cały czas, we śnie czy na jawie. Najlepiej by było w ogóle nie wracać.

W ogóle nie wracać... Być może tym razem mu się uda.

Jego stopy ruszyły, zanim Uldyzjan zdał sobie z tego sprawę. Parł do przodu, rozgarniając gałęzie i pnącza. Wiedział, że nagła ucieczka jest pomysłem jeszcze bardziej szalonym niż ucieczka z Partii, ale teraz nikt nie był w stanie tego przewidzieć. Nie będą mieli pojęcia, gdzie go szukać, dokąd pójść. A gęsta roślinność pomoże Uldyzjanowi zwieść najlepszych myśliwych, w tym Achiliosa.

Ale gdy przedzierał się przez noc, począł zastanawiać się, jak daleko zdoła dotrzeć bez wierzchowca. Konno byłoby łatwiej, zwłaszcza gdy trafi na mniej zarośnięte rejony, gdzie będzie mógł podróżować w szybszym tempie. Żałował, że nie zabrał ze sobą konia.

Ale musiał się z tym pogodzić. Nie mógł już nic zrobić, czuł przy tym, że wszystko zależy tylko od tego, by biegł, biegł, póki starczy mu sił. Uldyzjan na ślepo parł przez zieloną gęstwinę. W każdej chwili spodziewał się odgłosów pościgu za plecami...

Coś dużego poruszyło się w zieleni przed nim.

Chciał się zatrzymać, ale grunt tu był grząski i podmokły. Uldyzjan stracił równowagę, przewrócił się i upadł.

Usłyszał ciężkie sapnięcie. Miękki pysk dotknął jego ramienia.

Uldyzjan otarł ziemię z twarzy i zobaczył nad sobą białego konia. Luźne wodze zwisały z potężnego karku. Zwierzę było osiodłane. Farmer zgadywał, że należało do kogoś z Party i zgubiło się w ich drodze przez dżunglę.

Złapał za wodze, cicho zapewnił wierzchowca, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Koń wydawał się zadowolony z towarzystwa człowieka.

Uldyzjan dziękując w duchu za tę szczęśliwą odmianę losu, chciał włożyć nogę w strzemię...

– Nie! Trzymaj się od niego z dala!

Farmer przestraszył się, stopa minęła strzemię i plasnęła o wilgotny grunt. Koń parsknął głośno, jakby zirytowany. Postąpił kilka kroków od wołającego i pociągnął za sobą Uldyzjana, który wciąż ścisnął wodze.

– Spokojnie! Spokojnie! – Farmer siłą zatrzymał wierzchowca i odwrócił się do przybysza.

Tamten miał twarz tak bladą, że nawet w ciemności dżungli można było dostrzec jej rysy. Podeszedł do Uldyzjana pospiesznie, a zarazem ze zręcznością kogoś, kto spędził życie wśród wiecznie zielonych lasów.

– Mendeln? – Uldyzjan nie był do końca pewny, czy widzi swego brata. To był Mendeln, a zarazem nie był.

– Uldyzjanie... – głos Mendelna był cichy i tak jednostajny, że farmer po raz kolejny zaczął podejrzewać, iż ma do czynienia z iluzją. – Uldyzjanie... trzymaj się z daleka od tej istoty, nie jest tym, czym się wydaje...

Jedyną istotą w pobliżu okazał się koń, który wedle dłoni i oczu Uldyzjana był dokładnie tym, czym się wydał. Niestety farmer nie mógł tego powiedzieć o postaci, która się doń zbliżała. Przypomniał sobie nagle wszystkie sztuczki Malika, służące do ukrycia tożsamości kapłana.

– Nie podchodź! – krzyknął do Mendelna. – Nie podchodź!

– Uldyzjanie, to ja...

– Nie wiem tego...

Głowa pulsowała mu bólem. To nie może być on! To nie jest Mendeln! To pewnie demon! Niech podejdzie bliżej. Nóż... trzeba użyć noża, gdy będzie dostatecznie blisko...

– Nie słuchaj go – powiedział niby–Mendeln cicho. – Nie rozumiem, co ci mówi, ale wiem, że to zatrute słowa.

Uldyzjan zmarszczył brwi. Jego własny puls rozbrzmiewał mu pod czaszką ogłuszającym echem.

– Kto? O kim mówisz?

– Nie możesz zobaczyć jego prawdziwej natury. Opiera się na twym ramieniu, mruczy do ucha jak kochanek, ale te słowa są pełne nienawiści. Myślę, że on ją zna, Uldyzjanie, bo wygląda podobnie.

Ona. Dla Uldyzjana to słówko oznaczało tylko jedną osobę.

– Lylię?

– Tak ją nazywałeś, tak. Pamiętasz, gdy zobaczyłeś ją naprawdę?

Jeszcze niedawno Uldyzjan był pewien, że nie zdoła nigdy zapomnieć prawdziwej postaci Lylii, a teraz bez względu na to, jak bardzo się starał, nie mógł sobie przypomnieć.

– Ja... Nie... trzymaj się ode mnie z daleka!

– Uldyzjanie... to ja. Twój brat Mendeln. Przyjrzyj mi się. Spójrz mi w oczy. Pamiętasz to wszystko, co razem przeszliśmy? Pamiętasz, jak razem cierpieliśmy, gdy plaga zabrała nam ojca, matkę, naszych braci i siostry... jak cierpienie zjadało nas żywcem...?

Teraz niby–Mendeln przemawiał już innym tonem, nadal mówił cicho i spokojnie, ale w jego głosie pobrzmiwały nuty głębokiego cierpienia, bólu, który Uldyzjan znał aż za dobrze, bo taki sam tkwił niczym cień w jego duszy.

Teraz już miał pewność, że spotkał brata, nie demona odzianego w skórę Mendelna.

Wypuścił wodze... a przynajmniej próbował je puścić. Palce nie chciały się bowiem rozewrzeć. Zamiast tego zacisnęły się jeszcze mocniej całkowicie wbrew woli Uldyzjana.



Biały ogier parsknął i ponownie spróbował odciągnąć farmera.

Mendeln wypowiedział coś niezrozumiałego. Koń cofnął się gwałtownie, skrzecząc przy tym w sposób, w jaki żadne zwierzę nie byłoby w stanie. Białe ciało skręciło się tak, że kręgosłup wierzchowca powinien pęknąć na dwoje. Ale stworzenie wydawało się raczej wściekłe niż cierpiące.

– Uwolnij się teraz! Pociągnij za wodze, użyj całej swojej woli!

Uldyzjan posłuchał. Jego dłoń nadal ścisnęła wodze, nawet gdy rozwścieczony koń miotał się i skręcał, jakby został uczyniony z miękkiego ciasta. Jego oczy, całkowicie teraz pozbawione źrenic, płonęły czerwienią. Grzywa wyglądała jak kłęb cierni. Stwór, nie bacząc na siodło, stawał na tylnych nogach, jakby przywykł poruszać się właśnie w ten sposób.

A jednak palce Uldyzjana nadal nie dały się rozewrzeć, choć próbował z całej siły. I nagle przypomniał sobie, co powiedział jego brat. Kazał mu użyć „woli”, nie „siły”. Był w tym względzie bardzo dokładny...

Odprężywszy się nieco, Uldyzjan skupił się na pragnieniu, by się uwolnić. Skoncentrował się na własnych palcach, próbując odzyskać nad nimi kontrolę.

Uchwyt zelżał. Uldyzjan nie marnował czasu, odwrócił się błyskawicznie i znów miał wolną dłoń.

I w tej samej chwili bestia obok niego przestała przypominać konia. Jej kształt zmienił się całkowicie, zmałał. Straciła demoniczne cechy, kolce stały się włosami, a korpus przybrał zdecydowanie ludzki kształt.

Przed Uldyzjanem stał mężczyzna o miłej twarzy, siwych włosach i przyszyżonej równo brodzie. Uśmiechnął się do farmera i wyciągnął doń rękę.

– Okazałeś się wielce wartościowy, mój synu. Pójdź, przyjmij me błogosławieństwo w nagrodę za swą niezłomność.

– Czym... kim jesteś?

– Jakże to? Jestem Pierwszym, oczywiście. – Uśmiech obcego był oszałamiający. – Ale możesz nazywać mnie Lucionem.

Uldyzjan cofnął się, wstrząśnięty.

– Pierwszy! Lucion!

– Tak, Lucion... Jak rozumiem, Lilith wystawiła mi fałszywe świadectwo.

– Lilith? Znaczy Lylią?

– Jej prawdziwe imię to Lilith, zło starsze niżli ten świat! Jest matką podstępny, panią zdrady! Okazałeś się niezwykle silny, w rzeczy samej, skoro zdołałeś przetrwać, stawiając jej czoła.

– Strzeż się, bracie – odezwał się Mendeln zza pleców Uldyzjana. – Ten tu potrafi przywołać legion fałszywych wcieleń.

– Czy w twoich uszach ten głos brzmi jak głos twego brata? – spytał Pierwszy spokojnie, zanim Uldyzjan w ogóle zdążył się odezwać. – Czy nie zauważyłeś w nim mrocznych zmian? Na świecie więcej jest demonów niż tylko Lilith... I jeden z nich rzucił ponury cień na twego brata.

Uldyzjan spojrzał przez ramię.

– Mendelnie?

– Wciąż jestem sobą.

Co miały oznaczać te słowa, Uldyzjan nie wiedział. Pomyślał o wszystkim, co działo się ostatnio z bratem. Mendeln się zmienił, to nie ulegało wątpliwości, ale czy na dobre, czy jednak na złe?

– Nie znam cię, demonie – odezwał się Lucion niczym opiekuńczy wujaszek. Tak przynajmniej zabrzmiało to w uszach Uldyzjana. – Ale twe intencje są jasne. Chcesz dostać w swe szpony duszę tego tu, wartościowego męża, próbujesz dotrzeć do niej przez tych, którzy są mu najbliżsi. Nie pozwolę na to. On jest pod moją ochroną.

– Ochroną? – powtórzył Mendeln. – Tak jak arcykapłan Malik chciał go chronić za pomocą czarów obdzierających ze skóry i żądnych krwi morlu?

– Właśnie. Malik. Żałuje bardzo tego, co uczynił. Nie wiedziałam, że ktoś tak mi bliski został uwiedziony przez demona. Wysłałem go, by zaprosił Uldyzjana ul-Diameda do wizyty w mojej świątyni. Bym mógł podjąć go jak gościa ze wszelkimi honorami. Nic więcej. – Milczał przez chwilę. – Morlu są ohydą powołaną do istnienia przez tak zwaną Katedrę Światłości, a nie wyznawców Trójcy. Najpewniej stamtąd też pochodził demon, który zmienił Malika.

Było w Pierwszym coś takiego, co sprawiało, że Uldyzjan zapragnął mu uwierzyć. Jednak jego słowa nie brzmiały do końca prawdziwie.

– Jedyne demon stoi przed nami, Uldyzjanie – upierał się Mendeln, wkroczywszy między brata a Luciona. – Musisz mi uwierzyć.

Przywódca Trójcy potrząsnął głową.

– Jego słowa są silne, wzmocnione magią. Obawiam się, że muszę usunąć tę skazę ze względu na twoje dobro. Współczuję ci straty, drogi Uldyzjanie, ale nie mam wyboru.

Nie od razu farmer zrozumiał, co miały znaczyć te słowa. A gdy pojął, wyciągnął ramiona z przerażeniem.

– Nie! Mendelnie...!



Przed Pierwszym utworzył się krąg srebrnego światła i natychmiast wystrzelił do przodu. Trafił w miejsce, gdzie stał Mendeln... tyle tylko, że go tam nie było!

Obaj, zarówno Uldyzjan, jak i Pierwszy, wpatrywali się w puste miejsce.

– Bój się o los swego brata, Uldyzjanie. Demon, który go posiadał, jest silny. Zabrał go stąd. Najlepiej będzie, jeśli połączymy siły, razem staniemy do walki...

– Nie. – Uldyzjan nie był pewien, co właściwie działo się z Mendelnem, ale nie mógł uwierzyć, że brat stał się naczyniem jakiegoś zła. Nie mógł też uwierzyć w to, co Pierwszy mówił o Maliku. Arcykapłan powoływał się na przewodnictwo swego pana, Pierwszego. Był lojalnym wyznawcą, nie zdrajcą.

– Nie – powtórzył farmer. – Zostaw mnie w spokoju.

– Drogi bracie Uldyzjanie...

Coś naciskało na umysł farmera. Uldyzjan zgrzytnął zębami i cofnął się.

– Zostaw mnie w spokoju! Nic chcę niczego ani od ciebie, ani od Katedry! Niczego!

Odwrócił się i skoczył między krzewy. Nie wiedział, dokąd biegnie, ale miał pewność, że musi oddalić się jak najszybciej.

Za jego plecami rozbłysło oślepiające światło, zupełnie jak na chwilę przed zniknięciem Mendelna. Uldyzjan nie przestawał uciekać, ale w duchu szykował się na najgorsze.

Moc, która go uderzyła, była obco zimna. Miał wrażenie, że jego ciało zostało wywrócone na nice. Nogi i ramiona odmówiły mu posłuszeństwa, zarówno mięśnie, jak i kości zmieniły się w galaretę. Uldyzjan osunął się po pniu drzewa i ciężko upadł na poszycie.

– Może rzeczywiście nic w tobie nie ma, jak powiedziała moja siostra – stwierdził Lucion beznamiętnie. – Może Uldyzjan ul-Diomed jest niczym.

Ledwie przytomny Uldyzjan poczuł mrowienie w całym ciele. Ziemia nagle się od niego oddaliła. Uświadamiał sobie mgliście, że unosi się kilka stóp ponad nią.

– Będę musiał poddać cię próbie, a potem... poddać próbie raz jeszcze. Pozwolić, by morlu się tobą zabawili. Mają niezwykły talent, by budzić chęć przetrwania, a to z kolei powinno wydobyć z ciebie moc nefalema... Jeśli rzeczywiście ją w sobie nosisz.

– Nie... ma nic – stęknął Uldyzjan. – Nie... jestem... nikim groźnym... dla ciebie...

– Nigdy nie byłeś, człowieku. Jestem Lucion, syn Mefista, największego z Najwyższych Złych! Może masz w swoich żyłach krew mojego rodzaju, ale rozcieńczoną tą niemądrą pustką właściwą dla pobratymców Inariusza.

Ciało Uldyzjana zmieniło pozycję i popłynęło w stronę demona. Lucion wciąż wyglądał jak Pierwszy, ale farmer wiedział już, że przebłycki demoniego kształtu, które dostrzegł w trakcie wcześniejszej transformacji, były bliższe prawdziwej natury przywódcy Trójcy.

Co Lucion powiedział o Lylili... Lilith? Że była jego... siostrą?!

– Tak, sprawdzić, a potem sprawdzić ponownie, póki nie zyskam pewności – powtórzył demon. Uśmiechnął się, twarz jego była ludzka, ale trójkątne zęby i rozdwojony język już nie. – A jeśli zawiedziesz, nakarmię tobą morlu... Pożrą cię żywcem, rzecz jasna.

I choć nie przestawał się uśmiechać, Uldyzjan nie miał wątpliwości, że Pierwszy nie żartuje.

# DWADZIEŚCIA DWA



Achilios pozwolił Uldyzjanowi odejść, świadom, że jego przyjaciel znajduje się pod ogromną presją. Nagłe pojawienie się tłumu z Party wyprowadziło z równowagi nawet łucznika. Zdumiony był ich oddaniem, nawet jeśli dotyczyło kogoś, komu myśliwy powierzyłby własne życie.

Jego ciche rozważania przerwała Serentia. Głośno wciągnęła powietrze i zwróciła się w kierunku, gdzie zniknął Uldyzjan. Niemal w tej samej chwili i Achilios poczuł, że dzieje się coś bardzo, bardzo złego.

Coś, co dotyczyło Uldyzjana i Mendelna.

– Zostań tu! – krzyknął do niej. I już pędził między przybyszami z miasta, szykując łuk. Wiedział, że dżungla jest miejscem o wiele bardziej niebezpiecznym niż jego rodzinne bory, ale modlił się tylko o jeden celny strzał. Niczego więcej nie potrzebował.

Zakładając oczywiście, że nie przybędzie za późno.

– Chciałem załatwić to po cichu, żeby inni, którzy mogliby zainteresować się nefalemami, nie zwrócili uwagi na to, co się dzieje – oznajmił Lucion swemu więźniowi. – A jest ich naprawdę wielu, o tak. Poza tym wszystko, czym interesuje się moja siostra, zasługuje na sporą dozę uwagi i ostrożności.

Jego oczy nie wyglądały już jak ludzkie. Uldyzjanowi przypominały o Lilith. Lucion dokładnie obejrzał farmera, szukając tego, czego sam Uldyzjan w sobie już nie dostrzegał.

– Jest przebiegła, a umysł ma niczym labirynt. Nie martwiłem się zbyt, gdy przed wiekami usłyszałem, że anioł odesłał ją do bezkresnej pustki na wieczność – Lucion się roześmiał. – Wieczność to w jej wypadku termin mocno umowny. Powinien ją zabić, ale jego rodzaj zawsze był nadmiernie sentymentalny.

Nagły rozbłysk białej energii spowił Uldyzjana. Farmer krzyknął, ale jego głos został stłumiony.

Jeśli Lucion czegoś się w ten sposób dowiedział, nie dał tego po sobie poznać.

– Pozostaje jeszcze kwestia twojego brata i tego, co trzyma w swej mocy. Większość moich słów to kłamstwa, ale te akurat nie. Coś demonicznej natury ma nad nim kontrolę... a przy tym jest coś jeszcze. Może będę studiował was obu. Chciałbyś?

– Bądź przeklęty!

– Dziękuję, już jestem. Pójdziemy?

Lucion uśmiechnął się szerzej i świat wokół Uldyzjana rozmył się, stał się niematerialny. Gdzieś w tle zaczął formować się jakiś kształt. Osłupiały Uldyzjan ujrzał wielki budynek.

I dokładnie w tej chwili pierzasta strzała trafiła Pierwszego prosto w krtań.

Siła uderzenia sprawiła, że Lucion się zatoczył. Z paskudnej rany bluznęła krew. Pocisk bił się zaskakująco głęboko i Uldyzjan był zaskoczony, że grot nie wyszedł z karku.

– Uldyzjanie! – krzyknął Achilios. – Spróbuj się uwolnić!

Farmer próbował, lecz za każdym razem odnosił porażkę. Zaczął już nawet myśleć, że poprzednio uwolnił się tylko dzięki szczęściu i mocy, jaką najwyraźniej władał jego brat. Znowu powróciły do niego drwiące słowa Lylii. Był niczym... niczym...

Kolejna strzała ze świstem poleciała w stronę Luciona. Znając umiejętności Achiliosa, Uldyzjan nie miał wątpliwości, że łucznik trafił dokładnie tam, gdzie zamierzał.

Ale Lucion pochwycił strzałę o cal od piersi. Bez trudu złamał ją na dwoje i sięgnął do tej, która tkwiła w jego gardle.

Złapał za brzechwę. Grot wyszedł z ciała z ohydny mlaśnięciem. Lucion odetchnął głębiej, krew płynąca z rany natychmiast wróciła do ciała, a rana zamknęła się bez śladu.

Gdzieś poza zasięgiem wzroku Uldyzjana Achilios zaklął.

– Nie znowu! – warknął.

Lucion spojrzał na krew barwiącą grot. Nagle rozdwojony język wystrzelił spomiędzy warg i oblizał szpic do czysta. Demon zaśmiał się i odrzucił strzałę.

– Zdolny oddać idealny strzał z łuku, który zakłęto, by chybiał! Będzie z ciebie doskonały morlu – oznajmił. – Zechcesz do nas dołączyć?

Pierwszy wykonał jakiś gest. Achilios stęknął boleśnie. Uldyzjan usłyszał kroki i domyślił się, że łucznik został zmuszony, by podejść bliżej.

– Od wieków nie miałem tylu zajęć – drwił ich ciemiężciel. – Zapomniałem już, jak wspaniale robić to wszystko samemu zamiast polegać na lojalnych śmiertelnikach...

Nagle trafił go inny pocisk. Jednak tam, gdzie strzała Achilios dotarła do celu, kamień tylko odbił się od niewidzialnej tarczy, jaka otaczała Luciona. Co nie przeszkodziło niewidzialnym napastnikom... Nagle w demona posypało się więcej kamieni, kawałków drewna i innych bliżej nieokreślonych obiektów. Niektóre ciśnięto bez żadnego pojęcia o celowaniu, ale inne zapewne trafiłyby, gdyby nie tajemnicza bariera.

A potem spomiędzy drzew wyłonili się mieszkańcy Party prowadzeni przez Serentię. Otoczyli demona i jego więźniów.

– Puść go! – zażądała Serentia. – Uwolnij obu!

Pozostali jej zawtórowali, Romus najgłośniej. Odsiecz uzbrojona była w siekiery, włócznie i widły – broń prostych ludzi. Kolejne pociski poleciały w Pierwszego z tym samym rezultatem.

Na twarzy Luciona pojawiło się coś innego niż arogancja. Obserwował tłum z niekłamanym zainteresowaniem.

– Imponujące! – zakrzyknął. – Nie wyczułem, że nadchodzą, póki nie poleciał pierwszy kamień! – Spojrzał uważnie na Uldyzjana. – Czyby to twoja sprawka... albo może brata? – Spojrzenie stało się jeszcze bardziej intensywne. – Nie, myślę, że to ma coś wspólnego z pionkiem mojej siostry! Wyczuwam powiązanie między wszystkimi... A jego źródłem jest... tak, to by miało sens... to musiałyby być skutkiem... – przerwał, zamyśliwszy się.

Najwyraźniej wzięwszy to za dobrą monetę, Romus krzyknął i powiódł kilku swych ziomków do ataku.

Lucion popatrzył na nich z rozbawieniem.

Ziemia wokół niego wybuchła. Ludzie, drzewa – nic się nie uchowało. Wybuch rozdarł otaczający go las. Powietrze zawibrowało od krzyków, a noc rozjarzyła się jasnością.

Uldyzjan nie obawiał się o swoje życie. Chętnie by zginął, ale demon go ochraniał. Jednak serce farmerowi łkało na samą myśl o tym, co stało się z tymi, którzy przyszli tu z jego powodu.

Wydawało mu się, że wszystko ciągnie się w nieskończoność, w rzeczywistości jednak czar Luciona trwał tyle co mgnienie oka. A kiedy się rozwiął, na dwadzieścia kroków nie zostało ani jedno drzewo, a grunt nie tylko poczerniał, ale też jarzył się ogniem, jakby demon przyzwał swym zaklęciem gniew całego świata. Dżungla zawsze był gorąca i wilgotna, ale teraz nawet powietrze zdawało się płonąć.

– Przedsmak tego, co nadejdzie! – rzekł Lucion do wszystkich i do nikogo. – Kiedy ten świat zostanie przekuty na nasze podobieństwo.

Uldyzjan słyszał jęki. Jego nozdrza wypełnił zapach, jakiego farmer nie czuł od śmierci swych bliskich – kwaśny swąd palonych ciał. Jednak tu nie chodziło o ofiary plagi, które palono, by zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby i dla ochrony żywych – to byli niewinni ludzie, którzy zginęli bez powodu, tylko dlatego, że dali wiarę naiwnym obietnicom Uldyzjana.

Coś w nim pękło. Przetoczyła się przezeń potężna fala druzgocących emocji. Przeżywał każdą swoją porażkę, każdy błąd, każde nieszczęście. Z krzykiem cierpienia próbował się uwolnić.

Próbował... Ale znów poniósł porażkę.

– Widzę, że śpieszno ci do Świątyni i do mnie – zadrwił Lucion. Obrzucił spojrzeniem śmierć i zniszczenie, które spowodował. Ogniste pęknięcia w ziemi oświetlały i podkreślały jego rysy z upiorną dokładnością. – A skoro nie zostało tu już nic wartościowego, możemy wyruszać, jak sądzisz?

Gdy tylko wyrzekł te słowa, kolejna strzała uderzyła go w pierś. Ta jednak również odbiła się, nie czyniąc żadnej szkody.

Kątem oka Uldyzjan zobaczył, jak przyjaciel nakłada na cięciwę kolejną strzałę, nie spuszczając przy tym uważnego spojrzenia z demona.

Lucion cmoknął.

– Wspomniałem już, że będzie z ciebie doskonały morlu, ale najpierw musisz umrzeć.

Achilios napiął cięciwę.

– I ty również – powiedział i strzelił.

Strzała zakręciła w locie. Achilios zatoczył się, podnosząc ramię w obronnym geście...

Grot trafił go w krtań, dokładnie tam, gdzie pierwsza strzała dosięgła demona. Ale Achilios był jedynie śmiertelnikiem...

Krzyk zawibrował w powietrzu. Uldyzjan rozpoznał głos Serentii. Gdy łucznik osuwał się na ziemię, dziewczyna skoczyła ku niemu. Pochwyciła go, nim uderzył głową o przewrócone drzewo.

– Achiliosie! O, nie! Nie!

Ale łucznik nie odpowiedział, a spojrzenie miał puste. Umarł natychmiast, choć nie był to akt miłosierdzia ze strony Luciona.

Pierwszy wyciągnął rękę ku Serentii.

– Jak smakowicie! Chodź do mnie, moja miła. Pozwól, że pocieszę cię w twym cierpieniu.

Serentia chciała zostać przy Achiliosie, ale czary demona jej na to nie pozwoliły. Moc Luciona powlekła dziewczynę przez dymiącą i poczerniałą ziemię. Serentia nie zdołała utrzymać ciała łuczniaka, które teraz bezwładnie osunęło się na ziemię.

Chyba nie mogło już zdarzyć się nic gorszego. Upokorzenie Uldyzjana pociągnęło za sobą śmierć jego przyjaciół i brata, bo cóż innego mogło spotkać Mendelna? A teraz Serri, tak jak Uldyzjan, stanie się ofiarą demona, choć w inny sposób.

Wszystko mogłoby potoczyć się inaczej, gdyby moc, jaką farmer władał wcześniej, była prawdziwa. Wtedy mógłby choć spróbować stawić czoła demonowi, ochronić przyjaciół przed straszliwym losem. Ale nie był żadnym przeciwnikiem dla Luciona. Był niczym... niczym...

Spojrzenie Uldyzjana pobiegło od zrozpaczonej Serentii ku nieruchomemu ciału Achiliosa i z powrotem. Walczyli za swego przyjaciela i to nie raz. Wierzyli w niego, tak jak i wielu innych.

Jeden z mieszkańców Party doskoczył nagle do dziewczyny, chcąc jej pomóc. Romus z twarzą zniekształconą o wiele bardziej niż wcześniej, przed uzdrowieniem, złapał Serentię popalonymi rękami. Dołączył doń kolejny. Potem jeszcze jeden. Ich wspólny ciężar nieco spowolnił



dziewczynę, ale nie zdołał jej zatrzymać. A Lucion tylko śmiał się z ich wysiłków.

Lecz gdy się śmiał, coraz więcej rannych ludzi próbowało go atakować. Tym razem bronią nieco inną niż siekiery i widły.

Używali tego, co można by nazwać magią.

Powietrze wokół Pierwszego stało się polem bitwy ścierającej się energii. Kamienie pojawiały się znikąd. Konar poleciał w stronę przystojnej twarzy Luciona, ale odbił się, nie czyniąc najmniejszej szkody.

Pomiędzy walczącymi Uldyzjan dostrzegł Bartę. Łzy płynęły jej po policzkach, usta stały się tylko zaciętą linią. Nie widział nigdzie chłopca, modlił się, by mały znajdował się gdzieś, gdzie nie groziło mu niebezpieczeństwo.

– Widzę potencjał – oświadczył Lucion, kiwając z aprobatą głową swym napastnikom, mimo że ich wysiłki nie przynosiły żadnych rezultatów. – Ale chyba wolę poddać próbom tego jednego, a resztę nauczyć od postaw. Mniej do oduczania! – Obrzucił napastników mrocznym spojrzeniem.

Ziemia pod nogami Barty i jej towarzyszy otworzyła się gwałtownie. Ognista roztopiona lawa pochłonęła kobietę i kilku innych. Uldyzjan usłyszał ich krzyki...

– Nie! – ryknął, jak mógł najgłośniejszy. Zacisnął powieki, łzy popłynęły mu po policzkach. Uderzył pięściami o ziemię, powtarzając swoje pełne cierpienia wołanie. – Nie!

Trzeba było kilku sekund, by zauważył, że wokół niego zapanowała cisza. Serce szarpnęło mu się w piersi z obawą, że pogrom, jaki Lucion urządził wcześniej, będzie niczym w porównaniu do tego, co stało się teraz. Po twarzy wciąż płynęły mu łzy. Otworzył oczy.

Ku jego zdumieniu zobaczył Bartę i innych, całych i zdrowych. Ściana ziemi, wcześniej stopionej z gorąca, otoczyła ich, ale najwyraźniej już

ostygła, a jeden z uzdrowionych już ją rozbijał stopami i pięściami.

Uldyzjan poczuł falę ulgi. W duchu podziękował za cud, a wtedy zauważył dwa kolejne. Po pierwsze Serentia nie podążała już w stronę Luciona. Romus i pozostali unosili ją jak najdalej od demona.

A po drugie, dla Uldyzjana nawet bardziej zdumiewające, nie unosił się on już w powietrzu. Uświadomił sobie, że nawet wtedy, gdy uderzał pięściami o ziemię, musiał klęczeć.

To on tego dokonał, nie Lucion.

Lilith okłamała Uldyzjana... Co właściwie nie powinno go dziwić. Teraz domyślał się, że nie potrafił z nią walczyć z powodu tego, kim dla niego była. Wykorzystała to, by jeszcze dotkliwiej złamać w nim ducha.

Uldyzjan podniósł się na jedno kolano. Spoglądał na swego prześladowcę, a wzrok miał straszny. Wszystkie zdrady Luciona i Lilith połączyły się w jego umyśle, podsycając determinację.

– Dość... – zaczął prosty niegdyś farmer, po czym wstał z klęczek. – Dość tego.

Pierwszy już się nie uśmiechał. Jego twarz zamieniła się, ukazując coraz więcej potwornego, prawdziwego oblicza.

– Lepiej mnie nie prowokuj, śmiertelniku. Ta ludzka twarz i cywilizowane obejście to tylko skorupa, nic więcej. Nie chcesz rozgniewać tego, co kryje się pod nią.

– Wszystko pomieszałeś, Pierwszy... Lucionie... bracie Lilith – odpowiedział mu Uldyzjan. – Powinieneś uważać, by nie prowokować... mnie.

Demon roześmiał się głośno na te słowa, ale Uldyzjan mógłby przysiąc, że śmiech jego był pusty. Lucion dobrowolnie nie zrezygnowałaby z kontroli nad człowiekiem. Uldyzjan się uwolnił, a to znaczyło, że dar... nie, jego dziedzictwo... było w nim tak silne, jak wierzył w to wcześniej. Być

może nie dysponował mocą tak wielką i tak posłuszną jego woli, jak to się wcześniej wydawało, ale niewątpliwie Lilith kłamała, kiedy usłyszał, że bez niej Uldyzjan jest niczym.

– Odejdź – zażądał twardo. – Odejdź albo tu zginiesz.

Lucion przestał się śmiać.

Ziemia znów wybuchła, tym razem wokół Uldyzjana. Pokrył go rozgrzany popiół, obmyła go rozpalona lawa. Uldyzjan zaczął tonąć w płynnym gruncie.

Z uporem zrobił krok w stronę przeciwnika. A gdy mu się udało, zrobił kolejny. Nie zwracał uwagi na popiół, na rozpaloną ziemię... i dlatego nie czyniły mu najmniejszej krzywdy.

Czuł, jak ci, którzy przetrwali atak demona, odzyskują siły dzięki jego nowo roznieconej wierze w siebie. Było ich więcej, całych i zdrowych, niż ośmielał się mieć nadzieję. A to z kolei dało mu siły, by uczynić następny krok. I jeszcze jeden.

A gdy przebył połowę dystansu dzielącego go od demona, z niejakim rozbawieniem zauważył, że Lucion cofa się o krok.

– Nie pobłogosławisz mi, Pierwszy? Tak jak twój wierny sługa Malik pobłogosławił dobremu mistrzowi Etonowi, jego synowi i innym? – rozbawienie zniknęło z jego głosu zastąpione odrazą. – Zdaje się, że to lubisz...

– Pobłogosławić ci... – zaskrzeczał demon, a w jego głosie, który na dobrą sprawę w ogóle przestał być ludzki, nie brzmiały już uprzejmość i obycie. – A potem będę spożywał twe wnętrzności i pił krew z pucharu uczynionego z twej kruchej czaszki...

W miarę jak mówił, znikła jego ludzka postać. Lucion stanął wreszcie, obnażony i straszliwy, szczególnie dla Uldyzjana, przypomniawszy bowiem farmerowi Lilith. Był o połowę wyższy od siostry i znacznie potężniejszy,

ale i jemu kolce miast włosów wyrastały na podobieństwo grzywy z głowy i pokrytego łuskami grzbietu. Lilith miała jeden ogon, jej przeklęty brat – trzy, wszystkie po sam czubek zbrojne w rząd kolców długich jak ręka Uldyzjana.

Lucion zrobił krok w stronę człowieka i farmer odkrył, że demon – jak siostra – ma nogi zakończone kopytami. Ręce jednak się różniły, zakończone były bowiem dłońmi o więcej niż pięciu płacach, z borsuczymi szponami, z których każdy ociekał jakąś cieczą, najpewniej trucizną.

W twarzy jedynie oczy były takie jak u Lilith. Lucion, w ludzkiej postaci przystojny kapłan, w swej prawdziwej formie przypominał raczej ropuchę. W pysku szerszym niż reszta głowy lśniły rzędy ostrych jak igły zębów. Nie miał nosa, a haczykowaty podbródek kończył się tak ostro, że Uldyzjan mógł sobie wyobrazić, jak demon używa tej części głowy niczym broni.

– No i? – zazgrzytał Lucion, uśmiechając się dosłownie od ucha do ucha... przy czym uszy miał długie i szerokie, zbyt duże nawet dla niego. – Chodź, Uldyzjanie ul-Diomedzie. Pobłogosławie ci niewątpliwie.

Jednak choć Lucion był odrażający, nie budził już strachu w swym przeciwniku. Tylko wstręt i odraza przepełniały Uldyzjana na samą myśl, że taka ohyda mogła chodzić po świecie na tyle długo, by go skazić.

– Więc mi pobłogosław – zażądał śmiało Uldyzjan. – Nie zwlekaj.

Niemal natychmiast poczuł szarpiący ból w żołądku, jakby organ chciał wyrwać się na wolność. A potem identyczne uczucie w płucach i w sercu. Nie miał wątpliwości, że gdy tylko na to pozwoli, wszystkie organy wyrwą się z jego trzewi.

Był ciekaw, czy Lucion w ogóle wie, jakie to uczucie. Czy demon również cierpiałby, gdyby stał się celem własnego czaru?

Lucion nagle złapał się za pierś, jakby myśli farmera miały moc sprawczą. Spojrzał na człowieka zdumiony. Uldyzjan nie miał wątpliwości,

że w tych obcych oczach i rysach dostrzega cierpienie.

Demon patrzył na człowieka. Uldyzjan poczuł, jak dojmujący ból gaśnie. Najwyraźniej Lucion też odzyskał siły.

– Małe sztuczki dla małych stworzeń... – zasyczał.

Uldyzjan nie widział powodu, by na to odpowiedzieć. Podeszedł bliżej do przeciwnika. Nie wiedział, co zamierza zrobić, czuł tylko, że musi to uczynić i to szybko.



A było bez wątpienia ciekawe, że im krótszy był dystans między człowiekiem a demonem, tym mniej przerażający stawał się Lucion. Uldyzjan poczuł przypływ sił i wiedział, że pochodzą od Serentii i ludzi z Party. Nie tylko nie przestali w niego wierzyć ani na chwilę, ale bardziej niż kiedykolwiek zyskiwali pewność, że jest tym, za kogo go brali.

Uldyzjan rozumiał to i czuł wdzięczność. I przepełniony tymi uczuciami skoczył na swego strasznego wroga. Nie robił tego dla siebie, ale i dla tych, którzy za nim podążali.

Nagły atak zaskoczył demona, ale tylko na chwilę. Gdy ich ciała zderzyły się, ogony Luciona strzeliły do przodu na podobieństwo skorpionowych i raz za razem poczęły uderzać w plecy Uldyzjana, wbijając w nie kolce aż po nasadę. Jednak rany człowieka zasklepiały się od razu. Farmer odczuwał pewną niedogodność, ale nic poza tym.

Zdołał złapać jeden z ogonów i nie bacząc na kolce, zacisnął na nim dłoń i oderwać jednym szarpnięciem. Demon zawył z bólu i wściekłości. Uldyzjan z pogardą odrzucił ogon i sięgnął ku kolejnemu, ale Lucion natychmiast je odsunął. Nie zamierzał ich używać, jeśli wiązało się to z ryzykiem, że straci kolejny, a może nawet oba.

– Jaka była, moja siostra? – mruknął, gdy zwarli się w kolejnym uścisku.  
– Okazała się spełnieniem twoich marzeń? Wszystkim czego pożądałeś? Jest uosobieniem tego, czego pragnie każda istota. Tylu miała kochanków poza tobą, ale tylko jednego kochała... Ale nie ciebie, nie ciebie.

Uldyzjan pozwalał Lucionowi mówić. Świadomość, że miłość Lilith była kłamstwem, nadal bolała, ale nie na tyle, by zawrócić z obranej drogi i zrezygnować ze zrobienia tego, co należało. Teraz myślał jedynie o tym, by powstrzymać potwornego przeciwnika.

– Kochała tylko jednego, tak... a jego imię brzmi Inarius! Przypominasz sobie? Czy powtarzała je, gdy trzymałeś ją w objęciach? Lepiej pokłoń się przede mną niż przed nim, człowieku! On nie będzie łaskaw. Ani trochę... Będiesz dla niego niczym! Niczym!

„Niczym”. Znowu to słyszał. Uldyzjan był niczym dla tych istot, tak jak i wszyscy ludzie.

Dość!, pomyślał. Ja... my... nie będziemy już niczym dla takich potworów.

– Nikomu nie będę się kłaniał! – Pochwycił demona za gardło. Cokolwiek chciał zrobić, powinien uczynić to teraz. Im dłużej trwały zmagania, tym bardziej stawało się prawdopodobne, że Lucion znajdzie i wykorzysta jakąś słabość Uldyzjana. – A już na pewno nie przed kimś, kto jest dla mnie niczym!

Słowa Lilith wróciły doń, tyle że na odwrót. Nie on był niczym. To ona i jej podobni byli.

– Jesteś niczym, Lucionie. I na nic nie zasługujesz!

Demon zaśmiał się, ale śmiech prędko przeszedł w ohydne charczenie. Lucion sięgnął do dłoni, która ścisnęła go za gardło, ale nie dlatego, że Uldyzjan go dusił. W rzeczywistości farmer jedynie przytrzymał swego

przeciwnika. I teraz poczuł przemożną chęć, by jego słowa stały się rzeczywistością.

– Niczym, Lucionie... Niczym!

Uldyzjan zamrugał.

Postać demona pobladła. Kolory potwornego ciała straciły intensywność, stały się jakby sprane. Ogony Luciona znów zaczęły smagać człowieka wściekle, ale już nawet nie przebijały skóry na plecach farmera. Uldyzjan czuł nie uderzenia, a lekkie dotknięcia, jakby muśnięcia wiatru. A po chwili nie czuł zupełnie nic...

I naraz uświadomił sobie, że widzi dżunglę przez ciało demona. To dodało mu siłę, by naciskać mocniej. Zignorował wściekle drapiące pazury, bo nie sprawiały mu większego bólu niż ukłucie szpilką.

– Strzeż się, Uldyzjanie ul-Diomedzie! – zawołał wreszcie demon. – Ona z tobą nie skończyła! Moja siostra nigdy nie porzuca zabawki, póki jej nie wykorzystasz do cna! Ale ja wiem, jak myślisz! Mogę ci pomóc! Mogę być twoim przewodnikiem! Będę ci się kłaniał, nazywał cię panem! Tylko posłuchaj...

– Nie słyszę niczego poza wołaniem zwierząt w dżungli – Uldyzjan potrząsnął głową. – I szeptu wiatru, który już cichnie. Niczego więcej.

Usta Luciona się poruszyły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Uldyzjan zdał sobie sprawę, że pod palcami czuje tylko powietrze miast łusek. Demon stał się przezroczysty. Ohydłą twarz wykrzywił strach, Lucion wiedział bowiem, a zarazem nie wiedział, co się dzieje. Człowiek nie powinien być zdolny do czegoś takiego... Co innego nefalem.

I w końcu demon, zgodnie ze słowami Uldyzjana, stał się niczym.

Farmer znieruchomiał. Palce wciąż miał zaciśnięte, jakby trzymał przeciwnika za gardło. Powoli wyprostował je i obejrzał dłoń, może spodziewając się dojrzeć tam jakąś wielką prawdę.

Wyczuł, że ktoś podchodzi do niego od tyłu. Wiedział kto, zanim jeszcze począł się odwracać. Ale Romus pisnął cienko i odskoczył na kilka kroków.

– Wybacz, mistrzu Uldyzjanie! Niczego nie knułem, zachodząc was w ten sposób! Tylko... tak staliście, tacy nieruchomi...

– W porządku, Romusie, w porządku.

– Już po wszystkim? Demon nie żyje?

– Nie... nie ma go, po prostu.

Romus spoglądał nań jeszcze bardziej zmieszany.

Uldyzjan westchnął.

– Demon przepadł na zawsze. Wszystko już dobrze.

Ale mówiąc te ostatnie słowa, wiedział, że nie są prawdziwe. W ognistym świetle dobywającym się ze szczelin w ziemi widział spalony las i ciała zbyt wielu z tych, którzy poszli za nim. Niektórym nic nie mogło już pomóc. Ale byli i tacy wciąż rozpaczliwie trzymający się życia...

Bez zastanowienia Uldyzjan minął Romusa i podszedł do najbliższego z rannych. Wydobył z pamięci twarz mężczyzny, ale znał go tylko jako mieszkańca Party. Ale i to wystarczyło. Na samą myśl, ile wycierpiał biedak, Uldyzjanowi ponownie popłynęły łzy po obeschłych już policzkach.

Pochylił się, by wygodniej ułożyć rannego... i miękkie światło rozblęzło pod jego palcami.

Nieszczęśnik gwałtownie nabrał powietrza, jego pierś uniosła się do granic możliwości. Uldyzjan miał już cofnąć ręce, gdy zorientował się, że sińce i rany mężczyzny poczynają znikać. Ramię, które zdawało się być wyrwane ze stawu, teraz odzyskało normalny wygląd.

Uldyzjan trzymał dłonie nieruchomo, póki nie zniknęły wszelkie obrażenia i mężczyzna nie zaczął oddychać normalnie. Dopiero wtedy



farmer się podniósł i zobaczył innych, wpatrujących się weń z pełnym zachwytem zdumieniem.

Wyciągnął więc rękę ku kobiecie z krwawiącą raną na twarzy. Kiedy cofnął dłoń, kobieta była zdrowa.

I tak szedł od człowieka do człowieka, starając się najpierw pomóc tym najbardziej potrzebującym.

Ile minęło czasu, zorientował się dopiero wtedy, gdy niebo pojaśniało i pierwsze promienie słońca przedarły się przez gęste listowie. Czuł się wyczerpany, ale i podekscytowany. Zdołał pomóc wszystkim potrzebującym i cieszyło go to bardziej niż zwycięstwo nad Lucionem.

Ale radość ulotniła się natychmiast, gdy stanął twarzą w twarz z Serentią. Dziewczyna znowu trzymała w ramionach ciało Achiliosa. Nie podszedł do niej, gdy pomagał rannym, przepępniało go bowiem poczucie winy i świadomość, że przyjaciel zginął, próbując przyjść mu z pomocą. Co gorsza, Uldyzjan wiedział, że żadna moc nie pomoże już Achiliosowi.

Przy Serentii stał ktoś jeszcze, ten, którego Uldyzjan niemal uznał za martwego. Mendeln, równie blady jak martwy łucznik, pochylał się smutno nad kochankami. Spojrzał na Uldyzjana, gdy ten podszedł, i skinął głową.

– Dokonałeś tego. Kłamała.

– Kłamała. – Uldyzjan chciał już zapytać brata, gdzie ten podziewał się w ostatnich chwilach starcia z demonem, ale wtedy właśnie Serentia podniosła nań wzrok.

– Uldyzjanie... czy nic...?

Prawdę mówiąc, spróbował raz, w ciągu nocy, dokonać niewyobrażalnego, ale nie powiodło się mu. Nie potrafił powiedzieć, czy to źle, czy może jednak dobrze, nawet jeśli oznaczało, że nie ma nadziei dla przyjaciela.

– Przykro mi. Nic.

Skinęła głową ze zrozumieniem. Uldyzjanowi serce ścisnęło się boleśnie na widok jej cierpienia.

Mendeln spoglądał ponad ramieniem brata na stos, jaki szykowali mieszkańcy Party. Swoim zwyczajem zamierzali spalić zmarłych.

– Powinni ich pochować w ziemi. – Jego spojrzenie nabrało intensywności, gdy spojrzął na Serentię i jej ukochanego. – Przynajmniej my powinniśmy pogrzebać Achiliosa, zgadzacie się?

Uldyzjan skinął głową, choć nieco zaniepokoił go wyraz determinacji na twarzy brata. Tak właśnie robili to w Seram, poza czasem plagi, oczywiście. Nie do niego jednak należała decyzja.

– To zależy od ciebie Serri... Serentio.

Dziewczyna nie wahała się ni chwili.

– Wolałby być pochowany, stać się częścią dżungli, jeśli nie boru.

– Znam odpowiednie miejsce – uśmiechnął się smutno Mendeln.

Bracia ponieśli Achiliosa sami. Szła za nimi jedynie Serentia. Gdy Romus i kilku innych chciało się przyłączyć, Uldyzjan odmówił.

Pozwolił Mendelnowi prowadzić. Po krótkiej wędrówce przez las dotarli do miejsca, gdzie słychać było szum strumienia. Rosły tu wysokie i potężne drzewa, panował łagodny spokój. Uldyzjan zaaprobował miejsce od razu. Serentia również bez wahania zgodziła się z wyborem Mendelna.

Narzędziami pożyczonymi od przybyszów z Party wykopali grób. Uldyzjan chciał zrobić to, używając mocy, ale uznał zaraz, że ostatnia posługa dla przyjaciela wymaga jednak wysiłku. Ziemia była miękka i ustępowała szybko. Nie minęło wiele czasu, a wykopali grób na tyle głęboki, by nie obawiać się, że padlinożercy wywloką ciało.

Złożyli przyjaciela na ostatni spoczynek i stanęli w milczeniu. Nie padło nawet jedno słowo, żadne bowiem nie mogło oddać tego, co czuli. Ich dusze żegnały się z tym, który odszedł, każda na swój sposób.

To Serentia przerwała ciszę. Złożyła głowę na piersi Uldyzjana i zaszlochała głośno. Farmer trzymał ją w ramionach jak ukochaną siostrzyczkę w jej ostatnich chwilach. Mendeln wiedziony delikatnością odwrócił głowę, wypowiadając ostatnie przesłanie dla Achiliosa.

I było po wszystkim.

# DWADZIEŚCIA TRZY



Dopiero na koniec dnia przybysze z Party zakończyli swe obrządki pogrzebowe. Oczywiście Uldyzjan i pozostali brali w nich udział. Każda śmierć była dla farmera ciosem, ale najbardziej bolała go utrata tych, których znał.

Mimo jego starań Barta znalazła się wśród ofiar Luciona. Serce matki pękło, gdy zginął jej synek. Leżała z ciałem chłopca w ramionach. Oboje znaleźli w śmierci spokój, który malował się na ich twarzach wraz z miłością, jaką darzyli się za życia. Złożono ich na jednym stosie i spalono.

Gdy zniknęli w płomieniach, smutek Uldyzjana zmienił się w gniew. Gniew na Luciona, na Lilith, na Świątynię i Katedrę oraz tych, którzy dążyli jedynie do władzy nad światem za wszelką cenę.

I choć starał się ugasić tę furję, nie potrafił. Gdy spłonęło ostatnie z ciał, wiedział już, że przed nim jest tylko jedna droga, droga wiodąca do konkretnego celu.

– Trójca musi zostać zniszczona na zawsze, Mendelnie – powiedział bratu, gdy byli sami. – Może jestem szalony, ale nie spocznę, póki ze Świątyni nie zostaną gruzy. Zbyt wiele zła doświadczyło od niej zbyt wielu z nas.

Spodziewał się, że brat spróbuje mu to wyperswadować, ale Mendeln przyjął jego słowa spokojnie.

– Jeśli tylko tego pragniesz. Ja zawsze będę stał u twego boku,  
Uldyzjanie.

Uldyzjan był wdzięczny, ale nie mógł na tym poprzestać.

– Mendelnie... Mendelnie... Co się z tobą dzieje?

Po raz pierwszy na twarzy młodego uczonego pojawiło się zmieszanie.

– Nie wiem – odparł niepewnie, po czym opanował się i ponownie skrył uczucia. – Mogę ci tylko powiedzieć, że już nie czuję lęku... i że póki będę mógł, zrobię wszystko, by ci pomóc.

Uldyzjan spoglądał w oczy brata i widział w nich tylko szczerść i ani śladu przebiegłości. Chciał pytać dalej, ale zrozumiał, że jeśli to uczyni, obaj przekroczą pewną granicę, a na to nie byli gotowi. Poklepał więc tylko brata po ramieniu.

– O nic więcej nie proszę – zapewnił. – O nic więcej.

A w spojrzeniu Mendelna zobaczył ulgę i wdzięczność.

Spodziewał się, że Serentia potępi plan wyruszenia przeciwko Świątyni, w końcu Achilios już zapłacił najwyższą cenę. Ale śmierć łucznika rozpałała gniew także w Serentii. Kiedy Uldyzjan zdradził jej swoje plany, nie wahała się ani chwili.

– Zginął przez nich mój ojciec. I Achilios, który niemądrze mnie kochał, a którego ja kochałam zbyt krótko, postradał życie z ich powodu. Chcesz obalić Świątynię i Katedrę...? Stanę z tobą ramię w ramię! I proszę, byś nauczył mnie, ile zdołasz, żebym mogła stanąć do walki i odpłacić im za to, co uczynili!

Ta gwałtowna reakcja zaniepokoiła trochę Uldyzjana. Wolałby, żeby dziewczyna nie rzucała się w paszczę niebezpieczeństwa, byle połączyć się z utraconym ukochanym. Chciał jej to łagodnie powiedzieć, ale Serentia odwróciła się do mieszkańców Party.

– Uldyzjan przemówił! – zawołała. – Świątynia zapłaci za to wszystko! Zrównamy ją z ziemią! Kto z nami?

Przez chwilę panowała cisza, gdy do ludzi docierało znaczenie jej słów...

A potem podniosły się radosne okrzyki.

– Precz ze Świątynią! Koniec Trójcy!

– Ktoś musi wezwać pozostałych! – wołał Romus. – Niech do nas dołączą!

I tak to, co początkowo było jedynie goryczą w duszy Uldyzjana, stało się zarzewiem powstania. Farmer patrzył, czego dokonał, i z zaskoczeniem uświadamiał sobie, że wcale nie chce stłumić walecznego zapąku w ludziach, którzy go otaczali. Nie widział w nich wiernych czy naśladowców, ale towarzyszy, braci w cierpieniu, którzy mieli takie jak on prawo domagać się sprawiedliwości... nawet przeciwko demonom i innym siłom.

– Ten świat należy do nas – rzekł, a jego słowa natychmiast przykuły powszechną uwagę. Ludzie przestali krzyczeć, by nie uronić nic z tego, co mówił. – Jesteśmy jego dziećmi! Nasz los i los świata są ze sobą nierozzerwalnie splecione! – zawahał się. – I przede wszystkim jesteśmy panami własnego losu. Nikt nie może władać naszym przeznaczeniem, tylko my! To nasze prawo, prawo, które przynależy nam od narodzin. Tak jak i moc w nas rosnąca! Nasze dziedzictwo!

Znów podniosły się radosne okrzyki. Uldyzjan słuchał ich przez chwilę, po czym uniósł ręce, prosząc o ciszę.

– Romusie! Czy wciąż są wśród nas dobrzy tropiciele?

– Tak, mistrzu... A jeśli oni nie potrafią tropić, ja to zrobię!

– Wyruszamy o brzasku, prosto do miasta Toradza. To duże miasto, Mendelnie?

– Nie dorównuje Kedżanowi, ale któreż dorównuje – odparł Mendeln. Doskonale wiedział, do czego zmierza brat. Jeśli mają zmierzyć się z Katedrą i zapewne z klanami magów, muszą być liczniejsi.

Uldyzjan nie miał wątpliwości, że w Toradży znajdą się chętni przyjąć, co oferował. Znajdą się i tacy, którzy staną przeciwko niemu... Toradża była zatem doskonałym miejscem – tam Uldyzjan albo urośnie w siłę, albo zostanie pogrzebany.

– Ruszamy więc do Toradży! – oznajmił. – Jeźdźcy niech wrócą do Party z wiadomością, że ktokolwiek chce do nas dołączyć, winien szukać nas właśnie tam!

– Sam zaniosę wiadomość, mistrzu! – zawołał Romus.

Trzech innych powtórzyło ten pełny entuzjazmu okrzyk.

– Do was więc należy to zadanie. Reszta niech pamięta! O brzasku!

Ludzie znów poczęli wznosić radosne wołania, niesieni wizją, w której pędzili przez świat, gromadząc tłumy rozentuzjasmowanych nowicjuszy. Uldyzjan pozwolił im się cieszyć, wiedząc, że przyszłość może przynieść coś zgoła przeciwnego.

Mogą zginąć wszyscy, nim dotrą do bram Toradży.

– Pójdą za tobą wszędzie – odezwał się Mendeln.

– Nawet do Płonących Piekieł i Królestwa Niebios? – Uldyzjan przypomniał sobie o mistycznych miejscach wspomnianych przez Lilith. Nie wyobrażał sobie wiecznego konfliktu między bytami z innych wymiarów, ale absolutnie nie dopuszczał do siebie myśli, że jego rodzaj stanie się mięsem armatnim dla tej strony, która zwycięży.

– Jeśli zajdzie konieczność, nawet tam...

Uldyzjan spojrzał nań zaskoczony i niepewny, czy słowa brata są żartem czy też wręcz przeciwnie. Mendeln nie wyglądał mu już na kogoś skłonnego do żartów.

Pozwolili mieszkańcom Party się radować. Nawet jeśli droga nie poprowadzi ich do Płonących Piekieł i Królestwa Niebios, z pewnością spotkają niejednego demona, nie opuszczając Sanktuarium... A przewodzić potworom będzie Lilith. Lucion nie mylił się co do jednego – Lilith znajdzie sposób, by ponownie pojawić się w życiu Uldyzjana... by przejąć nad nim władzę bądź mu wszystko odebrać.



Uldyzjan nie obawiał się już konfrontacji. Lilith znajdzie go silniejszym niż się spodziewała. Miała nad nim niejedną przewagę, ale był przygotowany.

– Moje prawo od narodzin... – szepnął. Pomyślał o wszystkich zebranych w zielonym lesie i poprawił się równie cicho – Nasze prawo. Nasz świat. – Wrócił myślami do Achiliosa i innych, którzy stracili życie bez powodu. – Nasze przeznaczenie.

– Tak – potwierdził Mendeln, który usłyszał szept brata. – To i więcej. O wiele więcej.

I Uldyzjan wiedział, że młodszy brat ma rację.

W głównej Świątyni Trójcy panował niepokój. Niewielu wiedziało dlaczego, ale każdy to odczuwał. Arcykapłani udawali, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale jeśli ktoś widział ich z bliska, mógł zauważyć w ich oczach cień zmartwienia.

W prywatnych komnatach Pierwszego demon Astroga wisiał w cieniu pod sufitem, ukryty przed wzrokiem kogokolwiek, kto przestąpiłby próg komnaty. Wokół wielkiego pająka kilka ośmionogich kształtów biegało z niepokojem, jakiego Astroga otwarcie nie okazywał.



Ale demon nie tylko się niepokoił, ale i pogrążył w głębokim namyśle. Lucion stanowczo zbyt długo nie wracał, gdziekolwiek się udał. Wprawdzie wspominał coś o miejscu, do którego się wybierał, ale Astroga nie traktował tych słów poważnie. Wiedział, że Lucion dostrzegł w tym człowieku coś więcej niż świetny materiał, który mógł zasilić szeregi morłu, tudzież innej siły służącej Świątyni. Lucion znalazł się na granicy niepojętego... Być może zastanawiał się nawet, czy moc nefalema może wynieść go ponad własnego ojca i pozostałych Najwyższych Złych.

Jednakże Luciona nie było, a Astroga próbował teraz przemyśleć wszelkie korzyści wynikające z tego faktu. Może on sam powinien przybrać aspekt Pierwszego. Sam powinien zarządzać potęgą Trójcy.

Otóż to, w końcu nie można jej oddać istocie tak głupiej jak Gulag. Gulag posługiwał się czystym chaosem, a do zarządzania potrzebny był spryt.

Nagle demon wyczuł obecność w komnacie. Stęzał, gotów do ataku, gdyby okazało się, że ma do czynienia z intruzem. Wprawdzie pożywiał się niedawno, ale na świeżą krew miał zawsze apetyt.

Ku swemu zdumieniu zobaczył tego, kogo widzieć się nie spodziewał.

– Lucion powrócił – zasyczał pająk. – I czy Lucion zrobił to, czego pragnął?

– Po części tak, po części nie – odpowiedział Pierwszy enigmatycznie. – Astroga?

Lucion mówił tak, jakby nie miał pewności, z kim rozmawia, a przecież to było niemożliwe. Pajęczy demon postanowił kontynuować rozmowę.

– A znalazł ślady jej? Lilith?

Przez chwilę Pierwszy milczał, potem skinął głową.

– Owszem, ale wydaje mi się, że nie zobaczymy jej przez jakiś czas.

– Dobrze, dobrze...

Lucion oparł dłoń na tronie, na którym zwykle zasiadał w trakcie audiencji. Zajął miejsce obserwowany nieustannie przez Astrogę i spojrzał w górę, gdzie krył się pajęczy demon.

– Chcę zostać sam.

– Jak długo?

Były takie chwile, gdy Lucion sobie tego życzył. Wtedy pajak wycofywał się, zazwyczaj do którejś z wież, dopóki Pierwszy nie skończył tego, czym się zajmował. Jako ten wybrany, by przewodzić, miał przywileje, których Astroga mu zazdrościł.

– Od teraz na zawsze – odparł Lucion, spoglądając twardo. – Znajdź sobie inne miejsce na swe sieci. Może w wieżach. Wezwę cię, gdy będziesz mi potrzebny.

Został wygnany z komnaty na zawsze? Astroga niemal zaprotestował, ale zaraz przypomniał sobie, że Lucion jest synem Mefista, podczas gdy on sam zaledwie ulubieńcem Władcy Grozy. Diabło nie będzie bronił Astrogi przed Lucionem.

– Jak sobie życzy... – wysyczał cicho. – Jak sobie życzy.

Przywołał swe dzieci i tchnął na sieć, by ją rozpuścić. A potem, rzuciwszy Lucionowi ostatnie i gniewne spojrzenie, zniknął.

Postać na tronie posłużyła się magią, by zbadać pomieszczenie. Nikogo tutaj nie było, nawet nadmiernie ciekawych ulubieńców Astrogi. Komnata została magicznie zabezpieczona przed wejściem pozostałych.

Pierwszy roześmiał się cicho, a w tym śmiechu niejedną usłyszałyby kobiece nuty.

– Przyjdź do mnie, ukochany – powiedział Lucion głosem swojej siostry.  
– Niecierpliwie cię wyglądam.

A w Katedrze Światłości Prorok skinął głową. Wszystko toczyło się tak, jak to zaplanował.

